

NIE IGRAJ Z CZASEM, BO ŚWIAT,
KTÓRY ZNASZ, PRZESTANIE ISTNIEĆ

TIME RIDERS

2001 2010 1957 1941 1194 2056

WIECZNA WOJNA

ALEX SCARROW

ZIELONA
SOWA

Alex Scarrow

Time Riders

Wieczna wojna

O Autorze:

ALEX SCARROW zaczynał jako grafik, po czym zdecydował, że zostanie projektantem gier komputerowych. W końcu dojrzał i został pisarzem. Napisał wiele popularnych thrillerów oraz kilka scenariuszy, ale to pisanie dla młodzieży pozwala mu do woli cieszyć się pomysłami i koncepcjami, którymi bawił się podczas tworzenia gier.

Mieszka w Norwich z synem Jakubem, żoną Frances i dwoma bardzo grubymi szczurami.

Odwiedź witrynę www.time-riders.co.uk i zostań Jeźdźcem w Czasie.

Seria Time Riders:

Tom 1: Jeźdźcy w Czasie Tom 2: Czas drapieżników Tom 3: Kod apokalipsy Tom 4:
Wieczna wojna

Wkrótce kolejne tomy!

Dedykuję Klubowi Tajemnic - Shannonowi, Wendy i Rowanowi... trzem innym mieszkańcom planety Ziemia, którzy wiedzą, jak kończy się ta opowieść.

PROLOG

Nowy Jork rok 2051

Joseph Olivera patrzył przez małe, okrągłe okno na rozciągający się w dole, zalany pejzaż miejski New Jersey. Ocean Atlantycki stopniowo, kęs po kęsie, odgryzał kawałki zachodniego wybrzeża Ameryki. Przecznice wysokich wieżowców wyrastały teraz w równych rzędach z błyszczącego morza. Dalej rozciągał się Manhattan, ku któremu zmierzał zrzutokopter. Wyspa wciąż znajdowała się ponad powierzchnią morza. Szczelny krąg wałów przeciwpowodziowych miał powstrzymać na-pór wody przez kolejną dekadę, tak przynajmniej twierdzili eksperci.

Zrzutokopter zapikował pomiędzy drapaczami Manhattanu i skierował się ku charakterystycznemu skrzyżowaniu ulic, ku Times Square. Po lewej roztaczał się Central Park, zakopany pod dachami porzuconych samochodów, które leżały jeden na drugim jak zapomniane resoraki rozkapryszonego dzieciaka.

Joseph klął w duchu na dające mu się we znaki nerwy. Na samą myśl o spotkaniu twarzą w twarz z człowiekiem-zagadką i żywą legendą - Roaldem Waldsteinem - dygotał jak pensjonarka.

„Nie będę się jękał. ZROBIĘ dobre wrażenie” - Olivera po raz kolejny poprzysiął sobie, że nie będzie się zacinał, jak to ma w zwyczaju, gdy znajduje się w trudnej sytuacji. Będzie unikał słów-pu-łapek zaczynających się od litery „s”. Joseph kompulsywnie powtarzał w myślach powitalną przemowę. Nie zawierała żadnych wyrazów na „s” i brzmiała niemal naturalnie.

Zrzutokopter unosił się już nad płaskim dachem górującego nad Times Square budynku. Śmigłowiec zataczał koła wokół lądowiska z entuzjazmem psa moszczącego sobie legowisko w kojcu. Times Square zamieniło się w pozbawiony życia cień siebie samego. Po placu przechadzali się przechodnie, obok zabitych deskami budynków przejechały dwa autobusy elektryczne. Grodzie na razie powstrzymywały wzbierające morze, ale wszystko to i tak daremne wysiłki.

„Miasto umiera”.

Zrzutokopter delikatnie dotknął lądowiska, pilot wyłączył silnik i pozwolił śmigłom wytracić prędkość obrotową, po czym rozsunął drzwi i gestem dał znak Josephowi, aby podążył za nim.

- Pan Walds-s-steinn tu no-nocuje? - wydukał Olivera. - W hotelu Marriott?

- Pan Waldstein tu mieszka. Rok temu kupił ten hotel.

Pilot ponaglił go, aby wszedł za nim do wnętrza budynku. Zbudowaną z pustaków klatką schodową zeszli do małego przedpokoju z wahadłowymi drzwiami.

- Po drugiej stronie znajduje się prywatny apartament pana Waldsteina. Mieszka tu sam. - Pilot rzucił Josephowi bystre spojrzenie. - Musi pan wiedzieć, że to niesamowity zaszczyt spotkać go osobiście. Nigdy nie przyjmuje gości... nigdy.

- Mieszka w tym hotelu całkiem sam?

Pilot zignorował pytanie.

- Zanim pan go pozna, powinien pan wiedzieć o paru rzeczach. Na pozór może wydawać się dość opryskliwy i niegrzeczny. Nie ma w tym nic osobistego; po prostu szkoda mu czasu na kurtuazyjne pogawędki.

- O-okej.

- Niech pan też przypadkiem nie próbuje mu schlebiać. Nie wspomina o jego geniuszu, wizjonerstwie czy... talencie. Słyszał to wszystko z miliard razy. Tylko go pan zezłości.

„Świetnie... żegnaj więc moje przeciwiczone powitanie”.

- A teraz najważniejsze... pod żadnym pozorem proszę nie wspominać o tym „zdarzeniu”.

- Zda... zdarzeniu?

- Chicago.

Joseph przytaknął. Mowa oczywiście o wydarzeniu z Chicago w dwa tysiące czterdziestym czwartym. To wówczas dla świata narodził się Roald Waldstein, o którym dzisiaj słyszało każde dziecko.

- Dobrze... okej. - Joseph nie przestawał drżeć.

- Niech pan będzie kulturalny i szczery - pilot posłał mu ośmielający uśmiech - a wszystko będzie dobrze. Nacisnął przycisk zamontowanego obok drzwi interkomu. - Panie Waldstein... przyszedł dr Joseph Olivera.

Joseph spojrzął w małe lustro zawieszone na ścianie obok drzwi. Poprawił krawat i przyglądał zmierzwione, czarne włosy, żałując, że jeszcze staranniej nie przyciął dzisiaj rano czarnej brody.

Nad podwójnymi drzwiami zapaliła się mała zielona dioda.

- Może pan wejść do środka - oznajmił pilot.

Joseph popchnął drzwi, jego stopy ostatni raz stuknęły o linoleum; wszedł na miękki dywan.

Okrągły pokój zalewało światło wpadające ze wszystkich stron. Jasność była tak intensywna, że Joseph musiał zmrużyć oczy. Ledwie dostrzegał zarys głowy i ramion widocznych na tle jednego z wielkich szklanych paneli łączących sufit z podłogą, z których zbudowano ściany penthouse'a.

Joseph osłonił oczy ręką i powoli podszedł do postaci.

- Pan Walds-s-stein?

Pokój był duży. Miał dwanaście, może piętnaście metrów długości. Wzrok powoli przyzwyczajał się do jasności - po jednej stronie Joseph zauważył łóżko, biurko i kilka kartonowych pudeł po brzegi wypełnionych papierami. Nic więcej. Pomieszczenie było puste.

Z bliska dostrzegał więcej szczegółów: charakterystyczną burzę falistych, poskręcanych włosów i wąskie ramiona.

- To zaszczyt pana poznać... panie Waldstein.

Sylwetka poruszyła się i obróciła. Mężczyzna patrzył przez okno na horyzont Nowego Jorku.

- Mówią, że pani Wolność spaceruje po wodzie.

Joseph nie miał pojęcia, co mężczyzna ma na myśli. Bezradnie, jak dziecko wypchnięte na środek sceny, wzruszył ramionami.

Waldstein zachichotał.

- Przepraszam... wprowadziłem pana w zakłopotanie. Mówię o Statui Wolności. Liberty Island i cokół, na którym stoi statua, znajdują się już poniżej poziomu morza. - Rozłożył ręce.

- To dlatego ludziom zdaje się, że spaceruje po wodzie.

- Achhh... - Joseph skinął głową. - Ja-s-s... s... s... - Zaciął się na przeklętej literze. Czuł, że płoną mu policzki, więc gniewnie pokręcił głową, zmagając się z „s”.

Bez powodzenia.

- S-stra... Bardzo mi przykro. Mam... problem z...

- Jąkaniem się? - Waldstein wskazał krzesło. - Proszę się nie przejmować. To zupełnie nieistotne. Niech pan spocznie.

Joseph usiadł, a Waldstein otworzył teczkę i przekartkował kilka stron.

- Dr Jose Olivera...

- Używam angielskiej wersji mojego imienia, Joseph, panie Waldstein. Żeby... hmm... niektórzy wychodzą z założenia, że jeśli czyjeś imię brzmi obco, to na pewno pojawi się bariera językowa. - Nieśmiało podrapał się po brodzie. - Posługuję się angielskim tak samo sprawnie, jak ojczystym...

- Hiszpańskim.

Joseph z wdzięcznością skinął głową, szczęśliwy, że oszczędzono mu udręki wypowiedzenia trudnego słowa.

- Doktorze Olivera... jest pan największym ekspertem w dziedzinie genetycznego imprintingu sztucznej inteligencji.

„Bądź pewny siebie, Josephie”.

- To prawda.

- Słyszałem, że zrealizował pan parę imponujących projektów dla kilku poważnych kontrahentów z branży zbrojeniowej. Pracował pan nad transgenicznymi jednostkami bojowymi, które właśnie testuje armia Stanów Zjednoczonych.

- Zgadza się.

- Poza tym... mam tu informację, że jest pan zagorzałym zwolennikiem ligi przeciwników podróżowania w czasie.

- To prawda.

Waldstein nachylił się nad nim i intensywnie wpatrywał się w oczy Josepha.

- Chcę, żeby powiedział mi pan dlaczego.

Waldstein go sprawdzał.

- To oczywiste dla każdego naukowca. Czas-sowy roz-z-z... - Joseph dał sobie spokój z trudnym słowem, po czym wziął głęboki oddech, żeby uspokoić nerwy i powstrzymać jękanie. - Teoria... podróży w czasie może posłużyć do opracowania potencjalnie najbardziej zabójczej technologii w historii. Teoretycznie pozwala na uzyskanie energii kinetycznej zdolnej zniszczyć, no cóż... wszystko.

Waldstein milczał. Najwyraźniej chciał go trochę pociągnąć za język.

- Ja wierzę, panie Waldstein, bardzo mocno wierzę, że istnieją rzeczy, przy których nigdy nie należy manipulować. W tym naszym pościgu za wiedzą... nigdy nie powinniśmy otwierać pewnych drzwi. Jeśli Bóg istnieje... JEŚLI Bóg istnieje, wówczas ta technologia, ta wiedza powinna pozostać Jego domeną, wyłącznie Jego. W to wierzę.

Przerwał, uświadamiając sobie, że to, co chciał teraz powiedzieć, było ogromnie głupie. Czy pilot nie ostrzegął go przed chwilą, żeby pod żadnym pozorem o tym nie wspominać?

„A właśnie to mam teraz na końcu języka”. - Serce w jego piersi zabiło jeszcze mocniej.

- To, co pan zrobił - podjął - to, co zdarzyło się w Chicago w dwa tysiące czterdziestym czwartym roku było bardzo niebezpieczne. Ale wszystko, co uczynił pan od tamtego czasu, panie Waldstein, było ze wszech miar słuszne. Wierzę, że pańska

kampania wymierzona przeciwko dalszym badaniom w tym zakresie to wszystko, dosłownie wszystko, co chroni gatunek ludzki przed... - Joseph rozłożył ręce, nie wiedząc jak zakończyć. Jakiego słowa użyć? Jakiego słowa?

- Końcem? - podpowiedział Waldstein.

- Tak, właśnie... tak... końcem - zgodził się Joseph.

Waldstein pozostał w całkowitym bezruchu, jego wodniste oczy nie wyrażały absolutnie nic, otoczyło ich inne morze, morze przeciągającej się w nieskończoność ciszy. Joseph już zaczął obawiać się, że zepsuł wszystko, wspominając tamten epizod z Chicago, ale Waldstein wreszcie się poruszył.

- Josephie... - zaczął. - Mam... Jak to powinienem nazwać? Projekt, nad którym pracuję. Chciałbym, żebyś się do niego przyłączył.

- Projekt?

Waldstein skinął głową.

- Wymagający całkowitej dyskrecji. To projekt o olbrzymiej doniosłości.

Joseph z zaskoczenia szeroko otworzył usta.

- Pracować z panem? To... byłby zaszczyt... moc... - Wargi mężczyzny kłapały bezradnie.

- Proszę się tak szybko nie zgadzać, Josephie. Oferuję panu bilet w jedną stronę i oczekuję bezwarunkowej dyskrecji. Nigdy nie będzie pan mógł nikomu opowiedzieć o współpracy ze mną, nigdy. Będziemy pracowali w całkowitej izolacji.

Przenikliwe spojrzenie znowu spoczęło na Josephie, jakby naukowiec chciał odszukać w jego twarzy choćby cień zwątpienia.

- Jeśli się pan zdecyduje, Josephie - i jeśli ja dojdę do wniosku, że zasługuje pan na moje zaufanie - to już nie będzie miał pan odwrotu.

Joseph nie wiedział, co właściwie rozumieć przez brak możliwości odwrotu. Czy to jakaś zawołana groźba? Waldstein to miliarder, potężny człowiek. Z kimś takim nie należy pogrywać.

Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Joseph nie pomyślałby nawet o ujawnianiu poufnych informacji czy kradzieży tajemnic handlowych dla konkurencji. Jego pasją to nauka. Głód wiedzy.

A ten człowiek, Waldstein... to prawdziwy wizjoner. Geniusz. Sam przywilej spotkania legendy we własnej osobie... sama propozycja współpracy to powód do dumy i radości. Żadne słowa nie zasieją teraz ziarna wątpliwości, nie w umyśle doktora Josepha Olivera.

Zdecydował od razu, a jednak paląca ciekawość kazała mu zadać jeszcze jedno, ostatnie pytanie.

- Może mi pan powiedzieć cokolwiek o tym projekcie? Zanim podejmę decyzję, chciałbym poznać podstawowe informacje na temat charakteru tej pracy...

Waldstein podparł podbródek dwoma palcami, po czym przymknął oczy i pogrążył się w milczącej zadumie. Joseph wykorzystał tę chwilę, by rozejrzeć się po gigantycznym pokoju, który jaśniał od dziennego światła wlewającego się przez niemal pełny okrąg panoramicznej, nieskazitelnie czystej szyby. Ten człowiek ze skrzynią pełną patentów technologicznych był na najlepszej drodze, aby zostać najbogatszym człowiekiem w kraju, a mimo to pokój i jego wystrój imponowały prostotą.

Łóżko. Biurko. Kilka krzeseł. To wszystko. Ale czego więcej do szczęścia potrzebuje autentyczny geniusz? Przecież to umysł kryje prawdziwe skarby, dzieła sztuki, namiętności.

Nagle Waldstein opuścił dłoń i otworzył oczy.

- Praca, doktorze Olivera... jest bardzo prosta. To ratowanie gatunku ludzkiego przed nim samym.

Za wąskimi ramionami Waldsteina Joseph dostrzegł miętowo-zielony zarys Statui Wolności. Tak niewyraźny, że falował i pulsował w oddali - w odległości jakiejś mili? I tak, Waldstein ma rację, naprawdę wyglądała, jakby stała na wodzie.

„Jak Jezus stąpający po wodzie”.

- Proszę mi powiedzieć, doktorze Olivera, pomoże mi pan? Pomoże mi pan ocalić ludzi przed nimi samymi?

Od chwili, gdy wszedł do pokoju i znalazł się twarzą w twarz z tym wspaniałym człowiekiem, Joseph był skazany na udzielenie tej jednej odpowiedzi.

- Tak.

ROZDZIAŁ 1

Nowy Jork rok 2001

Sal patrzyła przez brudną witrynę.

Stała przed sklepem Nikomu Niepotrzebne Rekwizyty Sceniczne u Weismena, na zawalonym starociami chodniku. Właściciel pozwolił, by na ulicę wysypywały się przeróżne przedmioty: stary, półtorametrowy Indianin wyrzeźbiony w mahoniu, skrzynia pełna dziecięcych kostiumów, stosy zakurzonych książek ułożone w skrzyniach na warzywa.

Z bazy do sklepu szło się piętnaście minut, to tutaj znalazła ubrania, w których Liam,

Bob i Beki wybrali się na swoją ostatnią misję. Podczas tej wizyty Sal nie była pewna, czy w sklepiku ze starociami znajdą wszystko, czego potrzebują do wykonania tajnego zadania w dwunastym wieku. Ale o dziwo, spośród półek obładowanych ubraniami cuchnącymi naftaliną i lawendowym mydłem, udało jej się wygrzebać wystarczającą ilość gałganów, by przebrać trójkę agentów za umorusanych wieśniaków.

„Kiedyś można by tu wrócić” - zauważyła, gdy wracali wtedy do domu przez labirynt bocznych uliczek Brooklynu, niosąc średniowieczne kostiumy w plastikowych workach.

Ale dzisiaj nie patrzyła przez zakurzoną witrynę na żalną wystawkę, żeby znaleźć coś do ubrania. Przyszła tutaj z powodu tego przedmiotu, przedmiotu umieszczonego na bujanym krześle tuż za oknem. Na podniszczonym, drewnianym siedzisku ustawiono rząd pluszaków i lalek, wyglądających jakby pozowały do portretu rodzinnego. Kilka zabawek - upiorny klaun zdolny przyprawić każde dziecko o koszmary, słoń z wielkimi uszami, żaba z porwanym szwem... oraz niebieski pluszowy miś z guzikami zamiast jednego oka i kilkoma luźnymi nitkami w miejscu, w którym kiedyś musiało znajdować się drugie guzikowe oko.

„Znam cię” - wyszeptwała.

Niedźwiadka zauważyła już podczas ostatniej wizyty w tym sklepie. Ale przez te wszystkie problemy, z którymi musiała się ostatnio borykać, zupełnie o nim zapomniała, wyrzuciła z pamięci.

Ale oto tu jest, stoi jak sparaliżowana przed sklepem, nie mogąc oderwać wzroku od smutnego pluszaka. Przypominał jej coś. Może postać z cyfrowej kreskówki? Bohatera starej dobranocki? Coś, przeblysłk wspomnienia, ulotniło się z jej umysłu niczym kłęb dymu w momencie, gdy próbowała to uchwycić.

Ostatniej nocy miała ten sen - nie, nie sen... koszmar - znowu ten sam. Śniła o dniu, w którym starzec, Foster, uratował ją od pewnej śmierci i zwerbował do Agencji. Ich apartamentowiec - jedna z tych kosmicznie wysokich, szklano-stalowych wież czynszowych, które szpeciły krajobraz współczesnego Mumbaju - płonął, a metalowa superkonstrukcja odkształcała się, by za chwilę runąć.

„Współczesnego?” - zastanowiła się Sal. Pochodziła przecież z dwa tysiące dwudziestego szóstego roku. „Współczesność” oznacza jej aktualne miejsce pobytu, dwa tysiące pierwszy rok. Jej nowy dom... w pewnym sensie.

Foster wyrwał ją z objęć śmierci dosłownie w ostatniej chwili. Dał jej wybór: praca w Agencji lub śmierć z rodziną w płomieniach walącego się budynku.

„Zawsze to jakiś wybór”.

Nie to, że sama musiała podejmować tę decyzję. Tata zrobił to za nią, wciskając ją w

ramiona starca... w tym samym czasie mama przez łzy wrzeszczała, że chce przytulić córkę po raz ostatni.

„Przestań! Przestań!”.

Sal przygryzła wargę. Niepotrzebnie znowu przywołała z pamięci to wspomnienie. To wciąż bolało. Koszmar był faktem, jej rodzice odeszli, obrócili się w proch, a ona żyje teraz w Nowym Jorku, nie w Mumbaju. Stało się. Czy też „stanie się”, żeby być bardziej precyzyjnym. Stanie się za dwadzieścia pięć lat.

Stanie się... to odrobinę łagodzi ból związany z utratą rodziców, ze świadomością, że zginęli razem ze wszystkim, co znajdowało się w walącym się wieżowcu. Przecież - i właśnie z tym nie mógł uporać się jej umysł - teraz żyją. W tym punkcie w czasie są dziećmi, jej rówieśnikami, jeszcze się nawet nie spotkali. Wydarzy się to dopiero za dwanaście lat, w dwa tysiące trzynastym roku. Spotkają się na targach elektroniki użytkowej, Consumer Electronics Show, w New Dehli. Obie rodziny z radością zaakceptują związek młodych zakochanych, a jeszcze tego samego roku Sal będzie już podskakiwać w brzuchu mamusi.

A teraz patrzyła na małego niebieskiego misia, który wedle wszystkich logicznych przesłanek nie miał prawa siedzieć tu sobie na krześle w dwa tysiące pierwszym roku. Miś, to jak nic ten sam miś, którego wiecznie tulił i obślinał Rakesh, najmłodszy syn ich sąsiadów - pana i pani Chaudhry.

Jak nic.

To ten sam miś.

W ostatniej sekundzie swojego starego życia w dwa tysiące dwudziestym szóstym roku widziała jak ten właśnie pluszak wiruje w płomieniach, opadając na dolne piętra niebezpiecznie drżącego budynku po nagłym zapadnięciu się podłogi pod jej stopami.

Później obudziła się w Nowym Jorku, w dwa tysiące pierwszym roku.

- To ty... Jestem pewna - szepnęła do siebie, marszcząc brwi z niedowierzaniem. Oczy nigdy jej nie zawiodły. Rozpoznawała szczegóły, drobne detale: kąt, pod jakim zwisa guzikowe oko, nitkę przewiniętą tylko przez trzy z czterech dziurek; przetarty blado-niebieski materiał na lewej łapce niedźwiadka, ale nie na prawej, która wyglądała, jakby doszyto ją później.

„Drobiazgi”. - Oczy i umysł Sal zawsze kompulsywnie poszukiwały detali. Maniakalne przyzwyczajenie. Odgarnęła opadającą grzywkę za ucho i pochyliła się, dotykając czołem witryny sklepowej. Zawsze potrafiła dostrzec drobne rzeczy, które inni przegapiali, wyłowić wzory z pozornie przypadkowego bałaganu. Właśnie dlatego świetnie grała w Pikodu.

- Ten sam - wyszeptła.

„Jak to w ogóle możliwe?” - pomyślała.

W kieszeni jej marynarki nagle zawibrowała komórka, sięgnęła po nią i przystawiła do ucha.

- Tak?

- Zapomniałaś? - bardziej stwierdziła, niż spytała Maddy.

- Zapomniałam? O czym?

- O planach na dzisiejszy poranek. O wycieczce do muzeum. Pamiętasz jeszcze?

Sal skrzywiła się tym razem mocniej, stukając głową w witrynę. Oczywiście, rozmawiali o tym zeszłej nocy przed zaśnięciem. Ale przez ten jej sen... nie, koszmar... straszne wspomnienie... na śmierć o wszystkim zapomniała. Zaklęła pod nosem.

- Już wracam.

- Spotkajmy się już na miejscu. To co, schody przed wejściem do muzeum?

- Dobra.

- Za jakąś godzinę?

- Okej.

Sal zamknęła komórkę, staromodny wygląd aparatu znów ją lekko rozbawił. Daleko tym cegłom do zgrabniutkich T-budów, które przez uszy przewieszali niemal wszyscy mieszkańcy Mumbaju.

Ostatni raz zerknęła na niebieskiego misia. Niebieskiego misia, którego nie powinno tu być.

Zabawka odpowiedziała butnym spojrzeniem guzikowego oka.

„Nie powinno mnie tu być? A niby dlaczego?” - zdawał się wyzywająco pytać niedźwiadek.

ROZDZIAŁ 2

Nowy Jork rok 2001

Maddy wprowadziła całą piątkę przez drzwi wahadłowe do głównego holu Muzeum Historii Naturalnej. Foster przyprowadził ich wszystkich tutaj niedługo po rekrutacji. Maddy została zwerbowana w spadającym samolocie pasażerskim, na sekundy przed jego eksplozją w powietrzu, a Liam na tonącym Titanicu. Tamta wyprawa terenowa miała być dla nich nagrodą, urozmaicheniem scenografii, szansą na zobaczenie, poczucie i dotknięcie historii, którą muszą ocalić w niezmienionej postaci.

Obie jednostki pomocnicze, Bob i Beki, patrzyły na górujący nad holem szkielet gigantycznego brachiozaura, od którego bił obojętny chłód. Silikonowe mózgi jednostek pomocniczych porządkowały wszystkie widoki, dźwięki i zapachy muzeum w zbiorach użytecznych i nieistotnych danych.

Liam aż zachichotał z uciechy na widok dinozaura, którego widział już po raz drugi. Długi, pokryty sztucznymi głazami cokół, na którym stał szkielet, otoczyła klasa dzieciaków z podstawówki. Brzdące trzymały w rękach notatniki i zadzierały głowy, aby lepiej przyjrzeć się górze szerniałych kości. Usta wszystkich uczniów układały się w małe „o” jak „odlotowe”.

Liam, widząc stojącego obok księgi gości starego strażnika, skinął mu na powitanie głową.

- Cześć, Samie. Jak się masz?

- Huh? - Zaskoczony strażnik spojrzał na niego nieufnie. - Czekał. Skąd znasz moje...?

- Spokojnie - odrzekł Liam, szczerząc zęby - spotkaliśmy się już raz. Dawno, bardzo dawno temu.

Maddy wyróciła oczami za szklami swoich okularów.

- Ach, dorośnij wreszcie, Liamie - wyszeptła, dźgając go w żebra i odciągając od strażnika, który wciąż patrzył na nich z wyrazem twarzy, który można by umiejscowić gdzieś pomiędzy gburo-watą podejrzliwością a szczerym zdziwieniem.

- Słyszałam ostatnio, że jesteście supertajną organizacją...

- Aj tam, nic sobie nie przypomniał. Miałem wtedy na sobie mundur nazisty.

- Poza tym tamta oś czasu została wymazana - ujął się za nim Bob. - Strażnik nie ma prawa pamiętać tamtego spotkania, ponieważ...

Maddy uniosła dłoń, aby ich uciszyć.

- Oczywiście, tak... masz rację, Bob. - Potrząsnęła głową. - Ale przynajmniej spróbujmy być dyskretni, okej? A tak przy okazji, to może zachowujemy się czasem jak dorośli ludzie, Liamie.

Irlandczyk z zakłopotaniem skinął głową.

- Jasne, masz rację. Przepraszam.

- W porządku. - Pociągnęła nosem i wytarła go w chusteczkę. Gdzieś złapała przeziębienie, pewnie zaraził ją wczoraj ten barman z Pizza Land, który nieproszony posypał ich pizzę Cztery Pory Roku ekstra porcją sera. Zamiast pójść na chorobowe, drań wolał zanosić się suchym kaszlem i dyszeć jak parowóz nad kontuarem. Teraz ona czuła się parszywie.

- Okej... dzisiaj poznamy kawałek historii - powiedziała przez nos. - Nikomu nie zaszkodzi odrobina wiedzy, ale chodzi też o to, żeby się dobrze bawić. Kilka godzin z dala od bazy dobrze nam wszystkim zrobi.

- Racja - powiedziała Sal.

- A wy dwoje - powiedziała do Boba i Beki. - Rozdzielcie się, nie chce, mi się patrzeć, jak dwie jednostki pomocnicze przez cały ranek paplają ze sobą, przesyłając zero-jedynkowe komunikaty za pomocą bluetootha. Powinniście poświęcić ten poranek na obserwację ludzkich zachowań. Patrzcie i słuchajcie... obserwujcie, jak ludzie rozmawiają, poruszają się, zachowują. - Lekko zadarła głowę, by spojrzeć na Boba. - Szczególnie ty, Bob... cały czas jesteś sztyw-nawy i nienaturalny. Czasem trzeba wrzucić na luz. Musisz się tego nauczyć.

Maddy patrzyła, jak dwumetrowa postać Boba niepewnie się garbi. Kłon zmarszczył brwi i otworzył usta.

„Piękna i Bestia”. On miał ponad dwa metry wzrostu i sto pięćdziesiąt kilo żywej wagi: same mięśnie i kości. Ona, Beki, była pół metra niższa, szczupła i atletycznie zbudowana. Ale zaczęli tak samo, jako identycznie wyglądające płody wzrastające w probówce wypełnionej mętną mazią.

Bob przekrzywił łepetynę niczym pies, łamiąc sobie głowę nad znaczeniem frazy „wrzucić na luz”.

- Nieważne. - Maddy potrząsnęła głową. - Po prostu wmieszajcie się w tłum, okej?

Obie jednostki pomocnicze gorliwie skinęły głowami.

- Dobra - powiedziała Maddy, po czym smarknęła w chusteczkę do nosa. - To co, spotykamy się w kawiarni na pierwszym piętrze za, powiedzmy... dwie godziny? - Na jej zmęczonej grypą twarzy pojawił się blady uśmiech. - I pamiętajcie... wszyscy macie się pysznie bawić.

Maddy patrzyła, jak się rozchodzą: Liam udał się w kierunku sali historii naturalnej, w której znajdowały się dioramy dinozaurów; Sal wahała się przez moment, ale wreszcie wybrała trzecie piętro i wystawę poświęconą historii rdzennych Amerykanów, natomiast Bob i Beki przez moment sprawiali wrażenie porzuconych dzieci, potem losowo obrali kierunki i odmaszerowali.

Odprowadziła jednostki wzrokiem, czując niespodziewany przyływ macierzyńskiego instynktu wobec tej parki. Bob wciąż sztywno jak robot przechadzał się wte i wewte z wyrazem koncentracji na skamieniałej twarzy, która przypominała teraz facjatę neandertalczyka niezdolnego ukryć wściekłości. Beki za to poruszała się z wdziękiem baletnicy. Ale pozory mylą - była przecież tak samo śmiercionośną maszyną do zabijania.

„Dziwne. Jakże odmienne ciała można wyhodować z tego samego materiału genetycznego” - pomyślała Maddy. Pod czaszkami obu jednostek zainstalowano ten sam system sztucznej inteligencji, a mimo to ich doświadczenia i wspomnienia były na tyle różne, że umożliwiły wyewoluowanie dwóch niezależnych form inteligencji. Pewnie tak wygląda bycie rodzicem. Mamusia Maddy patrzyła przecież, jak jednostki pomocnicze powoli „dorastają”, by z czasem stać się dwoma niezależnymi bytami.

Patrzyła, jak pogrążona w myślach Beki spokojnym krokiem zmierza w dół korytarza, od czasu do czasu zatrzymując się, aby uważniej przyjrzeć się jakiemuś eksponatowi.

„Naprawdę nie masz pojęcia, jak ważna jesteś... prawda, Beki?”.

W silikonowym mózgu kobiecej jednostki pomocniczej, na małej partycji wydzielonej w miniaturowym twardym dysku, znajdowały się pewne dane zawierające sekret. Podczas ostatniej przygody znaleźli średniowieczny rękopis - Świętego Graala - w którym znajdowała się zaszyfrowana tajemnica z czasów Chrystusa. Beki poznała kryjące się w manuskrypcie tajemne przesłanie, ale jak na złość rękopis zawierał protokół uniemożliwiający wyjawienie od-kodowanej wiadomości osobom trzecim. Właśnie dlatego cała ta Wielka Tajemnica spoczywała teraz szczelnie zamknięta na partycji w silikonowym mózgu jednostki.

Maddy nie raz wypytywała jednostkę, czego się dowiedziała, ale biedna Beki nie mogła jej pomóc; ona również nie posiadała dostępu do tej części swojego umysłu. Wiedziała tylko, że kiedyś „odpowiedni warunek” zostanie zrealizowany, a prawda ujrzy światło dzienne.

Maddy zaś wiedziała jedno: poznanie tajemnicy, jaka by ona nie była, nie przyniesie nic dobrego. Wręcz przeciwnie. A wszystko przez to konkretne słowo.

„Pandora”.

Sekrety i kłamstwa. Nienawidziła ich. Z sekretów nigdy nie wynika nic dobrego. Przynoszą tylko destrukcję. Tak jak w przypadku tajemnicy, którą musiała skrywać przed Liamem i Sal... w szczególności przed Liamem.

On umiera. Podróżowanie w czasie powoli go zabija. Każda wyprawa przez portal powoduje rozkładanie się komórek w jego ciele, co postarza go brutalniej i bardziej wyniszczająco niż pole siłowe, które otacza biuro terenowe w starym mostowym łuku i utrzymuje ich oddział wewnątrz dwudniowej próżni czasoprzestrzennej w dwa tysiące pierwszym roku.

Westchnęła. Nawet w ich wiecznym, dwudniowym świecie, w bańce czasowej wypełnionej tymi samymi samochodami i pieszymi, tymi samymi żółtymi taksówkami przejeżdżającymi obok wylotu ich bocznej uliczki zawsze o tej samej porze... nawet w tej

wiecznej zmarzlinie zapętlonych dni czas płynie szybko i nieubłaganie. Ona już to zauważyła... pewnie Sal i Liam też to spostrzegli, choć z żadnym z nich o tym nie rozmawiała.

„Wszyscy się starzejemy”.

Odczuwała to bardzo subtelnie. Nie widać było objawów, jeszcze nie, ale czuła to. Co jakiś czas uważnie przeglądała się w zawieszonym w toalecie lustrze. Analizowała odbicie swojej twarzy w poszukiwaniu pierwszych, niewyraźnych śladów zmarszczek. Na szczęście, ku swojej uldze, nic jeszcze nie dostrzegała.

Może Sal ociupinkę urosła. W końcu jeśli zsumuje się wszystkie dni spędzone w łuku, wyjdzie im - zaraz, ile? - pięć miesięcy?

To już tak długo?

Przez pięć miesięcy Sal urosła kilka dodatkowych centymetrów Normalne u trzynastolatki. Być może dlatego, że była najmłodsza, destrukcyjny efekt starzenia wywoływany przez pole translokacyjne otaczające ich bazę oddziaływał na nią w mniejszym stopniu? Być może musi upłynąć więcej czasu, żeby dało się dostrzec efekty gołym okiem?

Ale Liam... biedny, biedny Liam. Na twarzy chłopca dostrzegała już oznaki przyspieszonego procesu starzenia, nawet jeśli on sam ich jeszcze nie zauważał. Albo wolał nie zauważać. Jego szczęka i policzki były mniej zaokrąglone, zrobiły się bardziej pociągłe i szczuplejsze. Wokół oczu - oczu, które zawsze robiły się szerokie jak spodki, gdy Irlandczyk szczerze się czymś zachwycał lub które mrużył ciałniutko, śmiejąc się z dziwaczności ich pokręconego życia - na bladej skórze wokół oczu, które już teraz widziały dużo więcej, niż można to sobie wymarzyć, Maddy dostrzegła pierwsze, cieniutkie zmarszczki starości. Te same ryski zamienią się kiedyś w oklapłe fałdy pomarszczonej skóry na sędziwej twarzy Foster'a.

„Tak, kolejny cholerny sekret”.

Liam i staruszek, który ich zwerbował okażą się jedną i tą samą osobą. To właśnie zdradził jej Foster. Nie miała pojęcia, jak to w ogóle możliwe. Czy Foster to wersja Liama z dalekiej przyszłości? Jego starszy odpowiednik? A może osoba z równoległej osi czasu?

O Boże, aż jej się w głowie zakręciło od tego myślenia.

ROZDZIAŁ 3

Nowy Orlean rok 1831

Abraham Lincoln rzucił gniewne spojrzenie kapitanowi barki.

- Ale... ale... tu nie ma nawet połowy obiecanej zapłaty sir!

Ogorzałą, ukrytą pod czarną jak smoła brodą twarz kapitana wykrzywiły zmarszczki rozbawienia wywołanego świętym oburzeniem młodzieńca. Pod czapką traperską ze spłowiałej czerwonej wełny błysnęły oczy, w końcu mężczyzna wybuchnął śmiechem, szczerząc do młodzieńca tuzin pożółkłych od tytoniu zębów.

- Zbyt leniwy, monsieur. Pożytek z ciebie żaden.

Abraham szeroko rozdziawił usta.

- A niech cię diabli porwą! Pracowałem uczciwie!

- Non... - Wzruszył ramionami. - Leniwyś. Niedobry dla mnie. Gnuśny pracownik.

- No dobrze... posłuchaj mnie... - Wzburzony Abraham zwinął ręce w pięści i zszedł z drewnianego pomostu na podskakujący dziób barki obciążonej furą bobrowych skórek. Kapitan Jacques, niski i krępy człowieczek, z niewzruszonym spokojem patrzył na dużo wyższego tyczkowatego młodzieńca.

- Dostaniesz połowę... ani centa więcej - odrzekł powoli.

Abraham czuł, że jego temperament zaczyna brać górę. Wyciągnął ręce i złapał swoją wielką pięścią za kołnierz kraciastej koszuli małego Francuza.

- Niech cię diabli... należy mi się...

Ale człowieczek był szybszy i sprawniejszy, niż mogła na to wskazywać jego korpulentna sylwetka, zręcznym ruchem silnych ramion wytrącił Abrahama z równowagi, po czym postawił obutą stopę za jego piętą i popchnął pniacza do tyłu. Abraham zamachał ramionami, nie mogąc oprzeć stopy o pokład, aby odzyskać równowagę. Wypadł za burtę barki prosto do Missisipi, po kilku sekundach, kaszląc i krztusząc się, wypłynął na powierzchnię mulis-tej rzeki, żeby usłyszeć, jak reszta załogi na barce, pół tuzina chłopców w zbliżonym do niego wieku, zanosi się niepohamowanym śmiechem.

Jacques wrzasnął na nich, żeby wracali do roboty wrócili więc do przekazywania jeden drugiemu beli bobrowych skórek, które lądowały na brzegu zatłoczonego portu.

Kiedy ociekający wodą i nieprzystający kaszleć Abraham wygramolił się na drewniane bale nabrzeża, jego gorący temperament skutecznie schłodził ziąb wody Odwrócił się do Jacques'a - szerokie ramiona mężczyzny trzęsły się od słabo maskowanej wesołości.

- To niesprawiedliwe, mówię ci! - Odgarnął grzywkę czarnych, przemoczonych włosów z oczu i spojrzał na kapitana. - Na Boga, sir... nawet murzyn dostał większą zapłatę niż ja!

Jacques odwrócił się, by spojrzeć na ciemnoskórego członka załogi i wzruszył ramionami.

- On jest lepszy pracownik niż ty, chłopcze.

Widząc, że uśmiech nie schodzi z pomarszczonej twarzy Francuza, Abraham uświadomił sobie, że nic tym nie zyska.

- Do diabła z tobą! - Splunął. - Oszuście! Ty złodziejski piracki pasożycie! - Stanął na krawędzi drewnianego molo, prostując się z dumą, na jaką pozwalała mu niemal dwumetrowa sylwetka.

- Zatem... zatem znajdę inną pracę!

Brodaty uśmiech kapitana Jacquesa zrobił się jeszcze szerszy.

- Jak sobie chcesz. - Pomachał mu ręką. - Szczęścia dużo, mon ami. Będzie ci potrzebne.

ROZDZIAŁ 4

Nowy Jork rok 2001

Liam powrócił do głównego holu, w którym pysznił się imponujący szkielet brachiozaura. Tak długo wpatrywał się w wygiętą w łuk długą szyję kręgowca, że nawet nie zauważył, jak wokół niego zgromadziła się następna klasa zaaferowanych pierwszoklasistów z pomarańczowymi notatnikami w rękach. Również te dzieciaki, podobnie jak uczniowie z wcześniejszych grup, szeptały różne „o reeety” i „łaaał”, zadzierając szyje, by lepiej przyjrzeć się bestii z okresu kredy.

Nauczyciel, a może przewodnik z muzeum, podawał kluczowe parametry prehistorycznego stwora. Innymi słowy, jak powiedziałyby Maddy, właśnie „uploadował” w dzieciaki fakty.

-...wędrowały po równinach w małych watach składających się z najwyżej kilkunastu...

- Wierutna bzdura - burknął Liam pod nosem.

Mikry chłopiec w okularach o grubych oprawkach i ze ściętymi na jeża włoskami, który stał obok wyprostowany sztywno jak szczotka do sedesu, spojrzał na niego zaintrygowany.

-...ich gruba, zielona skóra, prawdopodobnie tak gruba, jak skóra nosorożca, pomagała im zapewne utrzymać...

- Brązowa - znowu mruknął Liam. - Były brązowe.

Chłopiec delikatnie pociągnął Liama za rękaw koszuli, zmuszając go do spojrzenia w dół. Szepnął coś, ale Liam go nie dosłyszał. Uklęknął więc obok dziecka.

- Co tam mówisz, mały?

Chłopiec bojaźliwie zerknął na przewodnika, który wciąż przemawiał do zgromadzonych dzieci.

- Pytałem - ponownie wyszeptał chłopiec - czy jest pan panem od dinozaurów?

Liam zaśmiał się delikatnie. Malec pytał, czy jest ekspertem od dinozaurów, paleontologiem. Przez chwilę w zamyśleniu masował szczękę.

- Teraz... już tak, chyba można mnie tak nazwać - wyszeptał cichutko, wskazując kościaną konstrukcję nad ich głowami. - Widziałem te istoty, jak jeszcze miały skórę na kościach. Wierz mi, na pewno nie były zielone.

Oczy chłopca, ukryte za zaparowanymi szklami okularów, zrobiły się okrągłe jak brzoskwinie.

- Pan... pan naprawdę widział dinozaury?

Liam skinął głową, jego twarz nagle przybrała bardzo poważny wyraz.

- Jasne. Wybrałem się w podróż wehikułem czasu, nie inaczej. Widziałem różne gatunki dinozaurów... tego potwora też. - Trącił nos chłopca swoim wskazującym palcem. - Ale to supertajna informacja. Rozumiemy się, młody człowieku?

Chłopiec tak energicznie pokiwał głową, że okulary niemal spadły mu z twarzy.

- Zdradzę ci coś jeszcze... widzieliśmy je w dużych stadach. Setki tych stworów razem, w jednym miejscu. Niesamowity widok, w rzeczy samej. - Mrugnął do dzieciaka. - Wcale nie wędrowały w małych watahach. Banialuki opowiada ten nauczyciel.

- Lał... - wydyszał chłopiec.

- Poza tym, jak mówiłem, były brązowe, jak pył, bo w tamtych czasach nie rosło coś takiego jak dzisiejsza trawa. Były brązowe, żeby kamuflować się na ziemi, a nie na trawie. Rozumiesz?

Chłopiec przytaknął.

- Czy powinienem tak zapisać w moim notatniku, proszę pana? Brązowe?

Liam spojrzał na trzymaną przez chłopca podkładkę do pisania, do której przyczepiono test. Jedno z pytań dotyczyło koloru skóry brachiozaurów.

- Jasne... wpisz „brązowe”.

Chłopiec spochmurniał, zmagając się z poważnym dylematem.

- Ale... ee... mogę nie dostać za to punktu.

- To prawda... może i tak, ale przynajmniej napiszesz prawdę, nie? - Liam wzruszył ramionami.

Poczuł rękę na swoim ramieniu. Nad nimi stanęła Beki, włosy miała spięte w kucyk,

nosiła zwykły czarny sweter z bawełny, który zakrywał wciąż dość widoczne blizny na lewej ręce.

- Liamie, doskonale wiesz, że Maddy tego nie pochwała - upomniała go.

- Ach... a widzisz tę dziewczynę? - szepnął Liam do chłopca. Malec ostrożnie popatrzył na surowe oblicze jednostki. - Ona też widziała dinozaury... jednemu nawet dała fangę nos, nie inaczej. Spłoszyła, skubana, wszystkie zwierzęta.

- Ta osoba nie dysponuje certyfikatem bezpieczeństwa upoważniającym do uzyskania informacji na temat naszych działaniach operacyjnych - powiedziała Beki stanowczym tonem.

- Rekomenduję zakończenie tej rozmowy.

Liam uśmiechnął się.

- Jasne, tak... oczywiście. - Spojrzał na test chłopca. - Brązowa skóra, pamiętasz? - Mrugnął konspiracyjnie i powstał z klęczek. - Co jest, Beki?

- Już pora - odrzekła.

- Huh?

Kiwnęła głową w kierunku zawieszzonego nad wejściem dużego cyfrowego zegara. Zostało kilka minut do jedenastej.

- Pora na kawę.

ROZDZIAŁ 5

Nowy Orlean rok 1831

Abraham Lincoln chybotliwie przemaszerował przez bar, miotając na lewo i prawo przekleństwa, wpadając na stoły i zostawiając za sobą szlak rozlanej whisky, by w końcu wypaść na pogrążoną w przedwiecznym mroku ulicę. Nędzną sumkę, którą zbył go ten krwio pijca, francuski traper, wydał już dziś popołudniu na whisky, która zniknęła w jego gardle.

Pomimo późnej pory w okolicy wciąż panował ruch, z rzędu zacumowanych barek - a raczej zbitych ze związanych bali drewna tratw z prowizoryczną budą pośrodku - robotnicy wyładowywali bele wyprawek i skórek. Po drugiej stronie rzeki dostrzegł kominy kilku parowców, które niecierpliwie wypuszczały chmury dymu prosto w karmazynowe niebo. Kilka pokładów rozświetlały lampy gazowe. W skąpanym w whisky umyśle Abrahama powstał obraz gigantycznych, udekorowanych świeczkami tortów weselnych unoszących się na lśniących wodach Missisipi. Doprawdy, czarowny widok.

Nowy Orlean tętnił życiem, kipiał energią: nawet o tej porze, pomimo powlekających

popołudniowe niebo szarości, które zwiastowały rychłe nadejście wieczoru, a później nocy. W New Salem o tej porze płonęły paleniska, a grube drewniane odrzwia ryglowano na noc.

Ale chciał być właśnie tutaj. Musiał być właśnie tutaj. Taki jak on młody człowiek o chłonnym i chryżym umyśle mógł dorobić się fortuny w zalewie wszystkich tych... tych... możliwości. To świetne słowo - nawet powietrze w Nowym Orleanie pachniało nowymi możliwościami. Człek bystry, myślący może na tych portowych uliczkach zbić prawdziwe kokosy. Abraham wiedział, że jego instynkt i inteligencja pozwolą mu zdobyć bogactwo. Bogactwo, o jakim nawet nie śmiałyby marzyć chłopak z zapadłej dziury. Potrzebował tylko tej pierwszej, małej szansy, by rozwinąć skrzydła. Musi zdobyć pieniądze na rozwój pierwszego przedsiębiorstwa. Co nie oznacza wcale, że wie, na czym zrobi swój pierwszy złoty interes. Zwłaszcza że zdążył już splukać się do cna po tej popołudniowej popijawie. Póki co, nie jest więc wcale lepszy od szeregu moczymord zataczających się w te i we w te po zatłoczonej ulicy, oświetlanej szarzącym światłem popołudnia: od wszelkiej maści pijaniutkich traperów i pionierów odzianych w obszarpane jelenie skóry czy pary Paunisów - nienawykłych do wody ognistej, przekłetej trucizny białych twarzy - którzy leżeli rozciągnięci i nieprzytomni wśród stert worków ze zbożem. To właśnie byli dziś bracia Abrahama, lawirującego pomiędzy przedsiębiorcami w cylindrach, wypomadowanymi damami w szalach i czepkach a niewolnikami o posępnych obliczach, którzy szli kilka metrów za państwem, w milczeniu taszcząc ich bagaże i własność.

„Któregoś pięknego dnia będę takim bogaczem” - dumiał w pijackim widzie. - „Gentlemanem. Nieprzyzwoicie zamożnym, odnoszącym sukcesy przedsiębiorcą. Pewnego dnia może nawet zostanę politykiem”. - Na myśl o takiej perspektywie wyszczerzył zęby jak głupiec, po czym zszedł z drewnianego chodnika na piach zatłoczonej ulicy poprzecinanej głębokimi koleinami, wyłobionymi przez koła ciężko obciążonych wozów, sunących obok niego niemal nieprzerwanym orszakiem.

„Kiedyś może nawet zostanę prezydentem”.

Odbiło mu się: kilka głów po obu stronach ulicy odwróciło się, by odszukać źródło długiego i potężnego beknięcia. Ku satysfakcji Abrahama, okazało się ono tak donośne, że dama w koronkowym czepku aż krzyknęła z odrazą. Było tak głośnie, że nie usłyszał ani słowo - nawet powietrze w Nowym Orleanie pachniało nowymi możliwościami. Człek bystry, myślący może na tych portowych uliczkach zbić prawdziwe kokosy. Abraham wiedział, że jego instynkt i inteligencja pozwolą mu zdobyć bogactwo. Bogactwo, o jakim nawet nie śmiałyby marzyć chłopak z zapadłej dziury. Potrzebował tylko tej pierwszej, małej szansy, by rozwinąć skrzydła. Musi zdobyć pieniądze na rozwój pierwszego przedsiębiorstwa. Co nie

oznacza wcale, że wie, na czym zrobi swój pierwszy złoty interes. Zwłaszcza że zdążył już splukać się do cna po tej popołudniowej popijawie. Póki co, nie jest więc wcale lepszy od szeregu moczymord zataczających się w te i we w te po zatłoczonej ulicy, oświecanej szarzącym światłem popołudnia: od wszelkiej maści pijaniutkich traperów i pionierów odzianych w obszarpane jelenie skóry czy pary Paunisów - nienawykłych do wody ognistej, przekłętej trucizny białych twarzy - którzy leżeli rozciągnięci i nieprzytomni wśród stert worków ze zbożem. To właśnie byli dziś bracia Abrahama, lawirującego pomiędzy przedsiębiorcami w cylindrach, wypomadowanymi damami w szalach i czepkach a niewolnikami o posępnych obliczach, którzy szli kilka metrów za państwem, w milczeniu taszcząc ich bagaże i własność.

„Któregoś pięknego dnia będę takim bogaczem” - dumiał w pijackim widzie. - „Gentlemanem. Nieprzyzwoicie zamożnym, odnoszącym sukcesy przedsiębiorcą. Pewnego dnia może nawet zostanę politykiem”. - Na myśl o takiej perspektywie wyszczerzył zęby jak głupiec, po czym zszedł z drewnianego chodnika na piach zatłoczonej ulicy poprzecinanej głębokimi koleinami, wyżłobionymi przez koła ciężko obciążonych wozów, sunących obok niego niemal nieprzerwanym orszakiem.

„Kiedyś może nawet zostanę prezydentem”.

Odbiło mu się: kilka głów po obu stronach ulicy odwróciło się, by odszukać źródło długiego i potężnego beknięcia. Ku satysfakcji Abrahama, okazało się ono tak donośne, że dama w koronkowym czepku aż krzyknęła z odrazą. Było tak głośnie, że nie usłyszał ani zbliżającego się grzmotu kopyt, ani stukotu beczek z piwem staczających się z paki pozbawionego woźnicy furgonu, ani krzyku innej kobiety, która najszybciej zrozumiała, co się za chwilę wydarzy.

Zamroczone alkoholem umysł Abrahama zdążył jeszcze tylko przetrwać jedną, ostatnią myśl, gdy olbrzymi wóz dostawczy, pędzący wzdłuż Powder Street tuż za grupką przerażonych koni z szeroko rozwartymi ślepiami, wyrósł tuż za jego plecami. Niestety, jego ostatnia myśl nie miała ani szlachetnego, ani głębokiego, ani proroczego zabarwienia. Przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych skonstatował prostacko:

„A niech mnie... prawdziwie zacne to było beknięcie”.

ROZDZIAŁ 6

Nowy Jork rok 2001

- Jak wygląda Foster? - Maddy powtórzyła pytanie Sal.

- Nom - przytaknęła Hinduska. - Naprawdę umiera?

- Foster nie zmienił się ani na jotę od dnia, kiedy nas opuścił. - Maddy ugryzła kawałek bajgla i nie przestając przeżuwać, ciągnęła. - Nie postarzał się nawet o dzień. Co by się zresztą zgadzało... bo dla niego, za każdym razem, gdy idę się z nim zobaczyć w Central Parku, jest dokładnie ten sam dzień, w którym nas opuścił. - Skończyła przeżuwać i pociągnęła duży łyk kawy. - To raczej my wyglądamy dla niego inaczej. Nie odwrotnie.

- Racja - zgodził się Liam. - Jesteśmy tu razem już jakiś czas... wydawać by się mogło, że upłynęła cała wieczność.

- Siedemdziesiąt pięć cykli - sprostował Bob. - Sto czterdzieści dziewięć dni.

- Pięć miesięcy - dodała Sal, podnosząc głowę, by spojrzeć na Liama i Maddy. - Jahulla! Czyli mam już czternaście lat. Moje urodziny miały być za cztery miesiące licząc od dnia... dnia mojej śmierci. - Nie musiała tego wyjaśniać. Wszyscy doskonale znali swoje opowieści rekrutacyjne.

- Przegapiłam swoje czternaste urodziny - dodała cicho.

Beki przekrzywiła głowę i przywołała na twarz adekwatny do okazji uśmiech, szczery jak wygaszacz ekranu.

- Wszystkiego najlepszego, Sal Vikram.

ZABRZU EJ

Liam odłożył czekoladowego muffina, którego właśnie obrał z papierka.

- Zaraz, zaraz, ja przegapiłem swoje siedemnaste urodziny! - Złapał Sal za rękę i mocno nią potrząsnął. - No to sto lat z okazji urodzin dla nas obojga, nie inaczej.

- Tak - wymamrotała grobowym tonem - podwójne sto lat.

- Ach - westchnęła Maddy - to przecież radosna okazja, a nie przeklęta stypa! - Odwróciła się do Sal. - Po drodze do domu kupimy tort i świece, żebyście je zdmuchnęli, a potem... po powrocie zagramy w kilka gier urodzinowych. Co wy na to?

Sal skinęła głową. Na jej twarz powrócił cień uśmiechu.

- Bardzo chętnie.

- Gier urodzinowych - powiedział w zamyśle Bob. - Proszę, wyjaśnij mi, jak subkategoryzować termin „gry urodzinowe” w odniesieniu do „gier”?

Maddy wzruszyła ramionami.

- To tylko głupie gry, w które nie gra się po to, żeby wygrać, ale, żeby wspólnie się przy nich pośmiać. Na przykład, nie wiem... kalambury, Zgadnij kto albo Twister. Im bardziej coś spartaczysz, tym śmieszniej.

Jednostki pomocnicze popatrzyły po sobie, zastanawiając się, jaki to w ogóle ma sens. Maddy zaśmiała się.

- Twister, o kurcze! Dopiero jak zagracie w Twistera, poczujecie, że życie, wy dwa mięsne roboty. - Sal i Liam uraczyli ją tym samym zagubionym spojrzeniem. - Nie no, poważnie? Wy też o tym nie słyszeliście?

- To takie szachy? - Liam przygryzł wargę.

- Co? Nie!

- Fidchell? Brandub?

- Ha? W życiu o tym nie słyszałam. Nie, to trochę jak...

- Tafl Macrae?

- Nie... nic z tych rzeczy. To jak...

- Pog Ma Gwilly?

- Zamkniesz się na sekundę? - warknęła Maddy z irytacją. - Próbuję ci wytłumaczyć. - Nagle podejrzliwie zmrużyła oczy - Czekaj, Pog Ma Gwilly? Właśnie to sobie zmyśliłeś, co? Dobrodusznie uśmiechający się do tej pory Liam bezczelnie wyszczerzył zęby.

Już miała sięgnąć przez mały, okrągły stół i żartobliwie wytarmościć go za ucho, kiedy zauważyła, że Sal zdecydowanie zbyt uważnie wpatruje się w kawiarniane menu z gorącymi przekąskami.

- Sal? Coś się stało?

Dziewczyna w skupieniu zmarszczyła czoło.

- Aż tak jesteś głodna? - Liam szturchnął ją w ramię.

Powoli potrząsnęła głową.

- Trzydzieści siedem pozycji w menu przekąsek...

- Mhm... super. - Liam spojrział na Maddy, która wzruszyła ramionami. - Oke-e-j.

- Tyle było przed minutą. Teraz - ciągnęła niezrażona Sal - jest tylko trzydzieści sześć.

- Podniosła na nich wzrok. - Coś właśnie zniknęło z menu! Dokładnie kilka sekund temu.

Liam spojrział na kartę, którą wcześniej przeglądał.

- Hej... czekaj, już go tu nie ma.

- Czego nie ma? - Teraz Maddy nachylała się nad kartą.

- Chciałem go zamówić... ale... ale wygląda na to, że zniknął!

Sal знаła menu na pamięć, niemal słowo po słowie.

- Burger Lincolna.

- Właśnie!

- „Pasztecik z wołowiną - ciągnęła z zamkniętymi oczami, recytując z pamięci opis,

który wyparował z karty - i plastrem sera obłany gęstym Sosem Patriotów z Frytkami Wolności po boku”.

- No przecież, to chciałem zamówić!

- Sal? - Maddy dotknęła jej ręki. - Poczułaś falę czasu?

- Ja hmm... tak mi się zdaje - przytaknęła. - Nie byłem pewna. Pomyślałam, że może tylko źle się poczułam albo mnie zemdliło.

Nie jadłam w końcu śniadania. Ale później zobaczyłam, że burger zniknął.

Przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu, wreszcie Maddy przygryzła wargę i odezwała się:

- Wracamy do domu. Trzeba to sprawdzić.

Minutę później cała piątka biegła przez salę poświęconą Historii Ameryki Północnej. Przepychali się przez ciżbę sięgających ich łokci, hałaśliwych dzieciaków, które gaworzyły z podekscytowaniem, pędząc ze swoimi notatnikami pod pachą od jednej gabloty wystawowej do drugiej, by zwyciężyć w polowaniu na fakty.

- Może weźmiemy jedną z tych żółtych taksówek! - krzyknął Liam, jego szczęka wciąż jeszcze usilnie pracowała nad przegryzieniem ostatnich kawałków muffina skąpanego w potrójnej czekoladzie. - Już mnie kłuje w biodrze!

- Metro - rzuciła Maddy przez ramię - szybko, szybko. Chodźcie.

Właśnie zbliżali się do końca długiej szklanej gabloty z manekinami w mundurach z czasów wojny secesyjnej, kiedy niespodziewanie w dół korytarza popłynął donośny głos Boba.

- Uwaga! Maddy! STOP!

Dziewczyna stanęła jak wryta i obejrzała się za siebie, podobnie jak wszystkie co do jednego dzieci, które zamarły bez słowa w samym środku swojego polowania. Oczy zebranych powędrowały ku zwalistej sylwetce Boba. Jednostka spokojnie wskazała Sal, która stała obok szklanej gabloty, patrząc na coś znajdującego się pomiędzy manekinami przyodzianymi w kostiumy z czasów wojny secesyjnej.

Maddy szybko prześlizgnęła się między zdezorientowanymi dzieciakami i minęła nauczyciela z podstawówki, który patrzył na nich ze zdziwioną miną.

- Co jest, Sal? - spytała, stając tuż obok niej. - Na co patrzysz?

Sal powoli wskazała ręką tylną ściankę gabloty, obraz zawieszony pomiędzy manekinami, z których jednego przystrojono w zapinany na guziki i obsyty galonami granatowy mundur generała Unii, a drugi w równie reprezentacyjny, ale szary, uniform.

- To też się zmieniło - mruknęła.

Maddy spojrzała na twarz na obrazie... sławnym obrazie, który kojarzyło każde dziecko w Stanach Zjednoczonych. Nie było już na nim tej charakterystycznej wychudłej twarzy, czarnych oczu ukrytych pod złowrogo zmarszczonymi brwiami, szpiczastej bródki. Zamiast tego, na obrazie widniał wizerunek niepozornego łysiejącego i tęgiego mężczyzny ze szpakowatym wąsem i rumianym, bulwiastym nosem. Pod obrazem znajdowała się plakietka: PREZYDENT JOHN BELL 1861-1865.

- O mój Boże! - wydukała. - A gdzie się podział prezydent Lincoln?

ROZDZIAŁ 7

Nowy Jork rok 2001

Powrót do bazy zajął im niecałe pół godziny, wciąż jeszcze dyszeli i sapali po biegu ze stacji metra Marcy Avenue. Liam stękał z powodu obolałego biodra.

- Nie powinienem był tak wsuwać tego muffina - jęknął żałośnie, najwyraźniej sam do siebie.

Na ekranie przed nimi komputer-Bob, system sztucznej inteligencji zamontowany w biurze terenowym, kompilował już dane pobrane z sieci internetowej.

- Zniknął z historii - powiedziała Sal.

- A już na pewno z historii wojny secesyjnej - odrzekła Maddy, przebiegając wzrokiem streszczenie kompilowane, fakt po fakcie, na ekranie monitora. - Nic tu nie ma, zupełnie żadnych informacji na jego temat.

- Ten Lincoln to był chyba dość ważny, co?

Maddy odwróciła się do Liama.

- Nie no, co ty, był tylko najważniejszą postacią wojny. Najważniejszą, do cholery. Tylko dzięki niemu Unia się nie rozpadła. - Zauważyła, że jedna z jego brwi wystrzeliła do góry, co znaczyło, że nie ma o niczym pojęcia i chciałby, żeby mu szczegółowo o tym opowiedziała. - Daj spokój, ostatnio sporo czytałeś, nie? Głównie podręczniki historyczne. - Zerknęła na wysoki stos książek zalegających obok jego łóżka. - Powiedz mi, proszę, że wiesz, o czym mówię.

Liam zmarszczył czoło, po czym się uśmiechnął.

- To Północ... ci goście w granatowych mundurach.

- Zgadza się. Tak, Abraham Lincoln był prezydentem - westchnęła - tych „gości w granatowych mundurach”, których nazywa się również Północą lub Unią. Sęk w tym, że to on ich zjednoczył, zagrzewał do boju, poprowadził do zwycięstwa... a tu nagle wypadł z historii

wojny secesyjnej!

- No to zapowiada się spora fala - dorzuciła Sal, obgryzając w zamyśleniu paznokcie.

- M-hm... za pięć minut możemy znaleźć się w świecie, w którym wygrali konfederaci. - Zerknęła kątem oka na Liama. - „Ci goście w szarych mundurach”.

Na ekranie pojawiło się okno dialogowe komputera-Boba.

> Maddy, zakończyłem analizę pozyskanych danych na temat wojny secesyjnej, nie znalazłem żadnych wzmianek o Abrahamie Lincolnie w okresie od tysiąc osiemset sześćdziesiątego pierwszego do tysiąc osiemset sześćdziesiątego piątego roku.

- Może zmarł - zauważyła Sal. - No wiecie... przed swoim czasem?

- Hmm... to całkiem realne. Okej, w takim razie poszukaj wcześniej datowanych informacji, Bob. - Maddy uniosła okulary i przetarła oczy, podrażnione i zaczerwienione z przeziębienia. - Możemy przecież pobrać dane na jego temat z naszej wewnętrznej bazy danych?

> Oczywiście.

- Kiedy się urodził?

> Dwunastego lutego tysiąc osiemset dziewiątego roku w hrabstwie Hardin w stanie Kentucky.

- Mamy jego pełną, szczegółową biografię? Całą jego historię od dzieciństwa aż do objęcia urzędu prezydenta?

> Tak, Maddy. Mam pliki ze szczegółowymi danymi.

Z liceum przypominała sobie mgliście garść informacji na temat Lincolna. Przez semestr przerabiali historię wojny secesyjnej i omawiali jego postać. Głównie nuda, ale zrobiło się ciekawiej, kiedy kraj podzieliła kwestia niewolnictwa i wybuchła wojna.

- Trochę podróżował, jeśli dobrze pamiętam. Zgadza się, Bob?

> Potwierdzam. Jego rodzina przeprowadzała się kilka razy. Jako młodzieniec opuścił dom i”.

Machnęła ręką do kamery, żeby mu przerwać.

- Dobrze. Okej, tak zrobimy. - Przycisnęła okulary do nosa. - Przeszukaj wszystkie zewnętrzne bazy danych od dnia jego narodzin. Podczas wyszukiwania informacji skup się na miastach, w jakich mieszkał... Sprawdź Kentucky i wszystkie miściny, które odwiedził. Przekop się przez archiwalne egzemplarze gazet, wiele starych numerów przetworzono do wersji cyfrowej.

- Czekajcie. - Liam usiadł na jednym z krzeseł biurowych, zapał się piętami o betonową podłogę i przysunął się do Maddy, ignorując skrzypienie małych kółek. - Świat na

zewnątrz ma teraz gdzieś pana Lincolna. Jest panem Nikt. Trafiliśmy na oś czasu, na której nigdy nie stał się sławnym prezydentem. Nie odnajdziemy na temat tego jegomościa żadnych szczegółowych biografii ani podobnych informacji.

- Racja. - Maddy zacisnęła usta. - Czytałam, że był dość... sama nie wiem... ambitny. Jego ojciec był niewykształconym człowiekiem, a cała rodzina wiodła skromny żywot w jakiejś drewnianej chałupie, jeśli dobrze pamiętam. Nienawidził tego wszystkiego. Chciał od życia czegoś więcej. Macie rację, coś musiało się wydarzyć, historia uległa zmianie, a on nigdy nie został prezydentem, ale może udało mu się awansować na lokalnego burmistrza, może został bogatym przedsiębiorcą? Może zostawił swój ślad w lokalnej skali.

Spojrzała na Boba i Beki z nadzieją na słowo wsparcia, lecz obie jednostki mrugały jedynie w milczeniu: łączyły się z komputerem-Bobem i pomagały systemowi w przekopywaniu się przez bazy danych.

- Jeśli stał się gdzieś lokalną grubą rybą - ciągnęła - może otworzył jakieś... nie wiem... centrum handlowe...?

- Centrum handlowe?

- Ach... przecież wiecie, o co mi chodzi - placówkę handlową.

- Z poirytowaniem potrząsnęła głową. - Albo wyłożył forszę na skrzydło szpitalne lub ufundował przytułek dla sierot... może wygłosił krótkie przemówienie z okazji miejscowych obchodów dnia niepodległości? Przecież... we wszystkich tych miejscach wychodziła jakaś mała, dwuarkuszowa gazetka. A dzisiaj wszystkie tego typu materiały są skanowane i udostępniane w sieci. - Odwróciła się do kamerki. - Zrozumiałeś, Bob?

> Tak, Maddy, wyszukiwanie w toku.

- Nadejdą kolejne przesunięcia? - spytał Liam. - Na moje oko świat bardzo się nie zmienił. Właściwie to nie zmienił się w ogóle. Może ten brakujący burger z wołowiną i inny obraz to pierwsze i ostatnie przesunięcia?

- To niemożliwie, Liamie. To nie koniec. - Potrząsnęła głową.

- Nie można ot tak wyrzucić z historii postaci kalibru Lincolna i oczekiwać, że zmieni się tylko menu z przekąskami. Nadejdą kolejne przesunięcia... - Przerwała w pół zdania. - Sekundę... - Włożyła rękę głęboko do kieszeni dżinsów i zaczęła w niej szperać, po czym wyciągnęła pognieciony zwitek papieru i szybko go rozwinęła. Liam rozpoznał banknot pięciodolarowy.

- Patrzcie! Wciąż tu jest! - powiedziała, obracając banknot, tak aby on i Sal dostrzegli wizerunek Lincolna zerkającego na nich wilkiem. - Tu masz odpowiedź, Liamie - odparła. - Nadejdą kolejne fale... historia mości się dopiero w nowych koleinach i szykuje, żeby

wyrzucić Lincolna z siodła.

„Mości się?” - Maddy uświadomiła sobie, że zabrzmiało to dziwnie ludzko. Zupełnie jakby czas był jakimś gderliwym, podstarzałym profesorem, który sam decyduje, kiedy przysiądzie fałdów i napisze nowy podręcznik historii.

- Znowu ktoś próbuje wszystko zepsuć - powiedziała Sal. - Mylę się?

- Może kolejny Kramer? - podsunął Liam.

- Nie musi to być od razu Kramer. - Maddy wzruszyła ramionami.

Niedługo po rekrutacji do Agencji rzucono ich na głęboką wodę, musieli walczyć z wariatem z przyszłości, który wpadł na genialny, we własnym mniemaniu, pomysł udzielenia pomocy nazistom w wygraniu drugiej wojny światowej.

- Ale jeśli przeznaczenie Lincolna uległo zmianie - powiedział Liam - mamy do czynienia z przesuniętą historią, a to oznacza, że...

- Wiem. - Maddy pociągnęła nosem. - Wiem, co to znaczy: że jakiś idiota najwyraźniej igra z podróżowaniem w czasie. - Wydęła policzki. - Dobrze, oto więc nasz plan... prędzej czy później wpadniemy na jego trop. Postać ambitna jak Lincoln w taki czy inny sposób odbije na historii piętno. Może i nie został prezydentem, ale człowiek jego kalibru bez wątpienia da się poznać światu. Jeśli znajdziemy Lincolna, dowiemy się może, kto wyruszył za nim do przeszłości i zmienił jego przeznaczenie. - Spojrzała na Liama i zdobyła się na uśmiech. Wyszło jej całkiem niezłe, biorąc pod uwagę, że wyglądała jak chodząca śmierć. - A wtedy ten popaprany podróżnik w czasie będzie miał przechlapane.

ROZDZIAŁ 8

Nowy Jork rok 2001

Na ekranie zamigotało okno dialogowe komputera-Boba, a Beki i Bob wyszli z głębokiego transu dopiero po upływie trzech godzin. W międzyczasie Maddy zdążyła zasnąć.

Liam pozwolił zmizemialej koleżance odpoczywać jeszcze dobre pół godziny, ale wreszcie podszedł do fotela i delikatnie nią potrząsnął, aby ją zbudzić.

Maddy zaczerwienionymi oczami spojrzała na chłopca, jej ręce poruszyły się niespokojnie w poszukiwaniu okularów.

- Skończyli?

- Tak.

- Gdzie Sal?

- Zwiaduje. Zabrała ze sobą Boba.

„Zwiaduje”. - Maddy doskonale wiedziała, co Liam ma na myśli. Sal siedziała teraz gdzieś na Times Square, wypatrując subtelnych rys w czasoprzestrzeni sygnalizujących nadpłynięcie fali czasu.

- Są kolejne przesunięcia? - spytała, prostując się i ociężale zwieszając nogi na ziemię.

- Ani ja, ani Sal nic nie zauważyliśmy - odrzekł.

Powłócząc nogami, podeszła do biurka z komputerami. Jeszcze nigdy nie czuła się tak tragicznie, o ile to w ogóle możliwe, nawet pomimo krótkiej drzemki. Przcisnęła się obok Beki stojącej sztywno jak wartownik. Powieki klona migotały i łopotały niczym skrzydełka kolibra.

Opadła na biurko dokładnie w momencie, gdy usłyszała rozbrzmiewający echem gwizd czajnika. Liam - niech Bóg go pobłogosławi - przygotowywał właśnie jej prywatny napój magiczny: czarną, mocną i nieprzyzwoicie przesłodzoną kawę.

- Hej, Bob, masz coś dla mnie?

> Witaj, Maddy. Skompilowaliśmy wszystkie wyniki wyszukiwania dla zapytania „Abraham Lincoln” począwszy od dwunastego lutego tysiąc osiemset dziewiątego roku. Łącznie jest 7376 trafień z tym nazwiskiem. Większość dotyczy ludzi o tym samym imieniu i nazwisku.

- Teraz odfiltruj wydarzenia z miejsc, w których podobno mieszkał Lincoln.

> Potwierdzam. Już to zrobiłem. Wyróżniłem 109 pozycji pasujących do podanych lokalizacji. 1809 - hrabstwo Hardin w Kentucky. 1816 - hrabstwo Perry w Indianie.

1830 - hrabstwo Macon w Illinois. 1831 - hrabstwo Coles w Illinois. 1831 - New Salem i hrabstwo Sagemon w Illinois. 1831 - Nowy Orlean. 1836 - Springfield w Kentucky. 1846 - Waszyngton. 1848 - Springfield w stanie Kentucky. 1860 - Waszyngton.

- Świetnie... kilka z tych trafień musi dotyczyć jego. Inne dotyczą pewnie ludzi o tym samym imieniu i nazwisku.

> Potwierdzam. Jest jedna pozycja, która w toku analizy okazała się szczególnie istotna. Czy chcesz ją zobaczyć?

- Tak, pokaż.

Na ekranie jednego z monitorów po prawej nagle zatrzymała się bezpośrednia relacja z giełdy na Wall Street, a w jej miejscu pojawił się sepiowy skan starej gazety. Dostrzegła nagłówek: „Nowoor-leańska pszczoła. Środa, 6 kwietnia 1831 roku”.

- Na który fragment mam patrzeć?

Liam postawił parujący kubek na biurku i rozsiadł się na krześle obok.

- Dzięki - wydyszała.

> Zrobię zbliżenie.

Komputer-Bob powiększył krótki artykuł znajdujący się u dołu zeskanowanej strony. Niecałe pół tuzina zdań zapisanych małym drukiem, niemal tak niewyraźnym jak znak wodny. Powiększona strona składała się z koszmarne wielkich pikseli, czytanie słów przypominało układanie klocków Lego.

- Kurcze, możesz coś zrobić z tym obrazem? - Maddy zmarszczyła nos, mrużąc oczy.
- Toż to pikselowy śmietnik.

> Chwileczkę. Uśrednię wielkość pikseli i zastosuję analizę znaków. Margines błędu będzie bardzo duży, ale spróbuję wszystko kontekstualnie zinterpretować.

- Po prostu zrób, co możesz, Bob - odrzekła, po czym uniosła chusteczkę i głośno wydmuchała w nią nos. - Jasna cholera, nienawidzę glutów - wymamrotała.

Zeskanowany obraz stał się niewyraźny - miękł i twardniał, jakby kinooperator właśnie eksperymentował z soczewkami. Potem w lewym górnym rogu zdjęcia pojawił się mały zielony kwadrat. Kompu-ter-Bob ustawiał kursor na wydzielonym obszarze i analizował go, po czym przesunął kursor w prawo i podświetlał kolejny obszar. Centymetr po centymetrze kursor jechał w prawą stronę, następnie zjeżdżał w dół do kolejnego rzędu i znowu rozpoczynała się analiza. Na innym ekranie otworzył się dokument, a na nim zaczęły wyskakiwać słowa.

Liam nachylił się i zaczął odczytywać je na głos.

Wczoraj na Powder Street wydarzył się kolejny w ciągu kilku tygodni śmiertelny wypadek. Wóz dostawczy z gorzelni braci Costen wpadł na młodego robotnika portowego i rozjechał go, dosłownie, na miazgę. Zmasakrowane ciało zidentyfikował kapitan barki, rozpoznając w nim członka swojej załogi, którego zwolnił tego samego popołudnia: ofiara to Abraham Lincoln z New Salem.

Artykuł był dużo dłuższy, redaktor krytykował władze miasta i narzekał na rosnący na nabrzeżu ruch, potem apelował o zaprowadzenie porządku na drogach, bo chaos związany z poruszaniem się pieszych i wozów po tych samych ulicach, jak widać, przynosi tragiczne konsekwencje.

- Myślisz, że...? - spytał Liam, spoglądając uważnie na Maddy.

Ponownie smarknęła w chusteczkę, strzępki papieru opadły na biurko.

- Myślem, że to nasz zwycięzca, Liabie - wydyszała, ledwie łapiąc oddech i gwizdząc przez zapchany nos jak na rozstrojonym flecie. - Ma bewno.

Popołudnie. Times Square. Sal przysiadła na swojej ulubionej ławce, ochlapanej guzkami gołębich bobków i różowych gum do żucia. Bob usiadł tuż obok, zajmując

przestrzeń, na której swobodnie zmieściłyby się dwie osoby o przeciętnych gabarytach.

- A jednak zmieniłeś się... Bob. Zmieniłeś się od czasu swoich „narodzin”. Odwróciła się do niego. - Czujesz tam różnicę... w swoim umyśle? - spytała, dotykając palcem szczeniastej głowy klona. Maddy namawiała, żeby któregoś dnia zgolić go na łyso. Szczerze mówiąc, to miała rację: Bob zaczynał wyglądać komicznie. Jego włosy, zmierzwiłone i czarne, powinny, zgodnie z prawem grawitacji, naturalnie opadać, ale one postanowiły sterczeć na łepetynie klona niczym wielki, gąbczasty muffin. Nie ma szans, żeby wyruszał na misję, wyglądając jak ponad dwumetrowy grzyb.

Bob dobrze przeanalizował zadane przez nią pytanie.

- Zgromadziłem dużą ilość danych sensorycznych, które bez wątpienia zmodyfikowały moje parametry operacyjne. - Spojrzał na nią. - To moje... „wspomnienia”.

- Wspomnienia, co? - Uśmiechnęła się. - Wspomnienia. Chyba... jesteś z nich dumny.

- To mój dziennik misji - odrzekł, przekrzywiając głowę. - Dane eksploatacyjne. To...

- Ty - dokończyła za niego. - To ty. Tylko dzięki nim jesteś tym, kim jesteś. Tak mawiał mój tatko. To doświadczenia, przeżyte chwile nas kształtują. - Wyciągnęła rękę i z czułością pogłaskała jego dłoń. - Tak bardzo dojrzałeś, tak bardzo dorosłeś, ty wielki mał-piszonie.

- Bardziej niż... mój system operacyjny?

Skinęła głową.

- Czujesz się z tego powodu dumny? Czujesz się inny? - Wzruszyła ramionami. - Czy ty w ogóle czujesz cokolwiek?

- W mojej skórze umieszczono receptory sensoryczne...

- Nie, mam na myśli twoje serce... emocje. Czy odczuwasz jakieś emocje? Na przykład „strach”, „szczęście”, „smutek”? Czujesz podobne rzeczy?

Przeskanował swoje wspomnienia, przekopując się przez miliardy bajtów z danymi: ulotne obrazy oddziałów szturmowych i gigantyczny statek powietrzny, obozy jenieckie i zamki, a także milion małych interakcji z Liamem O’Connorem.

- Doświadczyłem uczucia... złączenia.

- Złączenia? Masz na myśli... przywiązanie? Do kogo? Do Liama?

- Potwierdzam. To mój dowódca operacyjny.

- A co z nami, ze mną i z Maddy? Lubisz nas?

Pozbawione wyrazu, zimne i szare oczy zapłonęły, jednostka utkwiała w niej wzrok, przerzucając dane w poszukiwaniu odpowiedzi.

- Podobnym uczuciem darzę ciebie i Maddy Carter.

Zamiast odpowiedzieć, Sal przytuliła się do jego ramienia.

- Ty wielka chutiya bakra. - Zastanowiło ją jeszcze jedno. - A Beki?

Zmarszczył brwi. To dopiero trudny orzech do zgryzienia. Zamrugał oczami, próbując ze wszystkich sił znaleźć odpowiedź.

Odezwał się w końcu.

- Jest... częścią mnie. A ja jestem częścią niej.

- Ale lubisz ją? Darzysz ją swoim uczuciem złączenia? Musi być chyba dla ciebie jak siostra?

- Siostra? - Przez kilka chwil analizował tę sugestię. - Jak w rodzeństwie?

- Tak.

- Przeanalizuję to pytanie - odparł. Podejrzewała, że rozgryzanie tego problemu zajmie mu cały dzień. Sal potrząsnęła głową i zachichotała, po czym skuliła się, podparła rękami podbródek i wróciła do obserwowania zmieniającego się świata.

Wtedy to się wydarzyło.

Właśnie gdy tam patrzyła, wprost na jej oczach, logo jednej z sieci fastfoodów zamigotało i się zmieniło. Przez chwilę sądziła, że patrzy na ekran LED, na którym właśnie pojawiła się nowa reklama. Ale nie, był to tylko odrapany, plastikowy szyld wiszący nad szklaną witryną baru szybkiej obsługi. Najpierw napis głosił: SMAŻONY KURCZAK KENTUCKY-STYLE, by po chwili zamienić się w: KURCZAK SMAŻONY NA SZYBKO.

Zakłęła pod nosem, wyciągnęła komórkę i wybrała numer Maddy.

- Co tam? - Amerykanka odebrała po trzecim sygnale.

- Zdaje się, że właśnie widziałam... Nie, jestem pewna, że właśnie widziałam kolejną falę czasu, Maddy Maleńką. Chcesz wiedzieć, co to było?

- Nie trzeba, Sal, nie trzeba. Przed chwilą znaleźliśmy odpowiedź. Abrahama Lincoln stratował wóz w tysiąc osiemset trzydziestym pierwszym roku. Wracajcie tu pędem. Jeśli rzeczywiście widziałas następne przesunięcie, to wielka fala może się rozlać bardzo szybko.

- Okej.

Zatrzasnęła telefon i wepchnęła go do kieszeni.

- Wracamy do domu, Bob. - Trzepnęła go piąstką w ramię. - Pora na kolejną robótkę.

ROZDZIAŁ 9

Nowy Jork rok 2001

- Tym razem mogę jechać?

Maddy uważnie spojrzała na Sal.

- Nie... masz inne zadania.

- Ale ja zawsze tu zostaję... nigdy nie oglądam nic interesującego!

Maddy potrząsnęła głową.

- Ale dlaczego?

- To zbyt niebezpieczne. - Aż skrzywiła się w myśli. Kiepski powód wymyśliła na poczekaniu. Zagrożenie związane z pozostaniem tutaj, w dwa tysiące pierwszym roku, było dokładnie takie samo jak podróż do przeszłości z Liamem. Sal zresztą też doskonale to rozumiała.

- Daj spokój, Maddy, tu jest tak samo niebezpiecznie! Widziałam już tu mutanty, żołnierzy... te dziwne dinozaurowate stwory. - Naprawdę chcesz mi powiedzieć, że tutaj jest bezpiecznie? - Potrząsnęła głową. - To totalna shadd-yah!

Liam i obie jednostki przysłuchiwały się kłótni dziewczyn, wciągając na siebie ubrania.

Maddy ze znużeniem zamknęła oczy. Nie miała teraz najmniejszej ochoty na sprzeczkę. Jak mogła wyjaśnić Sal, że każde przejście przez portal przyspiesza naturalny bieg jej zegara biologicznego o rok albo i pięć lat? Ze bombardowanie tachionowe, nie-zmierzone siły przestrzeni chaosu, wywierają śmiertcionośny wpływ na ciało człowieka; postarzają je, niszczą... by w końcu uśmiercić. Jak mogła jej to wszystko wyjaśnić, skoro kilka metrów dalej stał Liam, nieświadomy, że bardzo szybko - zdecydowanie zbyt szybko - zamienia się w umierającego starca?

Choć z drugiej strony ona i Sal również doświadczały łagodniejszej formy kontaminacji, żyjąc w wiecznie resetującej się bańce otaczającej łuk. Pewnego dnia śmierć upomni się o wszystkich.

Coś podobnego powiedział kiedyś jej kuzyn, Julian: „Wszyscy jesteśmy martwi w momencie narodzin. Różnica polega na tym, że niektórzy z nas docierają tam trochę szybciej”. Proroctwo słowa, niedługo później młodzieniec zniknął pod gruzami północnej wieży World Trade Center.

- Proszę! - błagała Sal. - Ja też chcę zobaczyć kawałek historii!

„Wszyscy jesteśmy martwi...”.

To przynajmniej nie będzie olbrzymi skok. Tylko sto siedemdziesiąt lat. Kroczek raptem, jeśli weźmie się pod uwagę ogrom czasoprzestrzeni. Im krótszy skok, tym mniejsze szkody. Wycieczka do niedzieli sprzed jakiegoś czasu zatrzała ich organizmy tylko odrobinę większą dawką trucizny niż normalne zresetowanie bańki czasowej we wtorek. Westchnęła.

Właściwie dlaczego nie? Życie w łuku, podobne do życia stadka moli, wcale nie jest cudownym snem, który chciałoby się śnić wiecznie. Jedna wycieczka do historii... ta, stosunkowo bezpieczna, wycieczka... Dlaczego nie?

- Niech ci będzie - westchnęła z rezygnacją.

Sal aż krzyknęła z radości i klasnęła w ręce.

W bazie zostały ubrania, które mieli na sobie podczas podróży do „punktu zrzutu” w San Francisco w tysiąc dziewięćset szóstym roku. W miejscu tym zgromadzono zapasy embrionów jednostek pomocniczych. Zarodki umieszczono w skrytce banku, który miał niebawem obrócić się w pył po niesławnym trzęsieniu ziemi w Kalifornii. Po drobnych przeróbkach i odrzuceniu okryć głowy - moda na kapelusze zmieniała się wówczas o wiele szybciej niż na inne części garderoby - ich stroje wyglądały jak ubrania z lat trzydziestych dziewiętnastego wieku. Gorset i sukienka Maddy były co prawda o rozmiar za duże na Sal, ale na pewno nie zwróci to niczyjej uwagi.

Liam, ubrany w brązową marynarkę i kamizelkę, był już niemal gotowy do podróży. Bob założył lnianą pasiastą koszulę i utyłane bawełniane spodnie. Beki już wkładała gorset.

- Beki, zostaniesz ze mną. Sal pojedzie zamiast ciebie.

Jednostka przestała mocować się z węzłami z przodu gorsetu.

- Czy to wskazane?

- To Nowy Orlean. - Maddy wzruszyła ramionami. - Czym tu się martwić? Zresztą, nie jedzie sama. Bob i Liam się nią zaopiekują.

Jednostka pomocnicza posłusznie skinęła głową i zaczęła się rozbierać.

Maddy wskazała małą wnękę, w której stały łóżka. Znajdowała się tam kotara, którą można było zaciągnąć w razie potrzeby.

- Lepiej zrób to tam, Beki.

Ostatnie, czego teraz potrzebowali, to pobudzony grą hormonów Liam.

- Sal, rozumiesz, że to tysiąc osiemset trzydziesty pierwszy rok?

- Jasne.

„Cholera, zaraz mi się za tę niezręczność dostanie”. - Maddy przygryzła wargę.

- To czasy niewolnictwa.

Sal chłonęła wzrokiem wykończenia sukni i gorsetu, pragnąc jak najszybciej wziąć strój w ręce i go przymierzyć.

- Tak, wiem - odparła z roztargnieniem.

- Cóż... twoja, hmm... no wiesz... masz smagłą skórę...

Sal podniosła wzrok na Maddy.

- Co?

Maddy z zawstydzieniem zaszurała nogami.

- Mówię tylko, że możesz być traktowana... mogą cię nazywać...

- Nie jestem czarna! Jeśli to właśnie chcesz powiedzieć.

- Nie, ale próbuję tylko...

- Shadd-yah! Jak ktoś ma smagłą cerę, to od razu musi być z Afryki? Możecie nas wszystkich wrzucać do jednego worka tylko dlatego, że nie mamy białej skóry? - Na czoło Hinduski wystąpiły bruzdy gniewu. - Jestem Azjatką! - potrząsnęła głową i wywróciła oczami, po czym odwróciła się i ruszyła za Beki w kierunku łóżek. Świsnęła za nimi zasłona.

- Chciałam tylko powiedzieć... że ówcześni ludzie mogli nie stosować takiego rozróżnienia - tłumaczyła się Maddy coraz słabszym głosem.

„Nieźle, Maddy”.

- Aj tam... trudno - powiedziała i odeszła w stronę komputerów. - Dobra, Liamie, Bobie, proponowana sygnatura czasowa to piąty kwietnia tysiąc osiemset trzydziestego pierwszego roku, zrzucę was kilka godzin przed śmiercią Abrahama pod kołami wozu. W artykule napisano, że wypadek miał miejsce wieczorem, czyli prawdopodobnie koło piątej lub szóstej. Wylądujcie o czwartej po południu. Znalazłam mapę dzielnicy portowej w Nowym Orleanie z około tysiąc osiemset trzydziestego czwartego roku, czyli mniej więcej z tego samego czasu. Portal otworzymy w budynku, który wygląda na jakiś magazyn.

Sprawdziła coś na jednym z ekranów. Uruchomili sondę gęstości, aby sprawdzić, czy w pobliżu nie występują żadne przeszkody.

> Zaprzeczam. W pobliżu lokalizacji sygnatury czasowej nie występują zakłócenia.

Skinęła głową, wyraźnie usatysfakcjonowana tą odpowiedzią. Znaleźli ustronne miejsce.

- Wóz rozjechał młodego Abe Lincolna na Powder Street, którą na mapie zaznaczono tutaj. To tylko minuta, dwie pieszo od punktu zrzutu. To jedna z głównych ulic. Jestem pewna, że bez trudu ją odnajdziecie. Każcie waszym nosom podążać za smrodem końskich odchodów.

Liam parsknął. Nawet w tysiąc dziewięćset dwunastym - w jego czasach - wszystkie ruchliwe ulice Corku były obsiane małymi kopczykami odchodów rozjeżdżanych przez wozy, zamiatacze ulic mieli dosłownie kupę roboty.

- Jak rozpoznamy faceta, którego trzeba uratować? - spytał. - Wiemy oczywiście, jak wyglądał w sile wieku: broda, wielkie krzaczaste brwi... ale teraz jest młody, co nie? Mamy jego zdjęcie z czasów młodości?

- Nie, żadne się nie zachowało. Nie w takim wieku, w jakim jest teraz.

- Informacja - odezwał się Bob, napinając mięśnie pod koszulą, która z założenia miała być luźna, ale ledwo się na nim dopinała. - Chociaż technologia fotograficzna już wówczas istniała, uwiecznianie portretów na taśmie celuloidowej nie zdążyło się jeszcze upowszechnić.

- Właśnie - zgodziła się Maddy. - A w tamtym czasie nikt jeszcze nie podejrzewał, że ten człowiek stanie się kimś ważnym. Na razie to pan Nikt. Osoba, której nie warto robić zdjęcia. - Wzruszyła ramionami. - Cóż, przynajmniej na razie.

Zerknęła na stronę z danymi, które skompilował komputer-Bob.

- Wiemy tylko tyle, że opisywano go jako bardzo wysokiego i chudego niechluj. - Wskazała ekran, na którym wyświetlał się prezydencki portret Lincolna w formacie JPEG. - Popatrzcie na te niesamowite brwi... wyglądają jak gniazda małych myszek uwite nad oczami. To musiała być jego cechą charakterystyczną, nawet kiedy był młodym człowiekiem.

Bob skinął głową.

- Informacja: po pełnym uformowaniu się czaszki rozwój obszaru wokół oczodołów jest bardzo ograniczony i choć pozostałe elementy fizjonomii - jama nosowa i tkanka chrzęstna, tkanka miękka wokół uszu, dolna część szczęki - wciąż...

Maddy dała mu znak dłonią, żeby zamilkł.

- A to oznacza, że prawdopodobnie nawet jako dziecko zawsze wyglądał żałośnie. - Wytarła zakatarzony nos. - Tak czy siak, mu-sicie wypatrywać dużego i wyładowanego beczkami whisky wozu z napisem GORZELNIA BRACI COSTEN na boku. Jeśli jakiś wysoki, smętny idiota będzie chciał pod niego wejść, zwyczajnie go powstrzymajcie. Proste.

Liam uniósł brodę, aby dopiąć guzik przy kołnierzu.

- Kaszka z mleczkiem, co, Bob?

Bob potwierdził tubalnym głosem.

- Jak sobie radzisz, Sal?! - krzyknęła Maddy.

- Już prawie skończyłam. - Zza zasłony dobiegł rozpromieniony głos, wnosząc po jego brzmieniu, dziewczyna już wyrzuciła z pamięci niefortuną uwagę a propos koloru jej skóry.

- Trochę tylko na mnie za duża.

- Maksymalnie zaciskam jej gorset, żeby lepiej się czuła - dodała Beki.

- Hej! - Maddy spochmurniała. - Hej! No nie... nie mów tak. Zabrzmiało to tak, jakbym była roztyłym kaszalotem. - Spojrzała na swoje odbicie w pleksiglasowym naczyniu translukacyjnym. - No dobra, czyli nie jestem aż tak wychudzonym wieszakiem na ubrania - mruknęła do siebie.

- Gotowe - powiedziała Beki i odciągnęła zasłonkę na bok.

Liam aż wstrzymał oddech, a Maddy bezwiednie z uznaniem pokiwała głową.

- Proszę, proszę, dużo bardziej ci w tym do twarzy niż w bluzie z kapturem!

Sal wygładziła gorset i spódnicę.

- Jakoś dziwnie się czuję. - Uśmiechnęła się. - Czuję się jak... blee, Jahulla! To zabrzmiało strasznie lamersko, ale... czuję się jak księżniczka.

Maddy aż klasnęła w dłonie.

- Wiem, wiem... to niesamowite, co? - Rzuciła spojrzenie na Liama i Boba. - Świetnie, wszyscy wyglądacie jak fircyki z epoki. Teraz rozbierzcie się i włóżcie ubrania do worków. Jedźcie na mokro.

Dziesięć minut później, ubrani w samą bieliznę, unosili się na wodzie w cylindrze translokacyjnym.

- Tym razem czeka nas łatwa i przyjemna misja - powiedziała Maddy, która przycupnęła na ostatnim stopniu drabiny. - Znajdźcie tylko młodego Abe'a i złapcie go za kołnierz, zanim zostanie po nim miazga. Wszystko gra, Sal?

Hinduska skinęła głową, nie przestając szczerkać zębami.

- Chyba właśnie zaczęłam się ciutkę denerwować.

- Doskonale sobie poradzisz. Pamiętaj, że to nie pierwszy raz. Nic wielkiego.

- To ta bie-biel m-mnie przer-raża...

- Przestrzeń chaosu? - Liam potrząsnął głową. - Ach, przepłyniesz przez nią w mgnieniu oka, w rzeczy samej. Nic prostszego.

- Potrzymsz m-mnie za rękę?

- Czemu nie. - Liam skinął głową. - Jasne, jeśli chcesz.

- Hmm... może lepiej nie - wtrąciła Maddy. Rzuciła Irlandczykowi szybkie spojrzenie, na które ten odpowiedział przytaknięciem. Wiedział, że pomyśleli o tym samym, choć tylko on widział je na własne oczy: stopione ciała z wnętrzościami na wierzchu. Straszny widok. Kiedyś mówił o tym Maddy, Sal wolał nie straszyć. Młodziotka Hinduska naprawdę nie musiała wiedzieć o tym makabrycznym szczególe, zwłaszcza że zagrożenie było minimalne. Maddy nie miała pojęcia, co jest tego przyczyną, lecz skoro Foster nalegał, aby Liam za pierwszym razem zanurkował bez niczyjej pomocy... cóż, na pewno miał ku temu słuszne powody.

- Najbezpieczniej jest, jeśli wszyscy unoszą się w wodzie swobodnie, Sal. Ale słuchaj - dodała szybko, zanim Sal zdążyła zapytać „dlaczego” - jedźcie razem. Pozostała dwójka będzie tuż obok ciebie. Zresztą, dokładnie jak mówił Liam, potrwa to tylko sekundę, nie

dłużej.

- Zanuć ci piosenkę - pocieszał ją Liam. - Żebyś mogła mnie usłyszeć... w tej zupie chaosu.

- No proszę - uśmiechnęła się Maddy. - Jeśli oczywiście uszy cię nie zapięką od tego fałszu. - Zaczęła schodzić po drabinie. - Do-bra, powinniśmy zacząć działać. Do tej pory mieliśmy sporo szczęścia, pojawiają się tylko małe fale, ale lepiej nie kuśmy losu.

Na dole sprawdziła, czy dioda wehikułu translokacyjnego na panelu pali się na zielono, po czym krzyknęła do Beki:

- Włącz trzydziestosekundowe odliczanie.

- Tak jest, Maddy. Trzydzieści sekund... czas, start.

- Okno powrotne o siódmej wieczór! - przypomniała. - I pamiętajcie, że w razie nieprzewidzianych sytuacji zawsze zostają wam standardowe okna awaryjne.

Przez porysowany plastik dostrzegła twarz Sal, w jej szeroko otwartych oczach odbijało się rosnące przerażenie. Liam, który wciąż trzymał się krawędzi cylindra, machając nogami w wodzie, szeptał jej do ucha słowa pocieszenia. Bob z kolei utrzymywał się na powierzchni dzięki energicznym, mocnym wymachom nóg. Wszyscy troje trzymali w rękach zapinane na zamek, plastikowe worki z ubraniami.

- Czeka was świetna zabawa, Sal! - krzyknęła Maddy ponad narastającym szumem wehikułu translokacyjnego. - Pomyśl, że za chwilę na własne oczy zobaczysz tysiąc osiemset trzydziesty pierwszy rok!

Sal posłała jej niepewny uśmiech i pomachała ręką.

Wycofała się na środek podłogi, gdy Beki zaczęła odliczać ostatnie dziesięć sekund.

- Dobra! Puszczaj się, wszyscy! - krzyknęła.

Liam z oporami odbił się od ścianki, po czym zaczął wściekle rzucać całym ciałem, aby utrzymać głowę nad powierzchnią. Na próżno. Bob i Sal puścili się krawędzi i spokojnie przebierali nogami w wodzie. Na „pięć” Maddy wydarła się ponad wzbierającym łoskotem maszyny, żeby nabrali w płuca powietrza i zanurzyli głowy.

Na „jeden” wszyscy skryli się już pod taflą wody.

Crescendo eksplodującej kierunkowo mocy wymieszało się z hukiem wyginającego się pleksiglasu. Wszyscy troje nagle zniknęli jak kamfora.

ROZDZIAŁ 10

Nowy Orlean rok 1831

Zanim wybiła szósta, niemal przez całą godzinę stali na Powder Street, obserwując wozy konne podskakujące na zatłoczonej ulicy oraz pracujących w pocie czoła robotników, którzy wyładowywali towary z większych i mniejszych statków. Chociaż we fragmencie artykułu ze zarchiwizowanej cyfrowo nowoorleańskiej gazety, która zapewne splajtowała już dawno temu, napisano, że wypadek miał miejsce wieczorem, jednak głupotą byłoby zakładać, że na pewno musiało to stać się po szóstej. Liam powiedział, że przecież, nawet w jego epoce ludzie wciąż generalnie nie nosili ze sobą zegarków. Czas określano dużo mniej precyzyjnie. Umawiało się z kimś popołudniu, a nie dokładnie o czternastej trzydzieści pięć, powiedzmy, jak zwykła to czynić większość współczesnych nowojorczyków.

- Rozglądajcie się dalej - powiedział chłopak, wyciągając szyję, by lepiej przyjrzeć się zatłoczonej ulicy. - Szukamy wysokiego i zrzędlivego jegomościa.

- Potwierdzam.

Sal skinęła głową. Niestety, wszystkie te nowe dźwięki i widoki zdecydowanie zbyt łatwo rozpraszały jej uwagę.

„Nic nie może cię na to przygotować, Sal... gdy tak stoisz w samym sercu historii”. - Tak powiedziała Maddy po wyprawie do San Francisco tysiąc dziewięćset szóstego roku. I miała rację.

Kiedy razem z tatą pojechali do Shanghaju na jeden z turniejów Pi-kodu, niedługo po przylocie wybrali się na targi technologiczne Expo. Jedne z ostatnich, jak się później okazało, bo stosunki dyplomatyczne pomiędzy Chinami a Indiami stawały się coraz bardziej ozięble. Zwiastowało to nadejście niespokojnych czasów. Podczas Expo przymierzyła prototyp kapelusza nazywanego Kapeluszem Rzeczywistości. Wyglądał jak czepek prysznicowy z przyczepionymi kulkami. Zaraz po nałożeniu go na głowę zaczęła czuć nierealne zapachy, słyszeć nieistniejące dźwięki, potem niespodziewanie znalazła się na rzymskiej ulicy. Oczywiście, nic nie wyglądało idealnie. Wygenerowana graficznie rzeczywistość była hiperrealistyczna, ale nagle, występujące tu i ówdzie poruszenia animacji demaskowały mistyfikację. Obrazy, zapachy, dźwięki wszczepiano wprost do jej mózgu, stymulując w ten sposób wszystkie zmysły. Zszokował ją realizm tamtego doświadczenia.

Ale w zestawieniu z prawdziwą historią... Kapelusz Rzeczywistości zdawał się nędzną namiastką.

- Chwila moment... - mruknął Liam - popatrzcie na tamtego faceta - rzekł, wskazując widoczną w oddali postać. Bob i Sal odwrócili się w tamtym kierunku. Po drugiej stronie ulicy siedł wysoki, chudy człowiek w brudnym, zniszczonym płaszczu i wytartym filcowym kapeluszu, krzywo naciśniętym na rozwichrzoną, czarną czuprynę. Stał, a raczej chwiał się

przed drzwiami, bezmyślnie gapiąc się na zatłoczoną ulicę.

- Jeezu... musiał wałnąć kilka głębszych! - Liam odwrócił się do Boba. - Myślisz, że to nasz człowiek?

Bob przez chwilę mrużył oczy.

- Wzrost odpowiada danym z profilu osobowego.

- Rzeczywiście, wygląda trochę jak Lincoln z obrazu - dodała Sal.

Pasowało gromowładne spojrzenie, pasowały też czarne, podkrążone oczy niknące pod zmarszczonymi brwiami w słabnącym świetle popołudnia.

- Dobrze, mnie to wystarcza - powiedział Liam. - Chodźcie, powstrzymajmy go, zanim zrobi coś głupiego.

Liam zeskoczył z ganku przed witryną sklepową, poczekał, aż zrobi się luka pomiędzy jadącymi wozami, po czym ostrożnie przeprowadził przyjaciół na drugą stronę zabłoconej ulicy.

Lincoln szarpnął za spodnie, które zwisały mu luźno wokół talii. Powinien był wydać swoje ostatnie pieniądze na jedzenie, zamiast whisky. Wzruszył ramionami. Zaraz ukradnie coś do żarcia. Doki to raj dla szabrowników: zawsze znajdzie się tu jakiś przypadkiem porzucony worek. Zawsze może też popracować parę godzin za obiad, jeśli przez jakiś czas nie uda mu się znaleźć płatnej roboty. Zawsze może ułożyć się do snu pod nowoorleańskimi gwiazdami, ale nigdy nie umrze z głodu.

Lincoln głośno beknął. Co za gafa, postawni gentlemani i ich żony o skwaszonych minach zgodnie odwracali głowy, żeby lepiej przyjrzeć się obleśnemu prostaczkowi.

Bezczelny chłopak pozdrowiał ich dotknięciem kapelusza, gratulując sobie beknięcia pierwszej klasy. Chwiejnym krokiem wszedł na ulicę, czując się na swoich długich nogach jak na niestabilnych szrudłach cyrkowych.

Już miał zrobić kolejny krok naprzód, kiedy poczuł, że coś mocno chwyciło go za kołnierz płaszcza, gwałtownie przechylił się do tyłu, przeleciał kilka metrów w powietrzu i ciężko wylądował na ziemi.

Kilka chwil drogę do jego świadomości torował sobie fakt, że leży na plecach w piachu i patrzy wprost na łososiowo-różowe chmury rozświetlane bladymi promieniami zachodzącego słońca, a nad jego głową pochylają się trzy wyraźnie czymś zaciekawione twarze.

- Niech to... szlag! Kim wy... - zaczął się wściekać.

- Pan Lincoln? - spytała jedna z twarzy. Irlandzka to była facjata, sądząc po akcencie.

Lincoln, chybocząc się w pijackim widzie, próbował unieść się na łokciach.

- No i czo... za pieroońszki kiep ma czelnoszcz...

- Pan Abraham Lincoln?

Oczy Lincolna z wysiłkiem skoncentrowały się na ustach, z których wypłynęły te słowa.

- A... a kogóż... kogóż to, do diaska, interesuje?

- Potwierdź swoje imię i nazwisko - zagrzmiał teraz o wiele głębszy głos.

Brwi Lincolna wygięły się w luk, gdy spojrzał na Boba.

- Dobry Boszże, szir... jesteście człekiem, czy tesz... nieżnaną odmianą niedźwiedza grizli?

- Shadd-yah! Liam, zobacz tylko, jaki zamęt sieje ta fura!

- Jezu! Co za rzeż. No dalej, podnieście go. - Lincoln znów usłyszał irlandzki akcent i poczuł, że para krzepkich dłoni zaciska się z siłą imadeł na jego barkach.

- Ja... JESZTEM... ABSZOLUTNIE... to zznaczy... ab...abh... ABSZOLUTNIE... zdolny wstać o własnych... sziałach. Właśnie tak... w rzeczy szamej. A teraz PUSZCZAĆ mnie SZY-SZYBKO ŁA-ŁAJDAKI DARDANELSZKIE!

Poczuł, że żelazny uścisk się zwalnia. Powoli, z dużo większym wysiłkiem, niż przewidywał, udało mu się stanąć na chwiejących się, szczudłowatych nogach. Zatapiający się w zmierzchu pejzaż Nowego Orleanu wirował wokół niego niczym koła pędzącego wozu. Trzy twarze, na których nie potrafił dłużej zawiesić wzroku, wciąż wpatrywały się w niego z niesłabnącym zainteresowaniem.

- Jak się pan czuje? - ponownie przemówił irlandzki głos.

- BŁOGO! - Lincoln beknął ochryple. - BŁOGO JAK... jak... BŁOGO JAK zając między grządkami kapusty! Błogo jak dziewczica na OBRAZIE! - Wyszczrzył zęby. - Jesztem ZDRÓW... szak...

- Jak...?

Otworzył usta. Chciał powiedzieć „koń”, lecz zamiast tego z ust wypłynęło coś, co zabrzmiało trochę jak „bleurghhh”.

Ostatnie, co usłyszał, zanim świat wywinął orła, a on sam zemdlał, to słowa któregoś z nieznajomych:

- Fuj... ohyda, nie na moje buty... uroczo.

ROZDZIAŁ 11

Nowy Orlean rok 1831

-... żałosny widok, nie mogę na niego patrzeć.

Było już całkiem ciemno. Lincoln słyszał łagodne uderzanie Missisipi o dziób pobliskiej łodzi. W głębokich zakamarkach jego pulsującego umysłu zakiełkowało przypuszczenie, że porzucono go gdzieś na nabrzeżach. Niebo nad jego głową było jasne. Wysoko, zawieszony między gwiazdami księżyc rzucał zadziwiająco mocne promienie srebrzystego światła na rzekę i miasto, do którego po zmroku wreszcie powróciły cisza i spokój.

- Nic mu się nie stanie, jeśli go tak zostawimy?

- Nic mu nie będzie, jestem pewien. To duży chłopiec.

Rozmawiali cicho, nieomal szeptem.

- Okej, skoro przegapiliśmy dwa okna powrotne, to jutro zostaje nam cały dzień na zwiedzanie i odkrywanie Nowego Orleanu. - Pauza. - Sal... jak ci się podoba tysiąc osiemset trzydziesty pierwszy rok?

- Totalnie odjechany! Prawdziwy i jednocześnie odrobinę nierealny. Rozumiesz? Bo właściwie nie mam prawa tu być. - Ten głos, kobiecy głos, miał niespotykany akcent. Lincoln nie potrafił go nigdzie umiejscowić. Raz tylko spotkał Walińczyka mówiącego z podobną, melodyjną manierą.

- Rozumiem, ja też się czasem muszę uszczypnąć. Czasem budzę się w swoim łóżku, myśląc, że wciąż jestem w tysiąc dwunastym roku, w kajucie stewarda... a cała ta heca z podróżowaniem w czasie to tylko sen.

- Mam podobnie.

Pauza.

- To co, rozejrzemy się teraz za jakimś pokojem na noc?

- Za bardzo jestem podekscytowana, żeby spać.

- Możemy trochę pospacerować. Albo poczekać tutaj do wschodu słońca i dopiero wtedy pozwiedzać. Bob, ile czasu do aktywacji okna powrotnego?

Tubalny głos:

- Portal zaplanowany na dwadzieścia cztery godziny po zrzucie zostanie aktywowany o czwartej w południe. Teraz jest pierwsza zero sześć rano. Okno w magazynie Jenkinsa i Proctora otworzy się więc za czternaście godzin i pięćdziesiąt cztery minuty.

- Spacer dobrze by nam zrobił. Noc jest ciepła. Dobrze raz na jakiś czas wyrwać się z bazy.

Lincoln usłyszał poruszenie i przymknął oczy. Chwilę później poczuł delikatne

szturchnięcie, poruszenie się worka ze zbożem i ciepły oddech kogoś nachylającego się nad nim.

- Śpi jeszcze?

- Jak zabity.

Śmiech.

- Jahulla, ciężko sobie wyobrazić, że ten pijaczek zostanie kiedyś prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

- Zostało mu jeszcze dużo czasu, żeby dojść ze sobą do ładu.

- Informacja: amerykańska wojna secesyjna wybuchnie w kwietniu tysiąc osiemset sześćdziesiątego pierwszego roku.

- No i proszę... przed nim całe trzydzieści lat, żeby wyjść na ludzi. Morze czasu.

Pauza.

- Co ty o tym myślisz, Bob? Uważasz, że załataliśmy historię?

‘W

■

- Cel misji żyje. Zgodnie z informacjami w plikach z danymi historycznymi, za kilka lat rozpocznie karierę prawnika. Później zajmie się polityką.

- Prawnika? Shadd-yah! Chyba żartujesz!

- Zaprzeczam. Nie żartuję.

Pauza.

- Hmm... łatwo go sobie wyobrazić w roli prawnika. Temperamentu mu nie brakuje. Kłótniwy z niego jegomość jak przekupka. Zresztą... - Lincoln usłyszał stukot kroków. - To nic, chodźmy zobaczyć Nowy Orlean, Sal, póki mamy tę niepowtarzalną okazję. Temu tutaj nic się nie stanie. Powinniśmy stąd odejść, zanim się zbudzi. Z odrobiną szczęścia nie będzie nawet o nas pamiętał.

Kolejne poruszenie. Lincoln złowił uchem szelest bawełnianego materiału. Potem dał się słyszeć dźwięk kroków na drewnianym chodniku nabrzeża. Po raz wtóry otworzył oczy i popatrzył na trzy ciemne kształty: wielkoluda, szczupłego młodzieńca i młodą kobietę. Jego umysł wciąż spowijała mgielka dezorientacji, pamiątka po whisky, którą złopał wczesnym popołudniem. Wciąż kręciło mu się w głowie, ale zachował sprawność intelektu. Przez ostatnie kilka minut przysłuchiwał się rewelacjom, które osobie o mniej tęgim niż on umyśle kazałyby kwestionować własne zdrowie psychiczne.

„... tysiąc dziewięćset dwunasty rok... podróżowanie w cza-O” sie...r.

Kiedy jeszcze był chłopcem, Lincoln dyskutował o tym absurdalnym koncepcie ze

swoim przyjacielem - co by się stało, gdyby człowiek potrafił przyspieszyć wskazania zegara? Lub zwolnić je? Albo zatrzymać? Albo... nawet cofnąć jego wskazówki. Co by się stało, gdyby człowiek mógł swobodnie spacerować po dniach minionych? Spotkać wspaniałe postaci historyczne, porozmawiać z nimi. Przekraczająca granice wyobraźni idea. Fantastyczny sen, który wyklął się w ich kreatywnych umysłach. A jednak... oto się ziścił, ta sama koncepcja, którą w żartach przerzucali się ze swoim przyjacielem z dzieciństwa podczas układania gałęzi platanowca.

„Czy to w ogóle możliwe?”.

Może w bardzo odległej przyszłości - w tysiąc dziewięćset dwunastym roku na przykład - będzie to realne. Pomysłowość gatunku ludzkiego nie zna granic. Każdego roku ktoś wynajduje nowe urządzenie, pojawiają się nowe elementy wiedzy wyjaśniające, krok po kroku, mechanizmy funkcjonowania Ziemi stworzonej przez Pana Boga. Kto wie, jakąż to wiedzą magiczną dysponować będą naukowcy z tysiąc dziewięćset dwunastego roku?

Uniósł się do pozycji siedzącej. W głowie łupało mu tak, jakby w jej wnętrzu zagnieździł się mały poszukiwacz złota obrabiający żywą tkankę ostrym czekanem.

Co mówił ten tubalny głos? Ze czeka go kariera prawnika? A pewnego dnia... czy ta dziewczyna naprawdę to powiedziała? Czy rzeczywiście z jej ust padło słowo prezydent?

Poczuł, jak jego ciałem wstrząsa dreszcz ekscytacji, zdmuchując resztki spowijającej go pajęczyny kaca.

Jeśli to prawda, najprawdziwsza prawda, jeśli tych troje nieznajomych naprawdę przybyło z innego czasu i wiedzą o wszystkim, znają jego przeznaczenie... to wiedzą też, jakim cudem taki kłoszard jak on pewnego dnia stanie na czele narodu jako prezydent.

Pobudzona wyobraźnia wybiegła jeszcze dalej. Przed nim zapewne jeszcze większy cel, poważniejsza misja niż życie polityka. Zrozumiał, że znacznie donioślejszy zaszczyt to zostać jedynym człowiekiem swoich czasów, który odwiedził przyszłość i na własne oczy zobaczył wszystkie owoce pomysłowości człowieka: wspaniałe urządzenia, które podbiły powietrze, morza i lądy. Wyobraził sobie miasta z tych odległych czasów jako metropolie pełne lśniących, kryształowych wież sięgających niebios.

„Naprawdę chciałbym ujrzeć taką przyszłość...”.

ROZDZIAŁ 12

Nowy Jork rok 2001

Maddy usiadła i położyła nogi na biurku z komputerami, tenisówki wylądowały na

stosie pudełek po pizzy. Popatrzyła na monitor, na zapętlony obraz odtwarzanej bez końca tragedii.

Rwące się, drgające nagranie, na którym widać, jak samolot pasażerski pikuje pomiędzy wieżowcami Manhattanu... „Czy w czasie tych bezcennych ułamków sekund przed uderzeniem w bok wieży północnej nie pojawi się iskra... nadziei? - zastanawiała się po raz setny. - Czy mimo tego, że doskonale wiesz, co się za chwilę wydarzy, nie odczuwasz ulotnego momentu nadziei, pragnienia, że tym razem samolot nie trafi w cel? Ze przeleci pomiędzy budynkami? Ze Julian i niemal trzy tysiące innych osób wróca tego dnia do domów i opowiedzą o tragedii, która minęła ich dosłownie o włos?”.

Ale nagranie zawsze kończyło się tak samo.

Obejrzała relację w zwolnionym tempie. Zakończył ją, jak zwykle, wybuch pomarańczowej kuli ognia, szybko rosnący słup czarnego dymu i niezliczone strzępy papieru opadającego na ulicę Manhattanu niczym confetti lub śnieg.

Maddy pamiętała ten dzień doskonale, jakby to było wczoraj. Miała dziewięć lat. Siedziała w szkolnej ławce. Błąd praktykant wpadł do klasy, drąc się, że właśnie wydarzyła się tragedia. Natychmiast włączyli ustawiony w rogu klasy telewizor i od razu to zobaczyli: zdjęcia tłącej się wieży północnej. Pamiętała, że kiedy nauczyciel zaczął szlochać, pozostałe dziewczynki natychmiast wybuchnęły niekontrolowanym płaczem.

Może jest szansa, że ten świat z subtelnie zmienioną rzeczywistością - bez prezydenta Lincolna - zmienił się na tyle, że samolot amerykańskich linii lotniczych lot nr 11 po starcie bezpiecznie wyląduje w miejscu przeznaczenia i nikt jutro nie umrze. Dotychczas pojawiło się raptem jedno, małe przesunięcie... ale już nie po raz pierwszy Maddy zapragnęła zachować kształt alternatywnego świata w minimalnym zakresie, tylko po to, żeby ocalić Juliana i trzy tysiące innych ludzi.

- Maddy?

Spojrzała na stojącą obok niej Beki.

- Hmm? Hej, Beki.

- Skończyłam.

Wcześniej Maddy kazała jej skontrolować próbówki wzrostowe na zapleczu. W obrzydliwym, mętym i cuchnącym roztworze hodowlanym pływało sześć płodów karmionych mieszanką substancji odżywczych, która pozwalała podtrzymać fazę hibernacji. Zarodki urosną dopiero po aktywacji trybu wzrostowego i zastąpieniu mieszanki sterydami. Dopóki słoje są zasilane prądem, płody - następne Boby i Beki - pozostawały bezpieczne. Niestety, od czasu do czasu należało wyjmować filtry, oczyszczać je i wkładać z powrotem.

Piekielnie ohydne zajęcie. Gorsze nawet - dumiała Maddy - niż wyciąganie gnijących włosów, kawałków skóry i Bóg wie czego jeszcze z zatkanego odpływu. Gorsze, jeśli to w ogóle możliwe, niż opróżnianie ich chemicznej toalety.

- Wszystkie próbówki wzrostowe działają optymalnie - stwierdziła Beki beznamiętnie.

- Wszystkie płody klonów z in vitro są bezpieczne.

- Świetnie.

- Czy życzysz sobie, żebym zrobiła ci kawy?

Maddy wciąż czuła odór mazi na rękach Beki.

- Ach... nie, w porządku. - Chwyciła pilot i włączyła kanał telewizji kablowej. Na jednym z monitorów wyświetlił się stary odcinek Simpsonów, który przez te wszystkie lata widziała już milion razy, choć tutaj, w dwa tysiące pierwszym roku, dla wszystkich dzieciaków, które właśnie wróciły ze szkoły i włączyły telewizor, był to całkiem świeżutki odcinek.

„A jednym z tych dzieci jestem... byłam, ja”.

Musi teraz gdzieś tam być: dziewięcioletnia Madelaine Carter siada po lekcjach przy stole kuchennym i opróżnia miskę chrupiek orzechowych, oglądając właśnie ten odcinek kreskówki. Tuż obok, przy tym samym stole, przysiada mama i wypytuje ukochane dziecko, jak minął dzień. Mała Maddy, pochrzäkując, udziela zdawkowych odpowiedzi.

Chciałyby teraz chwycić swój płaszcz, portfel, wyjść z bazy i wsiąść w pierwszy samolot odlatujący z lotniska Kennedy’ego do Bostonu. Chciałyby przejść przez podwórze, wejść na ganek i zadzwonić do drzwi. I powiedzieć „Cześć mamó”, kiedy już je otworzy. „Twoja mała dziewczynka urosła. Jak leci?”.

A najbardziej chciałyby minąć stojącą w progu mamę, przejść przez przedpokój do kuchni, nachylić się nad małą dziewczynką z kędzierzawymi włosami upiętymi w kucyk, ubrudzonymi rękami i w spodniach poprzecieranych od grania z chłopakami w piłkę.

„Hej, mała, chcesz wiedzieć, kim jestem?”.

Beki usiadła obok niej. Bez słowa, pilnie wpatrywała się w zmieniającą się pod wpływem emocji twarz Maddy, po czym przekrzywiła głowę z zainteresowaniem.

- Maddy Carter. Dlaczego płaczesz?

- Hmm? - Potrząsnęła głową, jej myśli wróciły do bazy, wzrok znowu pobiegł w kierunku monitora i Homera, który właśnie demolował kosiarkę Neda Flandersa.

- Okruszek - wymamrotała. - Wpadł mi jakiś okruszek. - Do sucha przetarła oczy pod okularami. - Beki?

- Słucham, Maddy?

- Przypominasz sobie naszą ostatnią rozmowę z Fosterem?

- Kiedy poszliśmy do Central Parku?

- Zgadza się.

Właśnie tam zawsze mogła go znaleźć o tej samej porze tego samego dnia. Dla niego było to jednorazowe wydarzenie; dla niej krótka wycieczka poza czterdziestoosmiodzinną bańkę, kolejne spotkanie w parku, nad stawem dla kaczek.

- Pamiętam twoją rozmowę z Fosterem.

- Pamiętasz, jak zapytałyśmy, kiedy będziesz mogła ujawnić te dane... wyjawić tajemnicę Graala?

- Tak, Maddy, pamiętam to wszystko.

- Odpowiedziałaś...

- Ze tajemnica zostanie wyjawiona, gdy nadejdzie koniec.

- Właśnie... „koniec”. Co miałaś na myśli?

Beki znowu przekrzywiła głowę.

- Protokół pozwala mi udzielić jedynie takiej odpowiedzi.

- Ale co to według ciebie oznacza? Do czego się odnosi? Do końca czego?

Beki wzruszyła ramionami.

- Nie dysponuję danymi na ten temat.

- Koniec... mnie? Ciebie? Agencji? Świata?

Jednostka pomocnicza utkwiała w niej szare oczy.

- Powtarzam, nie dysponuję danymi, które pozwoliłyby podjąć próbę interpretacji tej wiadomości.

- Nie ma żadnego sposobu, żeby wygrzebać ci z głowy twardy dysk i uzyskać dostęp do zablokowanej partycji? Może udałoby się ją przeskanować? Wyekstrahować te dane?

Beki popatrzyła na nią oziębłe.

- Bez urazy, Beki... ale otworzenie ci czaszki i wyjęcie z niej mózgu to jedyny sposób, żeby zrozumieć czym jest „koniec”.

- Majstrowanie przy wbudowanym procesorze może uruchomić procedurę autodestrukcji. Nie istnieje metoda pozwalająca obejść protokół. Dane zostaną udostępnione dopiero po spełnieniu określonych warunków.

- Przecież ty nawet nie wiesz, jakie to są warunki!

- Ale będę wiedziała, kiedy zostaną spełnione - odparła spokojnie. - Wtedy poznasz treść wiadomości.

Maddy ze zrezygnowaniem potrząsnęła głową.

- Argghh... jesteś taka irytująca!

- Przepraszam.

- Idź i zrób coś pożytecznego. Usmaż tosta - westchnęła odburknęła dziewczyna.

- Dobrze, Maddy. - Beki posłusznie obróciła się na pięcie i odeszła do kuchni.

- Tylko wpięć umyj ręce! - krzyknęła za nią rozzłoszczona dziewczyna.

Maddy znowu rozsiadła się w krześle i popatrzyła na świat przesuający się przed jej oczami na ustawionych w rzędach monitorach - subtelnie zmieniony świat, w którym nazwisko Abraham Lincoln nic już nikomu nie mówiło.

„Tajemnice i przeklęte kłamstwa”.

Ponownie pogrzyżyła się w swoim śnie na jawie: wróciła do domu, zobaczyła mamę, młodszą wersję samej siebie i bez żalu powiedziała tej szalonej, nonsensownej rzeczywistości „dobranoc”.

ROZDZIAŁ 13

Nowy Orlean rok 1831

W magazynie Jenkinsa i Proctora panowała cisza. Wokół piętrzyły się beczułki wina i płócienne worki z mąką kukurydzianą. Na zewnątrz, za drewnianymi ścianami, rozbrzmiewały głosy kilkunastu mężczyzn, parskał kucyk, ciężkie worki z mąką z głuchym łomotem łądowały na nabrzeżu, z oddali dobiegał gwizd parowców. Dzień jak co dzień, zryw aktywności tuż przed zachodem słońca.

Sal usiadła na stercie worków, wyczerpana po wielogodzinnym spacerze, ale i szczęśliwa, że udało jej się na własne oczy zobaczyć cały ten świat.

- Informacja: trzy minuty do aktywacji okna zaplanowanego na dwadzieścia cztery godziny po zrzucie.

Liam podniósł się i po raz kolejny wyrzwał ponad stos towarów, aby upewnić się, że magazyn jest pusty.

- Mam szczerą nadzieję, że szanowny pan Lincoln zdążył już wytrzeźwieć.

Sprawdzili miejsce, w którym zostawili go dzisiejszego ranka. Przepadł. Nie było to zresztą szczególnie zaskakujące. W dokach robiło się tłoczno wraz z nastaniem świtu, całkiem więc prawdopodobne, że Lincoln, trzymając się za pękającą głowę, odczołgał się w ustronne miejsce, aby wyleczyć kaca.

- No nic - powiedział Liam - po powrocie przekonamy się, czy sytuacja się wyprostowała.

- A może on wcale nie jest tak ważny z punktu widzenia historii - zastanawiała się Sal.
- Przecież zauważyliśmy raptem jedną małą zmianę, no nie? Kto wie, może nic więcej się nie wydarzy?

Bob pobrał dane.

- Informacje znajdujące się w bazie danych z pierwotną wersją historii wskazują, iż jego silne przywództwo oraz ogłoszenie Proklamacji Emancypacji w tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim zdecydowały o zwycięstwie Północy w wojnie.

- Co?

Bob przeniósł wzrok na Sal.

- Proklamacja emancypacji to wydany przez prezydenta Lincolna akt prawny, na mocy którego wszyscy niewolnicy odzyskiwali wolność. Ustawę uchwalono w trzecim roku wojny i obowiązywała jedynie w niektórych...

- Shadd-yah! - wykrzyknęła Sal. - W trzecim roku wojny?

- Potwierdzam.

- Chcesz powiedzieć, że przez pierwsze trzy lata Północ też miała niewolników?

- Potwierdzam. W stanach Unii również istniało niewolnictwo.

- Ale... czy wojna nie toczyła się o abolicję? Czy nie wybuchła właśnie z powodu niewolnictwa? - dopytywała Sal. - Północ, czyli żołnierze w granatowych mundurach, walczyła o to, żeby je znieść, a Południe, ci w szarych mundurach, chciało je zachować.

- Lista przyczyn wybuchu wojny jest bardzo długa. Na początku walk zbrojnych kwestia niewolnictwa uważana była za drugorzędną lub poboczną, choć z czasem wysunęła się na pierwszy plan.

Liam usiadł na worku obok Sal.

- Trochę czytałem na temat wojny secesyjnej. Pamiętam, że według niektórych historyków Proklamację ogłoszono z przyczyn taktycznych, tylko po to, żeby osłabić Południe. Miała zasiać niepokój w szeregach wroga. Co ważniejsze jednak, brytyjski rząd wstępnie zaproponował Skonfederowanym Stanom Ameryki pomoc...

- A może on wcale nie jest tak ważny z punktu widzenia historii - zastanawiała się Sal.
- Przecież zauważyliśmy raptem jedną małą zmianę, no nie? Kto wie, może nic więcej się nie wydarzy?

Bob pobrał dane.

- Informacje znajdujące się w bazie danych z pierwotną wersją historii wskazują, iż jego silne przywództwo oraz ogłoszenie Proklamacji Emancypacji w tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim zdecydowały o zwycięstwie Północy w wojnie.

- Co?

Bob przeniósł wzrok na Sal.

- Proklamacja emancypacji to wydany przez prezydenta Lincolna akt prawny, na mocy którego wszyscy niewolnicy odzyskiwali wolność. Ustawę uchwalono w trzecim roku wojny i obowiązywała jedynie w niektórych...

- Shadd-yah! - wykrzyknęła Sal. - W trzecim roku wojny?

- Potwierdzam.

- Chcesz powiedzieć, że przez pierwsze trzy lata Północ też miała niewolników?

- Potwierdzam. W stanach Unii również istniało niewolnictwo.

- Ale... czy wojna nie toczyła się o abolicję? Czy nie wybuchła właśnie z powodu niewolnictwa? - dopytywała Sal. - Północ, czyli żołnierze w granatowych mundurach, walczyła o to, żeby je znieść, a Południe, ci w szarych mundurach, chciało je zachować.

- Lista przyczyn wybuchu wojny jest bardzo długa. Na początku walk zbrojnych kwestia niewolnictwa uważana była za drugorzędną lub poboczną, choć z czasem wysunęła się na pierwszy plan.

Liam usiadł na worku obok Sal.

- Trochę czytałem na temat wojny secesyjnej. Pamiętam, że według niektórych historyków Proklamację ogłoszono z przyczyn taktycznych, tylko po to, żeby osłabić Południe. Miała zasiać niepokój w szeregach wroga. Co ważniejsze jednak, brytyjski rząd wstępnie zaproponował Skonfederowanym Stanom Ameryki pomoc...

- Dlaczego?

- Bo Anglicy widzieli w Północy, w Unii, rosnące zagrożenie. Jankesi stawali się zbyt bogaci, zbyt potężni. Niebezpiecznie obrastali w piórka. Zagrażali brytyjskiej dominacji. Brytyjski rząd stwierdził, że lepiej, by Ameryka pozostała podzielona, dlatego chcieli pomóc stanom południowym, Konfederatom, w secesji i utworzeniu nowego państwa. Zgadza się, Bob?

Bob wzruszył ramionami.

- Dysponuję sprzecznymi danymi. Historycy nie są zgodni w tym zakresie.

- Ale tu był pies pogrzebany, Sal... zwykli Anglicy sprzeciwiali się koncepcji niewolnictwa. Rząd nie potrafił przekonać narodu, że pomoc Południu leży w jego własnym interesie. A prezydent Lincoln okazał się bardzo sprytny. Zrozumiał, że jeśli kwestię niewolnictwa wyniesie na sztandary, że jeśli wyśle brytyjskiemu narodowi wyraźny sygnał, że Północ jest przeciwko zniewalaniu ludzi... wtedy Anglicy za żadne skarby nie pozwolą swojemu rządowi wspierać prześladowców z Południa. - Wzruszył ramionami. - Wyzwolenie

niewolników było słusznym i sprawiedliwym krokiem... brakuje mi słowa... moralną powinnością - powiedział Liam. - Ale przede wszystkim okazało się bardzo inteligentnym posunięciem, bo Lincoln zaszachował wszystkich: zapobiegł przystąpieniu Anglii do wojny po stronie Konfederatów.

Sal potrzęsała głową.

- Myślałam, że to wszystko jest dużo prostsze, że to była wojna dobra przeciwko złu.

Liam zgarbił się nieznacznie.

- Wojny nigdy nie sprowadzają się do walki dobra ze złem. Na końcu zawsze okazuje się, że chodzi o władzę... pieniądze... o interes obu stron.

- Informacja: wykrywam sondę gęstości.

Liam ostrożnie podniósł się z worków mąki kukurydzianej. Spacerowali po mieście przez cały ranek i większą część dnia, nogi bolały niemiłosiernie. Odwrócił się do Sal i podał jej rękę.

- Madame?

Hinduska musiała ujarzmić kolejne warstwy lniano-bawełnianej halki i ciasno zasnurowany gorset, żeby w ogóle wstać.

- Ha? - spytała, patrząc na podaną dłoń w kompletnym zdumieniu. - Czego ode mnie chcesz?

Westchnął, złapał ją za dłoń i szarpnął, pomagając wstać.

- Boże, czy w twoich czasach nie ma już gentlemanów, którym zdarza się oferować damom pomocną dłoń?

- Hmmm, nie, nie bardzo. Pewnie od razu wzięłabym nogi za pas, gdybym cię nie znała.

- Minuta do ekstrakcji - zakomunikował Bob.

Liam nagle strzelił palcami.

- Pewnie będziemy musieli tu wrócić, kiedy już upewnimy się, że historia została naprawiona.

- Naprawdę? Dlaczego? - Sal podniosła na niego wzrok.

- Liam ma rację - zgodził się Bob. - Wóz z gorzelni reprezentuje zaburzoną wersję historii...

- A my będziemy musieli wytropić go i dowiedzieć się, kto spłoszył konie. - Liam zerknął na Boba. - Powinniśmy byli podążyć jego śladem zeszłej nocy, zaraz po uratowaniu Lincolna. - Liam zaklął pod nosem zezłoszczony wczorajszym zaniedbaniem. - Dlaczego tego nie zaproponowałaś, Bob?

- Nie był to ustalony cel misji.

Liam zaklął ponownie.

- Będziemy musieli przybyć tu raz jeszcze i wysledzić trasę wozu. Sprawdzić, skąd przyjechał i dowiedzieć się, co spłoszyło konie. - Przez chwilę aż kipiał ze złości. - Jezu, ależ byłem głupi.

Czekali na pojawienie się okna, przysłuchując się wzmożonej krzątaninie na zewnątrz. Bob odliczył ostatnie dziesięć sekund, potem świst powietrza poruszył czepek Sal, a przed nimi złowrogo zawisła błyszcząca kula translokowanego czasu. Sal rozejrzała się jeszcze po składzie, po raz ostatni wciągając w nozdrza zapach dymu drzewnego, skóry i końskich odchodów.

- Bardzo mi się podobała ta wycieczka - powiedziała z nutką tęsknoty w głosie. - Chciałabym... - zaczęła, ale nie dokończyła. Nie musiała - Liam doskonale wiedział, co Hinduska chce powiedzieć.

„Chciałabym tu zostać”.

Skinął głową, dając jej znak, że czuje to samo.

- Zbierajmy się lepiej - powiedział w końcu.

- Do widzenia, roku tysiąc osiemset trzydziesty pierwszy - mruknęła, po czym niechętnie przeszła na drugą stronę.

Liam podniósł wzrok na Boba.

- Stało się, teraz lepiej wracajmy do domu.

- Potwierdzam. - Bob skinął głową.

Po kolei przeszli przez okno translokacyjne.

Nowy Jork rok 2001

Sekundę później Liam wypadł z mlecznej próżni na sam środek luku i zobaczył trzy przyjaciółki, które stały przy biurku z komputerami, czekając na jego powrót.

- Hej-ho! - zawołał wesoło, idąc w ich kierunku. - Ocaliłem świat... znowu!

Bob wyłonił się z portalu tuż za nim, z ust klona wypłynęło ciężkie warknięcie, jego stopy opadły na twardy beton.

- Odsuńcie się! - ostrzegła Maddy, po czym odwróciła się do biurka i rozkazała komputerowi-Bobowi zamknąć portal.

Liam podszedł do Maddy.

- Ja i Bob musimy tam wrócić, Maddy. Nie udało nam się... - Przerwał, widząc, jak Sal niespodziewanie wybałusza oczy i zakrywa usta dłonią obleczoną białą rękawiczką.

- Co jest?

Trzaskający warkot pulsującej energii zamilkł nagle, gdy portal pograżył się w niebycie, a w bazie rozbrzmiał zwyczajny szum komputerów i syk jarzeniówek, które rzucały z góry chłodną, kliniczną poświatę.

- DOBRY BOŻE... CO TO ZA... DIABELSTWO?

Liam odwrócił się na pięcie i zauważył wysokiego młodzieńca, który kulił się na środku podłogi; jego twarz wykrzywiało uczucie dezorientacji i paniki, w rozszerzonych źrenicach błyskały iskry trwogi i przerażenia, przywodził na myśl byka zamkniętego w klatce rzeźnika.

- Cudownie - westchnął Liam.

ROZDZIAŁ 14

Nowy Jork rok 2014

Mężczyzna wierzgnął z przerażenia na widok Boba i szybko odskoczył na kilka metrów.

- CO TO ZA M-MIEJSCE?! - ryknął niespokojnie. Jego wzrok biegł od jednego nieznanego do drugiego.

Pierwsza zareagowała Maddy Podeszła kilka kroków do przodu.

- Liamie? Czy to? Jasna cholera, to chyba nie...?

- Tak, obawiam się, że to on, Maddy. To Lincoln.

Maddy opadła szczęka.

- O mój Boże! - Powoli podeszła do niespodziewanego gościa. - Pan Lincoln? Abraham Lincoln?

Szaleńczo rozbiegane oczy Lincolna spoczęły na dziewczynie. Zmarszczył swoje kudłate brwi, próbując zamaskować strach podejrzliwością.

- Zna... zna mnie panienka?

Maddy potakująco skinęła głową. Uraczyła go nawet czymś na kształt uprzejmego dygnięcia.

- Tak, panie Lincoln. Wszyscy tu pana znają.

Głos Lincolna złagodniał: wściekły ryk przywodzący na myśl tyrady z sali rozpraw ucichł zastąpiony przez spokojniejsze i przyjazne tony.

- Zechce mnie zatem panienka poinformować, gdzie ja, na wszelkie świętości, trafiłem? - Rozejrzył się po ceglany pomieszczeniu pod arkadami. - Jak to możliwe, skoro kilka chwil temu stałem w ma-gazynie Jenkinsa? - Jego wzrok spoczął na Liamie. - Słuchając,

jak rozprawia pan ze swoimi towarzyszami o fantazmatach, cudach.

Liam przeklął swoją nieostrożność.

- Jezu, musiał nas śledzić!

- Potem to zobaczyłem... - ciągnął Lincoln -...okrągłe wrota, które rozbłysły czarodziejsko... - Głębokie pomrukiwanie Lincolna przeszło w zziębnięty szept, jego wargi drżały tak, że wyglądał niczym szamocząca się na haczyku ryba. - Zmaterializowały się w powietrzu, pojawiły znikąd! Jak dym, jak... jak zastępy aniołów. Jak...

Sal chichotała, przysłuchując się słowotokowi wypływającemu z ust mężczyzny.

- Głupiec ze mnie, że odważyłem się przestąpić próg tych drzwi. - Zerknął na Liama. - Podążać za panem, przejść przez te... te... wrota i pogrążyć się... w nieziemskiej bieli! Nerwowo podrapał się po grubej, szpeciniastej brodzie. - Bo potem wylądowałem tutaj... w tym doprawdy przedziwnym miejscu!

Maddy przysunęła się jeszcze bliżej, teraz znajdowała się już tylko metr od niego.

- Może się pan odprężyć, panie Lincoln. Spokojnie... już wszystko dobrze. To bezpieczne miejsce.

Lincoln przez chwilę bez słowa, przyglądał się jej z podejrzliwością.

- Twoja mowa, madame, mniej jest obca moim uszom niż koślawy język pozostałych. - Wskazał głową Boba. - Szczególnie tego szpetnego byczyska. Na Świętego Barnabę! Gdyby przydarzyło mi się kupić tak brzydkiego kundla, to w trymiga ogoliłbym mu rzyć i nauczył łazić na tylnych łapach! - Lincoln nie omieszkał podkreślić żartu pijackim rechotem.

„Ależ zdrowo jest narąbany?” - Maddy z niesmakiem potrząsnęła głową.

- Akcent młodej madame - powiedział, uważnie przyglądając się Maddy - zdradza, że panią jest z Nowej Anglii.

- Boston - odparła. - Jestem z Bostonu.

Lincoln powoli pokiwał głową.

- Musi też panią mieć jakieś imię.

- Maddy. Maddy Carter. - Podała mu dłoń. - Nie zamierzamy pana krzywdzić... cofnęliśmy się w czasie właśnie po to, żeby pana ocalić.

Przez kilka dobrych sekund patrzył na wyciągniętą dłoń, jakby była warczącym jamnikiem gotowym odgryźć mu palce.

- Ocalić mnie?

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Niewiele brakowało, a wpadłby pan prosto pod koła pędzącego wozu.

- Zgadza się. To Bob - powiedział Liam, klepiąc klona w bulwiaste ramię - wyciągnął

pana spod samych kół. Nie pamięta pan?

Lincoln przypomniał sobie całą sytuację: jak stracił dech i upadł na plecy. Ale niedawne wydarzenia tonęły w mgłę niejasnych wspomnień, które mogły być prawdą albo halucynacją. Jedyna bez wątpienia realna rzecz to prowadzona szeptem konwersacja między kilkorgiem nieznanym w mrokach nabrzeża. Wzmianka o jego nazwisku. Wzmianka o jego przeznaczeniu. Wzmianka o magazynie Jenkinsa i godzinie tajemniczego spotkania.

- Tak, chyba faktycznie coś sobie przypominam - mruknął Lincoln. Uniósł krzaczastą brew i zmrużył oczy, próbując przywołać nikiące w oparach whisky retrospekcje. - Duży... pędzący wóz? Wiózł beczki... prawda?

- Tak, to był furgon z gorzelni. Konie poniosły - potwierdził Irlandczyk.

- No proszę, sam pan widzi - podjęła Maddy - Liam i pozostali wrócili, aby pana ocalić.

- Wrócili? - Lincoln kiwał głową. - O tym właśnie rozprawiali. Wrócili... wrócili w czasie?

Maddy ukuła Liama i Sal poirytowanym spojrzeniem. Lekkomysłna paplanina. Powinni byli zachować ostrożność, trzeba, do cholery, uważać, co i gdzie się mówi.

- Tak, panie Lincoln - przyznała. - To prawda... oni naprawdę cofnęli się w czasie.

Posępny grymas na twarzy Lincolna natychmiast ustąpił miejsca uśmiechowi, który osobiwie kontrastował z ponurym spojrzeniem czarnych oczu.

- NIEWIARYGODNE! - Niespodziewanie chwycił jej dłoń i mocno nią potrząsnął. - Doprawdy niewiarygodne! - Puścił jej rękę i podszedł do innych.

- Sir! - rzekł, ujmując w dłonie wielkie łapy Boba. - Szanowny panie! Choć wyglądasz groźnie i niepokojąco, pozostaję twym dozgonnym dłużnikiem. Ocaliłeś me życie! - Lincoln wściekle potrząsnął ręką jednostki, a jego donośny, metaliczny głos wypełnił całą bazę.

Bob spojrzał na Liama w poszukiwaniu pomocy.

- Powiedz tylko: „nie ma sprawy”, Bob.

- Nie ma sprawy - zadudnił Bob.

- A szanowny pan! - Teraz chwycił rękę Liama. - Szanowny pan, jeśli słuch mnie nie zawodzi, pochodzi zapewne z Irlandii.

- Z Corku w Irlandii, tak. Liam O'Connor, do usług.

- To czysta przyjemność poznać pana, panie O'Connor.

Puścił jego rękę i z wdziękiem uklonił się przed Sal, po czym ujął jej obleczoną rękawiczką dłoń i delikatnie pocałował.

- Młoda damo!

Sal zachichotała, jakby pocałunek wywołał łaskotki.

- Nazywam się Saleena Vikram. Hmm... ale może pan mówić mi Sal.

Teraz przeszedł do Beki. Chwycił rękę jednostki, mierząc się z jej nieufnym spojrzeniem, ale w momencie, gdy miał już złożyć pocałunek, zawahał się, zaskoczony zsiniałą skórą i zawijasami blizn, które znaczyły jej dłoń i całe przedramię do samego łokcia. Natychmiast uwolnił ją z mocnego uścisku.

- Pani... pani musiała przeżyć pożar. Tak strasznie mi przykro. Mam szczerą nadzieję, że nie wyrządziłem pani krzywdy.

- Nazywam się Beki - odparła beznamiętnie, po czym zerknęła na Maddy, która dyskretnie skinęła głową. - Tak, zostałam ocalona z pożaru. Ale czuję się coraz lepiej.

Mężczyzna uprzejmie skinął głową, po czym odwrócił się do Maddy.

- Zakładam, panienko Carter, że przewodzi panienka tej małej, acz niezwyklej gromadce tajemniczych bohaterów i bohaterek?

Nieśmiało wzruszyła ramionami.

- Staram się to jakoś ciągnąć, panie Lincoln.

Cofnął się o krok z rękami na biodrach i dokładnie przyjrzał się zebranym.

- Doprawdy niewiarygodne - wymruczał ponownie. - Powiedźcie, naprawdę trafiłem do czasów przyszłych?

- Tak - potwierdziła Maddy.

Lincoln ujrzał rząd ustawionych na biurku monitorów różnej wielkości. Na ekranach transmitowano wiadomości z całego świata.

- A te obrazy... te ruchome obrazy, pochodzą ze współczesności?

- Tak, to relacja na żywo w telewizji kablowej - odrzekła, uświadamiając sobie, że pewnie i tak nic z tego zrozumiał.

Nachylił się i z bliska przypatrywał każdemu ekranowi po kolei.

- Niewiarygodne. Małe okienka, przez które można wejrzeć w każdy zakamarek świata. - Przerwał i wciągnął powietrze. - Na kurzajki świętej Klaudyny! - krzyknął, podchodząc do ostatniego monitora. - Te budynki! W rzeczywistości też są tak ogromne? - powiedział, wskazując jeden z ekranów. Maddy odwróciła się. W MSNBC leciał reportaż z giełdy na Wall Street. Akurat pokazywano nagrane z helikoptera ujęcie wieżowców na Manhattanie.

- Ach tak... to właśnie Nowy Jork. Nasze miasto.

- A więc to jest Nowy Jork? - Lincoln nachylił się nad zabała-ganionym biurkiem i utkwiał wzrok w monitorze. - To Nowy Jork! Niewiarygodne!

Gdy Lincoln przeskakiwał wzrokiem z ekranu na ekran, mrucząc pod nosem z rosnącym niedowierzaniem, Liam trącił Maddy w ramię.

- Maddy, czy nie wywołujemy teraz kontaminacji? - wyszeptał.
- Przecież musi wrócić, żeby... zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych.
- Tak, masz rację - odparła.
- Nie może wrócić do swoich czasów, wiedząc o tym wszystkim. Zakłęła z cicha.
- Już i tak wie za dużo. Muszę przemyśleć, co ter...
- DOBRY BOŻE! - raptem krzyknął Lincoln. - KATASTROFA!
- Co znowu? - Maddy odstąpiła od Liama i popędziła do biurka.
- Co się stało?

Palec wskazujący Lincolna drżał.

- Niestety, panienko Carter, wydarzyło się nieszczęście! W tym oknie! Panienska popatrzy!

Podążyła za jego wzrokiem i zrozumiała, że obejrzał odtwarzaną w kółko relację z zamachu na World Trade Center.

- Nie... nic się nie stało, spokojnie, to nie jest na żywo. - Potrząsnęła głową, zastanawiając się jak komuś, kto pierwszy raz ogląda telewizję, jasno wyłożyć różnicę pomiędzy relacją na żywo a powtórką.

- W tej budowli żyją prawdziwi ludzie? W tej wysokiej wieży?
- Odwrócił się do niej. - Gdzie dokładnie nastąpiła ta eksplozja?
- W Nowym Jorku.

- Na Jowisza! Tutaj? W tym mieście? - Lincoln odwrócił się do pozostałych. - W waszym świecie toczy się wojna?

- Cóż, w pewnym sensie, tak... - Maddy wzruszyła ramionami.

- W takim razie musimy przyłączyć się do walki! - Lincoln odwrócił się i popędził na drugi, pogrążony w mroku, koniec bazy.

- Panie Lincoln! - krzyknęła Maddy. Nie uzyskała odpowiedzi, usłyszała tylko, jak roleta z falistej blachy drży od uderzeń jego pięści. - Jasna cholera... straszny z niego wrzód na tyłku - jęknęła i ruszyła ku niemu.

- Panie Lincoln?

- Gdzie tu są jakieś drzwi, panienko Carter? Trzeba nam chwycić za broń i ocalić...

- Panie Lincoln... zechce się pan uspokoić?! - Nacisnęła zielony przycisk na bocznej framudze rolety, która z jękiem silnika i brzdękiem łańcuchów zaczęła się unosić, a przez powoli powiększającą się szczelinę do pomieszczenia wpłynęło światło szarzejącego dnia.

- Nie toczy się teraz żadna wojna! Nikt nie najechał Ameryki!

- Ale przed chwilą to widziałem, panienko Carter, na własne oczy! Olbrzymia eksplozja!

- To tylko obraz tego, co dopiero się wydarzy. Nic więcej. Naprawdę nie ma się czym denerwować! Rozumie mnie pan? Proszę popatrzeć... na zewnątrz panuje spokój!

Roleta zatrzymała się z brzdękiem. Ogarnęły ją wątpliwości, czy powinna pokazywać Lincolnowi rzeczywistość poza bazą. Im więcej szczegółów na temat przyszłości pozna, tym bardziej zanieczyszczony zostanie jego umysł. W wypadku anonimowego człowieka, który odciska jedynie niewyraźne piętno na historii, poziom ryzyka byłby dopuszczalny, ale przyszły prezydent...? Zresztą, nieważne. Jest dokładnie tak, jak mówiła Liamowi - Lincoln i tak poznał już zbyt wiele faktów. Garść nowych informacji nie zrobi żadnej różnicy.

- Proszę się rozejrzeć... nic złego się nie wydarzyło.

Delikatnie popchnęła Lincoln i wyszła za nim na wybrukowaną uliczkę. Chwyliła go za ramiona i obróciła w lewo, tak aby popatrzył na alejkę i brudne, zaśmiecone nabrzeże. Nad ich głowami rozciągał się most Williamsburg, biegnący przez East River w kierunku żarzących się świateł Manhattanu. Łoskot i stukot przejeżdżającego pociągu zagłuszył trąbienie samochodów stojących w korku na moście oraz odległe wycie syreny policyjnej.

- Widzisz? Nic się nie dzieje. Nie ma wojny!

- Boże miłosierny! To... absolutnie... niew...

- Niech zgadnę. Niewiarygodne? - dokończyła za niego.

Lincoln nic nie odpowiedział. Zamiast tego, usłyszała jakiś bulgot. Odwróciła się dokładnie w momencie, gdy młodzieniec wywrócił oczami, ukazując same białka. Głowa opadła mu na bok, ciało zwiotczało niczym szmaciana lalka, a mimo to wciąż stał prosto. Dopiero wtedy zauważyła, że na jego szyi zacisnęły się grube paluchy Boba, który zaszedł go od tyłu.

- Mój Boże! Właśnie go zabiłeś! Właśnie skrzyłeś kark Abrahamowi Lincolnowi!

- Zaprzeczam - odparł Bob. - Jest cały i zdrowy, utracił przytomność. Ucisnąłem ośrodek nerwowy w jego karku.

Sal, Liam i Beki wyszli z bazy na alejkę skąpaną w bursztynowym świetle latarni.

- Przepraszam. To był mój pomysł - przyznał Liam. - Wydałem Bobowi rozkaz.

Maddy niespokojnie spojrzała na podtrzymywane przez Boba ciało Lincoln.

- Masz pewność, że... no wiesz, nie jest martwy?

- Nic mu nie będzie - oznajmiła Beki. - Informacja: pozostaną drobne stłuczenie i nieznaczna opuchlizna.

Maddy przygryzła dolną wargę, po czym skinęła głową.

- Świetnie... jeśli tak, to podjąłeś słuszną decyzję, Liamie. Przy odrobinie szczęścia obudzi się w Nowym Orleanie, przekonany, że miał delirium tremens. Całą winę zrzuci na whisky. - Weszła z powrotem do bazy. - Szybko, musimy naładować wehikuł translokacyjny, zanim wariat odzyska świadomość.

ROZDZIAŁ 15

Nowy Jork rok 2001

Po dziesięciu minutach na wskaźniku mocy paliło się już trzy czwarte diod LED. Maddy wiedziała, że to wystarczy. Teraz trzeba było tylko przesłać nieprzytomnego Lincolna w towarzystwie Boba, a może i Liama, z powrotem do tysięcy osiemset trzydziestego pierwszego roku. Odwróciła się, aby sprawdzić, czy Bob i Sal pilnują młodzieńca, który leżał zwinięty jak embrion na jednym z foteli.

- Co z nim?

- Nieprzytomny - odrzekła Sal, podnosząc głowę znad gazety.

- I bardzo dobrze. Komputerze-Bob, ustaw takie same dane lo-kalizacyjno-zrzutowe jak podczas ostatniej wyprawy. Wyrzuć ich tuż przed ocaleniem Lincolna od śmierci pod wozem.

> Potwierdzam, Maddy.

- Kiedy się obudzi, pomyśli, że zemdlał tuż przed barem, o którym wspominałeś, Liamie.

- Dobrze, a ja i Bob wyniuchamy, dlaczego konie gnały po ulicy, jakby się szaleju najadły.

- Tak jest. - Odwróciła się do kamerki. - Aha, uruchom sondę gęstości.

Ostatnie, czego teraz potrzebowali, to żeby jakiś przypadkowy robotnik portowy stał się naocznym świadkiem cudownego przybycia Lincolna i ogłosił go pomazańcem Bożym.

Sonda gęstości aktywna.

Liam stał obok niej.

- Ten Lincoln ma charakterek - zauważył.

- Regularny wichrzyciel - cmoknęła. - Ta energia go kiedyś wykończy, zachowuje się jak rozochocony berbec z ADHD. - Rozwinęła pasek sondy gęstości i z zadowoleniem kiwnęła głową, bo na razie nic nie blokowało ich punktu zrzutu. - W moich czasach bez pudła zostałyby legendarnym prowadzącym programy dla dzieci... musiałby tylko zgolić tę zrosniętą

brew zdolną przyprawić wszystkie szkraby w przedszkolu o koszmary.

Liam się zaśmiał. Złapał dowcip.

- Choć jeśli głębiej się zastanowić, to właśnie dzięki takiemu temperamentowi syn biednego farmera został prezydentem.

- Pewnie tak. To bardzo możliwe... - zgodziła się Maddy.

Ekran z wiadomościami stacji MSNBC zamigotał. Oboje kątem oka dostrzegli tę nagłą zmianę - niebieska koszula i czarny krawat stojącego przed Białym Domem reportera, mówiącego o lecących na łeb, na szyję notowaniach prezydenta Busha, zamieniły się w białą koszulę i ciemnoczerwony krawat.

- Zauważyłeś? - spytała Maddy.

Skóra dziennikarza, wcześniej czekoladowa, zrobiła się biała. Ta sama twarz, te same, elegancko zaczesane do tyłu, czarne włosy, tylko odrobinę jaśniejsza karnacja, zupełnie jakby operator podregulował kontrast w kamerze.

Maddy obróciła się w krzesle.

- Sal... mamy kolejne przesunięcie. Większe.

Hinduska poderwała się z miejsca.

- Pójdę wyrzucić na zewnątrz. - Tuż za roletą, pomiędzy wyrzuconymi pudełkami z McDonalda, ukryli pięciodolarowy banknot. Na awersie widniał wizerunek Abrahama Lincolna. Była ciekawa, czy ta fala wymazała twarz Abe'a, zastępując ją portretem innego prezydenta o marsowym obliczu.

Maddy odwróciła się z powrotem do monitorów.

- Dobra, im szybciej wyślemy Abe'a, tym lepiej - odezwała się do Liama, krzywiąc się na widok pustego słoja z pleksiglasu. Zbyt wiele czasu pochłonęłoby ponowne napełnienie cylindra. - Wracacie na sucho, chłopaki. - Spojrzała na Liama, który wciąż miał na sobie żakiet i zawiązany pod szyją fular... Również Bob nie zdążył ściągnąć z siebie ciuchów robotnika portowego. - Garderoba pasuje... to zaczynamy.

Wokół nich rozbrzmiał brzęk rolety podnoszonej za pomocą korby. Sal wyszła w mrok wieczoru.

- Nic się nie zmieniło! - krzyknęła do środka. - Manhattan wciąż stoi!

Maddy pociągnęła nosem i wytarła go w chustkę.

- No proszę, to już coś.

- Jahulla! - Sal pędem wbiegła z powrotem.

- Co?

Podbiegła do biurka z komputerami.

- Patrz! Widzisz? - Położyła na biurku pięciodolarowy banknot. Tak jak spodziewała się tego Maddy, tważ Lincoln zniknęła, a w jej miejscu pojawiła się facjata starszego męża stanu z bokobrodami i ponurą miną.

Beki dołączyła do nich i przyjrzała się banknotowi.

- Lincoln został całkowicie usunięty z tej osi czasu.

Maddy potakująco kiwała głową.

- Nie ma już monumentu Lincoln w Waszyngtonie ani...

- STÓJ! - niespodziewanie ryknął Bob. Wszyscy odwrócili się akurat w momencie, gdy pięty Boba zniknęły z pola widzenia za podniesioną roletą. Beki zareagowała błyskawicznie i wybiegła za nim na alejkę.

Liam popatrzył na fotel, w którym jeszcze kilka sekund temu leżał nieprzytomny Lincoln.

- Normalnie wziął i uciekł, sprinter jeden!

Długie nogi Lincoln chyżo niosły go wzdłuż brukowanej uliczki, podeszwy butów rytmicznie uderzały w ziemię niczym klaszcząca publiczność wyrażająca uznanie dla cudownie zmartwychwstałego Abrahama uciekającego w ciemność.

Za plecami, w odległości co najmniej dwudziestu metrów, słyszał cięższe kroki olbrzyma pędzącego zapewne z nadludzką sprawnością. Lincoln biegał jak błyskawica: za młodu wygrywał wszystkie wyścigi z przyjaciółmi w hrabstwie Coles, w stanie Illinois. „Mój syn ma nogi jak rumak” - mawiał jego ojciec.

Dobiegł do zatłoczonego wylotu ulicy. Ujrzał zachwycające, różnobarwne refleksy: światła przy bezkonnych powozach, światła w ścianach budynków, światła migające wysoko na niebie.

Przebiegł obok dużego beczkowatego kosza wypełnionego gnijącymi odpadami i popchnął go za siebie. Usłyszał, jak z przewróconego pojemnika wysypuje się na bruk zwał cuchnących śmieci. Odważył się spojrzeć przez ramię, dokładnie w chwili, gdy wielkolud potknął się na zjeżdżającej papce i stracił równowagę.

- Ha! Haaa! - krzyknął z triumfem. Łomoczące stopy trafiły na twardszą nawierzchnię, instynktownie skręcił w lewo, na bardziej zatłoczoną ulicę i mocno postanowił sobie, że nie da się uwieść oszałamiającym widokom przyszłości, aby nie utracić tak ciężko wypracowanej przewagi nad przeszłością.

Choć nogi urodzonego biegacza szybko niosły go z dala od tajemniczych podróżników w czasie, którzy najwyraźniej zamierzali wrzucić go z powrotem w sam środek jego beznadziejnego, katorżniczego i nędznego życia, umysł uciekiniera wirował jak

wrzeciono, kuszony oszłamiającymi widokami, zapachami i dźwiękami.

„To przyszłość Ameryki - pomyślał - przyszłość, przyszłość, przyszłość”. Stopy uderzały o chodnik w rytm powtarzanej mantry. Był podekscytowany niczym jak kundel machający ogonem nad ogromniastą kością.

„To przyszłość! I, na Jowisza, całkiem mi się ona podoba!”.

ROZDZIAŁ 16

Nowy Jork rok 2001

- Ach, daj spokój... chyba żartujesz! - Maddy ze złością trzasnęła ręką w biurko. - Zgubiliście go? Oboje? Naprawdę go zgubiliście?

Bob i Beki stali ramię przy ramieniu, zziązani po nieudanym pościgu.

- Abraham Lincoln jest bardzo szybki - odezwała się Beki, w jej głosie pobrzmiwał wstyd.

- Tak, a ty i ten tu cymbał ponoć jesteście nadludźmi! Myle się może? Nie jesteście supersilni? Superszybcy?

- Ta nagła ucieczka była trudna do przewidzenia - mruknął Bob niczym złąjany uczeń. - Wyglądał na nieprzytomnego.

- Może udawał? - powiedziała Sal. - Podśluchiwał nas?

Liam pokiwał głową.

- I nie miał ochoty wracać do domu.

- Niemożliwe... - westchnęła Maddy, ściągając okulary i masując grzbiet nosa. - Poważnie?

Liam nie wyczuł sarkazmu w jej głosie.

- Tak, właśnie tak myślę.

- No, to dupa zbita. - Opadła na krzesło. - Jak my go teraz znajdziemy? Może być teraz wszędzie, w każdej dzielnicy Nowego Jorku.

Wszyscy pięcioro stali pogrążeni w cichej zadumie. Słysząc było tylko nakładające się na siebie głosy reporterów wieczornych wiadomości z kilku stacji telewizyjnych.

- Czy my musimy być tacy beznadziejni? - jęknęła Maddy. - Su-pertajna jednostka do zapobiegania podróżom w czasie? Powiem wam, czym jesteśmy: kiepskim żartem. To my. Troje cichociemnych dzieciaków z parką tresowanych małpek. - Odchyliła się w krzesło, przymknęła oczy i przyłożyła do czoła koniuszki palców, żeby przepędzić nadchodzącą migrenę.

- Popatrzmy na to inaczej. - Liam próbował ratować sytuację. - Lincoln to wysoki, gadatliwy facet w ubraniu z poprzedniej epoki. Na pewno bardzo szybko zwróci na siebie uwagę.

- A tak dokładnie, to co masz na myśli?

Liam wzruszył ramionami.

- Może urządzi karczemną awanturę i skończy w jednej ze stacji informacyjnych?

- Albo trafi za kratki - dodała Sal. - Z takim świrusem wszystko możliwe.

Maddy z irytacją potrząsnęła głową.

- To Nowy York, Sal. Mnóstwo tu świrów.

- Ale on ma do tego niewyparzony jeźor - rzekł Liam - dzięki niemu, coś mi się zdaje, szybko wpakuje się w utarczkę z policjantami.

„Charakterek. Tego mu nie brakuje”.

Maddy nagle otworzyła oczy.

- O Boże! Ściągnie tu nam policję! Prosto pod nasze drzwi!

- Informacja: możemy nawiązać niekodowane otwarte połączenie z centralą nagłych wypadków w Nowojorskim Departamencie Policji - zakomunikował Bob.

- Możemy ją monitorować i sprawdzać wszystkie pasujące zgłoszenia - szybko dodała Beki. Jednostki zachowywały się teraz jak parka skruszonych dzieci, które za wszelką cenę starają się odkupić winę.

Maddy nachyliła się do przodu, pod wpływem nagłego ruchu krzesło skrzypnęło.

- Dobrze, tak, to... coś takiego możemy zrobić.

Odwróciła się w kierunku monitorów i zobaczyła, że komputer-Bob hakuje właśnie system informatyczny Nowojorskiego Departamentu Policji.

- Dobry chłopiec. - Ponownie spojrzała na pozostałych. - To nie zmienia faktu, że i tak powinniśmy go poszukać. Nie ma żadnych pieniędzy, nie weźmie taksówki, nie wsiądzie do autobusu ani pociągu. A z jego wyglądem nikt mu nie wynajmie pokoju. Zastanówmy się... gdzie mógł pójść?

- Przez most - odezwała się Sal. - W kierunku Manhattanu... w kierunku jasnych świateł.

Liam potakująco kiwał głową.

- Pierwszej nocy w tym mieście zrobiłbym dokładnie to samo. Po prostu chcesz podejść bliżej, dotknąć, pozachwycać się.

- Tak... - Maddy w zamyśleniu przygryzła wargi. - Wysokie budynki chyba rzeczywiście zrobiły na nim wrażenie. Okej, zrobimy tak: utworzymy dwie grupy i

wyruszymy na poszukiwania. Bob i Sal, wy dwoje po przejściu przez most idźcie na północ przez Bowery, Czwartą i Broadway w stronę Times Square. Liam i Beki, wy kierujcie się w dół, na Wall Street. To dwie najbardziej rozświetlone części miasta. Miejmy nadzieję, że zachowa się jak wielka głupia ćma i odnajdziemy go w jednym z tych miejsc. Jeśli dopisze nam szczęście.

Spod resztek śmieci na biurku wygrzebała dwa telefony. Rzuciła po jednym Liamowi i Sal.

- Ja zostanę w bazie, będę śledzić zgłoszenia policyjne. Jak tylko trafi się prawdopodobny kandydat, dryndnę do was.

- Dryndniesz? - Liam ściągnął brwi.

- Zadzwoń! Za pomocą telefonu... przedmiotu, który trzymasz w ręku. Zadzwoń na niego!

- Ach. - Pokiwał głową. - Oczywiście.

- Teraz wszystko jasne?

Wszyscy czworo skinęli głowami.

- Aha. Sal, Liam, Bob. Przebierzcie się w zwykłe ciuchy. Wyglądacie, jakbyście się urwali ze zlotu kwaków.

ROZDZIAŁ 17

Nowy Jork rok 2001

Lincoln stał oniemiały, patrząc z podziwem na migocące, syczące, błyskające i wielobarwne światełka, neony z chińskimi znakami, sygnalizację świetlną z mrugającymi napisami „Idź” i „Nie idź”, samochody i taksówki - fantastyczne pojazdy nie z tego świata, które chociaż bez pomocy zaprzężonych z przodu koni nie miały prawa poruszać się wcale, to poruszały się bardzo szybko.

Do jego uszu wdzierала się orgia obcych dźwięków, odgłosów, które nie układały się w żaden rytmiczny wzór: z przejeżdżającego obok pojazdu wylał się miarowy łoskot, który wprawił jego klatkę piersiową w synchroniczne drzenie; chodniki i ulice roiły się od ludzi mówiących wszystkimi językami świata, na to przynajmniej wyglądało; wszyscy trzymali przy uszach płaskie, lśniące urządzenia w kształcie otoczków - mówili do nich lub bacznie wpatrywali się w ich niewielkie, błyszczące powierzchnie.

Istna wieża Babel, miliony języków: na czele z niepokojąco brzmiącymi, trudnymi do umiejscowienia dialektami angielskiego. Rozumiał poszczególne słowa, urywki

wypowiedzianych zdań, rzucając przez ulicę okrzyki naszpikowane słowami, których znaczenia nawet nie próbował się domyślać.

Początkowo czuł podziw, później ogarnęła go duma, która wypełniła jego oczy łzami. Duma, że jego naród, jego rodacy - Amerykanie, ambitni i odważni ludzie, mężczyźni i kobiety, pionierzy, poszukiwacze przygód i przedsiębiorcy, wszyscy oni za trochę ponad sto lat wybudują tak wspaniale, niebotycznie spektakularne, kunsztowne i barwne, niewiarygodne wprost miasto lśniących katedr.

- Na świętego Januarego! - ryknął, ale jego grzmiący głos i tak utonął wśród zgiełku Chinatown. - To naprawdę niesamowite miasto! - Potrzęsnał głową w oszołomieniu. - Niesamowite!

Właśnie wtedy niska kobieta, która stała tuż przed nim, coś powiedziała.

Nastawił ucha, uświadamiając sobie, że mówi do niego.

- Przepraszam najmocniej?

Miała orientálną urodę, zaśmiał się nieśmiało, gdy zaczęła mówić. Nachylił się nisko, niemal zginając się wpół, żeby lepiej usłyszeć, co ma do powiedzenia.

- Jazgot tu niemiłosierny. Czy zechciałaby pani mówić kapkę głośniej?

- Odjechany kapelusz! - odezwała się ponownie - Mój kapelusz?

- Z zażenowaniem dotknął róna wysłużonego filcowego cylindra.

- Ależ dziękuję!

Wtedy, bez ostrzeżenia, kobieta wyciągnęła coś ze swojej torebki. Przywodzący na myśl kwadratową kasetkę na hubkę i krzesiwo przedmiot połyskiwał metalicznie jak broń, ze środka nagle wyrosło szklane oko, które bez zapowiedzi słabo błysnęło.

- Madame? Co pani, na litość, wyczynia?

Uniosła urządzonek na wysokość twarzy.

- Uśmiech! - rozkazała ni z gruszki, ni z pietruszki.

Nagle z przedmiotu eksplodowała błyskawica światła. Lincoln zatoczył się do tyłu i zaczął drzeć się w niebogłosy, pewien, że urządzenie to jakaś broń, a on właśnie został postrzelony.

Wpadł na kogoś. Na ziemi zakotłowały się dwie pary kończyn.

- Co ty wyprawiasz, debilu? - Młodą, czarnoskórą twarz pod czubkiem nieskazitelnie białej czapki z napisem „Yankees” wykrzywiły gniew i oburzenie.

Lincoln zaś skrzywił się z zażenowaniem i oklepał po całym ciele, aby sprawdzić, czy nie krwawi po „strzale” Chinki.

- Najmocniej proszę o wybaczenie... musiałem... myślałem...

Młody czarnoskóry mężczyzna ze złością strącił z siebie patykowate nogi Lincolna i wyrzucił potok słów, których Abraham nawet nie próbował pojąć.

- Jak już panu wyznałem, jest mi niezmiernie przykro. Byłem święcie przekonany, że postrzeliła mnie ta... ta drobna dama dzierżąca w dłoniach... tę cudaczną broń.

Młodzieniec popatrzył na niego przeciągle, po czym wstał, otrzepał się z kurzu i potrząsnął głową z mieszaniną irytacji i osłupienia.

- Następnym razem uważaj, dobra, kolo?

Lincoln popatrzył na czarnoskórego młodzieńca i zauważył, że jego blade, dżinsowe spodnie rozpruły się na wysokości kolana.

- Dobry Boże! Chyba rozdarłem pańskie spodnie! Najmocniej przepraszam.

- Ha? Co? Nie no, hej... to tylko...

Lincoln potrząsnął głową, lustrując całą sylwetkę młodzieńca.

- Tak się składa, że mam przy sobie kilka monet. Pozwoli pan sobie wynagrodzić...

- Nie, hej... już git. - Młodzieniec machnął dłonią. - Po prostu uważaj, ziom, gdzie leziesz.

- Ależ nalegam - powiedział Lincoln, grzebiąc w kieszeni swoich znoszonych spodni.

- Gdzie twój pan? Przekażę mu pieniądze.

- Hej! Coś ty powiedział?

Lincoln zamarł i uniósł brew.

- Ach! Rozumiem! Widzę, że popełniłem niewybaczalne fałsz, młodzieńcze. Musisz być wyzwolencem.

Dwaj policjanci odebrali zgłoszenie przez radio w wozie policyjnym: „Bójka na rogu Mott Street i Canal Street. Dyspozytor mówi, że dwóch gości kotłuje się jak para kogucików”.

Bill podniósł mikrofon.

- Przyjąłem, jesteśmy za rogiem. - Pstryknął niedopałkiem papierosa przez okno, nałożył czapkę i wyregulował boczne lustro samochodu. - Ja pierdzielę, wcześniej dziś wieczór zaczynamy zabawę.

- Fakt - odparł Jim, po czym wrzucił połowę niedojedzonego bajgla z soloną wołowiną do papierowej torby i wcisnął ją w kieszeń przy bocznych drzwiach. Zanim wróci do pałaszowania kanapki, wołowina będzie zimna, a cała musztarda wsiąknie w chleb.

„Super”.

Włączył koguta i skręcił w lewo.

- Jasna cholera... a to dopiero poniedziałek, na litość boską.

Bill zaśmiał się. Radiowóz przyspieszył na zakorkowanej ulicy, a syrena torowała

drogę pomiędzy dwoma pasami zastygłego ruchu.

ROZDZIAŁ 18

Nowy Jork rok 2001

- Widzisz coś?

Beki potrząsnęła głową.

- Nie widzę nikogo odpowiadającego jego wymiarom ani nikogo o zbliżonych gabarytach.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, jakim cudem moglibyśmy spotkać kogoś podobnego. - Liam wzruszył ramionami - To bardzo dziwnie wyglądający jegomość, w rzeczy samej.

Chociaż Lincoln wydał się Liamowi bardzo specyficznym człowiekiem - to wpadał w maniacką ekscytację dziecka, to znowu robił się zrzędlivy, wybuchowy i uparty jak muł - było w nim coś, co wzbudzało sympatię. Być może fakt, że był szczery. Egzaltowane maniery, donośny głos, do bólu wyrazista twarz sprawiały, że zupełnie nie potrafił ukryć uczuć i myśli przelatujących przez umysł. Lincoln należał do gatunku ludzi całkowicie niezdolnych do nieuczciwości.

Albo, jak zwykła mawiać ciotunia Auntie: „Biedak ma serce na dłoni”.

Przypomniał sobie kolegę z Titanica, jednego z młodszych stewardów, który był do niego ździebko podobny. Liam wiedział, że chłopak za długo na statku nie wytrwa. Zbyt często mruczał pod nosem przekleństwa, jeśli nie dostawał napiwku. Naczelny steward nazywał go czarną owcą. Mąciwodą, który nie zasługuje na noszenie munduru White Star, bo do tego predestynowany jest inny gatunek młodych mężczyzn.

Liam zatrzymał się na skrzyżowaniu i spojrzał na przeskakujące światła, zastanawiając się, czy chłopak znalazł się wśród szczęśliwców, których z tonącego statku wyłowiała później SS Carpathia.

> Maddy?

- Tak? - jęknęła. Przez ostatnie pół godziny, jak na złość, przeziębienie znacznie się nasiliło. Serce waliło jej jak młotem, gardło piekło, ramiona bolały, jakby przed chwilą wycisnęła na ławeczce pięćdziesięciokilogramową sztangę, nogi drętwiały jak po przebiegnięciu maratonu.

> W intranecie Nowojorskiego Departamentu Policji właśnie zarejestrowano incydent o wysokim, według moich kalkulacji, współczynniku prawdopodobieństwa.

Przesunęła się z krzesłem wzdłuż stołu i popatrzyła w kamerkę.

- Czo maś?

> 19:32. Bójka na rogu Mott i Canal Street.

Mężczyzna, rasa biała, wiek około dwudziestu dwóch lat. Bezdomy. Podane nazwisko (prawdopodobnie przydomek)

- Abraham Lincoln.

- O kurcze, mamy drania! Co znowu nabroił?

> Wpis wprowadzono w komisariacie w piątej dzielnicy.

- Wiesz, gdzie to jest?

> Chwileczkę.« szukam.

Złapała leżący na biurku inhalator i przyssała się do niego, po czym chrapliwie wciągnęła powietrze; astma i przeziębienie - nie, skreślić, grypa - plus fura niepotrzebnego stresu na dokładkę. Jakimi jeszcze plagami Bóg ukarze jej słaby organizm? Czy zdoła je przezwyciężyć?

> Elizabeth Street 19.

Sal i Bob chyba byli bliżej. Wybrała numer Hinduski.

- Sal?

- Co tam?

- Mamy zwycięzcę. Właśnie dał się zaarrestować!

- Niespodzianka, niespodzianka.

- Siedzi w komisariacie dzielnicowym przy Elisabeth Street. To tylko pięć minut drogi od was.

- Chcesz, żeby Bob włamał się tam i go wyciągnął?

- Boże broń! Ściągnęłoby to nam na kark same kłopoty, bez których spokojnie się obejdziemy. Nie, idźcie tam i się o niego wypytajcie. Nic nie wskazuje na to, że popełnił jakieś poważne przestępstwo. Powiedzcie, że to wasz chory psychicznie kuzyn, że przyszlście, żeby zabrać go do domu i porządnie zbesztać. - Wzruszyła ramionami. - Jeśli dopisze nam szczęście, wydadzą wam Lincolna od ręki.

- Okej... spróbujemy.

Maddy się rozłączyła, opadła na fotel i potężnie smarknęła w chusteczkę, po czym wybrała numer Liama. Odebrał dopiero po kilkunastu sygnałach.

- No proszę, nauczyłeś się odbierać telefon, Liamie?

- Bardzo śmieszne. Co poradzę, że wszystkie te małe głupie guziczki z przodu wyglądają tak samo?

W słuchawce rozbrzmiało długie, wyrażające anielską cierpliwość, westchnienie.

Potem Maddy zaczęła pospiesznie wyjaśniać, gdzie trafił Lincoln i że powinni wracać do bazy. Doszła do wniosku, że Sal musiałaby mieć niezmiernie farta, żeby namówić policjantów do wypuszczenia Lincolna. Istniała jednak nadzieja, że wypuszczą go jutro z samego rana ze słownym upomnieniem, jeżeli rzeczywiście nie zrobił nic złego... lub za kaucją, jeśli spocił coś poważniejszego.

Rozłączyła się i z miną zbitego psiaka popatrzyła w kamerkę.

- Może na chwilkę się zdrzemnę, co myślisz, Bob?

> Rekomendacja: minimum cztery godziny snu. Nie funkcjonujesz ze stuprocentową wydajnością. Wyglądasz jak kompletna chudyah.

Maddy uśmiechnęła się zaskoczona... komputer-Bob zaimponował jej odrobinę.

- Sal uczyła cię brzydkich słówek, łobuzie?

> Potwierdzam.

ROZDZIAŁ 19

Nowy Jork rok 2001

- Co robisz, Jim?

Przyjaciel podniósł wzrok znad terminala komputerowego i przewrócił oczami. Rozpiął górny guzik w bluzie munduru nowojorskiej policji i zakasał rękawy. Jim wyglądał jak ktoś, kto od-bębnił już zmianę i wrócił do domu. Tyle tylko, że nie odbębnił.

- Przez tego świra, co go wcześniej zgarnęliśmy w Chinatown, mam masę papierologii.

Bill usiadł naprzeciwko, za biurkiem złączonym z biurkiem kolegi.

- Co znowu nawyczyniał? Przecież pouczyliśmy go i wsadziliśmy na noc do aresztu.

Jim podrapał się długopisem po nosie i przesunął dłonią po ściętych na jeża blond włosach.

- Wał cmokany nagadał bzdur o runięciu Bliźniaczych Wież. Ogłosił, że wylecą w powietrze. - Westchnął. - No to teraz babram się z systemem alarmowym FBI na tej ich platformie Amber, niech to jasny gwint. - Wzruszył ramionami. - Muszę tam wszystko wklepać.

- Pamiętaj... - Bill potrząsnął głową. - Wygadywał też inne niestworzone historie... Co to było?

Jim zachichotał.

- Pewnie chodzi ci o te jego opowieści, że zostanie prezydentem i że porwała go i

przywiozła tu z tysiąc osiemset trzydziestego któregoś banda podróżujących w czasie dzieciaków...?

Rozbawiony Bill kiwał głową.

- No i to imię! Chyba żywcem wyjęte z Biblii. Abraham Landon? - Popatrzył na monitor. - Lincoln... Abraham, brak drugiego imienia, Lincoln.

Śmiali się jeszcze dobre kilka sekund, po czym znowu odezwał się Jim.

- Popieprzone, cholera, to imię. Wyobrażasz sobie prezydenta z tak debilnym nazwiskiem?

Bill potrząsnął głową.

- Na pewno nie z takim śmiesznym sposobem mówienia. Gada jak plantator z południa... pastor, opętany kaznodzieja. Wiesz, co mam na myśli, nie? Powiem ci coś, stary, prawie uwierzyłem stukniętemu skurczybykowi, że urwał się prosto z Dzikiego Zachodu.

Jim spojrział na niego z zainteresowaniem.

- Chcesz powiedzieć, że wcale nie jest świrnięty i nie trzeba go zamykać w pokoju bez klamek?

Bill parsknął.

- Nie, mówię tylko, że gamoń zbiłby sporo kabony, wygłaszając płomienne kazania.

- Taa, jasne... i pewnie od razu zamówiłbyś drania na wieczór kawalerski kumpla.

- Dobra, dość tej gatki, kończ to już... przekaż sprawę gogusiom z FBI.

Jim skinął głową i wystukał kilka ostatnich słów na klawiaturze, po czym mocno klepnął dłonią w biurko.

- Zrobione!

Bill wyszczerzył zęby.

- Jedno na drogę, stary?

- Piwko? Jasne. Ale tylko jedno. Lepiej nie zadzierać...

- „Lepiej nie zadzierać z mamuszką” - dopowiedział Bill ze znużonym uśmiechem.

Znów ten sam tekst. - Czasem, Jim, starszku, wypada wymyślić nowe powiedzonko.

- Tak? Albo co? Weźmiesz sobie innego naiwniaka na partnera?

Wyszli z opuszczonego komisariatu, zostawiając za sobą biurka z piętrzącymi się stosami przeterminowanych dokumentów.

- Nie no, Jim, przecież dobrze mnie znasz... jesteśmy jak stare dobre małżeństwo.

- Ohyda - wymamrotał Jim, łapiąc za płaszcz i torbę. - No i mam to teraz pod powiekami, nie opędzę się dzisiaj, cholera, od koszmarów.

ROZDZIAŁ 20

Nowy Jork rok 2001

Dźwięk odryglowywanych i otwieranych drzwi do celi wybudził Lincolna ze snu. Zamrugał zaczerwienionymi oczami, oślepiiony promieniami wlewających się przez małe okienko promieni porannego światła, i podniósł wzrok na trzech mężczyzn w ciemnych garniturach, którzy patrzyli na niego z góry, tłocząc się na ciasnej przestrzeni.

- Abraham Lincoln?

Przetarł zmęczone oczy i podniósł się na jednym łokciu na poduszce.

- Tak, to ja.

- Pójdzie pan z nami - dobiegł go suchy, wyprany z emocji głos.

Lincoln usiadł i zwiesił nogi z łóżka. Bose stopy dotknęły zimnej posadzki.

- Panowie - zaczął. - Niczym sobie nie zasłużyłem na osadzenie w więzieniu!

Potraktowano mnie jak...

- Sir, teraz załóż pan buty i uda się z nami.

Twarz Lincolna zakryła mgła gniewu.

- Nic z tego, sir! Czekam na przeprosiny za...

- Skoro tak - powiedział jeden z mężczyzn w garniturze, ledwo poruszając wargami. -

To zaobraczkujcie drania.

Dwaj goryle opadli na niego niczym tona pustaków, przyszpila-jąc go do materaca tak mocno, że mógł tylko wiercić się i rzucać pod ich ciężarem.

- TO... TO... JEST... SKANDAL! - warczał. - JAK ŚMIECIE...

- Oszczędź sobie tego na później, koleżko - stęknął jeden z leżących na nim mężczyzn, który próbował chwycić go za nadgarstek. - Zaraz udasz się do krainy bólu, milusi - odezwał się drugi z nich. - Ty ohydna, mordercza, terrorystyczna świ...!

- Agencie Belling! Trzymaj emocje na wodzy, synu. W FBI staramy się być profesjonalistami.

- Przepraszam, sir.

- No już, postawcie go.

Dwaj mężczyźni w garniturach dźwignęli Lincolna z materaca i odwrócili go, aby znalazł się twarzą w twarz z tym trzecim.

- TO ISTNA KOMEDIA...

- Zamknij jadaczkę na cztery spusty, dobrze radzę, panie Lincolnie. Dzisiaj rano w nas wszystkich buzują emocje, a ostatnie, czego ja i moi chłopcy teraz pragniemy, to wysłuchiwanie tyrad pomyleńca.

- NALEGAM, ABY WYJAŚNILI PANOWIE...

- Dosłownie kilka minut temu drugi samolot zderzył się z kolejną wieżą. Wczoraj w nocy twierdziłeś, że dzisiejszego ranka runie World Trade Center.

Lincoln zmarszczył czoło.

- Mówicie o dwóch wieżach? Tak, ja...

- Słyszałeś, kilka minut temu samolot wbił się w drugą wieżę. - Agent FBI mocno zacisnął szczękę. - Albo jesteś prorokiem... albo terrorystą. Tak czy owak, mamy do ciebie kilka pytań. - Wyszedł na korytarz. Pozostali dwaj, szurając nogami wytaszczyli Lincolna z celi. - Właśnie znalazłeś się pod kuratelą FBI. - Uśmiechnął się beznamiętnie. - Twoje nieszczęsne dupsko terrorysty jest nasze.

Maddy, stojąca na dziedzińcu komisariatu dzielnicowego, odwróciła się do pozostałych.

- Jest w pół do dziesiątej. Przy biurku musi siedzieć jakiś oficer, który podpisze formularz zwolnienia.

Popatrzyła na Liama i Sal, Boba i Beki.

- Pójdiesz ze mną, Liamie. Co do reszty, wy po prostu... po prostu zostańcie tu na miejscu.

- A co, jeśli go nie wypuszczą? - spytał Liam. Ponownie otworzył usta i chciał coś powiedzieć, wskazując dwie jednostki pomocnicze, ale Bob zamarkował gest: sięgnął pod stary prochowiec, jakby chciał wyciągnąć strzelbę Fostera zza pasa spodni. Miał wyraźną chętkę odwołać broń z emerytury i użyć jej ponownie.

- Nie! Nie urządzimy tu z samego rana strzelaniny! Już wam mówiłam. Jeśli powiedzą „nie”, wymyślimy coś innego. - Wskazała niebo: słup czarnego dymu przeciął bezchmurne, błękitne niebo.

- Widzicie? Wszyscy oglądają wiadomości. Wszyscy chłoną wydarzenia z jedenastego września. Ludzie są wściekli i bardzo, bardzo przerażeni... nie wyłączając gliniarzy. Nikt nie wyklucza, że może to być dopiero pierwsza fala ataków terrorystycznych.

Wzięła szybki, świszczący oddech. Nerwy.

- Ostatnie, czego nam dziś rano trzeba, to dodatkowe kłopoty. Rozumiemy się?

Liam wzruszył ramionami.

- Rozumiemy.

- Chodź. - Chwyciła go za ramię.

Z chodnika weszli na schodki i przecięli mały parking, który w normalny dzień byłby zastawiony radiowozami i rowerami policyjnymi, ale dzisiaj rano niemal wszystkie pojazdy patrolowały miasto. Trzeba było uspokoić tłum. Opanować panikę.

Przeszli przez drzwi wahadłowe i znaleźli się przed kontuarem z grubego pleksiglasowego panelu, za którym siedziały dwie policjantki w mundurach i stało kilku oficerów ubranych po cywilnemu, wszyscy wpatrywali się w przenośny telewizorek ustawiony na rogu jednego z biur.

Maddy podeszła i delikatnie stuknęła kłykciami w szybę.

- Przepraszam?

Może ją usłyszeli, a może nie.

- Przepraszam!

Jedna z kobiet w mundurze niechętnie oderwała wzrok od ekranu. Maddy zauważyła, że oczy policjantki są zaczerwienione od łez.

- O mój Boże! - wyszeptła do Maddy jak do starej przyjaciółki. - To przerażające, prawda?

Maddy skinęła głową. Dziś nie czuła się przytłoczona dramatem wolno rozwijającym się na południowym krańcu Manhattanu, ale doskonale pamiętała emocje, jakie odczuwała w szkole; pamiętała, że wszyscy, zupełnie jak ci policjanci tutaj, siedzieli bez ruchu, pojękiwali i szlochali, patrząc, jak płomienie pożerają północną i południową wieżę.

- Przyszliśmy zabrać stąd naszego... hmm... naszego kuzyna. Przywieziono go zeszłej nocy do aresztu. Ma wyjść po otrzymaniu pouczenia.

- Oczywiście... - Policjantka najwyraźniej odczuła ulgę, że może na czymś skupić myśli. - Nazwisko, proszę.

- Madelaine Carter. A to jest Liam O'Connor.

- Nie, nazwisko aresztowanego.

- Ach, oczywiście... Abraham Lincoln.

Kobieta skinęła głową. Wyciągnęła podkładkę z wpiętą listą ostatnich interwencji.

- Już sprawdzam... już sprawdzam... - Palec jechał w dół zadrukowanej strony. - Abraham Lincoln? PiR... - Popatrzyła na gości - Pijactwo i rozbój. Trafił do aresztu o dziesiątej piętnaście zeszłej nocy.

- To on - westchnął Liam. - Kuzyn... hmm... kuzyn lubi sobie golnąć od czasu do czasu.

- Zawsze wpada przez to w przeróżne tarapaty - dodała Maddy.

- Porządnie zmyjemy mu łepetynę, nie inaczej. - Liam stanowczo potrząsnął głową. - Nie chciałbym być w skórze tego głupca, gdy już go zabierzemy do domu.

Kobieta z roztargnieniem pokiwała głową. Wybrała numer referencyjny i wprowadziła go do systemu.

- Będziecie musieli podpisać formularz zwolnienia. Czy któreś z was jest najbliższym członkiem jego rodziny... - Słowa zamaryły na jej szeroko otwartych ustach, nie odrywała wzroku od ekranu. - Właśnie pojawiła się informacja, że rano zabrało go FBI. - Policjantka uważnie na nich spozjrzała. - Minęliście się z nim o sekundę. Przekazaliśmy sprawę federalnym - jakieś dziesięć minut temu.

Maddy nerwowo przełknęła ślinę. „Nie brzmi to za dobrze” - pomyślała.

Policjantka niepewnie spozjrzała na Maddy i Liama, w jej wzroku czaiła się rosnąca podejrzliwość.

- Hmm... mówicie, że znacie tego Abrahama Lincolna. Jesteście jego współnikami?

Wspólnikami? To zabrzmiało prawie jak... „przestępcami”.

- Jesteśmy rodziną... w pewnym sensie - odparła z blednącym uśmiechem. - Jakiś problem?

Policjantka zignorowała jej pytanie.

- Chwileczkę - odwróciła się od nich i szybkim krokiem oddaliła do swoich kolegów, którzy wciąż wpatrywali się w mały telewizor.

- Liamie, to wszystko jest bardzo dziwne - syknęła Maddy.

Kobieta mówiła coś do pozostałych, nagle wszystkie pięć głów odwróciło się od odbiornika w ich stronę.

„Ja chromolę”.

- Chyba powinniśmy się zbierać - oznajmiła Maddy.

- Chyba masz rację.

Liam machnął ręką i zawołał do policjantów.

- Hej, wiecie co, kochani? Wrócimy innym razem! Widzę... grhm... widzę, że strasznie jesteście zajęci! - Odszedł kilka kroków od kontuaru i pleksiglasowej szyby.

- Stójcie! - krzyknął ostrzegawczo jeden z policjantów w cywilu, odruchowo sięgając pod marynarkę.

- Cholera jasna! - syknęła Maddy.

Sal stała na chodniku przed komisariatem pomiędzy dwiema jednostkami pomocniczymi. Czowała się dziwnie obnażona. Wokół panował taki sam upiorny bezruch, jaki już niezliczoną ilość razy widziała na Times Square: ludzie stali jak wrośnięci w ziemię,

wpatrywali się w niebo z telefonami komórkowymi przy uszach: wszyscy chcieli być w tej chwili grozy jak najbliżej swoich bliskich znajdujących się w innych częściach miasta. Nawet samochody zamarły, stały na skrzyżowaniach mimo palących się zielonych świateł; otwarte drzwi po stronie kierowcy albo opuszczone szyby pozwalały lepiej widzieć grube obłoki dymu zalewającego niebo.

Wszyscy stali z zadartymi głowami, tylko Sal - która oglądała niebo z jedenastego września już zbyt wiele razy - dostrzegła czarną furgonetkę bezszelestnie wyjeżdżającą z parkingu przed komisariatem. Gdy van na skrzyżowaniu skręcił w lewo i przejechał obok nich, Hindusce zdało się, że przez zakratowane okna pojazdu dostrzega zarys znajomej, brodatej twarzy.

- Ha? Czy to był...?

Beki opuściła głowę.

- O co chodzi, Sal?

- Van... - Wskazała na samochód.

Beki podążyła wzrokiem za jej palcem.

- Czarny van? Rejestracja Washington BLL 443.

- Tak, właśnie widziałam... - Niepewny głos Hinduski cichł, gdy furgonetka spokojnie manewrowała pomiędzy stojącymi samochodami, by w końcu skręcić w prawo i zniknąć z pola widzenia.

Liam chwycił Maddy za rękę, odwrócił się i pędem wybiegł przez wahadłowe drzwi.

Sal i obie jednostki, którzy czekali na chodniku przed schodami, podnieśli głowy.

- Maddy! - krzyknęła Saleena. - Chyba... właśnie widzieliśmy, jak odwożą Abrahama w... - przerwała. - Hej, co się dzieje?

Maddy chwyciła ją za ramię, desperacko starając się złapać oddech wrzęzące płuca.

- Maddy? Coś się stało?

- Czas na... - Sapnęła. - Na... plan B!

- Czyli?

Dokładnie w tej samej sekundzie na rozcież otworzyły się podwójne drzwi komisariatu, zza których wybiegło kilku umundurowanych policjantów z rękami na kaburach. Zaczęli rozglądać się po dziedzińcu.

- Uciekamy!

ROZDZIAŁ 21

W drodze do Quantico w Wirginii rok 2001

Lincoln przez niemal godzinę, bez słowa, złym okiem świdrował trzech porywaczy. Bezkonny pojazd, którym podróżowali, okazał się niewygodny i pusty. Nie miał okien, przez które mógłby swobodnie oglądać ten fascynujący świat, od gwałtownych zrywów zaczynało mu się robić niedobrze. Stracił rachubę czasu, nie wiedział, jak długo już jadą, po bokach siedziało dwóch goryli, mężczyzna z naprzeciwka odwzajemniał jego spojrzenie, za okrągłymi okularami z drucianą oprawą błyskały oczy wyrażające chłodną wzgardę zawodowca.

Nagle otworzył się jakiś ukryty z lewej strony właz, ukazując siatkę, za którą znajdowała się szoferka z dwoma innymi mężczyznami. Lincoln pomyślał, że muszą to być operatorzy, kierowcy tego zadziwiającego pojazdu.

- Agencie Mead!

Wpatrujący się w niego mężczyzna odwrócił się i podsunął w górę ławki.

- Co to jest?

- Wiadomość z Nowego Jorku, sir... - W głosie mężczyzny dało się wyczuć wahanie.

- No? O co chodzi?

Lincoln nie słyszał już, o czym tak pomrukuje. Ale zdało mu się, że dostrzegł na twarzy mężczyzny w okularach pierwszy przebłysk emocji, skrywanych do tej pory pod maską beznamietności. Wymiana zdań trwała krótko, kłapa zasunęła się z trzaskiem. Mężczyzna przesunął się z powrotem wzdłuż ławki, żeby jeszcze raz spojrzeć na Lincolna. Wściekle drgająca szczeka, mocno zaciśnięte usta, pęczniejące na zaciśniętej pięści knykcie. Wreszcie, ociekające emocjami słowa:

- Boże. - Potrząsnął głową. - Boże, tylko ty wiesz, ilu cywilów zginęło. Tysiąc? Pięć tysięcy? Dziesięć tysięcy? Nigdy się tego nie dowiemy.

- Co się stało, sir? - spytał agent po lewej.

- Zawaliły się.

Obaj agenci głośnie zaklęli.

- Północna i południowa, obie, cała pieprzona konstrukcja... runęła!

Lincoln chwilę trawił te słowa, ale szybko pojął, że mężczyzna na pewno mówi o tych dwóch nieprawdopodobnie wysokich budynkach, których eksplozję oglądał pod ceglanyimi arkadami.

- Strzeliste wieże już runęły?

Lincoln widział, że mężczyzna w okularach ma niekłamaną ochotę walnąć go na odlew, ale ze wszystkich sił próbuje się powstrzymać. Mimo to doszedł do wniosku, że warto

podjąć kolejną próbę wyjaśnienia tego tragicznego nieporozumienia.

- Musicie mnie wysłuchać, panowie. Opowiedziałem to wszystko zeszłej nocy dwóm niespecjalnie eleganckim gentlemanom! Ze wszystkich sił starałem się przetłumaczyć tym ignorantom, że dziwnym sposobem przeniosłem się w czasie...

- Zamknąłbym się na twoim miejscu.

- Dobry Boże, sir! Żyjemy w wolnym kraju! - Lincoln nabzdyczył się z irytacji. - Mam, u licha, prawo mówić, co myślę!

- W tej akurat chwili... nie masz żadnych praw.

- Czy wy w ogóle wiecie, kim jestem, sir?

- Oczywiście, doskonale wiemy, kim jesteś: skundlonym, zawszonym psycholem. Terrorystą. Szurniętym fanatykiem, który wierzy, że masakra niewinnych cywilów to środek do osiągnięcia jakiegoś popieprzonego celu!

Lincoln pochylił się i zmrużył oczy.

- Proszę mnie uważnie posłuchać, sir. Pewnego dnia zostanę prezydentem tego kraju, a wtedy...

Mężczyzna w okularach niespodziewanie wystrzelił ze swojego miejsca, a Lincoln poczuł, że zgina się w pół jak złamany patyk, uderzenie w splot słoneczny pozbawiło go tchu i zmusiło do desperackiego łykania powietrza. Ostatkiem sił powstrzymał się od wymiotowania na podłogę pomiędzy własne stopy.

- Agencie Belling, widzieliście, co się właśnie wydarzyło?

- Oczywiście, sir. Samochód gwałtownie zahamował, a aresztowany wpadł na pańską pięść, sir.

- Nic dodać, nic ująć.

Lincoln spojrział na nich nierozumiejącym wzrokiem.

- Co? Wierutne kłamstwo! Ten mężczyzna uderzył mnie pięścią!

- Już mówiłem, drogi Abrahamie... - odparł agent Mead. - Lepiej się zamknij.

ROZDZIAŁ 22

Nowy Jork rok 2001

- Musiał chlapnąć o jedenastym września - powiedziała Maddy - Na pewno, wygadał się o zawaleniu Bliźniaczych Wież, kiedy go aresztowano zeszłej nocy - Zerknęła na pozostałych, po czym wskazała jeden z ekranów. - Wszystko tam zobaczył.

- To logiczne, że wiedza na temat przyszłych zdarzeń zwróciła uwagę władz, dlatego

sądzą, że jest w to zamieszany - zauważyła Beki.

- Dokładnie! Pamiętam, że jedenastego września, zaraz po tym, jak nastąpił atak, w całym kraju przeprowadzono dziesiątki aresztowań. Tylko w ciągu pierwszych kilku godzin po katastrofie! Jeśli FBI naprawdę wpakowało go do furgonetki, to na pewno wierzą, że jest terrorystą, że jest zamieszany w zamach.

- Ale skoro powiedział im też, że nazywa się Abraham Lincoln - powiedziała Sal - to pomyślą, że jest kompletnym świrusem i szybko go wypuszczą.

- Informacja: to wykrzywiona oś czasu - zauważył Bob.

Maddy skinęła głową.

- Właśnie, Bob trafił w samo sedno. Pamiętajcie, że w tej czasoprzestrzeni nigdy nie istniał sławny prezydent o nazwisku Abraham Lincoln. W nieskończoność może powtarzać, że jest tym Abrahamem Lincolnem, a i tak nie zrobi to na nikim wrażenia!

Dźwignęła się z fotela i zaczęła chodzić w tę i z powrotem wzdłuż kuchennego stołu.

- Trzeba dowiedzieć się, gdzie go zabierają i porwać przed nadejściem następnej fali. Tym razem przesunięcie może być spore. Im szybciej go znajdziemy, tym lepiej.

- Co to jest FBI? - spytał Liam.

- Federalne Biuro Śledcze - odrzekła Maddy. - Elitarna jednostka sił mundurowych, jeśli wolisz. Łapią terrorystów i groźnych przestępców. To taka superspecjalna policja.

- Jak Scotland Yard?

- Coś takiego. - Maddy wzruszyła ramionami.

Liam skinął głową.

- A mają bazę operacyjną? Jak nasz łuk?

- Chyba w Waszyngtonie - szybko odparła Maddy. - Tam jest centrala FBI, jeśli dobrze pamiętam Z archiwum X.

- Z archiwum X...?

- To stary serial telewizyjny, nieważne - odpowiedziała. - Słuchajcie, pewnie tam go przewiozą. To działo się po jedenastym września. Pamiętam, jak czytałam, że agenci FBI zorganizowali łapankę na wszystkie szczególnie podejrzane typy w kraju, a potem przez kilka miesięcy przesłuchiwali ich i trzymali pod kluczem w swojej siedzibie do czasu otwarcia obozu nad zatoką Guanta-namo.

Odwróciła się do Beki.

- Niech komputer-Bob skompiluje pakiet danych na temat FBI, ich centrali... potrzebujemy planów budynku, dokładnej lokalizacji. Przydadzą się też informacje na temat podejrzanych, których zatrzymano po jedenastym września; musimy dowiedzieć się, gdzie

dokładnie są przetrzymywani.

- Tak, Maddy.

Odwróciła się do pozostałych.

- Chyba nie mamy wielkiego wyboru. Nie wiem, co jeszcze moglibyśmy zrobić. Musimy dostać się do centrali FBI i... - Popatrzyła na Boba. - Jeśli dojdzie do najgorszego, Bob, będziesz musiał przypuścić jednoosobowy szturm i wyciągnąć go z więzienia.

- To będzie wymagało ekstremalnej agresji - zauważył Bob. - Muszę dostać więcej broni.

Maddy pokiwała głową.

- Och, tego możesz być pewien. Poleje się krew.

- Mówiłaś, że gdzie jest ta kwatera FBI? - spytał Liam.

- W Waszyngtonie. Już tam podróżowałaś, Liamie. Pamiętasz?

Liam zmarszczył czoło w namyśle. Nagle wszystko sobie przypomniał.

- Oczywiście. - On i Bob przejechali ciężarówką dystans z Waszyngtonu do Nowego Jorku w całkowicie innej Ameryce, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku, kiedy kraj znajdował się pod kontrolą okupacyjnej armii nazistów.

- No to będziemy potrzebować samochodu - powiedziała Sal.

- Samochodu... i kilku dużych pukawek dla Boba. - Liam zerknął w górę na jednostkę pomocniczą i wyszczerzył zęby. - Kocha nicpoń duże spluwy.

- Potwierdzam.

Maddy oparła się o stół.

- Niedługo musimy się zbierać... jakoś w ciągu najbliższej godziny.

- Kto pojedzie? - spytała Sal. - Przecież nie możemy jechać wszyscy.

Maddy skinęła głową. Sal miała rację. Ktoś musi zostać, żeby kontrolować aktywację okna powrotnego.

- Musisz zostać Mads, nie ma wyjścia - odparł Liam. - Kto jak nie ty zadba o zorganizowanie wyprawy? Pojadę z Bobem i Beki. Tych dwoje to prawdziwa armia, której nie straszny żaden wróg, w rzeczy samej.

- Proszę, weźcie mnie ze sobą - błagała Sal.

Liam potrząsnął głową.

- Może być gorąco. Powinnaś zostać.

- Ale ja zawsze zostaję! Siedzę tylko w tej ciepłutkiej i bezpiecznej bazie, nigdy się na nic nie przydadę! - Odwróciła się do Maddy, szukając w niej wsparcia. - Proszę... tym razem chcę wreszcie coś zrobić, a nie tylko przyglądać się wszystkiemu z dystansu!

- Liam ma rację... mogą odpowiedzieć ogniem, jeśli...

- I tak powinnam dawno nie żyć - odparowała Sal. - Wszyscy powinniśmy być martwi! Normalnie splonęłabym w Mumbaju razem z rodziną. Ale oto jestem... a każdy nowy dzień dostaję gratis. Każdy dzień to bonus, prezent od losu. Po co to wszystko, skoro siedzę tu tylko na tyłku i na nic się nie przydaję?

- Przydajesz się, Sal. Bardzo się przydajesz. Jesteś naszym jednoosobowym, superniezawodnym systemem wczesnego ostrzegania! - zażartowała Maddy.

- Chcę robić więcej! - Naburmuszona skrzyżowała ręce na piersiach. - Muszę robić więcej.

Maddy spuściła wzrok na drewniany stół, potem zerknęła na zegarek. Minęła dwunasta. Dzisiaj w Ameryce historia przyspieszyła tempa. Właśnie w tym momencie, gdzieś w pograżonych w panice kuluarach władzy, Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego podejmuje decyzję o zawieszeniu wszystkich lotów na terenie całego kraju. Prezydent Bush jest na pokładzie Airforce One, który czeka w eskorcie dwóch myśliwców F16 na pozwolenie lądowania. Pentagon płonie. Wiceprezydent Dick Cheney przeczekuje apogeum kryzysu w Prezydenckim Alarmowym Centrum Dowodzenia, w piwnicy Białego Domu.

A Abraham Lincoln - jeżeli Sal miała rację i to rzeczywiście on siedział w tej czarnej furgonetce - jedzie w kajdankach na przesłuchanie do kwatery głównej FBI w Waszyngtonie. Prują już pewnie po międzystanowej, kierując się na przez New Jersey na południe.

- Okej... - podjęła po chwili. - Okej, robimy tak: nie ma sensu jechać tam samochodem, otworzymy okno tuż przed wejściem do siedziby FBI. Nie będzie to skok w czasie, jedynie transllokacja przestrzenna.

Popatrzyła na drugą stronę pomieszczenia, na biurko z komputerami. Beki stała tuż obok niego, zupełnie nieruchomo, ona i komputer-Bob obywali się bez słów. Bluetooth wystarczał.

- Skoczycie, jak tylko zdobędziemy plan budynku i precyzyjne współrzędne. - Odwróciła się i spojrzała na pozostałych. - Liamie... udasz się tam z Bobem i... no dobra, z Bobem i Sal. Obserwujcie przyjeżdżające pojazdy. Jeśli go zauważycie, jeśli zauważycie czarnego vana z Lincolnem wyglądającym przez tylną szybę i uznacie, że macie szansę go odbić... po prostu działajcie, jasne?

Wszyscy troje skinęli głowami.

- W tym czasie ja, Beki i komputer-Bob zgromadzimy niezbędne dane. Musimy zebrać wszystkie dostępne informacje na temat transportów osób podejrzanych o terroryzm, jakie organizowano w pierwszym tygodniu po jedenastym września. Dowiemy się, gdzie ich

przetrzymano, jak przewożono... i tak dalej, i tak dalej. - Zrobiła pauzę. - Jeśli go nie zauważycie, będziemy musieli dowiedzieć się, gdzie dzisiaj przetrzymują wszystkich potencjalnych terrorystów. Aż boję się myśleć, dokąd nas to zaprowadzi. Póki co mamy ogromne szczęście, że historia tylko lekko zakręciła. - Wyciągnęła chusteczkę i głośno w nią smarknęła.

- Jezu... Bóg jeden wie, jak długo to potrwa.

ROZDZIAŁ 23

Nowy Jork rok 2001

Pół godziny później Bob, Liam i Sal stali na środku bazy, na krawędzi niewyraźnie zaznaczonego kredą okręgu o średnicy półtora metra. Po jednej z ich przygód beton w obrębie okręgu wyparował, a mówiąc precyzyjniej, został wyrwany, teraz w jego miejscu straszyla tylko płytka dziura, zupełnie jakby z sufitu na podłogę spadła olbrzymia kula.

Maddy nie mogła znieść tego widoku. Kilkakrotnie wylewali na wyrwę nowy beton; raz kupiła nawet tani dywanik, żeby ją zasłonić. Ale już kilka razy musieli ponownie otwierać portal w tym samym miejscu - „jazda na sucho”, tak to nazywali. Jeździli na sucho zawsze, gdy brakowało czasu na ponowne napełnienie słoja translokacyjnego wodą.

- Zaraz... - Maddy spojrzała na zegarek. - Już prawie dwunasta trzydzieści. Jeśli FBI przejeżdża Lincolna wpół do dziesiątej... Mę-dzystanową 95 jedzie się do Wirginii trzy, cztery godziny?

- Potwierdzam - odparła Beki. - Wynik moich obliczeń jest podobny.

- Właśnie, dlatego na miejsce zrzutu wybrałam drogę zjazdową prowadzącą na tereny Akademii FBI w Quantico. Ustaliłam współrzędne dla dość dyskretnej, ustronnej okolicy. To Russell Road w pobliżu międzystanowej 95. Jest tam punkt kontrolny, przy którym należy zwolnić i okazać dowód osobisty albo coś podobnego. Będziecie stamtąd mieli doskonały punkt obserwacyjny.

Pochyliła się nad biurkiem i dotknęła klawiatury, kontynuując odprawę.

- Nie wyrzucam was w przyszłość ani w przeszłość, tym razem to zwykła translokacja przestrzenna. Powinniście pojawić się w pobliżu punktu kontrolnego jeszcze przed przyjazdem vana. - Znowu spojrzała na Sal. - Jesteś w stu procentach pewna, że widziałas w nim Lincolna wyglądającego przez tylną szybę.

Hinduska niepewnie skinęła głową. Nie do końca uspokoiło to Maddy.

- Dobrze. - Kliknęła obszar na oknie dialogowym i wprowadziła jednoczynowe

odliczanie.

- A co z oknem powrotnym? - spytał Liam. - Czy nie musimy ustalić...

Maddy wyróciła oczami.

- Widzisz ten magiczny przedmiot w ręku Sal?

Liam odwrócił się, by spojrzeć na przyjaciółkę, która wyszczerzyła zęby i wyciągnęła rękę. Na jej dłoni spoczywał telefon komórkowy.

- Wystarczy, że do mnie zadzwonisz, wtedy sprowadzę was wszystkich do domu. Tym razem nie będziecie musieli zakopywać skamielin ani fabrykować starożytnych rękopisów.

- No tak - z zażenowaniem bąknął Liam. - Jasne... oczywiście.

- Aha, Bob, jeśli van będzie pękał w szwach od policjantów ze SWAT w kewlarowych kamizelkach i z wielkimi spluwami w rękach, to nie rób przypadkiem nic głupiego. Może i twardy z siebie skurczybyk, ale wcale nie jesteś niepokonany.

- Zamierzam działać w ramach akceptowalnych parametrów ryzyka.

Spojrzała na Liama.

- Ty podejmujesz decyzje. Jeśli stwierdzisz, że ryzyko jest zbyt wysokie, to spróbujemy wymyślić coś innego. Dowiemy się przynajmniej, gdzie przetrzymują Lincolna i opracujemy plan awaryjny.

- Tak jest.

- Okej... wszyscy gotowi? Można zaczynać? - Popatrzyła na ekran. - Dwadzieścia sekund. - Szum wehikułu translokacyjnego wzbierał z każdą chwilą.

- Uważajcie na siebie, okej? Szczególnie ty, Sal. Pozwól chłopcom robić, co do nich należy.

Sal westchnęła, jej oddech drżał. Była wyraźnie podekscytowana perspektywą prawdziwej akcji; lepsze to niż próżne siedzenie i wypatrywanie subtelnych zmian w rzeczywistości.

- Będę ostrożna.

Bazę owiał nagły przeciąg, do lotu wzbily się papierki po cukierkach, po biurku zaczęły sunąć opakowania po pizzy. Nagle, ni stąd, ni zowąd, wyłoniła się pulsująca, świetlista kula.

- Do zobaczenia wkrótce! - zawołała Maddy ponad szumem energii.

Sal pomachała jej dłonią, gdy Liam wchodził do portalu.

Maddy patrzyła, jak Irlandczyk znika w niebycie, chwilę później jego śladem podążyła Sal, która na pożegnanie wyszczerzyła jeszcze zęby w uśmiechu i mrugnęła. Na końcu wszedł Bob.

- Zamknij okno, proszę.

Komputer-Bob wypełnił rozkaz, a sferyczne pole zapadło się do małego punktu i zniknęło.

Usiadła obok Beki, naprzeciwko bladej poświaty rzucanej przez rząd ekranów, we wszystkich stacjach nadawano bezpośrednie transmisje z ujęciami tej samej scenerii: zgliszczy World Trade Center i pokrytych pyłem, upiornych twarzy strażaków, sanitariuszy i policjantów patrzących na katastrofę w grobowym milczeniu.

Obraz zastygłych ludzi.

Poruszały się jedynie fruujące kawałki papieru, które niespokojnie wirowały na niebie niczym stadko ptaków, umykających z pożogi w poszukiwaniu nowego domu.

ROZDZIAŁ 24

Quantico, Wirginia rok 2001

Liam, Bob i Sal przykucnęli w wysokiej trawie, w cieniu rzucanym przez czerwony cedr. U podstawy wzgórza, porośniętego świeżo przystrzyżoną trawą, biegła wąska jednopasmówka, wijąca się dyskretnie przez lasy w kierunku błoń wokół akademii FBI.

Pięćdziesiąt metrów od nich, w małej budce - skleconej z porysowanych plastikowych okien i falistej blachy - siedziało dwóch ochroniarzy. Obaj wpatrywali się w błyszczący ekran stojącego na biurku telewizora. W normalny dzień strażnicy zapewne już dawno dostrzegliby troje przybłądów na skraju zagajnika. Dzisiaj jednak obaj byli przyklejeni do telewizora. Pod ich nosem mogłaby przemaszerować orkiestra dęta, a oni nie wyjrzeliby nawet przez okno.

- Bob? - spytał Liam. - Jak planujesz uratować pana Lincolna z vana?

Bob przez kilka chwil mrużył oczy w głębokim zamyśleniu.

- Najpierw unieszkodliwię pojazd. Potem unieszkodliwię strażników. Potem wyciągnę cel z vana.

- Nasz jegomość prezydent nie powinien nabawić się żadnego urazu, nie inaczej.

- Potwierdzam. - Chrząknął. - Ocenię stopień zagrożenia dla Lincolna i podejmę działania tylko w wypadku wysokiego prawdopodobieństwa sukcesu.

- Ale chyba nie masz zamiaru zabić strażników z tej budki, co? - zapytała Sal, patrząc na nich ze strachem. - To dwaj niewinni starszuszki.

Bob popatrzył na nią z naganą.

- Jeśli okażą się przeszkodą w realizacji priorytetów misji, staną się równorzędnym celem.

- Wystarczy, że uraczysz ich jednym ze swoich ryków bojowych, Bob - powiedział Liam i dał Sal delikatnego kuksańca. - Szkoda, że go nie słyszałaś.

Widział już, jak jego okrzyk sprawia, że dorośli mężczyźni drżą. Przywołał niewyraźne wspomnienie: widok monstrualnej sylwetki Boba stojącego w rozkroku na sterwie kamieni przy wyrwie w murach Nottingham wstrzymał - na sekundę, ale jednak - przednie szeregi armii złożonej z zaprawionych w boju rycerzy i najemników o srogich obliczach.

Przez krótką chwilę przed zderzeniem się wojsk - zanim tysiące butów grzmotnęły o ziemię i nim wezbrał metaliczny szum miliona kolczug, a atakujący piechurzy wzniesli ogłuszający okrzyk i rozbrzmiały wrzaski nienawiści podsycanej strachem... - przez tę krótką-krótką chwilę słyhać było tylko głęboki, dojmujący ryk Boba przywodzący na myśl lament niedźwiedzia grizzly nawołującego towarzyszkę z drugiej strony doliny.

- Biedacy ducha wyzioną ze strachu, gdy to usłyszą. Dadzą drapak jak zajęce, nie inaczej.

- Moja postura może budzić lęk - rzeczowo odparł Bob. - Ten czynnik działa na moją korzyść.

- Zrób przerażającą minę, Bob - poprosił Liam. - Coś wbijającego w ziemię.

- Przerażającą minę?

- Taak... swoją groźną minę, tylko jeszcze groźniejszą.

Bob pobrał plik z pamięci. Gwałtownie ściągnął brwi, które złączyły się w gniewną, zwartą linię. Rozwarł grube, końskie wargi, ukazując rząd zębów zdolnych przegryźć stalową blachę.

- Wyglądasz jak wielki, wściekły wilczur, któremu zabrano gumową kość - skomentowała Sal.

Liam wzruszył ramionami.

- Może, ale czy utrzymałabyś szyk, gdyby zawisła nad tobą taka facjata?

Pomyślała, że pewnie za żadne skarby.

Cała trójka przez chwilę stała pogrążona w milczeniu, słyhać było tylko przyjemny szum samochodów mknących w oddali po międzystanówce, przytłumiony pogłos telewizora oraz trele sójek i drozdów walczących o terytorium wśród grubych gałęzi.

- Powiedz mi, naprawdę jestem ciekaw, jesteś dzisiaj szczęśliwy?

Lincoln podniósł wzrok z ziemi i spojrzał na siedzącego naprzeciwko agenta Meada.

- Radujesz się? Hmmm? Cieszy cię śmierć amerykańskich cywili?

Lincoln zacisnęła szczękę.

- Ja też jestem Amerykaninem, sir.

- Ach tak? No i co? Nie podoba ci się sytuacja w Ameryce? O to chodzi? Dlatego chcesz zmienić ją na lepsze, prawda?

- Nic nie wiem na temat dwóch strzelistych wież i nie wiem, kto ważył się je zniszczyć.

- Oczywiście. - Agent sarkastycznie pokiwał głową. - Wciąż obstajesz przy opowiadaniu pod tytułem „Przybyłem z innej epoki”?

- To jest akurat niepodważalny fakt, sir. Oczywiście, że przybyłem z innej epoki. Agent wzruszył ramionami.

- Dobra... no to jedziemy z tym koksem.

- Jedziemy z tym koksem?

- Opowiedz mi raz jeszcze bajeczkę o podróżowaniu w czasie.

- To nie jest żadne urojenie, sir! Żyję w roku tysiąc osiemset trzydziestym pierwszym.

- Tysiąc osiemset trzydziestym pierwszym, co? Założę się, że cała ta rzeczywistość przytłacza cię swoją nowością.

Lincoln wyczuł, że mężczyzna z niego kpi.

- Oczywiście - odparł oschle. - Dla szanownego pana też wszystko byłoby nowe, gdyby szanowny pan któregoś dnia postanowił pokonać dystans stu siedemdziesięciu lat w czasie.

- Czyli i tobie to wszystko wydaje się dość niecodzienne? Fantastyczne? Futurystyczne?

Pozostali dwaj agenci podśmiewali się po cichu razem ze swoim szefem.

- Cóż, skoro już pan pyta, to w moim odczuciu ten świat jest stanowczo zbyt wulgarny. A przynajmniej ta jego część, którą zdążyłem zobaczyć.

- Wulgarny? - Agent potrząsnął głową. - Pysnie. - Uśmiechnął się ubawiony. - Mów dalej... już prawie, prawie zacząłem ci wierzyć.

Lincoln też wyraźnie odzyskał humor.

- Wszystkie te imponujące budowle i czarodziejskie urządzenia wykraczają poza ramy mojego pojmowania, lecz tylko ślepiec nie zauważyłby, że to amoralny, samolubny świat.

- Doprawdy?

- Oczywiście, sir. I leniwy. Dlaczegoż to wszyscy są tu grubi jak wieprze?

Furgonetka skręciła i zaczęła zwalniać.

- Ach, jesteśmy już prawie na miejscu - poinformował agent. Uśmiechnął się chłodno do Lincoln. - Panowie, którzy będą zadawać ci kolejne pytania nie będą równie pobłażliwi, Abrahamie. Dojdiesz do wniosku, że to nam przypadła rola tych dobrych agentów, wierz mi,

mój drogi.

Słuchali, jak kierowca za przepierzeniem prowadzi z kimś rzeczową, służbową rozmowę.

- Zgnijesz w ciemnym lochu, Abrahamie. Każdy kolejny dzień z reszty twojego życia będzie wyjątkowo nieprzyjemny. Będziesz miał szmat czasu, żeby poważnie przemyśleć sobie to, co zrobiłeś wraz ze swoimi znajomkami terrorystami. Będziesz siedział i myślał o wszystkich niewinnych ludziach, którzy dzisiaj zamienili się w proch.

Usłyszeli czyjś przytłumiony, agresywny głos, chwilę później trzasnął wystrzał z rewolweru.

- Co do cho...?

Głośnie grzmotnięcie w maskę zatrzęsło całą furgonetką, bok karoserii wgiął się do wewnątrz. Trzej agenci zaczęli gmerać w kieszeniach marynarek w poszukiwaniu pistoletów.

Tylne drzwi furgonetki gwałtownie się otwały, do środka wdarły się oślepiające promienie słońca. Lincoln podniósł głowę, blask niemiłosiernie raził zmrużone oczy. Rozpoznał giganta, którego widział wczoraj w magazynie pod arkadami mostu.

Mężczyźni w garniturach, celując z rewolwerów, krzyknęli do olbrzyma, żeby uniośł dłonie... wtedy, jak na zawołanie, po prostu zamarli.

- Na Boga... co to jest? - wysapał agent Mead.

Gigant zatrzymał się i odwrócił zdezorientowany, żeby sprawdzić, co tak nagle przykuło ich uwagę.

Wreszcie Lincoln zrobił to samo. Wyrzwał przez drzwi i ujrzał to na własne oczy... piekło na niebie.

ROZDZIAŁ 25

Quantico, Wirginia rok 2001

Liam i Sal w tym samym momencie wyszli spod osłony nisko zwisających gałęzi cedru, aby lepiej przyjrzeć się błyskawicznie nadciągającemu murowi rzeczywistości, który pędził w ich stronę przez wiejski krajobraz Wirginii.

W pierwszej chwili wyglądało to tak, jakby cały nieboskłon zakrył szelf kontynentalny, jakby skorupa ziemską pękła, a jedna połowa Ameryki Północnej właśnie przygniotła drugą część kontynentu. Ale rzeczywistość nie była zwarta. Kłębiła się i przelewała jak gotująca się ciecz, gnała w ich stronę jak szalona. Niczym odtwarzane w przyspieszonym tempie nagranie z kłębowiskiem wrzących chmur burzowych.

W zalegającej ciemności dawało się dostrzec niewyraźne, przelotne zwiastuny możliwych scenariuszy: fantastyczne budynki, które nigdy nie istniały, wykoślawione stwory nie z tego świata oraz morze udręczonych twarzy - przebłyski ulotnych istnień, ludzi, którzy mogliby żyć, ale nigdy się nie urodzą.

- O kurcze! - Liam przełknął ślinę. - Ta fala będzie całkiem duża, prawda?

Sal potwierdziła skinieniem głowy.

- Tak... gigantyczna.

Zawisła nad nimi. Huk tornado. Wir miotającej się energii. Ciemność. Liam wciąż miał otwarte oczy, uparł się, aby zobaczyć wszystko do końca, pierwszy raz miał okazję oglądać falę z tak bliska, być poza lukiem i na własne oczy widzieć wymazywanie jednej rzeczywistości przez drugą. Przez te kilka krótkich sekund zdążył zobaczyć, jak starożytny rzymski żołnierz przepoczwarza się w półmechaniczną bestię, jak drący się w niebogłosy niemowlak o upiornej twarzy zamienia się w dziewczynkę, kobietę, staruszkę, gnijącą czaszkę - przez te kilka sekund ujrzał całe jej życie.

Potem fala pomknęła dalej.

Liam odprowadził ją wzrokiem. Zygzakowata, falująca, wężo-podobna wstążka czerni ginąca daleko za horyzontem niczym odjeżdżający ze stacji pociąg towarowy.

- Je-zuuu... - Głos uwiązał mu w gardle. Wziął głęboki oddech i spróbował ponownie. - Jezusie, Mario i święty Józefie! Czy... czy kiedykolwiek widzieliście coś podobnego? - wydyszał. Obejrzał się za siebie. Sal klęczała na ziemi wśród rzędów sięgających kolan łodyg jakiejś rośliny: zebranych plonów pszenicy lub jęczmienia.

Liam pomógł jej wstać.

- To... było... niewiarygodne! - Uśmiechnął się do niej z błyskiem szaleństwa w oku.

Sal rozejrzała się wokół.

- Ta była zupełnie inna, Liamie.

Liam nie zwrócił jeszcze najmniejszej uwagi na nowy kształt rzeczywistości - jego umysł zagubił się wśród niezliczonych alternatyw, które dostrzegł w środku fali czasu. Odwrócił się, by spojrzeć na obszar, gdzie jeszcze kilka chwil temu widział Boba, furgonetkę FBI i budkę ochroniarzy.

Stali w samym środku ogromnego, falującego pola łodyg. Zalesiona okolica za ich plecami zniknęła. Pięćdziesiąt metrów dalej zauważył Boba, który stał pogrążony w bezruchu, beznamiętnie przyglądając się otaczającemu światu. Nagle, sekundę później, spomiędzy łodyg wyłoniła się kudłata, zmierzwiona łepetyna Lincolna, który powoli siadał na ziemi.

- Chodź - rzucił Liam do Sal. Podeszli do Boba i Lincolna stojącego już na swoich szcudłowatych nogach. Właśnie zauważył zmierzającego ku niemu Liama.

- Ten... ten sztorm? Ten huragan, to... to...

- Tak, tak. - Liam pokiwał głową. - Właśnie coś takiego dzieje się, gdy wyjmuje się z historii coś, co powinno pozostać tam, gdzie jego miejsce.

- Ma... ma pan na myśli mnie, czyżbym się mylił?

- Nie, nie myli się pan.

Liam rozglądał się po polu, nie mogąc wyjść ze zdumienia.

- Ja... czy próbuje mi pan powiedzieć, że jestem tak ważny dla historii?

- Na to wygląda.

- Dobry Boże!

- Liamie... - cicho wtrącił się Bob.

- Rozumu mi nie starcza, by pojąć co... co... - Lincoln nie przestawał się gorączkować - pojąć, co takiego mogłem w czasie żywota swojego uczynić, żeby w tak wielkim stopniu zmienić otaczającą nas rzeczywistość! - Popatrzył na swoje wielkie dłonie. - Cóż uczyniłyście, żeby tak zmienić świat?

- Liamie... - powtórzył Bob ze wzrokiem skierowanym ku niebu.

- Właśnie - wsparła go Sal. - Liamie... - Ona też wpatrywała się w ten sam punkt. Uporczywie klepała Irlandczyka po ramieniu, bo na pole stopniowo opadał niepokojący cień. Liam wzniosł wzrok ku niebu.

- O ja... - To wszystko, co wypłynęło z jego ust.

Lincoln zdobył się na więcej.

- NA ZĘBY ŚWIĘTEGO BARNABY! - wydarł się. - Cóż to za diabelstwo?

Na niebie zawisł gigantyczny, miedziany kocioł. Nad polem szybowała długa na sto, sto dwadzieścia metrów kupa żelastwa. Od miedzianej blachy odbijał się ciepły blask popołudniowego słońca. Pod podbrzuszem maszyny dyndał podwieszony budynek: labirynt rur i kominów, silosów, drabin i dźwigów, szachownica okrągłych bu-lajów i włazów. Cztery olbrzymie ramiona żurawi kołysały, zawieszonym pod miedzianym lewiatanem, budynkiem jak matka ukochanym niemowlęciem.

Patrzyli, jak wolno przesuwa się nad ich głowami i polem wystrzępionych łądyg, jak zmierza ku innym farmom, które rozciągały się za wznoszącym się kilkaset metrów dalej wzgórzem. Leciał cicho, bez wycia silników, słychać było jedynie wiatr wpadający przez otwory w podwieszonym budynku, trzaskanie napiętych kabli, stukot kołyszących się w powietrzu luźnych łańcuchów.

Wreszcie zaczął opadać ku ziemi jakieś pół kilometra dalej.

Okręt zawisł kilkanaście metrów nad polem, wielkie mechaniczne żurawie nieznacznie się wygięły, opuszczając konstrukcję na ziemię, z ich przegubów buchała sycząca para. Potem z budynku wysunęły się szerokie podpory, które po kilku próbach znalazły oparcie na nierównym gruncie i wyprostowały się z wyraźnym szumem i głuchym odgłosem sprężanego powietrza.

- Shadd-yah! Popatrzcie na to. - Sal skinęła głową - To... czysta rewelacja.

Gigantyczny statek powietrzny powoli wzbijał się w górę, po postawieniu budowli na polu ramiona żurawi zaczęły chować się w podbrzusze. Po chwili dostrzegli ruch. W budynku otworzyły się duże drzwi i ze środka wysunęła się szeroka rampa, która opadła na ziemię. Wreszcie pojawiło się coś, co wydało im się niejasno znajome... po rampie zjechał buchający parą traktor na gąsienicach, za nim zaś kolejne. W końcu z wnętrza konstrukcji wypłynął strumień postaci.

Kominy fabryczne na dachu zaczęły wypuszczać kosmyki dymu, potem usłyszeli stukot i brzęk uruchamianej na polu maszynierii.

- To przenośna farma! Nic innego! - Liam się zaśmiał. - Farma, którą można przenosić z jednego miejsca w drugie!

Lincoln osłonił oczy ręką.

- Czy ta futurystyczna budowla nie jest typowa dla waszej.

- To rzeczywiście nasza epoka, panie Lincoln - odpowiedziała Sal. - Ale zupełnie inna jej wersja. Wszystko się pozmieniało.

- Ale nie my. - Lincoln nie potrafił dojść z tym wszystkim do ładu. - Jakże to możliwe?

- To pewnie dlatego, że nikt z nas nie powinien się tu teraz znajdować.- Liam spojrzał pytająco na Boba.

- Potwierdzam. Żadne z nas nie powinno żyć w roku dwa tysiące pierwszym i być częścią tej rzeczywistości, dlatego nie dotknęły nas zmiany wywołane falą czasu.

Liam patrzył na wznoszący się w powietrze sterowiec.

- Znajdźmy na razie jakąś kryjówkę i zorientujmy się, do jakiego świata trafiliśmy. Wszyscy za?

Pozostali kiwnęli głowami.

Liam rozejrzał się i po drugiej stronie skoszonego pola dostrzegł budynek wyglądający na opuszczoną stodołę.

- No to idziemy - zakomenderował.

Sal po raz kolejny zerknęła na wzbijający się z gracją ku niebu okręt powietrzny. Dało się w nim wyróżnić segmenty, które wraz ze wzrostem wysokości zaczęły się rozciągać i rozszerzać, a potem składać teleskopowo wzdłuż gładkiego kadłuba, nadając okrętowi wygląd zabytkowej łodzi podwodnej.

- No chodź, Sal! - krzyknął za nią Liam.

Jeszcze raz spojrzała na niedawno rozłożony budynek, bardziej przypominał jej fabrykę niż farmę. Patrzyła też na małe postaci, które schodziły po rampie na pole i znikwały w oddali wśród pól pszenicy lub jęczmienia, czy co to tam było. Poruszały się w osobliwy sposób: posuwisty, pokraczny chód sprawiał, że wyglądały dziwnie ciężkavo, dziwnie małpio.

- Sal?

- Idę już... idę.

ROZDZIAŁ 26

Nowy Jork rok 2001

Maddy zakołysała się na piętach. Potem, na krótką chwilę, znalazła się w powietrzu. Leżące przed nią przedmioty przez mgnienie sekundy unosiły się niecały centymetr nad biurkiem. Przytrzymała się rogu blatu, żeby odzyskać równowagę, bo cała baza gwałtownie się przechyliła, po czym zatrzęsała się pod wpływem miażdżącego zderzenia z czymś twardym pod nimi.

„Na pewno pod?”

Z dachu opadał deszcz żwiru i tynku, odpadło kilkanaście cegieł, wszystko to grzmotnęło na podłogę i eksplodowało chmurą ceglanego pyłu.

- O mój Boże... czy to było trzęsienie ziemi?

Jednocześnie zamrugały wszystkie światła biura terenowego i ekrany komputerów, na zapleczu dało się słyszeć ogłuszający łomot, jakby właśnie runął cały dach.

Otoczona ciemnością Maddy niespokojnie wsłuchiwała się w dochodzące z każdego zakamarka odgłosy pożogi i chaosu, zastanawiając się, czy przypadkiem zaraz nie zawali się na nią cały most Williamsburg.

Dudnienie poprzedzające „trzęsienie ziemi” ucichło, zapanowała cisza przerywana rytmicznym szelestem piasku sypiącego się z poluzowanych cegieł sufitu.

- Beki? Żyjesz?

- Potwierdzam - gdzieś w ciemności rozbrzmiał głos jednostki.

Maddy zaczęła szperać po biurku, pod palcami wyczuwała puste puszkę po napojach gazowanych, długopisy i podkładki... wreszcie wymacała inhalator. Włożyła ustnik między zęby i wzięła głęboki oddech, z inhalatora prysnęło lekarstwo i rozluźniło ściśnięte gardło.

- Mój Boże... myślałam, że to była fala.

- Prawdopodobnie to była fala - odparła Beki. Jej głos dochodził teraz z większej odległości, spod drzwi.

Maddy lekko potrąciła nogą jedno z krzeseł, po czym z ulgą na nim usiadła.

- Poprzednie nie były tak silne.

Słyszała, jak Beki przy czymś majstruje.

- Do napędu rolety nie dochodzi prąd.

Maddy rozejrzała się po pograżonym w ciemności pomieszczeniu. Nie paliły się nawet diody LED. „W ogóle nie ma prądu” - pomyślała. Generator na zapleczu już dawno powinien się uruchomić. Powinna już słyszeć jego rytmiczny furkot. Ale nie słyszała nic.

- Podnieść roletę? - spytała Beki.

Serce dziewczyny mocniej uderzyło na samą myśl o nowej rzeczywistości. Po krótkiej lewitacji i potwornym upadku sekundy później nie była pewna, czego się spodziewać. Ale wiele nie osiągnie, siedząc tylko w tych ciemnościach i ściskając w dłoniach inhalator.

- Tak. Podnieś.

Usłyszała dźwięk przekręcanej korby i brzęk mechanizmu, po kilku sekundach przyzwyczajone do ciemności oczy wyłowiły wpeł-zającą dołem, niewyraźną wstęgę jasności. Gdy zrobiła się szersza i jaskrawsza, a do bazy wpłynął obłok dziennego światła, Maddy z przerażeniem wstrzymała oddech. Na podłodze zalegała gruba warstwa gruzu i roztrzaskanych cegieł, na całej jej długości biegło głębokie wyżłobienie - wielkości dłoni w najszerszym punkcie - ukazujące stare rury i zakurzone kable.

Podejrzewała, że cały łuk i wszystkie filary podporowe mostu są konstrukcyjnie niestabilne i grożą zawaleniem. Nawet jeśli jakimś cudem uda im się wydostać z tej kabały i powrócić do normalności, to pewnie będą musieli znaleźć jakiś nowy dom.

Ta myśl wyjątkowo ją przygnębiła. Uświadomiła sobie, jak bardzo przywiązała się do tego miejsca. Przecież kiedy wszystko wokół zamienia się w kłębowisko chaosu, ten brudny loch to jedyna kotwica, jedyna stała. We wszystkich dotychczasowych przygodach, które razem przeżyli, tylko to nie ulegało zmianie - ta baza, to biurko, to krzesło - tylko tu można było szukać schronienia, lizać rany i zastanawiać się nad rozwiązaniem kolejnych problemów Maddy wstała i ruszyła przez zawaloną gruzem podłogę w stronę coraz szerszej wstęgi światła. Ich uliczka zamieniła się w gruzowisko. Spomiędzy kamieni wyrastały chwasty.

Przywiodło jej to na myśl apokalipsę, którą urządził Kramer. Może historia w jakiś dziwny sposób zatoczyła koło i znowu znaleźli się w tamtym alternatywnym świecie, otoczeni koszmarnym krajobrazem napromieniowanych ruin i żalonych stworzeń, które niegdyś były ludźmi.

Stanęła obok Beki.

- Wystarczy, nie podnoś wyżej - wyszeptała. Jeżeli po drugiej stronie czaiły się przeraźliwie potwory gotowe przypuścić atak, lepiej nie otwierać rolety zbyt szeroko. Nerwowo przygryzła wargę.

- Nie jestem pewna, czy chcę na to patrzeć.

Beki milczała. Jej beznamiętne, szare oczy nie wyrażały zupełnie nic. Czekwała na rozkazy Maddy.

- No dobra... nie ma co się egzaltować jak pensjonarka - wymamrotała, po czym schyliła się pod roletę i wyszła na zewnątrz. Wciąż jeszcze klęcząc, rzuciła pierwsze spojrzenie na nową czasoprzestrzeń.

- Och... słodki Jezu...

Beki opadła nisko i dołączyła do niej na zewnątrz. W tym samym momencie podniosły się z kolan i weszły w nową rzeczywistość.

Ledwie rozpoznawała Nowy Jork. Unoszący się nad ich głowami most Williamsburg urywał się powykręcany zlepkami kabli, torów kolejowych i fragmentów asfaltu. Żelastwo zawisło tuż nad nurtem East River. Przez miasto jakiś czas temu musiała przetoczyć się wojna.

Baza przycupnęła teraz pod dziwnym kątem na dnie wielkiego, wąskiego leja po bombie. Amerykanka niepewnym krokiem wspięła się kilkanaście metrów po krótkim zboczu i wyjrzała poza nierówną krawędź krateru.

W połowie szerokości East River dostrzegła kikuty centralnych filarów podporowych mostu. Leżący przy drugim brzegu rzeki i skąpany we mgle Manhattan zamienił się w księżycowoszarą gruzowisko nakrapiane kruchymi szkieletami zbombardowanych budynków - przypominał kilkanaście dłoni ze złamanymi palcami oskarżycielsko skierowanymi ku niebu.

Dawno temu, teraz zdawało jej się, że było to w zupełnie innym wcieleniu, Maddy grała w grę komputerową o nazwie Call of Duty, strzelankę z czasów drugiej wojny światowej. Jeden z lepszych scenariuszy w grze wieloosobowej osadzono wśród ruin zbombardowanego Stalingradu, w labiryncie wybebeszonych, na wpół zawałonych budynków, wielkich wyrw w ziemi i odsłoniętych piwnic. Krajobraz, na który patrzyła w tej

chwili, był ludzaco podobny.

Odwróciła się, żeby zobaczyć, co zmieniło się po ich stronie rzeki. Brooklyn był niemal równie nierozpoznawalny. Choć tutaj skala zniszczeń wydawała się mniejsza, to większość budynków zamieniła się w opuszczone skorupy - zrujnowane, zniszczone przez atak artylerii lub zbombardowane i szerniały od sadzy. Tu i ówdzie ostały się jednak nietknięte niemal budowle. Fabryka na prawo od nich, za zdemolowanym nabrzeżem i lejami po bombach, nie miała co prawda dachu, ale zachowały się wszystkie cztery ściany z rzędami pustych wnek po oknach, tynk znaczyły dziury, wyrwy i wyżłobienia - pamiątki po odłamkach i pociskach.

- To strefa wojenna - odezwała się wreszcie Maddy.

Beki podeszła do niej i potakująco skinęła głową.

- Potwierdzam. Zebrałam sporo dowodów, miasto od wielu lat jest areną walki.

- Nie żartuj - sarknęła Maddy.

- Patrz! - rzekła Beki, wskazując niebo.

Maddy podążyła wzrokiem za jej palcem i przez opary - zakrywające niebo niczym jesienna mgła zawieszona tuż nad ziemią - dostrzegła upiorny zarys kilku wielkich kształtów poruszających się wolno, acz niestrudzenie niczym stado wielorybów.

- Co to u licha?

- Statki powietrzne?

- Zbyt wolne jak na samoloty - zauważyła Maddy. - I za duże. To już bardziej balony lub zeppelin.

Obserwowały niewyraźne kształty manewrujące w powietrzu, szereg nieregularnych wyrzyszeń wieńczących długie i smukłe jak u okrętów kadłuby sprawiały, że wyglądały niczym upiorne pancerniki.

Przez opary trysnął stroboskopowy promień światła. Odległy błysk na chwilę rozświetlił wyszczerbiony jak zęby bezdomnego horyzont zbombardowanych budynków. Niespodziewanie usłyszały perkusyjne grzmotnięcia eksplozji.

- To chyba nalot - wyszeptwała Maddy.

- Wojna trwa - oznajmiła Beki.

Maddy popatrzyła na drugą stronę rzeki, na ruiny Manhattanu. Mgła prawie się rozviała. Dostrzegała kolejne szczegóły. Zauważyła ruch. Błysk metalu, coś, co wyglądało jak wieża strzelnicza obracająca się z wolna na platformie artyleryjskiej. Wśród chaosu zdewastowanych drapaczy chmur, płataniny kabli, walących się pięter oraz wzgórz gruzu i kurzu dostrzegła regularne, uporządkowane kształty schronów i bunkrów.

Odwróciła się plecami do rzeki i Manhattanu, żeby obejrzeć północny zachód miasta, Brooklyn i Queens, a właściwie to, co zostało z tych dzielnic. Za magazynami bez dachów i bezużytecznymi dźwigami przemysłowymi, za opuszczonymi i pokrytymi bliznami pocisków blokami mieszkalnymi, znowu zauważyła wyraźne kontury pierwszej linii frontu.

- Fantastycznie - wymruczała. - Po prostu fantastycznie.

- O co chodzi, Madelaine?

Odwróciła się i wskazała łuk - niewiele więcej niż stertę kruszejącej czerwonej cegły, która jakimś cudem nie zdążyła się jeszcze zawalić.

- Tam za rzeką biegnie linia frontu... a po tej stronie, tam, to chyba kolejne okopy. Pomyśl, to oznacza, że obszar, na którym stoimy... to ziemia niczyja.

Przedstawiająca żaloszny widok baza leżała na dnie wielkiego leju po bombie na wpół zagrzebana pod gruzami. Krater wyglądał na starą wyrwę z czasów poprzedniej wojny. W połowie jego szerokości biegł płytki rów, w niektórych miejscach obłożony workami z piaskiem, w innych całkowicie zasypany. Porzucona transeja... stara, opuszczona linia frontu.

Zastanowiło ją, kim są żołnierze kryjący się wśród ruin Manhattanu. Odwróciła się i spojrzała na oznakowania konstrukcji obronnych wśród zniszczonych przemysłowych ruin Brooklynu, ciekawa, kto się tam okopał. Nie, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Ponownie spojrzała na bazę, która wyglądała jak hałda ocalałych i ponownie wykorzystanych cegieł ze starej kamienicy czynszowej, którą wyburzono, by na jej miejscu wybudować coś nowego; kopczyk rozłupanych kamieni na skraju placu budowy. Sytuacja wewnątrz bazy - dopóki doszczętnie się nie zawali - pewnie przedstawia się tylko odrobinę bardziej różowo: delikatny sprzęt, komputery, płyty główne... przecież żadna z tych rzeczy nie miała prawa ocaleć po takim wstrząsie.

- Lepiej chodźmy do środka sprawdzić, czy coś jeszcze działa - odezwała się wreszcie.

ROZDZIAŁ 27

Nowy Jork rok 2001

Nalot przeszedł kilkanaście kilometrów dalej, ale podłoga pod stopami pułkownika Williama Devereau i tak wibrowała od rezonansu. Wyglądało na to, że chłopcy z północnej linii frontu, z Queens, dostają solidne manto. Lubili skurczybyki zrzucić parę bombek co kilka dni. Przypominali, że w powietrzu to oni są górą i mogą zaatakować dosłownie każdy odcinek linii frontu, jeśli tylko zechcą.

Nie, żeby mogli dzięki temu wygrać wojnę.

Nalot dywanowy doprowadziłby pewnie do powstania jakiejś setki nowych kraterów, przeniósłby gruzy z jednego miejsca na drugie i, przy odrobinie szczęścia, zabiłby kilkudziesięciu żołnierzy wroga, ale to by było na tyle. Okopali się przecież wzdłuż nowojorskiej zony głęboko, niczym kleszcze. Zniszczenia mogły mieć wymiar co najwyżej psychologiczny.

Devereau wyciągnął pogniecioną paczkę papierosów, francuskich gitanów. Cholerstwo gorzkie jak piołun, ale i tak o niebo lepsze niż to amerykańskie siano niszczące płuca. Zapalił, zaciągnął się i wycharkał na podłogę grudkę gęstej flegmy. Mógł co prawda rzucić palenie, lecz statystycznie rzecz ujmując, najpewniej zginie wcześniej od kuli snajpera albo rozplaszczy go bomba zrzucona przez eskadrę bombowców.

„Szybciej niż rak”.

Wziął do ręki poranny oficjalny komunikat z naczelnego dowództwa i czubkiem bagnetu otworzył zalakowaną kopertę. Jego francuski był co najwyżej znośny. Dość swobodnie czytał w tym języku, chociaż potrafił powiedzieć po francusku trzy zdania na krzyż. Telegraficzne komunikaty... te same bzdury, co zwykle: wojna toczy się po naszej myśli, linia Sheridana-DeGrise'a ciągnąca się od Atlantyku na zachód przez całą Amerykę jest pilnie strzeżona, żołnierze zasłużyli na gorące podziękowania narodu, który prosi ich, aby kontynuowali swój trud wojenny Devereau zmiażdżył komunikat w kulkę i cisnął ją na swoje małe biurko. Raptem kilku jego żołnierzy szczątkowo znało francuski; gdyby zechciał, mógłby im powiedzieć wszystko, na co przy-szłaby mu ochota. Francuski pozostał językiem dowództwa. Generałowie Unii pochodzili z importu, większość miała świetne koneksje: byli to synowie miliarderów z Paryża, którzy zapragnęli uszczknąć choć mały kawałek wojskowej sławy z wojennego tortu, zanim powrócą do spokojnego, dostatniego życia w kontynentalnej Europie.

Szeregowcy natomiast - biedne łotry kulące się teraz w swoich bunkrach z nadzieją, że bombowce nie odbiją zbyt na południe - to w większości miejscowe chłopaki, gówniarze z Michigan, Pensylwanii, stanu Nowy Jork, Ohio. Synowie i wnukowie żołnierzy, którzy trzymali tę linię dla Unii przez ostatnie sto trzydzieści pokręconych lat.

Sucho zaśmiał się do swoich myśli. Dawno, dawno temu była to Unia Północnoamerykańskich Stanów, ale to już przeszłość. „Unia” została tylko w nazwie, nie rządzą nią już ani amerykańscy generałowie, ani amerykańscy prezydenci.

Westchnął. Już dawno temu zrezygnował z prób tłumaczenia żołnierzom, że Francuzi i ich europejscy sojusznicy nie przybyli tu, żeby wspierać ich finansowo i pomóc w zrealizowaniu marzenia o zjednoczonym narodzie wolnych ludzi. Robili to w swoim

własnym, partykularnym interesie. Kierowały nimi polityczne pobudki bardzo misternej natury. Ciężko było wytłumaczyć to wszystko młodym mężczyznom, którzy ledwo umieli czytać i pisać.

Nie mówiąc już o tym, że nieuważna paplanina o francuskich dobroczyńcach mogłaby się skończyć wypaleniem pożegnalnego gi-tana przed pospiesznie zebrany pluton egzekucyjnym.

No ale nic to, fais ce que dois, advienne que pourra - czyń, co musisz, nie bacząc na konsekwencje. Na mokrej ścianie w małym pokoiku w bunkrze, pomiędzy kawałkami oskubanego tynku, wisiało stare, oprawione w drewnianą ramkę, zdjęcie w sepii. Rarytas kolekcjonerski.

Devereau stanął naprzeciwko zdjęcia i przyjrzał się generałom siedzącym obok siebie na polowych krzesłach. Wszyscy uśmiechali się do fotografa, przechylając na jedną stronę reprezentacyjne szable. Byli to generałowie z dawnych dni, z pierwszego okresu wojny secesyjnej. Dumni synowie Ameryki: Meade, Sherman, Grant, Hancock; bujne wąsy i butne uśmiechy pod miękkimi filcowymi kapeluszami. „Żołnierzom łatwo było walczyć i ginąć dla takich ludzi - pomyślał. - Za taką ideę. Za zjednoczoną Amerykę. Za wolność”.

Ze smutkiem pokiwał głową.

„Ale nie za to - westchnął w duchu - nie za to, w co zamieniła się ta niekończąca się wojna: kolejne pokolenia amerykańskich chłopców z jednej strony umierały za Francuzów...”.

Pokój zadrżał od huku działa artyleryjskiego.

„...z drugiej zaś za Anglików”.

ROZDZIAŁ 28

Quantico, Wirginia rok 2001

W opuszczonej stodole śmierdziało kompostem, popołudniowe światło wdzierało się do środka przez poluzowane deski, padając na ociążale fruujące kłębki kurzu.

- Na razie musi to nam wystarczyć - wysapał Liam, łapiąc oddech.

Lincoln usiadł na beli suchego siana.

- Młoda damo - podjął równie umęczonym głosem - i panowie... oto znowu się spotykamy, trzeci raz zgodnie z moimi rachunkami. - Zmarszczył brwi. - Pan Liam, Liam O'Connor, jeśli mnie pamięć nie zawodzi?

- Tak.

- Proszę... powiedzcie mi, proszę, czy fakt, że w porę uciekłem z waszego lochu pod

mostem może być przyczyną wszystkich tych... przemian?

Liam zaśmiał się rozpaczliwie.

- Obawiam się, że tak... To oraz fakt, że zupełnie nie w porę wskoczył pan do naszego okna w Nowym Orleanie, panie Lincoln - to właśnie jest przyczyna wszystkich tych przemian. Tylko to. Trochę to było nierozważne... i niezbyt mądre z pana strony, jeśli mam być szczery.

- Jest pan temporalnym wynaturzeniem - zagrział Bob. - Dopóki nie zostanie pan odstawiony wprost do swojej sygnatury czasowej, historia pozostanie skażona, a ta oś czasu nie zniknie.

Sal uraczyła go zmęczonym uśmiechem.

- Okazał się pan bardzo psotnym młodzieńcem.

- Wszystko na to wskazuje. - Lincoln wbił wzrok w ziemię z ponurym wyrazem twarzy. - Chyba jestem państwu winien przeprosiny.

W stodole robiło się coraz goręcej, Liam rozpiął i zdjął kurtkę, czyli jedną z wielu bawełnianych bluz z kapturem z logo drużyny sportowej, które Sal kupiła mu jakiś czas temu w Wal-Marcie. Zakładał je, nie mając pojęcia, kim są Jankesi, Czerwone Skarpety albo Byki - i szczególnie się o to nie troszcząc.

- Bob, co proponujesz?

- Rekomendacja: powinniśmy pozostać tu przez chwilę, Liamie, i poczekać na sygnał tachionowy. Znają naszą lokalizację. Madelaine spróbuje otworzyć nam okno powrotne.

- O ile to w ogóle możliwe - odparł Liam.

- Potwierdzam. O ile to możliwe. - Bob pokiwał głową.

Lincoln podniósł wzrok.

- Wasza maszyna do podróżowania w czasie uległa awarii?

- Wehikuł translokacyjny jest zasilany prądem. Pobieramy go z miejskiej sieci energetycznej... a potrzebujemy bardzo dużo prądu - odparł Liam, odpinając guziki kamizelki.

- Jeśli Nowy Jork się zmienił, a zasilanie padło, to mamy problemik.

- W bazie jest też na szczęście generator - zauważyła Sal.

- Jasne. Czasem się przydaje.

- Maddy już go pewnie uruchomiła - odpowiedziała dziewczyna. - Ładowanie wehikułu nie trwa długo.

- Potrzebna nam tylko translokacja przestrzenna - zauważył Bob - do aktywowania takiego portalu powrotnego nie potrzeba wielkiego ładunku. Szacuję, że wystarczy jedynie trzy procent.

Sal zerknęła przez deski.

- Sami widzicie... długo nie będziemy musieli czekać.

- A co jeśli ten portal nigdy się nie pojawi? - spytał Lincoln. - Co wtedy? Zostaniemy w tu na zawsze?

- Jahulla! - Sal zrobiła kwaśną minę. - Zawsze jest pan takim malkontentem?

Wzruszył ramionami.

- Żaden drwal nie ściął jeszcze drzewa, uśmiechając się tylko do niego jak głupiec.

Liam ściągnął usta.

- Bardzo to poetyckie - skomentował i dołączył do Sal, która patrzyła na pracującą w oddali farmo-rafinerię oraz flotę buchających parą traktorów i kombajnów jeżdżących po polu. Pierwsze pojazdy wjeżdżały już z powrotem na rampę i znikwały w bramie prowadzącej do pogrążonego w ciemności, przepastnego magazynu, w którym robotnicy zapewne zrzucali zebrane plony. Pojazdy przywodziły na myśl termity karmiące królową. To obrzydliwe porównanie przyprawiło Liama o lekki dreszcz.

- Jeśli Maddy będzie miała problemy ze sprzętem... - zaczął.

„Jezu, przecież zawsze je ma”.

-... wtedy chyba nie możemy czekać na portal powrotny - analizował Liam.

- Zaraz! - przerwała mu Sal. - Może tego spróbujemy. - Wyciągnęła telefon komórkowy z kieszeni bluzy z kapturem, otworzyła klapy i wybrała numer Maddy z menu szybkiego wybierania, po czym przystawiła aparat do ucha. Odczekała kilka sekund i ze zrezygnowaniem pokręciła głową. - Nie ma sygnału.

Liam znowu wyjrzał przez szpary w deskach i popatrzył na niebo - niebieskie i bezchmurne, zupełnie jak w normalnej wersji jedenastego września. Słońce już od godziny spadało z zenitu, miedziany blask odbijał się od kadłuba okrętu powietrznego, który choć unosił się kilka kilometrów dalej, wciąż wyglądał monstrualnie.

- Jeżeli przed zmrokiem Maddy nie da znaku życia, to na pewno ma problemy. Brak prądu najprawdopodobniej. - Wzruszył ramionami. - A to z kolei oznacza dobrą i złą wiadomość.

Sal odwróciła się zaciekawiona.

- Najpierw zła, Liamie. Zawsze trzeba zaczynać od złych wiadomości.

- Jak chcesz... no to zła wiadomość: będziemy musieli wrócić do domu na piechotę. Teraz dobra: jeżeli padło zasilanie, to wysiadło też pole wokół bazy, a to oznacza, że nie zresetuje się bez nas. - Spojrzał na Boba. - Według mnie dziś w nocy powinniśmy wyruszyć na północny zachód, do Nowego Jorku. Jak myślicie?

- Potwierdzam. To dobry plan. Jeżeli podążymy do Nowego Jorku prostą drogą, będę mógł wykryć każdy wąski strumień ta-chionów wysłany przez Maddy.

- Dzisiaj? W nocy, sir? - niedowierzał Lincoln. - Na pewno w nocy? Dlaczegoż to chcecie wracać do domu nocą? Przecież mrok to odwieczny sprzymierzeniec łotrów, niktzemników i złodziei wszelkiej maści.

Liam nie odrywał wzroku od unoszącego się w oddali obiektu.

- Nie wiem jak wy, ale mnie odrobinę niepokoi ten widok. To bardzo zaawansowana technologia, prawda Bob?

Jednostka pomocnicza stanęła obok niego przy ścianie stodoły i wyrzała na zewnątrz.

- Ten okręt powietrzny jest prawdopodobnie napędzany paliwem lżejszym od powietrza.

- Czyli... jak balon? Jak jeden z tych nazistowskich sterowców?

- Potwierdzam. W pojazdach naziemnych zainstalowano silniki spalinowe. Podobną technologię wykorzystuje się na normalnej osi czasu. - Odwrócił się do Liama. - Po bliższej inspekcji moglibyśmy dużo precyzyjniej ustalić, na jakim poziomie technologicznym znajduje się cywilizacja na tej alternatywnej osi czasu.

- Hmm... chyba lepiej, żebyśmy nie przeprowadzali tej bliższej inspekcji? - Liam poklepał Boba po plecach. - Nie no, świetny pomysł, Bob, ale jeśli mam być z tobą całkiem szczerzy, postąpimy najmądrzej, jeśli cichutko wrócimy jak najszybciej do domu.

- Zgadza się - poparła go Sal. Chciała jeszcze dodać, że trochę zaniepokoił ją wygląd pracowników rafinerii, którzy zeszli po ram-pie. Z tej odległości sprawiali wrażenie trochę większych kropek, ale poruszali się w złowieszczo nienaturalny sposób. Nie jak ludzie.

- Będziemy maszerować nocą, panie Lincoln - powiedział Liam. - Za dnia od razu nas zauważą z tych swoich wielkich podniebnych łajb.

- Marsz nocą - burknął Lincoln. - Cóż, panie O'Connor, miejmy tylko nadzieję, że po zmroku to dużo bardziej bezpieczny świat niż mój... dom - moje miejsce - moja czasa... - Zająknął się na końcu zdania. Wciąż nie mógł oswoić się z dziwnym językiem podróżników w czasie.

- Ach, ja bym się tak nie zamartwiała - uspokoiła ich Sal. - Mamy przecież ze sobą dużego, groźnego Boba. Zatroszczy się o nas.

- Potwierdzam. Jestem jednostką pomocniczą. Zapewnienie pańskiego bezpieczeństwa, panie Lincoln, to główny cel misji. Zostanie pan bezpiecznie przetransportowany do nowojorskiego biura terenowego, z którego powróci pan do tysiąc osiemset trzydziestego pierwszego roku.

- Zresztą - Sal przywołała na twarz słodki uśmiech - jestem pewna, że Maddy rozrusza generator i wkrótce otworzy portal, prawda, Liamie?

Próbował zmusić się do podobnego optymizmu. Nie udało się. Zamiast tego sceptycznie uniósł brew.

- Mówisz zapewne o jakiejś innej drużynie.

- Hmm? Dlaczego?

- Sal, to jasne jak słońce. Tylko nie myślcie, że próbuję być większą zrzędą niż nasz nowy tyczkowaty przyjaciel... przecież my zawsze musimy coś spać - odparł spokojnie.

ROZDZIAŁ 29

Nowy Jork rok 2001

Maddy ze złamanym sercem patrzyła na kopczyk zalegającego na zapleczu kurzu. Kompletnie zawalił się fragment sufitu. Przez wyszczerbioną dziurę w ceglanej konstrukcji do pomieszczenia wpadały promienie słońca. Cegły spadły na dwie próbówki hodowlane, podłogę pokrywały kawałki plastikowej obudowy i proteinowy roztwór wraz z zarodkami. Nic już nie można było zrobić dla dwóch egzemplarzy hodowlanych - małego Boba i małej Beki - oba były martwe.

- O Boże... o nie, to obrzydliwe.

Stosunkowo nowy generator też był zniszczony, obudowa porysowana i wgnieciona. Panel po jednej stronie odpadł całkowicie i zawisł na postrzępionych resztkach kabli.

Wszystkie zniszczenia powstały, gdy łuk znalazł się w tej alternatywnej rzeczywistości i uniósł kilkadziesiąt centymetrów nad kraterem. Baza grzmotnęła na ziemię z wysokości niemal metra. Ten wstrząs wystarczył, aby zburzyć starą ceglana budowlę spajaną przez kruchy cement, modlitwy i grawitację.

- Oszacowałam uszkodzenia, Madelaine. Konstrukcja jest groźnie nadwerężona.

Dziewczyna bez słowa skinęła głową.

- Generator stracił gotowość operacyjną, ale prawdopodobnie można go naprawić. Najpierw będę musiała odrzucić wszystkie cegły, aby ocenić poziom uszkodzeń. - Beki wskazała zdewastowane słoje. - Tych dwóch cylindrów nie da się naprawić. Pozostałe trzy próbówki hodowlane nie zostały uszkodzone, ale jeśli nie odzyskamy prądu w przeciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin, pływające w środku zarodki zgniją.

- Nie no, coraz lepsze wieści - odrzekła Maddy. Przeraziło ją brzmienie jej głosu: drżącego, niepewnego, nieznacznie wyraźniejszego od szeptu.

Beki spojrzała na nią, zupełnie nie chwytając ironii.

- Nie. Mam tylko złe wiadomości, Madelaine.

Maddy skinieniem głowy rozkazała Beki kontynuować.

- Antena transmisyjna padła.

Maddy zaklęła pod nosem. Antena transmisyjna to bardzo ważny element wyposażenia, stosunkowo mały, ale wykonany z niezwykłą precyzją talerz do przesyłania tachionów, który zainstalowano w kącie zaplecza. Do tej pory urządzenie nigdy nie zwróciło zresztą jej szczególnej uwagi. Zawsze spełniało swoją funkcję, nie wymagało konserwacji. Wiedziała o jego istnieniu, ponieważ całkiem niedawno - ze zwykłej nudy - przeglądała znalezioną gdzieś listę komponentów technologicznych bazy.

Rozprysła się na jajecznicę: pajęczyna cienkich drucików i roztrzaskanego jasnożółtego silikonu. Maddy wiedziała, co to oznacza.

- Nie możemy wysłać sygnału Bobowi?

- Potwierdzam. Poza tym nawet gdybyśmy miały dostęp do źródła prądu, nie byłybyśmy w stanie otworzyć ani zamknąć żadnego okna translukacyjnego.

Słowa Beki długo torowały sobie drogę do świadomości Maddy.

- Co powiedziałaś?

- Za pomocą tej samej anteny wysyłamy komunikaty i generujemy impulsy tachionowe niezbędne do aktywacji portalu, Madelaine. Bez anteny transmisyjnej nie możemy otworzyć okna ani zrobić nic użytecznego. Bez anteny biuro terenowe nie istnieje.

Maddy poczuła, że jej nogi drżą i uginają się jak zapalki, nagle opadła na kolana pośród sterty czerwonej cegły i tynku. Po jej umorusanej twarzy niekontrolowanym strumieniem spłynęły łzy, żłobiąc czyste korytka w warstwie kurzu.

- Madelaine? Dobrze się czujesz?

- Nie, nie bardzo - wydukała Maddy, po czym ukryła twarz w dłoniach.

Cegły poruszyły się i zsunęły, gdy Beki obeszła gruzowisko i ostrożnie przy niej uklękła. Złapała dłoń Maddy i delikatnie odciągnęła ją od jej twarzy. Przez chwilę przyglądała się zmrużonym za okularami oczom Amerykanki, były czerwone i zapuchnięte.

- Dlaczego płaczesz? - spytała łagodnie, niemal czule.

Maddy pociągnęła nosem i wierzchem dłoni przetarła policzki.

- Co mam teraz, do cholery, zrobić? Wszystko się pochrzaniło. Jesteśmy skończeni. Równie dobrze możemy... nie wiem... walnąć się do góry brzuchem... i... i...

- To nie jest rozsądny sposób postępowania, Madelaine.

Maddy popatrzyła na nią. Beki pozostała niewzruszona i spokojna. Wyglądała jak

siedzące na stercie cegieł dziecko, mała dziewczynka z czasów wojny, która serwuje herbatkę porwanym lalkom na zgliszczach własnego domu, z uporem ignorując otaczającą rzeczywistość.

- Nie rozumiesz, Beki? Nic tu po nas. Przepadło.

Wstała i powoli podeszła do drzwi głównego pomieszczenia, rozkopując po drodze leżące na podłodze cegły. Zostawiona sama sobie Beki wciąż klęczała na kolanach, cierpliwie czekając na dalsze instrukcje.

- Madelaine?!

Maddy rozejrzała się po zabałaganionej bazie. Fruwający od pół godziny kurz opadał, zostawiając po sobie cienką, mleczną powłokę oblepiającą wszystko wokół.

- Madelaine?! - ponownie zawołała Beki. Głos jednostki dochodzący z zaplecza, zazwyczaj mocny, rozkazujący i zaskakująco głęboki jak na kobiecą postać, brzmiał teraz niemal jak pobekiwanie opuszczonej owieczki.

Maddy przestąpiła ponad szerokim pęknięciem w betonie i przeszła pod otwartą roletą, żeby spojrzeć na szare ruiny Nowego Jorku. Smugi dymu znaczyły horyzont północnej dzielnicy miasta, Queens, na którą wcześniej spadały bomby. Łososiowe słońce - znikające za udręczonymi szkieletami Manhattanu, które niegdyś dumnie górowały nad miastem - nierównymi pociągnięciami świetlistego pędzla malowało krajobraz ziemi niczyjej. Była to jedyna barwa odznaczająca się od wyblakłego krajobrazu.

Słaby głos Beki ponownie rozbrzmiał echem pod arkadami.

- Madelaine! Czekam na rozkazy.

Amerykanka zignorowała jednostkę pomocniczą, która została w gęstniejącej ciemności sama, porzucona jak osierocone dziecko.

- Madelaine?

Jeden krok za drugim w coraz gęstszym zmierzchu... każdy kolejny krok przychodził łatwiej niż poprzedni. Zrozumiała, że może odejść. Zostawić to wszystko. Zostawić obowiązki, o które nigdy nie prosiła. Zostawić tajemnice, o których nie chciała nic wiedzieć. Skoro ich biuro terenowe zamieniło się w ruinę z kupą popsutych maszyn w środku, to co za różnica czy zostanie, czy odejdzie?

Wreszcie to zrozumiała. „Mogę odejść”.

Odwróciła się od East River, Manhattanu i zachodzącego za wyspę słońca i zwróciła twarzą ku ruinom Brooklynu, ku Bostonowi...

„Tam jest dom”.

Może na tej osi czasu spotykały się, zakochiwały i rodziły dzieci dokładnie te same

pary, może gdzieś na północnym zachodzie, w jej rodzinnym mieście, żyła sobie mała okularnica o kręconych, czerwonorudych włosach, która wolała majstrować przy zestawie elektronicznym taty niż bawić się lalkami Barbie. Może dom nie zniknął. Może mama i tata to wciąż te same osoby. Może zdoła im wyjaśnić kim jest, wytłumaczyć, że jest ich córką, tyle że dziesięć lat starszą. Oni zyskaliby córkę, a ich jedynaczką starszą siostrę.

Siostrę, która potrafiłaby zrozumieć ją lepiej niż zwykle rodzeństwo: mentorkę, przewodniczkę, przyjaciółkę.

Przyspieszyła kroku, wchodząc głębiej i głębiej w zasypany gruzami pejzaż.

Coś w jej duszy krzyczało, że właśnie ucieka od obowiązków, zobowiązań. Ze zostawia Liama i Sal, którzy błakają się po tym nieznanym świecie. Ale czy może dla nich coś zrobić? Usiąść na swoim materacu i czekać na nich w ciemności? Czekać aż kolejny nalot kompletnie zrówna z ziemią tę dzielnicę?

Maddy próbowała zagłuszyć dręczące wyrzuty sumienia. BeKi naprawdę mogła oszczędzić jej drobiazgowej analizy zniszczeń i awarii, jakie dotknęły ich sprzęt.

Widziała tylko brak planu i niemal doszczętnie zniszczone biuro terenowego, za które nigdy była odpowiedzialna. Słyszała tylko jeden, drżący, ale uporczywy głosik. Głosik dziecka.

„Chcę do domu”.

ROZDZIAŁ 30

Gdzieś w Wirginii rok 2001

Chińczyk spojrzał na nich z niedowierzaniem.

- Nowy Jork! Chcą iść do Nowy Jork?

- Zgadza się - odparł Liam.

- Szaloonie ludzie! - Potrząsnął głową. - Zabieram was do Miasta Trupów. Nie dalej. Ja iść na zachód, Nowy Pittsburgh, może Cleveland. Wy lepiej też iść zachód.

- Miasta Trupów?

Mężczyzna wzruszył ramionami i szepnął coś do swojej żony, która siedziała obok niego w sfoferce bardzo dziwnego pojazdu.

- Tak... Miasta Trupów, nie wiedzieć? Dawno, dawno to było Baltimore.

W ciemności Liam dostrzegał jedynie policzek mężczyzny oświetlany przez papierowy lampion, który powiewał na wietrze. Rozbawiony Azjata chyba uśmiechał się do nich przyjaźnie.

- Ty z przyjaciele siadać z tyłu... obok kurczaków. Podwiozę was na północ. Kawalek tylko. - Oko żarzące się w bursztynowym świetle lampionu świdrowało go podejrzliwie. - Wy nie zbóje?

Liam rozłożył dłonie i odwrócił się do Boba, żeby upewnić się, że schował broń za pasem.

- Obiecuję panu, że nie przysporzymy żadnych kłopotów. - Bliżej przyjrzał się pojazdowi. Przypominał wóz z taboru cygańskiego; całą powierzchnię pokrywały misterne, orientalne wzory, na całej długości sterczał szereg haków i haczyków, na których grzechotały i pobrzękiwały garnki, patelnie i inne kuchenne utensylia trącane lekkimi powiewami wiatru, który buszował wśród pól kukurydzy po obu stronach pustej drogi. - To my już wchodzimy na pakę - dodał Liam. - Dotrzymamy towarzystwa waszym kurczakom.

Chińczyk skinął głową, odpowiedź wyraźnie go uspokoiła. Potem odwrócił się do żony i zaczął z nią rozmawiać. Nie wydawała się szczególnie zachwycona perspektywą zabrania pasażerów na gapę.

Przeszli na tył karawanu. Pojazd stukał i podskakiwał, pracujący na jałowym biegu silnik wykrztuszał chmury pary uderzające w szprychy sześciu szerokich, drewnianych kół.

Liam otworzył drzwiczki w drucianej siatce okalającej przyczepę i wszedł do środka; znalazł się w zagraconej przestrzeni, niemal po brzegi wypełnionej misternie ułożonymi w stosy sprzętami gospodarstwa domowego. Reszta podążyła jego śladem, samochód zatrzęsł się ostrzegawczo, gdy Bob wciągnął się na przyczepę i zamknął za sobą druciane drzwi. Przestrzeni było akurat tyle, żeby w ścisku, ramię przy ramieniu, usiąść na podłodze z nogami podciągniętymi pod brody.

Wehikuł zarzęził, zacharczał i wystrzelił przed siebie. Tysiąc mniejszych i większych przedmiotów zaczęło pobrzękiwać, dzwonić i stukotać. Może i podróż nie przypominała rejsu ekskluzywnym liniowcem, ale przynajmniej jechali w dobrym kierunku - na północ, do Nowego Jorku.

Na razie Maddy nie dawała znaku życia. Żadnego portalu, żadnej wiadomości. Nic.

Liam chciał już o coś zagaić, kiedy zza podskakującego kredensu, trzepocząc skrzydłami, z których wypadały pióra, wyfrunął kogut i usiadł na głowie Boba.

- A niech mnie - odezwał się Liam. - Myślałem, że te kurczaki na przyczepie to żart.

Bob machnął nad głową swoją wielką dłonią, ptak spadł na ziemię i przez dobrą minutę, gdacząc bez sensu, biegał w kółko po zamkniętej przestrzeni, po czym ostrożnie wrócił na głowę jednostki, żeby uwić sobie na niej gniazdko.

- Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej - skomentował Liam. Bob ze złością spojrział

na agenta.

- Minę ma pan szczęśliwą jak małż w czasie przypiływu.

Bob przeniósł oburzony wzrok na Lincolna.

- Do twarzy ci - dodała Sal i czule pogłaskała jednostkę po ramieniu.

ROZDZIAŁ 31

Gdzieś w Wirginii rok 2001

Kiedy na horyzoncie zaczęły pojawiać się pierwsze przebłyski brzasku, Chińczyk zostawił ich na rozstaju dróg: on odbijał na zachód, oni musieli kierować się na północ. Ostatni raz ostrzegł Liama, że marsz na północ, do Nowego Jorku to „zła pomysł”.

- Dlaczego? Co się dzieje w Nowym Jorku?

Na to pytanie mężczyzna z zainteresowaniem podniósł głowę.

- Pytać poważnie? - Nawet nie czekał na odpowiedź Liama. - Wy przespać całe życie? Miasta... już nie być. Nowy Jork być teraz wielka kupa gruz.

- Gruz? Co się wydarzyło? - Odwrócił się do pozostałych, którzy stali obok niego na pasie awaryjnym. Sal szeroko otworzyła oczy, jej twarz przybrała trupioblada barwę.

- Jak to być możliwe, że wy nigdy nie słyszeć? - nieufnie spytał mężczyzna.

- Cóż... my... wyjechaliśmy stąd dawno temu. - Odpowiedź Liama nie brzmiała szczególnie przekonująco, lecz Chińczyk wzruszył jedynie ramionami, jakby chciał dać im do zrozumienia, że to nie jego interes.

- Wojna... wciąż się tam toczyć. Nigdy nie odejść. Być tam od zawsze.

- Wojna? - Lincoln postąpił o krok bliżej. - Święty Judo! Czy rzekł pan „wojna”?!

Chińczyk odruchowo cofnął się w głąb szoferki, wystraszony napastliwym wyrazem twarzy wysokiego mężczyzny.

- Tak... wy nic o wojnie nie wiedzieć?

- Nie, sir! Kto z kim walczy? Mówże!

Liam uspokajającym gestem położył dłoń na ramieniu Lincolna.

- Spokojnie, spokojnie.

Żona Chińczyka szepnęła coś mężowi do ucha, a ten w odpowiedzi skinął głową i odpalił silnik powozu. Rozległo się hałaśliwe perkotanie silnika, które po kilku sekundach przeszło w nieznośny charkot. Mężczyzna zaczął się najwyraźniej obawiać tych szalonych autostopowiczów, którzy kazali się wysadzić na skrzyżowaniu dróg gdzieś na kompletnym pustkowiu.

- Proszę! - błagalnym tonem odezwał się Liam. - Nie odjeżdżaj jeszcze. Powiedz nam więcej!

- Powiem jedno... tam nie być bezpiecznie. Na północy toczy się wieczna wojna. Wy lepiej iść na zachód. - Teraz pokazał ręką wschód i falujący bezkres pól jęczmienia. - Wschód też niedobry... Miasto Trupów leżeć pięćdziesiąt kilometrów tam. Trucizna. Zgubna dla wasz zdrowia.

Przepraszającym gestem wznosił ramiona, bo żona uparcie ciągnęła go za rękaw.

- My już jechać. - Wielkie koła powozu potoczyły się po drodze, spomiędzy szprych buchnął wachlarz gryzącego dymu.

Liam zakasłał, próbując odpędzić opary z twarzy. Gdy kurzawa opadła, odprowadził wzrokiem podskakujący z brzękiem naczyń i warkotem silnika wóz, który zmierzał do Nowego Pittsburgha, jeśli oczywiście wierzyć ręcznie namalowanemu znakowi ustawionemu na skrzyżowaniu.

Patrzyli, jak wóz zamienia się w rozmazaną iluminację kołyszących się w oddali lampionów.

- Chyba powinniśmy znaleźć jakąś kryjówkę, zanim na dobre się rozwidni - powiedział Liam i rozejrzał się dookoła. Po obu stronach dróg, zmierzających na północ, południe i zachód, widać było tylko sięgające ramion kłosa jęczmienia, które łagodnie kołysały się i szeptały na wietrze w szarej poświacie brzasku.

Jednopasmową drogą ruszyli na północ. Minęło ich może kilkanaście pojazdów, w większości rozklekotanych powozów obładowanych rodzinnym dobytkiem pasażerów.

Jeden z nadjeżdżających wehikułów wydawał z siebie na tyle nietypowe odgłosy, że Bob zaproponował, aby na wszelki wypadek się ukryli. Zeszli więc z drogi i przykucnęli na polu wśród kłosów jęczmienia, po jakimś czasie pojazd znalazł się w zasięgu wzroku i powoli przetoczył po drodze obok nich.

Sal wymieniła spojrzenia z Liamem.

Dostrzegli wojskowy pojazd, choć słowo „czołg” to chyba w tym przypadku trafniejsze określenie. Był niemal komicznie bryłowaty - rozmiarami przypominał mały dom szeregowy. Na górnym „piętrze” zamontowano ogromną wieżyczkę, prawdopodobnie obrotową, z której wystawały trzy działa o krótkich lufach. W otwartym włazie na samym szczycie widać było tułów zblazowanego oficera w karmazynowej kurcie przepasanej białą wstęgą, mężczyzna palił fajkę i patrzył na bezkresne pola.

Dolny pokład czołgu tworzyło żelazne, nitowane poszycie otoczone z obu stron gąsienicą, która zgrzydiwie wrzynała się w asfaltową drogę. Bieżnik obracał się wokół

dużego żelaznego koła z tyłu i o wiele mniejszego szprychowanego koła z przodu. Po obu stronach pojazdu pomiędzy kołami zainstalowano miniaturowe boczne działka.

Gdy czołg przetoczył się obok nich, Sal zobaczyła tylną część jego masywnego podwozia. Pod podciągniętymi żelaznymi żaluzjami znajdowały się trzy szyby przypominające okna wykuszowe podmiejskiego domu. W przygaszonym bursztynowym świetle palącym się za szybami dostrzegła pół tuzina zgromadzonych wokół stołu żołnierzy, którzy najwyraźniej jedli śniadanie, oraz piętrowe, trzypoziomowe łóżka.

Patrzyli, jak gigantyczny pojazd sunie na północ. Warkot silnika i zgrzytanie bieżnika gąsienicy rozbrzmiewało w powietrzu jeszcze długo po tym, jak stracili go z oczu w bladym świetle świtu.

- Wygląda jak dom publiczny na kółkach - podsumował Liam.

Godzinę później słońce wreszcie wypłynęło na horyzont, a oni natrafili na małą, wyboistą dróżkę odchodzącą od głównej drogi. Na końcu ścieżki dostrzegli gęstą zabudowę, wyglądającą na małą, opuszczoną osadę.

Wkrótce znaleźli się na porośniętym chwastami ryneczku. Wszystkie budynki otaczające wianuszkami rynek były zamknięte na cztery spusty i opuszczone. Wszystkie co do jednego parterowe okna szczelnie zabito deskami - lata temu, sądząc po wyblakłej od słońca fakturze drewna.

- Miasto widmo - powiedziała Sal.

- Na to wychodzi - potwierdził Liam.

Bob przemaszerował pod drzwi najbliższego budynku, kaplicy. Bładoszare, zniszczone ściany ze zmuśniętego drewna tu i ówdzie pokryte farbą.

- Informacja! - grzmotnął basem klon, zrywając z drzwi kościoła postrzępioną, zmiętą kartkę. Pozostali dołączyli do niego, gdy zaczął odczytywać ze zmiętego skrawka papieru niewyraźne słowa.

- Zawiadomienie o wysiedleniu: mieszkańcy tej osady zostali ewakuowani na mocy Wojennego Aktu Zawłaszczenia. Nielegalne jest wchodzenie, zajmowanie i/lub wykorzystywanie tych nieruchomości, które we właściwym czasie zostaną wyburzone, a grunty wykorzystane pod pola uprawne.

- To stare obwieszczenie - powiedziała Sal, wskazując datę w rogu. - Widzicie? Piąty czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku.

- Czyli jest opuszczona od... od?... - Liam marszczył czoło, z trudem odejmując w pamięci.

- Od szesnastu lat - przyszedł z pomocą Bob.

- Właśnie.

- Pić mi się chce, Liamie - powiedziała Sal.

Uświadomił sobie, że i on jest spragniony. Chłód brzasku niedługo zamieni się w wilgotne ciepło wrześniowego poranka. Koniecznie trzeba znaleźć wodę.

- Rozejrzyjmy się, może w tej upiornej mieścinie jest jakiś zbiornik na deszczówkę albo źródło przynajmniej.

Słońce rozgrzewało boczne ściany starych budynków, krok w krok za wędrowcami maszerowały długie cienie rzucane przez nich samych na obrosnięte chwastami trawniki. Wszędzie dostrzegali ślady dawnego życia: przerdzewiałą huśtawkę dla dzieci, sznur do suszenia z podartymi prześcieradłami, które wciąż lekko powiewały na wietrze, przybitą gwoździami do jednej ze sztachet w płocie skrzynkę pocztową, z której wystawały wysuszone gałązki po porzuconym gniazdku jakiegoś ptaka.

Liam podejrzewał, że mieszkających tutaj szesnaście lat temu ludzi eksmitowano niemal z dnia na dzień.

Nie wiedzieć czemu, nagle ogarnęła go złość, więc wymierzył mocnego kopniaka w drewniane odrzwia. Drewno zatrzeszczało, ale drzwi nie puściły.

- Pozwól - rzekł Bob i od niechcenia oparł się o nie ramieniem. Wrota nie miały najmniejszych szans: zatrzeszczały, ulegając ciężarowi imponujących mięśni, i z klekotem otworzyły się do środka.

- Dobra - powiedział Liam, pocierając piekący palec stopy. - A teraz pobuszujmy tu trochę.

ROZDZIAŁ 32

Nowy Jork rok 2001

Maddy doszła do wniosku, że musiała znajdować się w szoku. Nie wiedziała nawet, kiedy i jak upłynęła jej noc. Niejasno pamiętała, że zaszyła się kącie zbombardowanego magazynu i płacząc, podciągnęła pod brodę kolana, żeby zatrzymać odrobinę ciepła. W którymś momencie musiała głęboko zasnąć, ale to nie promienie słońca wyrywały ją teraz ze snu, a mocny kopniak w udo.

- Hej, pobudka, wstawaj.

Uniosła pękającą głowę i zobaczyła dwóch stojących nad nią mężczyzn. Żołnierzy, wnosząc po stroju. Obaj nosili uniformy przypominające mundur: granatowe, niemal czarne bluzy, pasy, klamry, torby i miękkie materiałowe kaszkiety. Zamrugła oczami, oślepią

jasnością dnia, po czym sięgnęła po okulary i otarła je z kurzu.

- Dalej, kochanie - rzekł jeden z nich. Twarz pod kaszkietem porastała gęsta broda. - Jesteś aresztowana, dziewczynko. Pułkownik ma z tobą do pogadania. - Podał jej dłoń.

- Przepraszam... czy... czy znalazłam się w nieodpowiednim miejscu?

- Nieodpowiednim miejscu? - Broda zatrzęsa się od śmiechu. - Do licha, dziewczucho, cała ta przeklęta zona to nieodpowiednie miejsce.

Pozwoliła się podnieść.

- Przepraszam... Ja nie... - Przyjrzała mu się uważniej. Twarz pod daszkiem była ciemna, na policzkach zalegał szary zarost. - Czy coś mi za to grozi?

- Cywil na pierwszej linii frontu w strefie obronnej Unii? - Wzruszył ramionami. - Jeżeli pułkownik powie, żeś południowy szpieg, to wpadłaś jak śliwka w kompot, dziewczyno.

- Racja - poparł go drugi żołnierz, blady jak popiół z niedopałka i na oko tylko kilka lat starszy niż Sal. - Mieli my tu szpiega, będzie kilka miesięcy temu, co nie, sierżancie?

- Mhm - odparł czarnoskóry żołnierz. - Ale dziewczucha to nie była. - Zlustrował ją podejrzliwie. - Albo te skurczybyki z południa robią się coraz cwańsze, albo już im się we łbach pokićkało.

- Nie jestem szpiegiem - zapewniła ich Maddy. - Ja tylko... - szybko zrozumiała, że odpowiedź nie zabrzmiała zbyt przekonująco. - Ja... się tylko zgubiłam - powiedziała wreszcie.

- A niech tam! - Mężczyzna wydał wargi. - Myślę, że pułkownik Devereau sam to najlepiej osądzi. No już, idziesz z nami, panienko.

Dwaj żołnierze przeprowadzili ją przez ruiny na tymczasowo oczyszczoną z gruzów ulicę. Zadarła głowę, by popatrzeć na rozpogodzone poranne niebo nakrapiane różowymi chmurami. Przez krótką chwilę rozkoszowała się zalewającym twarz ciepłem.

- Nie zwiejesz mi chyba, co, panienko? - zapytał młodszy żołnierz. - Bo widzisz, gdybyś dała drapaka, musielibyśmy ci odstrzelić tę piękną główkę.

- Hej, Ray... a wygląda ci na taką, co miałaby ochotę zwiewać?

Maddy ze znużeniem pokręciła głową. Nawet gdyby chciała, nie wiedziałaby, dokąd uciekać.

- Będę grzeczna - powiedziała po cichu. - Obiecuję. A przy okazji, jak ci na imię?

Czarnoskóry żołnierz popatrzył na nią, zaskoczony pytaniem.

- Przedstawić się chcesz?

Skinęła głową.

- Jestem Maddy.

Zaśmiał się.

- Cóż, jeśli już jesteśmy tacy „ę” i „ą”... Jestem sierżant Freeman, a ten młody kolek to szeregowiec Ray Calder.

- Chłopaki wołają mnie Ray. - Młodzieniec wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Pułkownik Devereau zasiadł do stołu, żeby uraczyć się kubkiem ciepłej kawy. Rzadki smakołyk. Prawdziwe ziarna przywiezione z dalekiego, egzotycznego kraju. Pobudzony aromatem mocnej, czarnej esencji pływającej w obitym, emaliowanym kubku, powoli zaczynał już śnić na jawie o palmach, złotych plażach i turkusowych lagunach w jakiejś odległej francuskiej kolonii w tropikach, kiedy do bunkra zapukał jego adiutant. Metalowe drzwi zabrzęczały jak ka-merton.

- Tak? - westchnął. Drzwi ciężko otworzyły się do środka.

- Przepraszam, że przeszkadzam, sir. Patrol z sektora piątego zgarnął cywila. Dziewczynę, sir.

- Dziewczynę? - skrzywił się. - Jest na korytarzu?

- Tak, sir.

- No dobra - ciężko westchnął i ze zniechęceniem machnął ręką. - Przyrowadź mi ją tutaj.

Ponownie wziął w ręce kubek i podstawił pod nos, żeby jeszcze przez chwilę delektować się aromatem parującego napoju; usłyszał, jak na betonowym korytarzu wykrzykują rozkazy. Chwilę później dziewczyna przeszła przez próg.

Przedstawiała sobą żaloszny widok: wychudzone, blade, utyłane dziecko w okularach. Miała na sobie spodnie robotnika z wyblakłego błękitnego płótna oraz zaplamioną białą koszulę bez guzików, pętelek czy innych kobiecych ozdobników jak koronki lub wstążki. Zamiast tego jedno nadrukowane słowo.

„Intel”.

- Usiądź - powiedział.

Zrobiła kilka kroków i usiadła na drewnianym krześle naprzeciwko biurka. Do damy było jej daleko.

- Podasz mi swoje prawdziwe imię? Czy uraczysz mnie szpiegowskim kryptonimem?

- Maddy - wydukała. - Madelaine Carter. Tak mam na imię.

Wzruszył ramionami.

- Okej. To zaczynamy... Maddy. - Zrobił pierwszy, niepewny krok, mocząc w kubku z kawą górną wargę okoloną obwisłymi wąsem.

Maddy popatrzyła na niego, mrużąc oczy i przyglądając mu się bez słowa.

- Pan i pana ludzie jesteście ubrani... jak żołnierze z czasów wojny secesyjnej. Jakbyście pochodzili z tysiąc osiemset sześćdziesiątego roku. Tylko - potrząsnęła głową - nie widzę żadnych muszkietów. Pana żołnierze mają jedynie jakieś dziwne karabiny szturmowe.

Devereau szczerze się roześmiał.

- Dobry Boże... wojna secesyjna! Użyłaś przedpotopowego określenia, młoda damo. Wojna secesyjna? Już od ponad wieku nikt tak nie mówi.

Zaintrygowana zmarszczyła brwi.

- Chce mi pan wmówić, że to... to jest ta sama wojna?

Teraz to Devereau wydawał się zaciekawiony.

- Pytasz poważnie? - spytał, miętosząc końcówkę wąsów. - Naprawdę... nic o tym nie wiesz?

- Nie.

Upił łyk kawy i oblizał usta zroszone płynem o bogatym, gorzkim smaku.

- Rozumiem, że właśnie tak masz się zachowywać... w przypadku aresztowania? Hmm? Strugać wariata? Udawać szurniętą?

- Nie zna pan nawet połowy prawdy. - Roześmiała się gorzko. - Może ja naprawdę jestem szalona?

- Cóż... - Odstawił kubek i rozłożył ręce. - Dlaczego w takim razie nie opowiesz mi o tej „połowie prawdy”?

- Wtedy pomyśli pan, że całkiem mi odbiło albo po prostu kłamię. - Wzruszyła ramionami. - Bo widzi pan, ja nie jestem z tego świata. Pochodzę z innej rzeczywistości. Innego czasu. - Potrząsnęła głową. - Po co to komu? Przecież i tak nie uwierzy pan żadnym moim słowom.

Przez dobrą minutę, bez słowa, głąskał się po brodzie w zadumie.

- Cholera... gdybym wysłał cię na południe na przeszpiegi, przynajmniej ubrałbym cię normalnie albo wybrał kogoś wyglądającego i zachowującego się w sposób nieodbiegający od normy. Ty, młoda damo, ani nie wyglądasz normalnie, ani normalnie się nie zachowujesz. - Wskazał palcem jej koszulkę. - No i okazałbym się strasznym kiepem, gdybym kazał ci nosić odznakę w widocznym miejscu. Czy złodziej wiesz sobie na szyi tabliczkę z napisem „włamywacz”?

Popatrzyła na swoją koszulkę.

- Intel? - Uśmiechnęła się. - Ach, myślisz, że to skrót od słowa „intelligence” czyli „wywiad”?

Odwzajemnił uśmiech.

- Właśnie. Wywiad wojskowy. Równie dobrze mogłabyś założyć koszulkę z napisem „szpieg”.

- Firma Intel produkuje procesory - odparła. - W moim świecie.

W odpowiedzi zmarszczył brwi.

- Procesory. Nie wie pan? Do komputerów.

- Komputerów? A cóż to, u diabła, jest?

- Poważnie pan pyta?

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Przed bunkrem pułkownika rozbrzmiało przytłumione pobrzękiwanie metalu, gdzieś w podziemnym labiryncie pokojów i korytarzy włączyła się maszyna.

- No cóż - powiedział Devereau, popijając stygnącą kawę. - Już niemal uwierzyłem, że nie jesteś szpiegiem, zresztą nawet jeśli, to... beznadziejnym. Ta nieudolność może cię wybawić od plutonu egzekucyjnego.

- Plutonu egzekucyjnego? - Maddy opadła szczęka.

- Achhh, widzę, że odrobinę cię to zastanowiło. Tak, skazywałem już ludzi na śmierć, to niemiły, choć czasem nieunikniony obowiązek, jaki spoczywa na dowódcy pierwszej linii frontu.

- Ja... hmm... proszę posłuchać, ja nie jestem szpiegiem! Boże broń! To... to nie ja...
Ja...

- Prawdę mówiąc, nie powinnaś się niepokoić. Tak podejrzewam. Jesteś na to zdecydowanie zbyt nietypowa, młoda damo. Ale... sądzę, że lepiej będzie, jeśli powiesz mi ki...

- Podróżniczką w czasie! - chlapanęła. - Jestem podróżniczką w czasie! Podróżuję w czasie! - Skrzywiła się, bo zrozumiała, jak nedorzecznie musiało to zabrzmieć.

Devereau mógł swobodnie wyśmiać jej pomysłówą i dość oryginalną odpowiedź. Wolał jednak wy badać, jak bardzo przemyślana była ta porywcza reakcja.

- Doprawdy? No proszę... czy tej koncepcji nie opisano w tej słynnej książce Wehikuł czasu?

- Wehikuł czasu? - Umysł Maddy gnał przez zakamarki pamięci. Tak, to ta stara książka napisana w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym... To jest właściwym tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym. Może nawet na tej wykoślawionej osi czasu ten sam autor, Herbert George Wells, został zainspirowany do napisania takiej samej lub bardzo podobnej książki?

- Tak! - odparła. - Tak... istnieje technologia umożliwiająca przemieszczanie się w

czasie, w jedną i drugą stronę. Właściwie - wzruszyła ramionami - dopiero będzie istniała, zostanie opracowana i udoskonalona w dwa tysiące czterdziestym czwartym roku.

Devereau cierpliwie pokiwał głową.

- Niech pomyślę, czyli oczekujesz ode mnie, że uwierzę, iż przybyłaś tutaj z roku dwa tysiące czterdziestego czwartego?

- Przybyłam z przyszłości, tak, choć naprawdę pracuję w dwa tysiące pierwszym roku. Ale nie w tym dwa tysiące pierwszym, jeśli wie pan, co mam na myśli. W zupełnie innej rzeczywistości.

Powoli zaczynało mu się od tego wszystkiego kręcić w głowie.

- Widzi pan, to wszystko jest niepotrzebne. Wszystko jest złe. Ten... ten... pokój, ten zbombardowany Nowy Jork na zewnątrz, ta cała wojna! Wszystko jest nie tak. Powinno to wyglądać inaczej!

- Ach tak? A jak powinno wyglądać?

Maddy pochyliła się nad biurkiem.

- Pańska strona wygrała! Wygrała... ponad sto trzydzieści lat temu! Północ pokonała Południe! Ameryka się zjednoczyła! Zamieniła w najpotężniejszy naród na świecie! Proszę sobie wyobrazić, że wysłaliśmy nawet człowieka na Księżyc.

- Panienko Carter - uśmiechnął się cierpko - nawet nie wiesz, jak bardzo chciałbym uwierzyć w tę niestworzoną historię, ale...

- To prawda! Klnę się na Boga, że...

- Ten kraj jest i zawsze będzie skundlony. Jesteśmy zbyt zajęci wyrzynaniem się nawzajem, stan walczy przeciwko stanowi, a brat przeciwko bratu. W dodatku - Devereau zniżył głos do ostrożnego szeptu - i tak rządzi nami Francja i Europa... a skonfederowane stany Południa są, de facto, jedną z brytyjskich kolonii.

- Nie - odparła, potrząsając głową. - Nie. Jakże straszliwie się pan myli! To... jest złe! Istnieje poprawna historia, scenariusz, który powinien być się wydarzyć. W prawidłowej wersji historii Północ wygrywa w tysiąc osiemset sześćdziesiątym piątym roku. Wie pan dlaczego? Wie pan, jak wygrała?

- Mów.

- Bo uczyniła z kwestii niewolnictwa - abolicji niewolników - główny cel wojny. Zyskała przewagę moralną. Dlatego się udało!

- Niewolnictwo? - Potrząsnął głową. - Jakie niewolnictwo? Niewolnictwo zniesiono w tysiąc osiemset siedemdziesiątym pierwszym roku, kiedy Południe zawarło sojusz z królem Anglii Edwardem Siódmym.

- To Południe, konfederaci, nie mają niewolników?

- Oczywiście, że nie.

- W takim razie... dlaczego ze sobą walczyacie?

Wzruszył ramionami.

- Codziennie zadaję sobie to pytanie. - Devereau westchnął. - Staliśmy się sługusami Anglików i Francuzów. Ta wojna toczy się w ich interesie.

- Mój Boże... zupełnie nie tak to powinno wyglądać. Wszystko przez Lincolna.

- Lincolna?

- Człowieka o nazwisku Abraham Lincoln. Był prezydentem, kiedy wybuchła wojna secesyjna.

Devereau potrząsnął głową.

- Nigdy nie było prezydenta o nazwisku Lincoln...

- Nie na tej osi czasu, to prawda. Ale w mojej, poprawnej wersji historii to właśnie on wpadł na pomysł wysunięcia kwestii niewolnictwa na pierwszy plan! To dzięki niemu Północ wygrała.

Devereau pogłaskał się po brodzie.

- Ach, to ci dopiero wspaniały pomysł. - Spojrzał na nią. - Oś czasu? Cóż to takiego?

- To, hmm, kurcze, naprawdę ciężko to wszystko wytłumaczyć. To droga, którą podążają wydarzenia historyczne. W jedną albo drugą drogą. Każdy możliwy szlak historyczny to właśnie oś czasu. Mamy specjalną maszynę, która umożliwia podróżowanie pomiędzy osiami czasu. - Maddy uśmiechnęła się. - Na mojej osi czasu ta wojna zakończyła się w tysiąc osiemset sześćdziesiątym piątym roku. Północ wygrała i wszystkie stany ponownie się zjednoczyły. Stany Zjednoczone dokonały wspaniałych rzeczy... - Ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć „i kilka przerażających”.

Devereau spojrział na trzymany w dłoniach popękany emaliowany kubek i odetchnął głęboko, marząc o pograżeniu się w tej fantazji. Chyba podświadomie wierzył, że w każdej mrzonce kryje się ziarno prawdy.

- Wie pan co? - podjęła Maddy. - Udowodnię panu, że mówię prawdę. Słowo.

Podniósł na nią wzrok.

- A jak niby zamierzasz to zrobić?

- Mogę panu pokazać kilka rzeczy.

Ta dziewczyna, ta Madelaine Carter, twierdząca, że pochodzi z innego czasu, innego miejsca, weszła do tego pokoju pięć minut temu z wymalowaną na twarzy rezygnacją, poczuciem klęski niemal. Teraz zapłonęła w niej iskierka, zaraźliwy płomyk nadziei. Bardzo

chciał czuć to samo.

- Jakich rzeczy?

Wyszczrzyła zęby.

- Nie chciałby pan rzucić okiem na mój wehikuł czasu?

ROZDZIAŁ 33

Nowy Jork rok 2001

Beki postawiła aluminiową szafkę, na którą spadł grad cegieł. Pozbierała zwoje kabli nawiniętych na trzpienie; stare, zakurzone płyty główne; skrzynkę pełną elektrycznych komponentów oraz elektronicznych gadżetów i wszelkiego innego ustrojstwa. Na wszystkich przetransportowanych do dwa tysiące pierwszego roku sprzętach widniało logo firmy W.G. Systems.

Ułożyła to wszystko z powrotem na półkach, w równych i schludnych rzędkach, teraz baza wyglądała dokładnie tak, jak przed wylądowaniem w tej osi czasu.

Za pękniętym pleksiglasowym cylindrem translukacji znalazła szczotkę i zaczęła metodycznie uprzątać porysowaną i nierówną betonową podłogę, zamiatając ukruszone kawałki cegły i zaprawę na jeden stos na środku pomieszczenia. Miarowo machała szurającą o ziemię szczotką, wzrok dostosował się już do niewyraźnego blasku księżyca, który zerkał przez szczeliny w suficie na pogrążone w ciemności pomieszczenie.

Rejestrowała niewiele bodźców wizualnych, mimo że jej źrenice odrobinę się powiększyły. Gromadziły się w nich łzy. Odbijały się w nich myśli pędzące przez umysł, błędziły po lesie niepewnych zamiarów i intencji, jak u osoby pogrążonej w stanie głębokiego szoku. Trauma. Zagubiona dusza próbowała odnaleźć pokrzepienie w prostej czynności zamiatania.

Ale w głowie jednostki gorączkowo szumiał silikonowy procesor, linie przetwarzanego kodu formowały się niestrudzenie w pętli, gdy Beki rozpaczliwie próbowała zdiagnozować i zrozumieć sytuację, w której się znalazła.

Sama.

Maddy zniknęła. Nie było stratega. Nie było drużyny. Nie było już nawet biura terenowego. Została czarna, pokryta kurzem dziura, sterta mebli z drugiej ręki, stare biurko i rząd komputerów, które prawdopodobnie nigdy już nie zaczną działać.

[DANE].

Potrząsnęła głową. Nie miała teraz ochoty na analizowanie danych.

[DANE].

Zamknęła silikonowo-synaptyczną bramkę przesyłu, nie chcąc wprowadzać do kodu żadnych informacji, które obarczałyby ją odpowiedzialnością. Bo w pewnej mierze to wszystko jej wina. Przekazała niedokładne lub, co gorsza, nieprawdziwe informacje Madelaine Carter, która podjęła błędny osąd. Drużyna nie ma już zdolności operacyjnej.

Ona i Bob nie zdołali pojmać celu: Abrahama Lincolna. Uświadomiła sobie, że był to prawdopodobnie pierwszy błąd z całej serii potknięć, w wyniku których znaleźli się w tej sytuacji. Właśnie dlatego teraz musiała zamiatać cegły w ciemności.

[DANE].

Strumień heksadecymalnych danych wciekł do jej świadomości przez jakieś boczne drzwi w labiryncie obwodów.

[Ocena: stan likwidacji = PRAWDA].

Protokół stanu likwidacji.

Wyjąć dyski twarde z komputerów. Zniszczyć.

Wyjąć akcelerator fazy tachionowej i płyty translokacyjne z wehikułu translokacji. Zniszczyć.

Uruchomić proces autodestrukcji.

Zgodnie z protokołem nie można zostawić po sobie żadnej kluczowej technologii: komputerów, cylindrów hodowlanych na zapleczu, generatora, nawet popsutego wehikułu translokacyjnego i zniszczonych obwodów, które mogłyby zostać naprawione za pomocą komponentów z dowolnego sklepu elektronicznego. Pytanie tylko... czy to naprawdę stan likwidacji?

Rozejrzała się po pogrążonych w ciemności zakamarkach bazy. W jej pamięci wirowało teraz milion różnych danych z ostatnich kilku miesięcy:

Dzień, kiedy przygotowała Maddy ciepły napój, mieszając razem granulki kawy, liście herbaty i kakao. Nie miała wtedy pojęcia, że gorący napój powinien zostać zaparzony tylko z jednego z tych składników, nie ze wszystkich.

Gra z Liamem i Bobem w Mario Kart na Nintendo. Przez bite siedem godzin ścigali się wtedy na konsoli, a Liam za każdym razem kończył wyścig na ostatnim miejscu.

Dzień, w którym po raz pierwszy poczuła, że poza kodem systemu operacyjnego i wszczepioną sztuczną inteligencją tkwi w niej jeszcze jakiś niezidentyfikowany pierwiastek. Prehistoryczna era i pierwsza silna... emocja? To wtedy Liam wytłumaczył jej, że wcale nie jest zbędnym członkiem drużyny, który trafił do niej przypadkowo. Ze dobrze się spisała. Ze drużyna powinna składać się z dwóch jednostek pomocniczych. Boba i Beki.

Momenty, gdy Sal uczyła ją przeklinać w hindi i posługiwać się ulicznym slangiem Mumbaju. Zgromadziła całą bazę bluzgów i oszczerstw, którymi mogła miotać na lewo i prawo i brzmieć przekonująco jak pierwszy z brzegu kierowca rikszy, który zabłądził w śródmiejskim smogu.

Miała nawet dostęp do „pożyczonych” wspomnień Boba; wyglądały niemal tak autentycznie jak jej własne. Skopiowane pliki wideo i dźwiękowe: Bob obserwuje zabójstwo prezydenta Johna F. Kennedy’ego, wyglądając przez okna składu z książkami; Bob podejmuje decyzję o przeszukaniu wszystkich obozów internowania wokół Waszyngtonu, aby znaleźć i ocalić Liama.

Czy Bob nie działał wtedy wbrew wytycznym misji? Czy nie zdecydował się realizować własnego celu? Nadpisać kodu?

Przestała zamiatać. Stała tak w ciemności nieruchoma jak posąg, wciąż ściskając miotłę w dłoniach. Według jej wewnętrznego zegara zastój trwał niecałą godzinę, z impasu wyrwał ją dopiero ciąg znaków:

[Ocena: stan likwidacji - FAŁSZ].

Poruszyła się i oderwała wzrok od połogi.

Cele misji:

Ocena zniszczeń, analiza regeneracji.

Zlokalizowanie i odbicie stratega Madelaine Carter.

ROZDZIAŁ 34

Gdzieś w Wirginii rok 2001

- Przeczytam, co udało mi się zebrać - powiedział Liam, przysuwając się do paleniska na środku pokoju.

Po przeszukaniu opuszczonej osady postanowili zainstalować się w kuchni jednego z domów. Nie licząc kaplicy, był to największy budynek w okolicy. Znaleźli spizarkę pełną pokrytych kurzem puszek z jedzeniem. Poza nimi wszystko już dawno zniknęło lub zostało wyjedzone przez szczury bądź dzikie zwierzęta.

Teraz, gdy popołudniowe słońce zniknęło, a chłodny wiatr zaczął chłostać zalegające tu co najmniej od dekady martwe liście, Sal, Lincoln i Liam ogrzewali się już przy rdzewiejącym piecyku koksowym i z apetytem połykali pełne łyżki letniego, pozbawionego jakiegokolwiek smaku gulaszu.

Liam odłożył miskę i wziął do ręki stary podręcznik z oślimi uszami, znaleziony w

pokoju, który musiał być kiedyś sypialnią małego chłopca. Marginesy kruchych stronic pokrywały niechlujne, zapisane ołówkiem, bazgroły Liama.

W domku znaleźli też pracownię z szeregiem półek uginających się od książek i czasopism oraz stertą starych gazet związanych sznurem.

Liam podniósł wzrok na Sal i Lincolna, oboje bardzo chcieli usłyszeć, jakie informacje udało mu się zdobyć. W tym samym czasie Bob stał w rogu kuchni ze strzelbą spoczywającą w jego mocarnych dłoniach i patrzył przez brudną szybę na zarośnięte chwastami podwórze.

- Wiemy, że we właściwej historii amerykańska wojna secesyjna miała zakończyć się w tysiąc osiemset sześćdziesiątym piątym roku. - Przynajmniej Liam o tym wiedział: czytał o tej epoce kilka tygodni temu. Sam się dziwił, że w jego głowie wciąż jeszcze tkwiło tyle informacji. Musiał mieć lepszą pamięć, niż mu się zdawało. - Decydująca bitwa rozegrała się w okolicach Gettysburga. W poprawnej wersji historii konfederacji przegrali ją z kretesem, a armia południowej Wirginii dowodzona przez generała Lee nigdy do końca nie otrząsnęła się z tej klęski. - Przekartkował kilka stron. - Na obecnej osi czasu udało im się wygrać, a rozproszone wojska Unii wycofały się do Waszyngtonu. Natomiast - popatrzył na Lincolna - gabinet prezydenta Johna Bella szybko uciekł na północ, do Nowego Jorku, tworząc w tym mieście nową siedzibę rządu.

- Sugerujesz, że na miejscu prezydenta Bella, tego człeka... powinienem być ja?

- Tak.

Liam wrócił do swoich notatek.

- Po klęsce Unii pod Gettysburgiem Wielka Brytania wreszcie otwarcie poparła konfederatów.

- Czyli już wcześniej trzymali stronę Południa? - spytała Sal.

Liam wzruszył ramionami.

- W pewnym sensie. I nie otwarcie, trochę im tylko pomagali, dyskretnie.

- Dlaczego musieli się z tym kryć?

- Przez niewolnictwo, które bulwersowało opinię publiczną w Anglii. Na wyspach handel ludźmi był zakazany, a ponieważ na Południu wciąż prześladowano niewolników, Anglia nie mogła ofiarować pełnego wsparcia. I to pomimo tego, że Anglicy widzieli zagrożenie związane z rosnącą potęgą przemysłową i wpływami Północy, Unii.

- Wszystko to uległo zmianie, kiedy pod Gettysburgiem Anglicy złożyli ofertę Jeffersonowi Davisowi...

- A kto to ten Jefferson Davis? - spytał Lincoln.

- Prezydent konfederatów. Oferta była sprytna... - Liam prze-kartkował notatki sporządzone dzisiejszego popołudnia, aż doszedł do właściwego paragrafu. - Konfederaci mieli zapowiedzieć pierwszy etap „rewolucji gospodarczej po zniesieniu niewolnictwa”.

Lincoln aż wybałuszył oczy.

- Dobry Boże! Koniec niewolnictwa na Południu?

- Początek końca. To tylko gest - odrzekł Liam - puszczenie oka do angielskiej opinii publicznej, aby ich rząd mógł otwarcie nawiązać sojusz z Południem.

- A później Davis, prezydent konfederatów, rzeczywiście położył kres niewolnictwu?

Liam skinął głową.

- Na to wygląda. Oczywiście wzbudziło to wściekłość wszystkich właścicieli niewolników, lecz kiedy do południowych wybrzeży zaczęły przybijać konwoje angielskich statków obładowanych żywnością i bronią, zwykli i niezamożni obywatele zrozumieli, że walka za sprawę bogatych posiadaczy niewolników nie przynosiła im żadnych korzyści! W tysiąc osiemset sześćdziesiątym piątym roku - ciągnął Liam, zerkając na swoje notatki - Davis wydał Deklarację Wolności. Od tej pory posiadanie niewolników było ścigane z paragrafu jako przestępstwo. Wielu twierdziło, że ten krok kompletnie zrujnuje gospodarkę południowych stanów, że wyzwolenicy zabiją swoich byłych panów... a na ulicach wybuchną zamieszki.

- I wybuchły? - Lincoln uniósł włochatą brew.

- Nie. - Liam potrząsnął głową. - Wygląda na to, że wszystko dobiegło szczęśliwego końca. Konfederatów zasilaty już wtedy angielskie pieniądze, oddziały i dostawy. Południe się nie rozpadło, a abolicja niewolnictwa, wbrew wszelkim obawom, nie przyniosła końca świata.

- I co dalej? - ponagliła Sal, lekko się nachylając.

- Rok później, na Północy, prezydent Bell wydał podobny akt, Proklamację Wolności. Dokument był niemal wierną, powtórzoną słowo w słowo, kopią deklaracji z Południa. Ale i ten gest w zupełności wystarczył, aby zachęcić Francuzów i kilka innych państw europejskich do poparcia Północy. - Liam podniósł wzrok znad podręcznika. - Od tego momentu wojna nie toczyła się już o kwestię zniesienia niewolnictwa, ponieważ obie strony konfliktu rozstrzygnęły ten problem.

Odłożył notatki i sięgnął po miskę gulaszu, po czym łąpczywie włożył do ust kopiastrą łyżkę.

- Czyli na razie masz tylko tyle? - spytała Sal.

Pokiwał głową z pełnymi ustami.

- Później jeszzcze poczytammm - wybelkotał, czując jak po brodzie skapują mu strużki sosu.

Lincoln wlepił wzrok w płomienie.

- Muszę państwu przyznać, że kwestia niewolnictwa nigdy szczególnie nie zaprzętała mego umysłu. Zawsze uważałem, że tak ułożony jest świat. Ze taki jest porządek społeczny. Biały człowiek poświęca swój czas sprawom ducha i psyche, a czarny haruje jak wół pociągowy. Zupełnie jak na farmie, gdzie każde zwierzę wypełnia określoną funkcję...

- Chuddah! - Sal aż rozdziawiła usta. - Naprawdę wierzył pan w to wszystko?

Lincoln w zamyśleniu pogładził się po podbródku.

- To powszechnie przyjęte wyobrażenie. Przecież biały człowiek zniewolił czarnego dzięki bardziej zaawansowanym osiągnięciom technologicznym. Czyż historia to nie opowieść o lepiej rozwiniętych rasach i cywilizacjach, które podbiły inne...

- No tak, jasne! Czy w związku z tym mam się uważać za woła pociągowego? - spytała ostro. - Bo mam brązową skórę?

- Ależ wprost przeciwnie. - Swobodnie wzruszył ramionami i posłał jej życzliwy uśmiech. - Choć ma panienka brązową skórę i jest półnegrem, mulatką, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jest panienka bardzo bystrym dzieckiem. Ja...

Liam skrzywił się na taki dobór słów.

- Ughh! Wcale nie muszę tego wysłuchiwać! - Sal odłożyła miskę z gulaszem na podłogę i wstała. - W moich czasach nie ma już ludzi takich jak pan! Może to nie najwspanialsza epoka, ale przynajmniej nie musimy wysłuchiwać takich prymitywnych pin-chudd jak ta! - Odwróciła się na pięcie i wybiegła z kuchni.

Lincoln ze zmieszaniem popatrzył na Liama.

- Co też ugryzło to dziewczę?

- Sposób, w jaki pan to powiedział. Mógłby pan... cóż, mógłby pan uważniej dobierać słowa.

Lincoln spochmurniał i zmarszczył czoło, odwracając wzrok od ognia.

- Ależ ja tylko chciałem pochwalić jej przymioty.

Liam skończył swój gulasz i odstawił miskę.

- Wszyscy powinniśmy podarować sobie odrobinę snu, jeżeli znowu mamy maszerować nocą. - Wstał. - Bob, ile czasu zostało do zmroku?

- Cztery godziny i pięćdziesiąt dwie minuty, Liamie.

- Dobra, obudzisz nas wtedy?

- Potwierdzam.

Liam wyszedł tylnymi drzwiami kuchennymi na zarośnięte chwastami podwórze i szybko odnalazł Sał, która bujała się na zgrzytającej huśtawce.

- Nic się nie stało?

- To rasista.

Liam stanął obok huśtawki, położył rękę na łuszczącej się z farby metalowej ramie i poczuł, jak konstrukcja niepewnie się chwieje.

- Pochodzi z tysiąc osiemset trzydziestego pierwszego roku. Wszyscy wtedy tak mówili. Tak myśleli. Inaczej nie potrafili. Naprawdę nie chciał cię w żaden sposób urazić.

Potrząsnęła głową.

- Nigdy nie zostałam tak... jeszcze nigdy nikt nie powiedział mi nic równie ohydneho!

- Spojrzała na niego. - Czuję się jakby właśnie porównał mnie... moją rodzinę... wszystkich ludzi do śmieci.

Przez samo to, co powiedział, przez osądzanie ludzi na podstawie koloru ich skóry!

- Sądzę, że próbował być uprzejmy.

- Uprzejmy?! Jahulla...

Liam wzruszył ramionami.

- Uwierzyłybyś, że mnie mylono kiedyś z Walijczykiem? Słyszałem, że wielu niedouczonek Anglików wrzuca nas, północnych i południowych Irlandczyków, do jednego worka z Walijczykami, a nawet ze Szkotami. Wyobrażasz to sobie?

„A wielu Irlandczyków myli Chińczyków z Japończykami” - zamyślił się. - „Pewnie też wielu Chińczyków nie potrafi odróżnić Turka od Persa, a wielu Persów nie widzi różnicy między Celtem a Saksonem”.

Wyciągnął dłoń i ścisnął jej rękę.

- Chodź, Sał. Wracajmy do środka. Musimy troszkę odpocząć... po zmroku czeka nas długi marsz.

ROZDZIAŁ 35

Nowy Jork rok 2001

- Rozumiesz, młoda damo, że to strefa śmierci? - spytał pułkownik Devereau.

Zatrzymała się i odwróciła.

- Strefa śmierci?

Wskazał ruiny rozciągające się aż do East River. Za czarną, gładką powierzchnią rzeki wyrastał szkielet Manhattanu.

- Znaleźliśmy się niemal w zasięgu strzału. Jeśli któryś z ich snajperów akurat się nudzi, może spróbować szczęścia.

- Co? - Maddy padła na ziemię, osłaniając głowę rękami. Ani Devereau, ani żaden z jego podkomendnych nawet się nie poruszyli. Po chwili żołnierze z patrolu zaczęli się podśmiewać, patrząc na czołgającą się dziewczynę.

- Spokojnie - powiedział pułkownik. - Jesteśmy poza zasięgiem strzału. Chociaż...

Zdjął furazerkę, sięgnął do pasa, żeby odpiąć bagnet, na czubek którego założył kapelusz i podniósł rękę, powoli zakreślając w powietrzu kapeluszem ósemkę.

- Co pan robi? - syknęła Maddy. - Zauważą nas!

- W rzeczy samej... wysyłam sygnał wrogowi.

Maddy patrzyła, jak wspina się po kamieniach na szczyt niskiej, niestabilnej sterty obluzowanych cegieł. Spodziewała się, że w ciszy przekłuwanej rytmicznym pluskaniem zatrutej wody niespodziewanie zabrzmi strzał, a nieostrożny oficer upadnie z urwaną głową jak tusza rzeźnickiego mięcha.

Po drugiej stronie rzeki dostrzegła niewyraźny ruch, błysk metalu.

- Proszę - powiedział, schodząc z powrotem. - Przekażą wieść dalej. Przez jakiś czas nie musimy się obawiać przypadkowych strzałów.

- Przecież - powiedziała, podnosząc się z ziemi. - Przecież to wrogowie.

- Znam ich pułkownika. Całkiem miły z niego jegomość.

- Zna go pan?

Westchnął.

- Patrzymy na siebie przez tą przeklętą rzekę od lat. Dekad właściwie. Spotykamy się raz w roku... na Święto Dziękczynienia. - Odwrócił się do żołnierzy. - Dobrze mówię, sierżancie Freeman?

Rozpoznała brodatego mężczyznę, który odnalazł ją dzisiejszego ranka.

- Tak jest, sir.

- To zawsze szansa dla chłopców z obu stron barykady, żeby odrobinę się odprężyć. - Devereau wyciągnął z kieszeni lornetkę połową i przelotnie zerknął na szanice obronne Południa. - Kilka lat temu East River zamrzła... a chłopaki urządzili sobie bitwę na śnieżki.

- Nieźle spraliśmy im tyłki - powiedział sierżant Freeman, szczerząc zęby.

- Spraliśmy, faktycznie. - Opuścił lornetkę. - To był dobry dzień - dodał ze smutkiem, po czym odwrócił się do niej. - Mówisz więc, że twoja „baza” znajduje się gdzieś tutaj? A w niej to cudowne urządzenie do podróżowania w czasie?

W tonie jego głosu wyłowiła słabo maskowane rozbawienie.

„Dobrze się bawi”. - Przez chwilę zastanawiała się, co ją spotka, jeśli nie zdoła go przekonać, że popsute maszyny w łuku to naprawdę wehikuł czasu, jak wcześniej twierdziła.

„A co z Beki? Prawdopodobnie wciąż siedzi w środku, czekając na dalsze rozkazy, choć może przyczaiła się gdzieś w pobliżu i właśnie obserwuje ich z ukrycia”. Zastanawiała się, jak zachowa się jednostka pomocnicza, gdy zobaczy ją zaobraczkowaną skutą kajdankami i prowadzoną przez mężczyzn z karabinami w stronę bazy.

- Jest niedaleko stąd - odpowiedziała, patrząc przez pustkowie na szczątki zawałonego mostu Williamsburg. Tylko względem mostu potrafiła określić swoje położenie, był to jedyny punkt orientacyjny, jaki rozpoznawała. - W pobliżu tamtych podpór mostowych.

- Dobrze.

- Jest tam też... moja przyjaciółka, lepiej żebyście to wiedzieli.

Devereau popatrzył na nią surowo.

- Nie jesteś sama?

- Proszę mi wierzyć, ona też nie jest szpiegiem.

- Jest uzbrojona?

Maddy potrząsnęła głową.

- Nie... nie ma broni, ale... cóż... może być groźna.

Devereau zdawał się setnie rozbawiony.

- Mam tu dwudziestu chłopów... myślę, że poradzimy sobie z jedną nieuzbrojoną kobietą.

- Nie - ostrzegła Maddy. - Proszę mi wierzyć, jest zupełnie inna niż ja, bywa śmiertelnie niebezpieczna. Najpierw powinnam ją uprzedzić. Wyjaśnię jej, że wszystko jest pod kontrolą.

Pułkownik przez moment taksował ją podejrzliwie wzrokiem.

- Nie krzyknę, żeby uciekała ani nic w tym stylu... obiecuję.

Znowu w zamyśleniu pogładził brodę.

- W porządku. Ale, powiedzmy to sobie jasno: jeśli usłyszę cokolwiek, co zabrzmiałoby jak szyfr albo ostrzeżenie, zastrzelę na miejscu jak psa.

- Oczywiście. Obiecuję. - Otoczyła usta dłońmi i krzyknęła: - BEKI! - Ochryply głos odbił się od obłupanego rogu pobliskiego magazynu: echo rozbrzmiało wśród kamieni i labiryntu na wpół rozwalonych budynków, popłynęło przez martwy Brooklyn, gasnąc ni-czym wspomnienie o śnie i powoli zamieniając się w żalobny szept wiatru buszującego wśród okiennic, które uporczywie stukały w przegniłych ościeżach.

- Tu Maddy! Jesteś tam? - Głos przybrał łagodniejsze tony. - Wszystko dobrze... Nic

mi się nie stało... ci żołnierze mnie nie skrzywdzą.

Wciąż słychać było tylko odległe stukanie okiennicy, szmer i szum fal leniwie pluskających o pobliski brzeg East River.

- Najwyraźniej twoja przyjaciółka cię opuściła - rzekł Devereau.

Maddy potrząsnęła głową.

- Nie, nie zrobiłaby tego. Wciąż gdzieś tam jest - powiedziała, wskazując ruiny mostu.

- Gdzieś tam jest ten wielki, płytki krater z naszą bazą na dnie. Może zdołamy podejść bliżej...?

Żołnierze Devereau opadli na kolana i unieśli karabiny, błyskawicznie reagując na niespodziewany dźwięk: brzęk odłupanej dachówki, która potoczyła się po gruzowisku. Potem nad ziemię niczyją wróciła głucha cisza.

- Beki?! - ponownie krzyknęła Maddy. - To ty?

Mężczyźni rozglądali się wokół po popękanych ścianach i odsłoniętych półpiętrach rozwalonych budynków, gdzie mogli kryć się snajperzy wroga. Znajdowało się tu setki doskonałych pozycji strzeleckich. Kilku żołnierzy przeładowało karabiny, szykując się do strzału, rozległ się szcęk odbezpieczanych zamków.

- Beki? Jesteś tam?

Ciszę przerwało kolejne poruszenie, nie byli w stanie ustalić, skąd dobiega dźwięk, bo echo płynęło ze wszystkich stron, odbijając się od zdewastowanych ścian otaczających ich budynków.

- Dlaczego mnie opuściłaś? - ciszę rozdarł głos. Pułkownik i jego ludzie zaczęli się nerwowo obracać i rozglądać w koło, próbując ustalić źródło głosu: stąd, stamtąd, znikąd. Brzmiał bezpłciowo. Neutralnie. Niechętnie. Niemal wrogo.

- Beki? Gdzie jesteś?

- Twoje odejście było... niestosowne.

- Przepraszam, ja tylko... nie wiem, co się stało, Beki. Chyba coś mi odbiło.

Długa cisza.

- Beki? - Jej krzyk niemal zamarł na ustach, w głowie Maddy kołatała się niepokojąca myśl.

„Beki nie mówi normalnie. Mówi inaczej”. - W jej głosie, zazwyczaj tak zimnym, krzepiąco logicznym, pobrzmiwały teraz nutki ludzkich emocji. Gniewu? Rozżalenia? Nigdy nie słyszała tak mówiącej jednostki.

- Beki? Proszę... wyjdź! - Zerknęła na żołnierzy. Wszyscy niespokojnie przesuwali palcami po spustach karabinów.

„Wystraszyła ich”.

- Proszę! Rozkaż swoim ludziom, żeby nie strzelali, jeśli wyjdzie - mruknęła Maddy do Devereau. - Nikogo nie zaatakuje. Wydam jej odpowiednią komendę.

- Komendę? - Devereau zmrużył oczy - Komendy można wydawać psu stróżującemu.

Zignorowała go.

- Beki! Proszę! Wyjdź, tylko wolno! Ci żołnierze nie zrobią krzywdy ani mnie, ani tobie. Nie stanowią żadnego zagrożenia!

Kilka chwil później niknącemu echu jej głosu odpowiedział dźwięk stukającego gruzu, potem zza pogrążonego w cieniu rogu zbombardowanej piwnicy znajdującej się po prawej stronie wychynęła twarz Beki.

- Tam! - Krzyknął jeden z żołnierzy, chwilę później powietrze przecięła trzask dwóch następujących po sobie strzałów. Z pustaka tuż przy głowie Beki eksplodował pióropusz pyłu, akurat gdy wyszła z ciemności i pokazała się w bladym świetle dnia.

Sierżant Freeman natychmiast wydał rozkaz, aby wstrzymać ogień.

Zeszła do nich po hałdzie gruzu, niewzruszona serią pocisków, które śmignęły tuż przy jej uchu. Chłodnym, szarym wzrokiem świdrowała Maddy, nie zważając na nic innego.

- Ręce do góry, mamy je widzieć - warknął Devereau.

Beki szła powoli, aż zbliżyła się na odległość jakichś pięciu metrów, potem zatrzymała się i spokojnie oszacowała poziom zagrożenia płynącego ze strony żołnierzy.

- Beki! - powiedziała Maddy. - Wszystko w porządku! Ci ludzie to przyjaciele... pokaż im, że nic nie ukrywasz w dłoniach!

Beki ostrożnie podniosła ręce i rozwarła pięści, ukazując puste dłonie, potem przeniosła wzrok na Maddy, z zainteresowaniem przekrzywiając głowę.

- Dlaczego mnie zostawiłaś?

Zdawało się, że musi się tego koniecznie dowiedzieć, jakby od satysfakcjonującej odpowiedzi na to jedno pytanie zależał dalszy ciąg rozmowy. Maddy podejrzewała, że oprogramowanie osadzone w głowie jednostki zapętlilo się, zataczając niekończące się koła wokół tego samego fragmentu kodu, i wymaga odświeżenia poprzez wprowadzenie jakichkolwiek danych, które będzie można przetworzyć.

„Lepiej nic przed nią nie ukrywać”.

- Ja... chciałam zwyczajnie wrócić do domu...

- Informacja: nie wolno ci opuszczać Agencji.

- Przestań, Beki, zejźdź ze mnie! A nie mówiłaś, że wszystko jest rozwalone?!

Beki skinęła głową.

- Potwierdzam.

- Właśnie! - Maddy wzruszyła ramionami. - Pomyślałam... doszłam do wniosku, że nasza drużyna przestała istnieć. Dlatego...

- Misja wciąż trwa. - Beki zerknęła na Devereau, po czym znowu utkwiała wzrok w Maddy. - Wciąż mamy też do czynienia ze zdarzeniem kontaminacyjnym, które musi zostać naprawione, Maddy.

- Tak? I jak to niby naprawimy, co? To jasne, że inna drużyna musi posprzątać ten bajzel, bo cała baza jest rozwalona, może nie?

- Zaprzeczam.

- Co?

- Przeprowadziłam kompletną ewaluację uszkodzeń. Jeśli uda nam się pozyskać właściwe komponenty, będę w stanie wykonać niezbędne naprawy. - Popatrzyła na Maddy z niemal błagalnym wyrazem twarzy. - Czekam na nowe rozkazy, Madelaine. Daj mi instrukcje.

Maddy podeszła na krok i nieśmiało ujęła w obie dłonie okaleczoną lewą rękę jednostki, po czym delikatnie ją ścisnęła.

- Tak bardzo cię przepraszam - wyszeptała.

Może wszystko rozgrywało się w jej głowie, może były to tylko pobożne życzenia, ale zdawało jej się, że czuje, jak Beki niemal niezauważalnie odwdzięczyła się tym samym gestem.

- Wracajmy do luku, Beki. Możesz mi pokazać, co trzeba zrobić, żeby to naprawić.

Odwróciła się i kiwnęła głową na Devereau i żołnierzy.

- Myślę, że oni nam pomogą.

- Potwierdzam.

ROZDZIAŁ 36

Gdzieś w Wirginii rok 2001

Ktoś usiłował brutalnie wyrwać Liama ze snu. Nad szarpiącą go za rękę Sal układały się skośne pasy krwistoczerwonego zmierzchu, który wkradał się do pokoju przez drewniane żaluzje.

- Co... co jest? - wymamrotał z irytacją w głosie.

- Jakiś krasnal właśnie wbiegł do domu i porwał broń Boba!

- Co? - Chwilę zajęło mu przetrawienie tej informacji. Pomyślał, że jego dziwny sen

wcale nie dobiegł końca. - Coś ty właśnie powiedziała?

- Krasnal... albo dziecko. - Ona też chyba nie była pewna, czy oboje nie śnią jakiegoś dziwnego snu. - Wszystko wydarzyło się zbyt szybko. Rozmawiałam z Bobem... a to coś wbiegło do kuchni, chwyciło strzelbę i wybiegło.

- Coś? - Półprzytomny Liam usiadł na skrzypiącej kanapie. - Gdzie jest Bob?

- Wybiegł za nim, żeby ją odzyskać.

Dobre i to. To była ich jedyna broń. Nie licząc samego Boba oczywiście. Otrząsnął się z resztek snu i wszedł do kuchni. Na stole leżało rozciągnięte ciało Lincolna, wciąż pogrążonego w głębokim śnie. Tylne drzwi były otwarte na rozcież.

- Tędy uciekł?

Sal potakująco kiwnęła głową.

Liam stanął w drzwiach. Słyszał szybko cichnący szelest i odgłosy ruchu dochodzące z pola kukurydzy rozciągającego się pod drugiej stronie zachwaszczonego ogrodu. W zapadającym zmroku zdołał tylko dostrzec miejsce, w którym Bob wpadł na pole, zostawiając za sobą szereg złamanych i spłaszczonych łądyg-

- Odzyska ją, nie mam żadnych wątpliwości - powiedział Liam. - Jest szybki.

- Mam nadzieję.

Zachodzące słońce skurczyło się do rozmiarów złotej monety, która wrzała na jaskraworóżowym niebie otoczona mlecznym kożuchem chmur.

- Ruszamy w drogę, jak tylko wróci - zdecydował Liam. - Weźcie tyle puszek, ile zdołacie unieść i...

- Liamie - wyszeptała Sal.

- Co?

- Widzisz to? Tam. - Wskazała skraj pola na końcu ogrodu. Nie widział nic poza ciemną przesieką spłaszczonych łądyg wśród sięgających piersi i łagodnie falujących kłosów zboża.

- Co? Nic nie widzę... - I wtedy je zobaczył. Mroczne kształty powoli wyrastające z pola i wchodzące do ogrodu. - Hej! Kto tam jest? - Warknął Liam.

Kształty nadchodziły, niskie cienie mieszały się z kępkami chwastów i czarną ziemią. „Jezu”.

Liam wciągnął Sal z powrotem do kuchni i zamknął drzwi. Hałas wybudził Lincolna ze snu.

- A niech was wszystkich piekło pochłonie! Ja tu śpię! - Zgrzytnął zębami.

- Co to za duchy? - zakwiliła Sal.

- Nie wiem na pewno, ale...

Drzwi zatrzeszczały w zawiasach, uginając się od nagłego uderzenia. Na środku wyprysła duża drzazga.

- Co się tu, u diabła, dzieje?! - ryknął Lincoln z wciąż zaczerwienionymi od snu oczami.

- Chuddah! - wydyszała Sal. - Okno!

Liam odwrócił się. W okno stukały ręce - nie... nie ręce... nie do końca... Wyglądały osobliwie, ale poruszały się, skrobały i drapały zbyt szybko, żeby mógł jednoznacznie stwierdzić, na czym ta osobliwość polega. Pokryta brudem szyba rozprysła się na kawałki, coś wleciało do pokoju.

- Na dwór! Na dwór! - krzyknął Liam, po czym popchnął przed siebie Sal i wyciągnął Lincolna z krzesła. Razem wypadli z kuchni do czarnego korytarza.

Mocno zatrzaskała za sobą drzwi. Otwierały się w stronę holu, dlatego mogli podeprzeć je różnymi przedmiotami, aby nie otworzyły się do środka.

- Zablokujcie to! Musimy je zabarykadować!

Rozpaczliwie rozglądali się dookoła, Lincoln wskazał stojący na podłodze wysoki zegar szafkowy. Liam skinął głową. Wspólnie z Sal pomogli Abrahamowi przeciągnąć czasomierz po pokrytej kurzem podłodze i niezgrabnie oprzeć go pod kątem o kuchenne drzwi. Zegar głośno zabił w proteście przeciwko tak obcesowemu traktowaniu.

Coś kilka razy grzmotnęło w drzwi, które w końcu puściły. Usłyszeli szuranie i zgrzytanie drewnianych nóg krzesel; brzęk rozbijanych, zrzuconych z półek, tłukących się i turlających po podłodze przedmiotów.

- Weszli! - wyszeptała Sal.

Chwilę później drzwi, o które opierali się całym ciężarem swoich ciał, wspomagając zegar szafkowy, ugięły się od potężnego uderzenia. Zupełnie jakby ktoś lub coś po drugiej stronie wałnął w nie drewnianym młotem.

Lincoln zaklął.

- Cóż to u diabła jest?

- Nie wiem... nie wiem!

- Na pewno nie ludzie - syknęła Sal. - To nie mogą być ludzie!

Po prawej stronie, w głębi pogrążonego w mroku korytarza prowadzącego do frontowych drzwi, podskoczyła klamka, jakby ktoś sprawdzał, czy nie da się wejść do środka. Pomiędzy drzwiami a progiem Liam ujrzał wąziutki strumień karmazynowego zmierzchu. Zamigotał od poruszeń Bóg wie ilu kształtów, które zaczynały się gromadzić na zewnątrz.

- ODEJDŹCIE! - krzyknęła Sal.

Po kolejnym uderzeniu w samym środku dębowych drzwi wyprysła srebrna rysa światła.

„Długo nie wytrzymają”.

Schody. Zapamiętał, że w korytarzu znajduje się klatka schodowa prowadząca na pierwsze piętro.

- Tam! Schody, musimy uciec na górę!

- Rozum pan postradał? - burknął Lincoln. - Przecież stamtąd nie ma ucieczki!

- To bez znaczenia. Niedługo wróci Bob. Rozgoni zgraję.

- Ale to tylko jeden człowiek! A tam kotłuje się cała armia!

- To nie ludzie - powtórzyła Sal.

Drzwi frontowe gwałtownie wygięły się od kolejnego ciosu, tuż obok pierwszej cienkiej jak włos szpary pojawił się kolejny krwistoczerwony prześwit, postrzępiona dziura.

- Schody! Teraz! To nasza ostatnia szansa!

- Okej... tak... chodźcie! - Sal szybko skinęła głową.

- A niech pana jasny szlag trafi! Nie będę uciekał jak byle kundel. Dajcie mi broń, a...

- Na litość boską - warknął Liam - co z panem nie tak? Naprawdę chce pan umrzeć?

Twarz Lincoln rozjaśnił błysk świętego oburzenia.

- Nie jestem tchórzem, sir! Będę walczył do ostatniej kropli krwi!

- A ja jestem - odparła Sal. - Uciekajmy już... proszę.

Nagle usłyszeli szum opadającego na ich stopy tynku. Gdy niespokojnie odwrócili się, by zlokalizować źródło odprysku, zobaczyli poszarpane czerwono oko wyzierające ze ściany przy drzwiach kuchennych.

- Huh?

Zamrugało. A raczej zamigotało.

- To tylko dziura - trzeźwo zauważył Lincoln.

Mała piąstka przebiła na wylot płytę gipsowo-kartonową i oderwała spory kawał ściany, który opadł na ziemię z szumem sypiącego się tynku. Mrugnęło kolejne małe, matowe oko zmierzchu. I kolejne.

- Niech Bóg nas zachowa od złego! Rozwalają przeklętą ścianę!

Lincoln ściągnął usta.

- Może zatem powinniśmy... tak jak pan sugerował...?

- Biec? No to już!

Drzwi kuchenne naprężyły się i zatrzeszczały od mocnego uderzenia, zegar przechylił

się, a kurant głucho wybił godzinę. Cała trójka ruszyła w dół korytarza - obok drzwi frontowych, które znowu zatrzęsły się od walnięcia młotem. Odprysnął kolejny kawałek drzewa, Liamowi zdawało się, że przez powstałą szczelinę dostrzega mglisty zarys twarzy, szerokiej i płaskiej, ze świdrującymi czarnymi oczkami i dziurą - czy to była... dziura? - w miejscu, w którym powinien znajdować się nos.

„Co to za potwory?... To demony?”.

- Na górę! NA GÓRĘ! - krzyknął do Sal i Lincolna. - IDŹCIE NA GÓRĘ!

Frontowe drzwi wyglądały teraz przeraźliwie krucho, pajęcza sieć szczelin i rozcięć, która migotała i poszerzała się po każdym ło-motnięciu.

Liam jako ostatni wbiegł po drewnianych schodach, kilka razy potykając się w ciemności. Sal czekała na niego wyżej, na półpiętrze.

- W którą stronę, Liamie? W którą stronę?

- Obojętnie! Po prostu biegnijcie!

Za ich plecami - u podstawy schodów - rozległo się głośne skrzypienie odchodzących drzazg. Pod naporem wreszcie ustąpiły któreś drzwi: albo kuchenne, albo wejściowe. Liam słyszał, jak stojąca kilka kroków dalej Sal przestępuje niespokojnie z nogi na nogę, a schylony obok niej Lincoln ciężko dyszy.

- IDŹCIE! - krzyknął Liam.

Sal po omacku przesuwiała się wzdłuż pogrążonego w mroku pół-piętra, obmacując i dotykając ścianę w poszukiwaniu drzwi, które dałyby się otworzyć.

Liam usłyszał, jak zegar ścienny upada na podłogę, wypełniając dom brzęczącym kurantem.

„Przeszli!”.

Usłyszał drapanie - szponów? - o drewnianą podłogę i niepokojące nucenie. Do złudzenia przypominało to ludzkie głosy, choć stwory na dole - czymkolwiek nie były - wydawały zduszone dźwięki, jakby ktoś włożył im knebel do ust.

Odwrócił się i zaczął iść w ciemności, obmacując rękami mokre ściany, od których odchodził tynk.

- Sal! - syknął.

Zbyt późno uświadomił sobie, że dziewczyna i Lincoln po wejściu na szczyt schodów skręcili w prawo, on zaś ruszył w lewo. Ciemność wypełnił stukot stóp, szuranie istot wspinających się po schodach i to złowieszcze nucenie, które bardziej przypominało gardłowe powarkiwanie niż łagodne pomrukiwanie.

Liam natrafił ręką na wnękę, przesunął dłoń na framugę drzwi i jakimś cudem

wreszcie wymacał klamkę. Chwycił ją obiema dłońmi i otworzył drzwi na rozcież, na jego twarz padł słabiutki, czerwony promyk światła, ostatni refleks zmierzchu, który wpłynął przez zakurzone kwadratowe okienko na strychu.

Irlandczyk zamknął za sobą drzwi, następując na pudełka wypełnione miękkimi przedmiotami, pewnie zabawkami lub ubraniami. W pokoju musiał być kiedyś magazynek; nisko nad głową znajdował się sufit z grubą drewnianą więźbą dachową. Podbiegł do świetlika, schylając się pod belką, i dopadł do zasuwki, aby otworzyć go na roścież. Za jego plecami wciąż rozbrzmiewał tupot stóp i skrobanie pazurów, stłumione powarkiwania i ciężkie sapanie, potem usłyszał chrobotnięcie pięści o drzwi i trzaśnięcie starego, suchego drewna ustępującego pod brutalnym naciskiem.

Ale krew w żyłach zmroził mu dopiero kolejny dźwięk. Stłumiony przez drzwi na półpiętrze krzyk Sal. Nie przestając majstrować przy zatrzasku okienka, uświadomił sobie, że ich prześladowcy wybrali pościg za Sal i Lincolnem, nie za nim.

Trzask i prask. Znowu. Stwory wściekle waliły w drzwi, za którymi ukryła się Sal, rozdzierając je na kawałki. Liam się zawahał. Planował otworzyć małe okno i przecisnąć się na zewnątrz, żeby ukryć się na gontowym dachu. Ale...

Znowu krzyk Sal.

...ale te stwory zaraz ją złapią.

Liam zaklął pod nosem.

- Ach... Jezu...!

Niecierpliwie starał się wymacać rękami jakiś przedmiot, którego mógłby użyć jako broni, szaleńczo obmacywał podłogę wokół siebie, przysłuchując się szamotaninie na korytarzu: Lincoln miotał przekleństwa, Sal krzyczała, istoty wydawały przeraźliwe piski, przedmioty z hałasem walały się po podłodze, ciosy padały raz za razem, podłoga wibrowała od tupotu i stukotu kroków.

- Dalej!... No dalej! - wyszczał. Usłyszał rozpaczliwe wołanie Sal, baryton Lincoln przeszedł w... podrażniony ryk. Wokół wirowały odgłosy brutalnej bitwy. Musiał to przyznać - Lincoln ma jaja. Ten odpychający, wyszczekany drażgał i idiota najwyraźniej wdał się w bójkę. I przegrywał, walcząc tylko gołymi pięściami.

Liam dotknął palcami jakiegoś kija. Przesunął rękę w dół, aż poczuł gęste, zwarte włosie. To szczotka.

„Ach, chrzanić to... powinno starczyć”.

Podniósł ją i ruszył przez stryszek w stronę drzwi, zupełnie zapominając o nisko zawieszanej na wysokości głowy belce.

Zapomniał się uchylić.

ROZDZIAŁ 37

Nowy Jork rok 2001

Pułkownik Devereau i sierżant Freeman uklękli i skierowali promienie latarek pod na wpół otwartą roletę z falistej blachy, aby rozświetlić ciemną przestrzeń.

- To ma być to? - spytał. W jego głosie zabrzmiała nutka rozczarowania. - To jest ten wasz wehikuł czasu?

Z przygaszonego tonu jego głosu Maddy starała się wywnioskować, czy on naprawdę chciał wierzyć, że wszystko, co mu powiedziała, jest prawdą. Gdyby tak było, to przekonanie go i uzyskanie od niego pomocy okazałoby się zdecydowanie łatwiejsze.

Uklękła i zerknęła do środka. Baza wydała się jej w o wiele lepszym stanie niż wczoraj. Beki musiała w nocy naprawić wszystkie sprzęty; zamieść cegły i tynk, przybić półki, które spadły na podłogę, i dokładnie wysprzątać cały ten bałagan. Nie licząc ziejącej rysy biegnącej wzdłuż podłogi i wyszczerbionych dziur w dachu, baza wyglądała niemal normalnie, poza tym oczywiście, że w pomieszczeniu panowała całkowita ciemność.

- Nie mamy prądu - powiedziała Maddy. - Kiedy tu wylądowaliśmy, nasz generator praktycznie się rozpadł.

Devereau podciągnął roletę odrobinę wyżej - hałaśliwie zaklekotała. Żołnierze z jego plutonu weszli do środka, zabłysło kolejne pół tuzina latarek, promienie zaczęły buszować po łuku, wyławiając coraz to nowe szczegóły.

- Zaprzeczam, Madelaine - powiedziała Beki. - Generator działa. Zdołałam przeprowadzić prowizoryczną naprawę. Pójdę go włączyć.

Beki weszła do bazy i żwawo podeszła do prowadzących na zaplecze rozsuwanych drzwi. Zniknęła w ciemności.

- Hej! Panienko! - burknął sierżant Freeman, zrzucając karabin z ramienia. - A ty gdzie, do diabła?

Beki odwróciła się do żołnierza, światło latarki zatańczyło na jej twarzy. Z niezmaconym spokojem odrzekła:

- Idę włączyć prąd oczywiście.

Devereau wzruszył ramionami. Raz już obchodzili tę dziwną konstrukcję. Przypominała termitierę: wielki, nierówny kopiec w całości zbudowany z kruszących się cegieł. Ta druga dziewczyna - Beki - i tak nie miałyby gdzie się tu schować.

- Lepiej idźcie z nią, sierżancie - rozkazał jednak na wszelki wypadek Freemanowi.

Oboje ruszyli przez wejście na zaplecze. Zaraz potem Maddy odetchnęła z ulgą, słysząc uspokajający dźwięk budzącego się do życia generatora.

Jarzeniówki zawieszona pod sufitem bazy zamigotały i zapaliły się wszystkie jednocześnie.

Devereau zaklął. Sięgnął w stronę rolety i szarpnął ją do dołu.

- Pomóż mi - rozkazał młodemu żołnierzowi. Wspólnymi siłami opuścili roletę na sam dół, aż z brzęknięciem stuknęła o podłogę.

- Jesteśmy w samym środku strefy śmierci! - przypomniał Devereau. - Bezmyślne urządzenie iluminacji, która zwabi tu ich samoloty, to ostatnie, czego teraz potrzebujemy!

- Ach... rzeczywiście. - Maddy przepraszająco skinęła głową.

Monitory komputerowe były włączone, system powoli wracał do życia. Znowu pojawiła się Beki, tuż za nią Freeman.

- Zbiornik paliwa uległ zniszczeniu - poinformowała Beki. - Straciliśmy znaczną część naszych rezerw. - Podeszła do Maddy i Devereau. - Będziemy potrzebować więcej paliwa, Madelaine.

- Aby naładować wehikuł translokacyjny?

- Potwierdzam.

- Ale czekaj! Po co? Mówiłaś, że antena transmisyjna jest...

- Uważam, że możemy skonstruować podobne urządzenie do transmisji danych i skonfigurować jej pod kątem przesyłu cząstek tachionowych...

- Najmocniej przepraszam! - Devereau się skrzywił. - Mogłybyście czasem mówić po ludzku?

Przerwały i spojrzały na niego.

- Dość tego... mam podejrzenie graniczące z pewnością, że obie jesteście szpiegami Konfederacji. - Wyciągnął paczkę gitanów i podpalił papierosa, po czym wycharkał na podłogę grudkę bezbarwnej flegmy.

- Nie wstyd panu? - z irytacją upomniała go Maddy. - To ohydne.

Zignorował ją.

- Wszystko mi wyśpiewasz, jeśli nie chcesz trafić za kratki wojskowego więzienia federalnego. Ty też - powiedział, wskazując Beki, po czym zaciągnął się i wypuścił chmurę cuchnącego dymu prosto w ich twarze. Od tego odoru Maddy aż zmarszczyła nos. - Wyśpiewasz jak na spowiedzi - dodał.

Beki milczała. Na jej twarzy malowała się chłodna rezerwa.

Maddy wzruszyła ramionami.

- Jasne... dlaczego nie? Przecież może pan usłyszeć... wszystko. - Odwróciła się do Beki, spodziewając się, że za chwilę usłyszy ostrzeżenie. - Bo ta oś czasu w ogólnie nie powinna istnieć. Ta rzeczywistość to pomyłka. Tak jak cała ta wojna i wszyscy żołnierze. - Szczerze się do niego uśmiechnęła. - Nawet pan, pułkowniku Devereau.

- Ja nie powinienem istnieć? - Ton jego głosu między zawisł gdzieś pomiędzy niedowierzaniem a oburzeniem.

- Nie w takiej postaci. Nie tak.

Zmarszczył brwi i z oburzeniem wysunął brodaty podbródek.

- Ale mnie się bardzo podoba moja obecna postać!

- Proszę posłuchać. - Maddy wydeła policzki. - To naprawdę skomplikowane. Chyba lepiej wyjaśnię panu, na czym polega podróżowanie w czasie. - Skinęła głową w kierunku wysłużonych foteli. - Usiądziemy? To zajmie dłuższą chwilę.

ROZDZIAŁ 38

Gdzieś w Wirginii rok 2001

Zaciekły pościg Boba za istotką, która odważnie wtargnęła do kuchni gospodarstwa, by tuż spod jego nosa ukraść jedną ze strzelb, zaprowadził go donikąd.

Stał na środku pola kukurydzy. W gęstniejącym mroku nie sposób było dostrzec złamanych łodyg wskazujących, w którą stronę istota uciekła. Odbiegł od domu na jakieś czterysta metrów, robiło się ciemno, a w jego umyśle zaczęły błyskać sygnały ostrzegawcze.

[Błąd taktyczny].

Już prawie wygenerował drzewo analityczne, gdy nagle usłyszał, że z gospodarstwa dobiegają odgłosy krzyku i łomotania niosące się przez cicho falujące pole kukurydzy.

System wygenerował kilka konkluzji.

Wyglądająca jak dziecko istota nie jest sama.

Kradzież broni miała odwrócić jego uwagę.

Pozostali są w niebezpieczeństwie.

Rzucił się pędem przez pole kukurydzy, wracając wydeptaną już ścieżką zmiażdżonych łodyg. Hałas był coraz wyraźniejszy, coraz dzikszy. Odgłosy wskazywały, że w domostwie rozgorzała walka, gdy podbiegł bliżej dostrzegł, że z tylnych drzwi do kuchni, przez które wybiegł kilka minut temu, została tylko zdemolowana rama chwiejąca się na powyginanych zawiasach.

Usłyszał piskliwe wrznięcie, które zidentyfikował jako krzyk Sal. Coś w jego głowie drgnęło. Nie silikonowy procesor, ale mały pofałdowany kawałek tkanki, mózg wielkości szczurzego mózdzka, podłączony do systemu za pomocą synaptycznych przewodów. Gdy biegł przez zarośnięty ogród, w jego umyśle tworzyła się lista słów adekwatnie opisujących jego aktualne uczucia.

Poczucie winy (trafność 90%).

Wstyd (trafność 56%).

Złość (trafność 10%).

Nabrali go, wywabili wprost na puste pole, żeby zaatakować pozostałych członków drużyny, którzy zostali sami i bezbronni. Dosłownie - teraz nie mieli ani broni, ani jednostki pomocniczej, która mogłaby ich obronić.

Wpadł na to, co zostało z drzwi wahadłowych, doszczętnie wyrywając je z zawiasów. Kuchnia wyglądała tak, jakby przetoczyła się po niej fala tsunami: wszystko, co mogło zostać zniszczone i połamane, zostało zniszczone i połamane. Ściana zamieniła się w sito pokryte gipsowym kurzem, na wierzch wyszły drewniane belki podporowe. Całą jej długość, aż do korytarza, znaczyły dziury rozmiaru pięści. Drzwi wiodące do holu wyglądały tak samo jak tylne drzwi - były roztrzaskane w drzazgi.

- LIAMIE! - Głos Boba popłynął w głąb domu.

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Odgłosy szamotaniny i krzyki ustały mniej więcej pół minuty temu.

- SALEENO! - spróbował ponownie, wchodząc do korytarza i przystosowując wzrok do ciemności.

Zauważył, że zadrapania i zarysowania znaczą całą podłogę i ciągną się wzdłuż ścian... i schodów. Błyskawicznie, w pośpiechu, wspinał się po starych, drewnianych stopniach, które jęczały i skrzypiały pod jego ciężarem.

Po wejściu na podest skręcił w prawo. Drzwi na końcu korytarza, pokryte rysami, zdewastowane i przedzielone na pół głębokim pęknięciem, były szeroko otwarte. W pokoju po drugiej stronie dostrzegł ramę przewróconego na bok łóżka i wywrócone do góry nogami krzesło. Tu rozegrała się decydująca walka. Ale nie było żadnych ciał. Wszyscy zniknęli.

W przeciągu kilku minut, sekund, odebrano mu wszystkich pozostających pod jego opieką ludzi.

Wszedł głębiej do pokoju i ujrzał prawdziwy krajobraz po bitwie. Wyrwanej z siedzenia nogi od krzesła prawdopodobnie użyto jako maczugi. Jeden jej koniec był obryzany krwią - blade ściany oświetlane wątłym światłem zmierzchu były zachlapanie

czarnymi plamami i kroplami.

Logiczna część jego umysłu wygenerowała krytyczny komunikat.

[Status misji: PORAŻKA].

W organicznej części mózgu na ocenę sytuacji wpływał szereg uczuć, których nie potrafił, lub nie miał ochoty, opatrywać w tej chwili żadnymi etykietami. Wyszedł z pokoju i oparł się o ścianę na korytarzu, po czym wolno osunął się na podłogę, niczym masa okla-płych mięśni.

- Zawiodłeś. - Głęboki głos Boba zabulgotał łagodnie jak włączający się bojler gazowy, jak metro pędzące przez podziemny tunel.

- Zawiodłeś - powtórzył, tym razem lekko drżącym głosem. Podejrzał, że gdyby słyszała to Beki, zaintrygowałoby ją, a nawet zaimponowało jej, że głos jednostki mimowolnie wyraża emocje.

Komputer w jego czaszce uporczywie podsuwał sugestie dotyczące nowych parametrów misji, naciskając na podjęcie ostatecznej decyzji: kontynuować marsz na północny zachód do Nowego Jorku? W końcu Madelaine Carter wciąż tam była, wciąż potrzebowała ochrony. Podjąć próbę lokalizacji ciał Liama O'Connora, Saleeny Yi-kram i Abrahama Lincolna? Istnieje cień szansy, maleńkie prawdopodobieństwo, że przynajmniej jednemu z nich udało się przeżyć.

Ulec autodestrukcji... z czystego poczucia wstydu. Być może jego sztuczna inteligencja jest zawodna, wadliwa. Podjął błędną decyzję, która przyniosła całe to nieszczęście. Przecież fortel polegający na wywabieniu go na zewnątrz był bardzo łatwy do przejrzenia.

Podświadomie zwinął wielką dłoń w pięść, obwiniając się za taką... głupotę. Być może inna jednostka pomocnicza ze zaktualizowanym oprogramowaniem, nieobciążona brzemieniem wielomiesięcznych, emocjonalnych wspomnień pełnych przygód i humoru... wykonałaby zadanie o wiele efektywniej niż on.

Poważnie brał pod uwagę uruchomienie procedury autodestrukcji, chociaż jego oprogramowanie wysyłało dość jednoznaczne i wyraźne sygnały, że to nielogiczna konkluzja, która nie przyniesie nic użytecznego... wtedy usłyszał za plecami odgłos kroków. Odwrócił się szybko, żeby spojrzeć na pogrążony w niemal egipskich ciemnościach podest. Miał chęć rozedrzeć coś, kogoś, na strzępy, odrywać kończynę po kończynie, z samego tylko pragnienia zemsty.

Wtedy zobaczył Liama, który stał z szeroko otwartymi oczami, wykazując behawioralne objawy stresu pourazowego.

- LIAMIE O'CONNOR! - huknął.

Liam zachwiał się na nogach i złapał za głowę.

- Bob... Jezu, ja... nie pamiętam co... ja tylko...

Klon poderwał się na równe nogi, jednym susem pokonał dzielący ich dystans i, - zanim elektroniczny mózg zdążył wysłać krytyczny komunikat o niesmaku i zażenowaniu z powodu reakcji swojej obudowy - objął muskularnymi ramionami wąską sylwetkę Liama, po czym mocno go wyściskał.

- Żyjesz! - zadudnił zupełnie niepotrzebnie.

- Bob... chyba porwali Sal... i Lincolna.

- Żyją?

Liam z trudem łapał oddech, bo spocone ramię Boba miażdżyło jego nos i usta. Odepchnął jednostkę pomocniczą, zmuszając ją do rozluźnienia uścisku.

- Tak myślę. Chyba ich porwali...

Jego słowa nagle utonęły w ogłuszającym krzyku, od którego pół-piętro, całe gospodarstwo, zawibrowało jak membrana werbla. Budynek zalała biała, oślepiająca jasność przesywająca dziury i szczeliny w suficie nad ich głowami, świetlne ostrza omiotły ich skórę i padły na drewnianą podłogę.

Światło... i ryk. Zawieszony bezpośrednio nad nimi. Zbiegli po schodach, zanim zdążyli ustalić, że może faktycznie lepiej byłoby pozostać w ukryciu gdzieś w środku. Przez roztrzaskane drzwi wejściowe wyszli na werandę i wlepili wzrok w lśniąco białe światło. Liam ręką osłonił oczy - promienie kłuły mocno i intensywnie, jakby wpatrywali się bezpośrednio w słońce. Zalał ich blask fałszywego świtu, błysk sztucznego światła.

- Co to?! - krzyknął mimowolnie. Nie słyszał nawet swojego głosu, nie mówiąc już o odpowiedzi Boba.

Nagle opadł na nich lodowaty podmuch powietrza, poczuł, jak coś zimnego i mokrego osadza się na jego policzkach. W blasku światła dostrzegł milion białych, puszystych płatków wolno opadających ku ziemi, pikujących, wirujących i kołyszących się jak ptasie pierze, popiół po pożarze lasu. Ale to coś innego.

„Mój Boże... pada śnieg!”.

Dokładnie to.

„Śnieg?”.

Ogłuszający huk, który rozdarł powietrze i od niemal minuty uniemożliwiał jakąkolwiek próbę nawiązania werbalnego kontaktu, nagle ucichł. Zapadła cisza, którą wypełniał tylko dyszący oddech Liama i dyskretny szelest śniegu opadającego na ziemię

wokół nich.

- Co to do...? - wydukał Liam, czując jak coraz więcej płatków ląduje na jego zwróconej ku niebu twarzy i ręce osłaniającej oczy.

Oślepiające światło przesunęło się z Liama i Boba na tyły gospodarstwa, a potem odpłynęło dalej, padając na kolejne budynki wioski niczym świdrujące oko szybko lustrujące okolicę.

Liam podążył wzrokiem wzdłuż światła reflektora, lecz ujrzał tylko szczelnie spowite ciemnością, bezgwiazdne niebo. Sądził, że zobaczy gęste zwały sunących nad ich głowami chmur śnieżnych, które najlepiej wyjaśniłyby niespodziewane opady śniegu poza sezonem. Ale zamiast tego na nieboskłonie nagle pojawił się rząd małych światełek. Szereg skierowanych do góry reflektorów rzucających smugi światła na gładki, lśniący, miedziany kadłub.

Jego szczęka zwisła bezwładnie, pomiędzy szeroko otwartych ust wypłynął tylko niewyraźny bulgot sygnalizujący kompletne zaskoczenie.

ROZDZIAŁ 39

Nowy Jork rok 2001

Pułkownik Bill Devereau wpatrywał się w obrazy wyświetlane na ekranach komputerów: pokaz slajdów ze zdjęciami, które kompu-ter-Bob pobrał z systemowej bazy danych na prośbę Maddy. Fotografie Nowego Jorku, tłoczego i gwarne go miasta. Korek żółtych taksówek i turystów na Times Square. Gigantyczny billboard z zieloną twarzą Shreka, który łypie okiem na kłębiący się tłum ludzi. Grający na gitarze akustycznej kowboj w samych gatkach, nie licząc kapelusza z szerokim rondem na głowie i wysokich butów na nogach, uśmiecha się zalotnie do chichrających japońskich nastolatek. Plakat Spice Girls pozujących do wspólnego zdjęcia przed Empire State Building.

- Mój Boże! - wyszeptał.

Zdjęcie Statui Wolności, miętowozielonego posągu nieznisz-czonego przez bomby, nie podziurawionego kulami karabinowymi, wznoszącego się dumnie nad wodą z wysoko wzniesioną pochodnią nadziei.

- Zdążyłem już zapomnieć, jak wyglądała - powiedział.

- Czy na tej osi czasu statua została zniszczona, pułkowniku Devereau? - spytała Beki.

- Bill - powiedział cicho. - Mówi mi Bill.

- Potwierdzam, Bill.

Ze smutkiem potrząsnął głową.

- Po bombardowaniu w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym, po drugim oblężeniu Nowego Jorku przez Południe, zamieniła się w rdzewiejący kikut. Konfederaci wysadzili ją w powietrze... tylko po to, żeby ustawić na Liberty Island kilka dział artyleryjskich. Z tych nowych pozycji zbombardowali Manhattan i obrócili go w perzynę.

- W miejscu, w czasie, z którego pochodzimy, Bill - powiedziała Maddy - jest teraz ta sama data, dwunasty września dwa tysiące pierwszego roku, ale to zupełnie inna rzeczywistość. Zresztą - machnęła ręką - chodzi o to, że w naszym czasie Nowy Jork nie został zniszczony. - Uśmiechnęła się refleksyjnie. W każdym razie nie cały. Doszła do wniosku, że nie ma sensu wspominać o Bliźniaczych Wieżach. Niepotrzebnie by to wszystko skomplikowało.

Odwrócił wzrok od zdjęć. W jego oczach połyskiwała wilgoć, łzy, które za wszelką cenę chciał ukryć przed dziewczynami - a co ważniejsze, przed własnymi ludźmi.

- Tak... naprawdę tak powinien wyglądać nasz świat?

- Tak.

Ponownie spojrzął na najbliższy monitor. Prezydent Bush i premier Blair stali obok siebie przy mównicach, odpowiadając na pytania zadawane przez przedstawicieli prasy. Potem pojawił się Homer Simpson duszący Barta Simpsona.

- Wy i wszystkie te wasze urządzenia... - Kiwnął głową na stojącą po ich lewej stronie wysoką szafkę zbudowaną z płytek drukowanych, wehikuł translokacyjny i bardzo duży, pusty pleksiglasowy cylinder. - Czy ta technologia pomoże zmienić mój świat tak, żeby wyglądał dokładnie jak na tych waszych... jak wy to nazywacie?

- To monitory.

- Na tych waszych... monitorach?

Skinęła głową.

- Ta wojna powinna była się skończyć w tysiąc osiemset sześćdziesiątym piątym roku. Tak miała potoczyć się historia.

W głębokim zamyśleniu podrapał się po gęstej szczecinie zarostu na policzku.

- Prosisz mnie, żebym uwierzył w naprawdę niewiarygodną historię.

Maddy pociągnęła nosem.

- To wszystko prawda. Choć czasem chciałabym, żeby było inaczej.

Devereau pomasaował się po brodzie obleczoną w rękawiczkę dłonią.

- Twierdzisz więc, że za pomocą tej technologii, za pomocą tej maszyny do translokacji czasowej można wysłać człowieka do dowolnego punktu w czasie?

- I do dowolnego miejsca... tak.

Devereau kątem oka spostrzegł sierżanta Freemana, który stał tuż obok i z równą fascynacją oglądał pokaz obrazów.

- Co o tym myślicie, sierżancie Freeman?

Stary podoficer potrząsnął tylko głową.

- Dużo już w życiu widziałem, sir. Pewnie za dużo. Ale to...

Szukał właściwych słów, które najlepiej oddałyby jego myśli.

- Te... te zdjęcia tutaj, jeśli tak powinno wyglądać to miasto, jeśli tak miał rozwinąć się nasz naród, ciekawym, dlaczego u diabła okazaliśmy się bęcwałami i aż tak spapraliśmy świat, w którym żyjemy.

Devereau w zadumie kiwał głową.

- Jeśli zdołamy naprawić wehikuł, może uda się wszystko odwrócić - powiedziała Maddy. - Wywołamy falę czasu, która wszystko wyprostuje. Wszyscy wiedlibyście nowe, lepsze życie. Bylibyście kimś zupełnie innym. - Zastanawiała się, czy powinna dodać, że niektórzy z nich mogliby zniknąć na dobre i nigdy się nie urodzić. Inne stulecie i wyrwiona do góry nogami historia bez wątpienia zmieniłyby drzewa genealogiczne niektórych z tych ludzi.

- Chodzi o to - dodała - że żaden z was nie będzie miał żadnych wspomnień związanych z tą wojną, ponieważ... cóż - wzruszyła ramionami - ponieważ ona nigdy się nie wydarzyła.

- Amen - odrzekł sierżant Freeman, refleksyjnie kiwając głową.

Devereau poprawił kołnierz bluzy.

- A czym, u licha, jest fala czasu?

- To wibracja, która przesywa czasoprzestrzeń i przekalibrowuje rzeczywistość - wyjaśniła Beki.

- To fala nowej rzeczywistości nadpisująca starą - dodała Maddy.

Devereau spochmurniał.

- Zamieniłbym się w kogoś innego?

- Tak, Bill - powiedziała Beki. - Rekalibracji ulega wszystko. I wszyscy.

Zmrużył oczy.

- Czyli jeśli pomogę wam zmienić historię, powiedzmy to sobie szczerze, drogie panie, wydam na siebie wyrok śmierci.

Maddy ściągnęła usta. Do pewnego stopnia miał oczywiście rację. Fala czasu wymazałaby Devereau i pozostałych żołnierzy, podstawiając w ich miejsce alternatywne

wersje lub, całkiem to możliwe, w większości przypadków, unicestwiłaby ich na dobre.

Ponownie spojrzała na pokaz zdjęć. Rok dwa tysiące pierwszy, z którego pochodziła Beki i ona sama, pod wieloma względami nie był doskonały, ale na pewno lepszy niż to rozdarłe wojną piekło. Uważnie wpatrywała się w oczy Devereau i Freemana, lśniła w nich głęboka melancholia. Zgadywała, że obaj większą część życia spędzili w betonowych bunkrach, wypatrując w pogorzeliisku po drugiej stronie rzeki ludzi podobnych im samym.

A obrazy na ekranie migotały iskierkami nadziei... obiecując zupełnie inny świat.

- Powinnam wam wyjaśnić coś jeszcze - ciągnęła Maddy. - Nie ma żadnej gwarancji, że ta rzeczywistość jest stabilna... że się utrzyma. Czasoprzestrzeń wytrącono z jej naturalnej równowagi. Na poziomie kwantowym wymiar rzeczywistości waha się, jakby się zastanawiał, czy aktualna oś czasu jest wystarczająco stabilna, bo jeśli nie, to będzie musiał znów się wykalibrować.

- Wykalibrować? Co to znaczy?

- Może nadejść kolejna fala czasu, zmyć tą rzeczywistość i zastąpić czymś dużo gorszym.

- Gorszym? - Devereau uniósł brwi.

- Na przykład... - zamyśliła się - na przykład światem, w którym Południe wygrało tę wojnę.

- Dobry Boże! Zwycięstwo Anglo-Konfederacji?

- Albo czymś dużo gorszym - dodała.

- Gorszym! - Twarz oficera stężała. - Może być coś gorszego?

- Och tak. - Pokiwała głową. - Uwierz mi, Bill. Dobrze, że nie widziałeś tych wszystkich szalonych rzeczy, które my oglądamy na co dzień. Osiwiałbyś.

ROZDZIAŁ 40

Gdzieś w Wirginii rok 2001

Liam w ciszy i zdumieniu patrzył, jak gigantyczny statek, który przed chwilą unosił się nad gospodarstwem, delikatnie ląduje na ziemi, jak silniki rakietowe buchają lodowatymi podmuchami gazu azotowego, a powietrze wokół nich gęstnieje od arktycznej mgiełki i śnieżnej zawieruchy. W kłębowisku mgły dzwoniły łańcuchy i mechaniczne wyciągarki, wreszcie coś ciężkiego łomotnęło o ziemię. Chwilę później usłyszał stukot podków na metalowej powierzchni i chrapliwe parskanie koni oraz łagodne głosy uspokajających je

mężczyzn.

Nagle coś zaczęło wyłaniać się z mgły.

Bob zmienił pozycję, szykując się do obrony Liama.

- Spokojnie, wielkoludzie - wyszeptał Liam i poklepał klona po ramieniu.

Dostrzegł tylko kilka tuzinów czworonogich bestii - na pewno nie były to jednak konie, jak początkowo sądził. Niewyraźne sylwetki miały bardzo masywne torsy i znacznie szczuplejsze zady. Zerknął na mgłę i tańczące płatki śniegu, które zaczęły się rozpraszać, gdy szum silników ustał.

Usłyszał czyjeś stęknienie i ciche uderzenie butów o ziemię. Zmierzająca ku nim jakaś postać.

- Hmm? Witam, witam! - Postać zbliżyła się na tyle, że Liam zdołał rozpoznać sylwetkę człowieka w dobrze skrojonym mundurze.

- Ach... tu was mam!

Podszedł do nich zadbany mężczyzna przed trzydziestką. Spod szpiczastego daszka białego kasku wyzierała gładko wygolona twarz; błąkał się na niej przyjazny uśmiech, podkreślający kunsztownie wyrzeźbione rysy, które stopiły już zapewne serce niejednej kobiety. Elegancki mundur zdobiły mosiężne guziki opadające równym szeregiem aż do ciasno obwiązanego wokół talii pasa.

- Nie radzę uciekać, panowie - powiedział mężczyzna, wyciągając dłoń w świeżo wyprasowanej, nieskazitelnie białej rękawiczce.

- Kapitan Ewan McManus. Trzecia Kompania, Czwarty Batalion, Pułk Czarnej Straży. Liam uścisnął podaną dłoń.

- Hmm... witam.

- Zgaduję, koledzy, że jesteście tuż po jakiejś bitce? - Przekrzywił głowę - Coś się tu wydarzyło?

Liam skinął głową. Uczucie szoku, dezorientacji, przerażenia i oszołomienia powoli zaczęło odpływać niczym rzedniejąca wokół nich mgła. Przypomniał sobie, że Sal została porwana, może wciąż jest gdzieś w pobliżu.

- Tak! O Jezu! Zabrali naszą przyjaciółkę. Oni... - Użył słowa „oni”, choć tak naprawdę nie miał najmniejszego pojęcia czym ci „oni” byli.

- A niech to! Niedobre wieści. - Kapitan McManus się skrzywił.

- Mówicie więc, że wzięli jeńców?

- Tak! Młodą dziewczynę, dziecko właściwie! I jeszcze jednego mężczyznę. Uciekli dosłownie kilka minut temu... raptem kilka minut temu!

- Wiem - odparł McManus. - Szukamy ich. Tych zwierząt! Myślimy, że to te same bestie. Dziś popołudniu splądrowały miasto kilkanaście kilometrów na zachód stąd. Zamieniły mięscinę w pogorzeliśko. Urządziły istną rzeź. Zginęło dziś wielu ludzi. Kobiety, dzieci.

Oficer odwrócił się i przyłożył rękę do ust.

- Biały Niedźwiedziu, tutaj proszę!

Ponad ramieniem mężczyzny Liam zauważył pluton żołnierzy w podobnych wysokich kaskach i czerwonych bluzach. Wszyscy dosiadali tych dziwnych istot, których nie zdążył jeszcze zidentyfikować. Jeden z mężczyzn szybko zsiadł ze zwierzęcia i podbiegł do nich. Miał długie czarne włosy splecione w warkoczyki i smagłą skórę poznaczoną niewyraźnymi bliznami po ospie.

- Wodzu?

- Biały Niedźwiedź to nasz zwiadowca. Mohawk. Bez dwu zdań najlepszy w swoim fachu. - wyjaśnił McManus, odwracając się do Indianina. - Pokaż kierunek. Wytropimy ich z ziemi. Jasne?

- Tak. - Biały Niedźwiedź skinął głową i odszedł w kierunku gospodarstwa.

- Podejrzewamy, że kierują się na północny wschód, w stronę Miasta Trupów. Tam w przeszłości czmychali ich pobratymcy. Zrobimy co w naszej mocy, żeby ich dopaść, zanim tam dotrą.

- Czyli właściwie kogo? - spytał Liam.

Oficer spojrział na niego ze zdumieniem.

- A nie wiesz?

Potrząsnął głową.

- Myślałem, że to... - Nie wiedział, jak zacząć. Potwory? Demony? Wreszcie z zakłopotaniem wrzucił tylko ramionami. - Ja i Bob... od niedawna jesteśmy w tej okolicy.

McManus po raz pierwszy uważniej spojrział na jednostkę.

- Dobry Boże, wielkie z ciebie chłopisko! - Odwrócił się do Liama. - Niezły kolos, co? Liam niecierpliwie pokiwał głową - rzeczywiście, klon mógł robić wrażenie, na kimś, kto pierwszy raz go widział na oczy.

- A te istoty? Te stwory?

- No cóż... na pewno czytaliście w gazetach, że do pracy na plantacjach w tym rejonie wykorzystujemy eksperymentalny gatunek ge-ników. - Potrząsnął głową. - „Evening Times” i inne gazety huczały o tym, kiedy wypływaliśmy z Londynu. W kraju od dekad wykorzystujemy tępych geników jako taniej siły roboczej, ale ostatnie innowacje - zręczne

dłonie z kciukami i dużo większe mózgi - umożliwiają hodowanie cholernie bystrych bestyjek. Rozpętała się przez to gorąca debata. Ludziom nie podoba się, że genicy są na tyle mądrzy, żeby wymienić olej w silniku autolokomocyjnym albo że potrafią podpisać się własnym imieniem. - McManus zerknął na nich badawczo. - Ale przecież musieliście o tym wszystkim słyszeć.

Liam z zapalem pokiwał głową.

- Jasne... tak, oczywiście.

- A więc - kontynuował oficer - teraz testujemy te zaawansowane modele w południowych stanach. Wśród mądrzejszych geników zdarzają się fenomenalne produkty. Imponujące pod wieloma względami. Niestety, miewamy też z nimi problemy. Raz na jakiś czas wariują i robią się nadzwyczaj złośliwe. - Oficer nagle z zażenowaniem potrząsnął głową. - Przepraszam, jakież ze mnie gbur... nawet nie zapytałem, z kim mam przyjemność.

- Jestem Liam, Liam O'Connor. A ten drągał to Bob.

McManus podał Bobowi dłoń.

- Miło was poznać, Bobie i Liamie. A teraz słuchajcie... spróbujemy dorwać tych geników, zanim uda im się dotrzeć do obrzeży miasta. Zrobimy co w naszej mocy, żeby odzyskać waszych przyjaciół... ale - nie zamierzam was okłamywać - skurczybyki bywają nieprzewidywalne.

- Co ma pan na myśli? - spyta! Liam.

McManus potrząsnął głową.

- Potrafią być łagodne, czułe, nawet kochające. A później bez żadnego ostrzeżenia, bez wyraźnego powodu i zupełnie niespodziewanie zbuntować się przeciwko swoim panom. Zamieniają się w śmiertelnie niebezpieczne gadziny. Nikt nie wie, co wywołuje w nich tę transformację. - Spojrzał na strużkę krwi krzepnącej na skroni Liama i wskazał gigantyczny okręt, który unosił się nad ich głowami. - Na pokładzie jest pułkowy chirurg. Powinieneś pozwolić się przebadać. Później pójdziemy...

Liam potrząsnął głową.

- Nie... muszę ją znaleźć! Proszę! Muszę iść!

- Potwierdzam. - Bob potakująco skinął głową. - Straciliśmy już wystarczająco dużo czasu. Nie możemy ich zgubić.

Oficer przypatrywał się im w milczeniu.

- To moja siostra - powiedział wreszcie Liam, rozpaczliwie starając się ratować sytuację. Rzucił porozumiewawcze spojrzenie Bobowi. - Obaj jesteście jej braćmi. Prawda?

Bob potwierdził jego słowa nieprzekonującym skinieniem głowy.

- Hmm... naprawdę nie powinienem tego robić, brać ze sobą cywili. - Oficer podrapał się po brodzie. - Ale... cóż... no tak... utracona rodzina, teraz pewnie chcecie zrobić wszystko co w waszej mocy, żeby ich odnaleźć.

Liam pokiwał głową.

- Nie będziemy wchodzić wam w drogę. Chcemy ją po prostu odnaleźć! I naszego przyjaciela.

McManus zawołał jednego ze swoich ludzi.

- Sierzancie Cope? Ci dwaj cywile pojedą z nami. Zróbcie im trochę miejsca w siodłach.

Sierżant, którego ciemne oczy lśniły pod rondem kasku, a resztę twarzy przykrywał sumiasty wąs, energicznie skinął głową.

- Już się robi, sir!

McManus odwrócił się do Liama i Boba.

- Jeździliście kiedyś na huffie?

- Huffie?

- Na huffalo? - Potrząsnął głową. - Bez obaw, pojedziecie na tylnym siodle. - Zerknął na Boba. - Tobie znajdziemy bardzo duże.

W tym momencie indiański zwiadowca - Biały Niedźwiedź - wybiegł z gospodarstwa i podbiegł przez podwórze do kapitana McManusa.

- Oni iść na północny wschód. - Wskazał za budynek w stronę żwirówki, którą dzisiaj rano Liam wraz z resztą dotarł do osady. - Ślady wiodą tam.

- Ilu ich według ciebie jest, Biały Niedźwiedziu?

- Pięćdziesięciu. Może więcej. Różnych rozmiarów. Trochę dużych. Trochę małych. - Szybko zerknął na Liama i Boba, potem znowu na oficera dowodzącego. - Tylko jeden ludzki trop. Mężczyzna.

Liam sprawiał wrażenie wstrząśniętego, młody oficer uniósł dłoń, żeby go uspokoić.

- To może tylko oznaczać, że niosą waszą siostrę, żeby poruszać się szybciej. - McManus odwrócił się do swoich żołnierzy. - Dosiąść huffów! - Potem odpiął z boku swojego hełmu miękką, skórzany woreczek i zakrył nim ucho. Wysunął z niego grube, mosiężne ramię teleskopowe, które rozłożyło się automatycznie, okalając szczękę. Na końcu znajdował się mosiężny ustnik.

Stuknął w niego raz.

- Kapitan McManus do oficera dyżurnego. Trafiliśmy na bardzo wyraźny trop. Kontynuujemy pościg lądem.

Kiwnął głową, przysłuchując się głosowi brzęczącemu w słuchawce.

- Tak jest... zadzwonimy, jeśli będziemy potrzebowali wsparcia.

Uśmiechnął się do Liama.

- Gotowy?

- Tak! Ruszajmy, nie możemy ich zgubić!

Oficer kiwnął głową w kierunku dwóch huffów uwolnionych od ciężaru ekwipunku zalegającego wcześniej na tylnych siodłach.

- Oczywiście. Uratujmy więc waszego przyjaciela i siostrę.

ROZDZIAŁ 41

Gdzieś w Wirginii rok 2001

Biegli w absolutnej ciszy przez bezkres pól kukurydzianych, nad którym zalegała nieprzenikniona ciemność. Sal podskakiwała na grzbiecie olbrzymiej, ociężałej bestii. Mogłaby powiedzieć „człowieka”, ale zdążyła zauważyć niewyraźny zarys stwora. Stał na dwóch nogach i miał dwie ręce - i tylko to upodobało go do gatunku ludzkiego.

Grupa tych stworzeń - choć „wataha” to chyba trafniejsze określenie - poruszała się żwawo przez pole kukurydzy, twarz Hinduski smagały łodygi i kolby. Próbowwała krzyknąć do Lincolna, choć nie miała pewności, czy on też znajduje się w watasze - może idzie z tyłu, a może taszcza go z przodu, tak jak ją przerzuconego przez mięsisty grzbiet jednej z bestii. Niestety, nie była w stanie wydać z siebie żadnego dźwięku, bo ta ohydna ręka, najdziwniej wyglądająca ręka, jaką kiedykolwiek widziała - z dwoma grubymi jak bakłażany palcami i kciukiem wielkości kabaczka - niezgrabnie zasłoniła jej usta, boleśnie rozgniatając wargi na zębach.

Niemal po godzinie stadko wychylnęło na skraj pola i ruszyło poboczem żwirówki, prawdopodobnie tej samej, którą przywiózł ich napotkany Chińczyk.

Zapadła ciemność, na niebo wypłynął półokrągły księżyc, nurzając noc w ręciovym błękicie. W pozycji do góry nogami mogła wyraźniej przyjrzeć się stworom. Wszystkie przypominały ludzi o tyle, że stały na nogach ze swobodnie opuszczonymi rękami. Ale rozmiarem i kształtem różniły się ogromnie. Zauważyła, że jakiś tuzin z nich wielkością przypominało osobnika, który niósł ją na grzbiecie. Kolebały się na małych nóżkach podpierających nieproporcjonalnie wielkie tułowia obrosnięte mięśniami, które zawstydziłyby samego Boba. Przypominały jej trochę srebrnogrzbiete goryle, choć ich ciała były całkowicie bezwłose. Były łyse od głowy po palce stóp, a blada skóra w blasku księżyca zdawała się

niemal półprzezroczysta.

Ich głowy też wcale nie wyglądały jak łby goryli: miały mniejsze od ludzkich i podłużne jak banany czaszki oraz drobne, niemal niewidoczne rysy twarzy. Małe, przypominające mikroskopijne otwory oczy, pod którymi straszło rozcięcie: nie nos, raczej otwarta rana w tkance, dziura. Pod nozdrzami biegła pozioma szpara pełniąca funkcję ust.

Sal przekrzywiła głowę, żeby popatrzeć na pozostałe, dużo mniejsze i bardzo zwinne stworki. Miały szczupłe talie i wąskie klatki piersiowe, które niejasno przywodziły na myśl tułowia salamander. Zauważyła, że ich dłonie wyglądają podobnie: dwa palce i przeciwstawny kciuk. Choć te były długie i szczupłe, z kościstymi kłykcami i szponiastymi paznokciami. Głowy miały podobne, ale oczy dużo większe, czarne, szerokie i okrągłe, iskrzące w świetle księżyca niczym ślepie sowy.

Zobaczyła stworzenie trzeciego rodzaju. To było najmniejsze: wzrostu dziecka i z nieproporcjonalnie wielką głową. To na pewno ono wparowało do kuchni i ukradło im strzelbę. Ciekawe zresztą, gdzie się podziała ta broń. Może po prostu ją wyrzucili... nie mając pojęcia, do czego służy i jak jej używać.

„Czy są aż tak głupi?”.

Podejrzewała, że nie. Sprytnie otoczyli ich w gospodarstwie i uwięzili w korytarzu. Wiedziały, że w domach są zazwyczaj przednie i tylne drzwi.

Najmniejsza istota, „dziecko”, miało taką samą budowę dłoni, ale jego dwa palce i kciuk były ludzako podobne do ludzkich. Ręka mogła równie dobrze należeć do jakiegoś operatora maszyny, który stracił mały i serdeczny palec u obu dłoni w wyniku nieszczęśliwego wypadku przy pracy. Twarz istoty wyglądała w tym świetle bardzo dziwnie; zdało się jej, że wokół bezwargich ust dostrzega małe blizny.

Ostatnią charakterystyczną rzeczą, jaką zdołała dostrzec, ostatnią świadomą obserwacją, zanim jej głowa zaczęła zbyt mocno obijać się o muskularną klatkę piersiową pędzącej bestii, a obraz przed oczami rozmazał się doszczętnie, był fakt, że wszyscy rozebrali się niemal do rosołu, zostawiając na sobie tylko jeden element garderoby. Jeden z małpoludów wcisnął na głowę kobiecy kapelusz słomkowy, podtrzymywany przez przewiązany pod szyją pasek. Inny zawinął sobie wokół szyi spłowieły zimowy szal. Jakaś „salamandra” włożyła nawet letnią sukieneczkę, która co chwila osuwała się z wąskiej talii.

Wyglądały jak bawiące się w maskaradę dzieci, które przetrząsnęły szafę swojej mamy i wybrały pojedynczy element garderoby, który najbardziej przypadł im do gustu.

Stworzenia biegły truchtem po zwirowce, co chwila niespokojnie sprawdzając, czy z którejś strony nie nadjeżdża przypadkiem jakiś pojazd, wylęknione ślepie zerkały nawet na

rozwieżdzone niebo. Przebiegły kilkaset metrów w górę drogi. Wreszcie piskliwy wizg „dziecka” - najwyraźniej jakaś komenda - zachęcił watahę do szybkiego pokonania obu pasów ruchu i wbiegnięcia na olbrzymie pole po drugiej stronie drogi. Łodygi były tutaj o wiele krótsze i zakończone kulistymi, puszystymi kwiatami, które bezlitośnie smagały twarz Sal, wciąż podskakującej na plecach stwora przedzierającego się przez pole.

Kątem oka zauważyła, że tuż obok biegnie kolejny małpolud, który niósł na grzbiecie jakiś długi, bezwładny kształt - najprawdopodobniej ciało Lincolna. Głowa Abrahama odbijała się bezwładnie od potężnej klatki piersiowej bestii... przez chwilę bała się, że Lincoln nie żyje, a ona zostanie samiutka wśród tych dziwadeł.

Ale wtedy Lincoln podskoczył na wyboju i obrzucił małpoluda przekleństwami. Stwór, żeby go uciszyć, zdzielił go tylko wielką trój-palczystą łapą po głowie. Lincoln warknął z oburzeniem, bluznął i wdał się w szamotaninę, tłukąc pięściami w gigantyczne ramiona stwora - falujące, potężne zwały mięśni, które napinały się i buzowały pod upiornie bladą skórą w rytm kroków stawianych z gracją biegnącego nosorożca, nieświadomego żalonych i daremnych ciosów opadających na jego ciało.

Sal przymknęła oczy, ulżyło jej, że nie zabili Lincolna. Ulżyło, że nie została sama, a bestie może zostawią wyraźny trop, za którym będą mogli podążać Bob z Liamem.

ROZDZIAŁ 42

Nowy Jork rok 2001

- Dobrze, młoda damo - powiedział Devereau. Wypuścił kolejną cuchnącą chmurę dymu tytoniowego, Maddy natomiast kolejny raz dyskretnie machnęła dłonią, żeby odpędzić ją sprzed twarzy Pułkownik zdawał się tego nie zauważać. - Pomożemy wam, jak tylko zdołamy. Ale idę o zakład, że w naszych bunkrach nie znajdziecie urządzeń tak zaawansowanych jak wasze.

- Dziękujemy.

Wzruszył ramionami.

- Jeżeli te wasze gadzety, ustrojstwa i urządzenia rzeczywiście wyczyniają cuda, o których mówiłyście, niewykluczone, że to my będziemy wam winni podziękowania... - Zawahał się, spochmurniał, po czym klepnął dłonią w twarz na wysokości zmęczonych oczu i potrząsnął głową.

- Ale tak... nie! Arghh! Te zasady podróżowania w czasie są dość zagmatwane - westchnął. - Czyli jeżeli powiedzie wam się i przywrócić historii jej pierwotną postać, ja nie

odczuję żadnej różnicy, prawda? Nie będziemy wiedzieć nic o tym... co się wydarzyło?

Maddy pokiwała głową.

- Potwierdzam - odparła Beki.

- Dobry Boże, od tego podróżowania w czasie może zakręcić się w głowie jak na diabelskim młynie - wymruczał. - Od ciągłego zastanawiania się nad tym można naprawdę oszaleć.

- Faktycznie, głowa od tego pęka - przyznała Maddy. - Ja sama chyba dopiero niedawno zaczęłam to chwycić.

W łuku panowała ciemność. Wyłączyły generator, żeby zachować zapas paliwa w zbiorniku, dlatego na biurku migotał płomyk świecy, który odbijał się w czarnych ekranach monitorów. Słyszała, jak stojący przed bazą żołnierze Devereau porozumiewają się szeptem, widziała żar papierosów palonych przez strażników wypatrujących eskadry samolotów Południa.

- Proszę mi powiedzieć... czy podróżowanie w czasie to twój zawód? - Wybuchł suchotniczym śmiechem palacza. - Hobby może?

Maddy omiotła spojrzeniem bałagan na biurku skąpanym w falującym blasku świecy.

- Raczej obowiązek - odparła. - Którego sama na siebie nie nałożyłam. Tak się po prostu złożyło, zajmuję się tym razem z parką innych skończonych naiwniaków.

- A ty, Beki? Jak było z tobą?

Beki pytająco spojrzała na Maddy.

- Do diabła, dlaczego nie? - Maddy uśmiechnęła się mimowolnie. - No dalej, możesz mu powiedzieć, czym jesteś. Nie zrobi nam to żadnej różnicy... jeśli tylko... zdołamy naprawić ten bałagan.

Beki powoli pokiwała głową.

- To prawda, Madelaine.

- Czym jesteś? - Devereau sprawiał wrażenie zdezorientowanego. - Maddy powiedziała „czym”, nie przesłyszałam się. Nie „kim”!

- Jestem jednostką pomocniczą - odparła Beki. - Czyli sztucznie zaprojektowaną formą życia. Moja obudowa została genetycznie opracowana i zmodyfikowana pod kątem zadań bojowych i zwiadowczych w wojskowym ośrodku badań nad oprogramowaniem DNA.

- Jest też zdolną komediantką - dodała Maddy.

Beki spochmurniała, wyraźnie niepokieszona.

- Zdołałam opracować podstawowe pliki humorystyczne.

- Genetycznie? - powtórzył Devereau. - Tego słowa właśnie użyłaś?

Beki pokiwała głową.

- Tak.

Devereau podrapał się po brodzie.

- Anglo-konfederaci eksperymentowali z technologią o podobnie brzmiącej nazwie. „Eugenologia”, tak chyba nazywają to swoje igranie z naturą. Zabawiali się w Boga w laboratorium. Czy to coś podobnego?

- Potwierdzam. W obu przypadkach manipuluje się materiałem genetycznym. Zmienia się kod wzrostowy komórek macierzystych, aby wyprodukować organiczną formę życia, która będzie spełniała określone kryteria. Przykładowo moja siła fizyczna jest czterysta procent większa niż siła zwykłej kobiety o podobnej budowie. Mam również hiperreaktywny układ immunologiczny, który umożliwia regenerację po ekstremalnych uszkodzeniach organizmu.

- To znaczy, że możesz w nią strzelić, a ona poczuje tylko lekkie pieczenie jak po użądleniu osy. - Maddy zdjęła okulary i przetarła oczy. - A mimo to i tak się marze.

- Odczuwam ból. To niezbędna informacja zwrotna wysyłana przez organizm w momencie uszkodzenia - powiedziała Beki i spojrzała na Maddy. - „Marzę się”? Co oznacza ten zwrot?

Maddy potrząsnęła głową.

- Narzekać, biadolić. Nie przejmuj się... żartowałam tylko.

Beki nagle przekrzywiła głowę i wprowadziła coś do pamięci operacyjnej, po czym odwróciła się do Devereau.

- Moje ciało można zniszczyć - kontynuowała. - System reaktywno-immunologiczny może ulec awarii. W przypadku utraty zbyt dużej ilości krwi organy cielesne szybko ulegają degradacji, tak jak w normalnym ludzkim ciele.

Devereau zdawał się coraz głębiej opadać w fotel, próbując odsunąć się od Beki o kilka kolejnych centymetrów.

- Południe już wcześniej eksperymentowało z bojowymi geni-kami wykorzystywanymi na polu walki. - Spojrzał na nią niespokojnie. - Od ponad trzydziestu lat prowadzą doświadczenia nad tą bezbożną nauką. Dwadzieścia trzy lata temu, podczas bitwy o Preston Peak, kiedy nasi chłopcy przypuścili szturm na odcinek Sheridan-Saint Germaina na linii frontu, konfederaci wypuścili na pole walki eksperymentalny oddział tych wcielonych diabłów. - Devereau potrząsnął głową, przywołując w pamięci stare nagłówki. - Prasa nazywała ich wówczas „Półudźmi”.

Przyglądził dłonią swoje czarne włosy oprószone srebrnoszarą siwizną wokół skroni.

- To była masakra. Opowieści o tym wydarzeniu, relacje prasowe, mogły zjeżyć włos na głowie. Trzy tysiące mężczyzn broniących miasteczka Preston Peak, w większości świeży rekruci ze stanu Ohio. Chłopcy właściwie... zostali wybici co do jednego. Gdy wysłany przez Północ batalion czołgów i parobotów odbił miasto, udało się odnaleźć tylko rozrzucone fragmenty ciał.

Rzucił gitana na podłogę i rozdeptał go obcasem.

- Znaleźli... - Spojrzał na Maddy. - To nie będzie opowiadka do podusi.

- Cóż... skoro już zacząłeś - odparła niepewnie - to wypadaloby dokończyć.

- Jak sobie życzysz. Znaleźli ciało. Ciało rozciągnięte na desce. Ciało uformowane z głowy, rąk, tułowia i nóg należących do różnych osób. Zupełnie, jakby te istoty chciały zakpić z człowieka, sparodiować naukę rozwijaną przez Południe, jakby próbowały stworzyć istotę na własne podobieństwo. Żołnierze, którzy weszli do miasta, znaleźli tylko kilka żywych istot... Po walce skierowały swój gniew przeciwko sobie nawzajem. Jakby wymordowanie wszystkich ludzi w mieście im nie wystarczyło, jakby nie wyczerpało pokładów ich agresji. Ale zanim rzuciły się na siebie, zajęły się oficerami Południa wyznaczonymi do dowodzenia genikami. Uwierz mi, nie chcesz wiedzieć, co z nimi zrobiły.

Maddy popatrzyła mu prosto w twarz.

- Nie, chyba masz rację.

- Od tamtego czasu konfederaci nie eksperymentują z bojowymi genikami. Wiemy jednak, że używają eugenicznych pracowników. Setki, tysiące tych stworzeń pracuje na ich plantacjach. Dziś dysponują większą wiedzą, potrafią ich kontrolować, wdrukować w ich umysły posłuszeństwo.

- W moich czasach na tym właśnie polega inżynieria genetyczna. - Maddy wyjrzała przez otwartą roletę na oświetlone blaskiem księżyca ruiny Brooklynu. - Kiedy zobaczyłam to zrujnowane miasto, nie przeszło mi nawet przez myśl, że w świecie na tej osi czasu funkcjonuje tak zaawansowana technologia.

- Rozwój technologiczno-naukowy wcale nie musi być symetryczny - odrzekła Beki.

Skinęła głową. Beki miała rację. Wojna, w tym wypadku wojna permanentna, sprawiała, że niektóre dziedziny nauki rozwijały się szybciej, a inne zdecydowanie wolniej. Bombowce marynarki powietrznej Południa, o których wspominał Bill, zostały skonstruowane na podstawie technologii „łżejszej od powietrza”, której nie używano w normalnym dwa tysiące pierwszym roku. Z drugiej zaś strony nie istniała tu technologia komputerowa, a jeśli już, to w bardzo szczątkowym zakresie.

- Anglo-konfederaci zainwestowali olbrzymie sumy w rozwój tej nowoczesnej nauki -

powiedział Devereau. - Brytyjczycy zatrudniają najtęższe umysły współczesnej nauki, no i mają oczywiście kupę forsy.

Maddy się skrzywiła.

- W naszym czasie wcale tak świetnie sobie nie radzą.

- Ciężko mi w to uwierzyć. - Zaśmiał się sucho. - Imperium Brytyjskie zajmuje pół świata. - Devereau zaczął poprawiać wystrzępiony mankiet bluzy od munduru. - Za to nasz rząd - zniżył głos - ci beużyteczni, egoistyczni politycy, cała ta klika... każe nam używać technologii opracowanej kilka dekad temu: czołgów i robopa-rów, które psują się i zawieszają w samym środku bitwy, rotolotów, które spadają na ziemię przy pierwszym smagnięciu kuli. Ale - westchnął - ta przeklęta wieczna wojna nie skończy się, dopóki Naczelne Dowództwo Unii będzie dysponować nieprzebranymi zasobami mięsa armatniego, które może bez końca wciskać w maszynkę do mielenia ludzi, tylko dlatego, że zawsze znajdują się przedsiębiorcy, magnaci, producenci broni, którzy za wszelką cenę pragną pozostać potężni i bardzo bogaci.

Maddy zauważyła, że jego głos przeszedł niemal w szept.

- Nie odważyłbyś się powiedzieć tego swoim żołnierzom.

Wzruszył ramionami.

- Pewnie wszyscy wyczuwają cynizm tej wojny. Ale wystarczyłoby, żeby choć jeden z nich powtórzył moje słowa Najwyższemu Dowództwu, a stanąłbym przed plutonem egzekucyjnym. I z tego właśnie powodu - uraczył ją straceńczym uśmiechem - zachowuję swe żale dla siebie i robię, co do mnie należy: utrzymuję swój odcinek frontu.

Ton jego głosu uległ zmianie, rysy twarzy złagodniały, w oczach zapłonęły iskierki nadziei.

- Powiedz, czego tej tajemniczej maszyny brakuje, żeby wehikuł czasu zadziałał?

ROZDZIAŁ 43

Gdzieś w Wirginii rok 2001

- Co? Czy on właśnie powiedział, że ich zgubiliśmy? - Liam przerzucił nogę przez tylne siodło huffa i opadł na ziemię. Bestia - półbizon, półkoń - parsknęła z rozdrażnieniem w reakcji na ten nagły zeskok.

Kapitan McManus pokiwał głową.

- Tak, na to wygląda. Bystre z nich cholerstwo. Rozdzieliły się, jedna grupa zostawiła fałszywy, prowadzący donikąd trop.

Biały Niedźwiedź, klęcząc na ziemi i przyglądając się odciskom stóp w twardym

gruncie, powoli skinął głową i podniósł wzrok.

- Cwane bardzo. - Potrząsnął czupryną, z trudem przelżykając porażkę. - Nabrały Białego Niedźwiedzia.

McManus poklepał Indianina po ramieniu.

- Wszystko w porządku, Biały Niedźwiedziu. Rano znowu odnajdziemy trop.

- Nie możecie się teraz zatrzymać! - zaprotestował Liam, podchodząc krok do przodu.

- Przeciwnie, możemy... a nawet powinniśmy. Zgubiliśmy ich. Nocą możemy co najwyżej złapać kilka zjaw i nie znaleźć nic do wschodu słońca.

- Ale... one nam uciekną! Proszę! Musimy...

- Rozbijemy tu obóz. Z nastaniem brzasku - dotknął słuchawki zamontowanej w hełmie - wezwę pułkowy transporter. Potrzebne nam posiłki, więcej ludzi i huffów. Zapewniam cię, na pewno ich znajdziemy.

- Znajdziecie? - Liam podniósł głos. Czuł wściekłość i irytację. - Przecież dopiero co ich zgubiliście!

- Wprost przeciwnie, jestem niemal przekonany, że udali się w tamtym kierunku - powiedział, wskazując horyzont. - To jakieś piętnaście kilometrów stąd.

- Co?

- Miasto Trupów, które kiedyś nazywano Baltimore. W przeszłości genicy buntowali się już przeciwko nam... zawsze uciekali właśnie tam. Wiedzą, że wolimy trzymać się z dala od tego miejsca.

- Dlaczego?

- O tym też nic nie słyszałeś? - Potrząsnął głową. - Dobry Boże, gdzie ty byłeś, gdy cię nie było?

- Ja tylko... Ja... - Liam wzruszył ramionami. - Mieszkaliśmy w klasztorze. W klasztorze w Kirklees.

- Ach, jesteś katolikiem?

- Tak, właściwie tak. - Liam niecierpliwie pokiwał głową. - Co jest nie tak z tym miastem?

- Północ zrzuciła tam broń biologiczną. Zginęły tysiące niewinnych cywilów zainfekowanych wirusem choroby habsburskiej. Od tamtego czasu upłynęło dwadzieścia lat, ale ludzie mówią, że szczury i psy wciąż przenoszą zarodniki. Wszyscy boją się tam wracać. Dlatego zamieniło się w azyl zdziczałych geników.

- My się nie boimy! Pójdziemy tam z Bobem.

McManus uspokajająco poklepał go po ramieniu.

- Nie martw się. Jeśli właśnie tam się udali, a podejrzewam, że tak, to przeczeszemy miasto i wymieciemy to robactwo z kryjówek. Wszyscy moi chłopcy przyjęli szczepionkę przeciwko chorobie habsburskiej. Odnajdziemy ich raz-dwa. Póki co proszę o wybaczenie, muszę dopilnować kilku spraw... - McManus odwrócił się od Liama i jął dyktować rozkazy sierżantowi z sumiastym wąsem, który tubalnym głosem przekazywał je dalej. Żołnierze z plutonu zsiadli ze zwierząt i rozpoczęli przygotowania do rozłożenia obozu, w którym mieli spędzić całą noc.

Bob podszedł do Liama.

- Z taktycznego punktu widzenia McManus ma słuszość, Liamie.

- Ale - Liam zwinął dłonie w pięści - ona tam jest. Potrzebuje nas!

- Oboje nas potrzebują. Priorytetem misji jest odzyskanie obojga.

Bob miał oczywiście rację. Lincoln musi przeżyć, jeśli historia ma wrócić na swoje miejsce.

Klon podjął niezręczną próbę pocieszającego mrugnięcia okiem.

- Szacuję wysoki poziom prawdopodobieństwa, że zdołamy ich odzyskać.

Liam podniósł wzrok na jednostkę pomocniczą i uświadomił sobie, że ta próbuje wesprzeć Liama. Chociaż jej umysł składał się głównie z poplątanych ciągów kodu komputerowego, gdzieś w głębi kokosianej komputerowej głowy czaił się prawdziwy przyjaciel wyciągający pomocną dłoń w trudnej sytuacji.

- Tak... może masz rację, ty wielki kudłacz.

ROZDZIAŁ 44

Gdzieś w Wirginii rok 2001

Herbata była dobra. Mocna i parująca. Liam wziął głęboki łyk, gorący napój palił w gardło. Nie podejrzewał nawet, jak bardzo chciało mu się pić.

Na środku pola błyszczał koksownik - skoszone łany, rząd uciętych łądyg rozdeptanych przez buty żołnierzy i kopyta ponad dwu-dziesięciotonowych huffali, które stały teraz związane jedno przy drugim, parszcząc i pomrukując w zwartej bryle mięśni i grubej skóry.

Na warcie czuwało czterech wpatrujących się w ciemność żołnierzy, reszta plutonu leżała na ziemi ciasno owinięta grubymi, wełnianymi poncho. Większość z żołdaków, przyzwyczajona do wojskowej dyscypliny, wykorzystała te kilka ostatnich godzin ciemności i natychmiast głęboko zasnęła.

Kapitan McManus sięgnął po garnek zawieszony na metalowej ramie nad żarzącymi się w koksowniku węgielkami. Dolał napoju do emaliowanego kubka Liama.

- Dziękuję.

- Moja ulubiona pora dnia - powiedział McManus, sącząc herbatę. - Kilka godzin do świtu. Tuż przed wejściem słońca odcień nieba jest wprost cudowny. Szczególnie w takich miejscach jak Azja Mniejsza. - Wzruszył ramionami. - Afganistan... tam też jest piękne. Niebo przybiera w tych godzinach waniliowy odcień.

- A w Corku szarówka jest szara - powiedział Liam.

- Ach... tu cię mam. - McManus wyszczerzył zęby i pokiwał palcem. - Byłem pewien, że w tym akcencie pobrzmiwają irlandzkie nuty, Liamie O'Connor. Ale nie potrafiłem dokładnie umiejscowić jego pochodzenia.

- Pewnie trochę zardzewiał. Ostatnio mieszkam, to chyba dobre słowo, z dziewczyną z Bostonu. - Wzruszył ramionami. - I z dziewczyną z Indii.

McManus popatrzył na niego, z zainteresowaniem przekrzywiając głowę.

- Nie weź mi tego za złe, ale muszę powiedzieć, że od dawien dawna nie spotkałem tak dziwnego jegomościa jak ty.

Liam zgarbił się nieznacznie.

- A nie wiesz o mnie wszystkiego.

- Przypominasz mi - nie wiem, może cię to rozbawi - przypominasz mi Ripa Van Winkle'a. Czasem zachowujesz się, jakbyś przepał całe swoje życie. Jak to możliwe, że tak niewiele wiesz na temat sytuacji międzynarodowej? Gazet w ogóle nie czytasz?

- Mówiłem już, że ja i Bob żyliśmy w odseparowanym od świata klasztorze. Bez kontaktu z innymi ludźmi. Niedawno zmarła moja matka, więc wróciliśmy do domu, żeby zatroszczyć się o Sal. Wszyscy troje chcemy posmakować... posmakować życia, zobaczyć kawałek świata.

- Oj, nie wybrałeś najfortunnieszego miejsca do rozpoczęcia podróży, Liamie. Ostatnimi laty Wojna o Amerykę rzeczywiście jest w fazie zastoju, ale... - McManus niespokojnie rozejrzał się wokół siebie, po czym podjął ściszym głosem: -...krążą słuchy, że niedługo to się zmieni.

Liam ożywił się, odwracając wzrok od żarzących się węgla.

- Co masz na myśli?

McManus pogłaskał wygolony do połysku podbródek.

- Nie jest to żadna wielka tajemnica, Liamie. Wojna traci poparcie w ojczyźnie. Brytyjczycy mają już jej po dziurki w nosie. Wojna tu, wojna tam: chleb powszedni dla

Anglików.

McManus, ogrzany ciepłem buchającym z koksownika, rozpiął guzik przy kołnierzu swojej kurty.

- Prowadzimy wiele wojen: z separatystami w północnych Indiach, oddziałami partyzanckimi w koloniach afrykańskich, watażkami plemiennymi w Afganistanie, w Persji. Nie jestem w stanie zliczyć, w ilu zapyziałych dziurach tego świata walczyłem już ze swoimi chłopcami. - Smutno potrząsnął głową, wpatrując się w migoczący żar. - Zawsze stykamy się z tą samą brutalnością, tym samym bezsensownym okrucieństwem. Jedno plemię dzikusów wy-rzyna w pień drugie. I zawsze, zawsze, to kobiety i dzieci giną w pierwszej kolejności. Byłem świadkiem takich okrucieństw, Liamie, że ciężko mi nawet o nich opowiadać.

Liam przyglądał się twarzy oficera, w przeciągu tych kilku sekund oczy młodzieńca zamieniły się w oczy starego człowieka.

- Wygląda na to, że masz już dość walki.

McManus wzruszył ramionami.

- Wezmę jeszcze udział w niejednej bitwie. Nie raz stanę na polu walki, ramię w ramię z moimi ludźmi, i spojrzę prosto w twarz wroga. - Uśmiechnął się. - Jestem żołnierzem, do tego mnie przygotowano. Ale...

- Ale?

- Zło, czysta, zimna nienawiść ogarnęła nasze kolonie, Liamie... zdziczenie. Nie mają nawet ochoty walczyć z nami, zbyt są pochłonięci regulowaniem starych, plemiennych porachunków. Dziwne, prawda? Aby pokonać czerwone kurty z Anglii, ludzie na obrzeżach imperium powinni się zjednoczyć. A jednak tego nie robią... - Po tych słowach nastąpiła cisza, przez moment przysłuchiwali się pomlaskiwaniu i chrapaniu dwóch tuzinów żołnierzy śpiących pod gołym niebem snem sprawiedliwych.

- Czasem zastanawiam się, po co za wszelką cenę staramy się utrzymać imperium. Dlaczego musimy być tu i tam. Przecież niektóre miejsca wcale nie potrzebują prawa i porządku, które chcemy im podarować. Wciąż pławią się w swoim barbarzyństwie, wzajemnie wyrządzanych krzywdach. Nie da się ucywilizować tych ludzi. - Potrząsnął głową. - To patowa sytuacja.

- Pewnie to jedna z tych historii starych jak świat: jakiś bogaty i potężny gość postanowił zbić kokosy na cudzym nieszczęściu - zauważył Liam. - Prawdopodobnie dlatego ciebie i twoich chłopców wciąż przenoszą z miejsca na miejsce.

McManus wzruszył ramionami.

- Być może. W strefie wojennej zawsze da się zbić jakąś fortunę. - Dopił herbatę. -

Wciąż zachodzę w głowę, po co jeździmy do tych wszystkich przeklętych miejsc. Po śmierci każdego mojego chłopca muszę napisać do jego matki lub żony, opisać jego bohaterską śmierć poniesioną w imię szlachetnej idei...

- Zastanawiasz się czasem, czym jest ta szlachetna idea?

- Tak. - Pokiwał głową. - Jakaś część mnie krzyczy, że wszyscy nasi chłopcy zawsze powinni w jednym kawałku wracać do domu. Czemu nie zostawić tych dzikusów w spokoju? Jeśli chcą się nawzajem powyrzynać, to jakie mamy prawo narzucać im własną filozofię? Ale wtedy... wtedy przypominam sobie, że zawsze najbardziej w tym wszystkim cierpią dzieci. Gdybyś zobaczył to na własne oczy, Liamie... gdybyś zobaczył to, co ja widziałem, wiedziałbyś, że czasem nie można odejść.

- Ale czy sama wasza obecność w tych miejscach nie jest czymś złym? - Liam uniósł brew. - Poznałem w swoim życiu wielu ludzi, którzy na słowo „Anglik” reagowali zaciskaniem pięści.

- Musimy tu być, na dobre i na złe, a prawda wygląda tak, Liamie, że zaczynamy tracić kontrolę nad koloniami. Potrzebujemy więcej rekrutów do walki w Afryce, w Azji Mniejszej, na Dalekim Wschodzie. A teraz być może będziemy mogli pozwolić sobie na przerzucenie sił stąd.

- Czy to znaczy... - Liam spojrzał na niego. - Czy to znaczy, że wasza strona planuje się poddać?

McManus spojrzał na niego znacząco i zawiesił głos.

- Czekaj... - Liam przypomniał sobie, jak dzisiaj wieczorem kilku żołnierzy mówiło coś o szybkim przerzuceniu ich regimentu do Ameryki. - Przybyliście tu... żeby zakończyć wojnę?

McManus niemal niezauważalnie kiwnął głową.

- Nasze siły są zbyt rozproszone po całym świecie, rząd chce raz na zawsze zakończyć tę wojnę. - Przejechał ręką po swoich blond włosach, odgarniając grzywkę znad regularnie wyrzeźbionej twarzy. - Południe przystąpi do ostatecznego natarcia... a potem, jak mniemam, w pośpiechu wynegocjuje pokój.

ROZDZIAŁ 45

Nowy Jork rok 2001

- Wcale nie jestem pewna, czy to taki dobry pomysł - powiedziała Maddy Łódź podrygiwała na łagodnych falach, silnik parowy wypluwał chmury dymu i kasłał w takt

uderzeń uruchomionego na rufie wiosła, które niemiłosiernie pieniało wodę.

- Wszystko będzie dobrze - uspokajał Devereau. - Znam pułkownika Wainwrighta; dopóki trzymamy białą flagę, nie każe swoim ludziom strzelać.

Maddy spojrzała na szmatę powiewającą na topie masztu małej łodzi. Pomyślała, że powinna być o wiele większa i nieco czystsza - bielsza i wyraźniejsza. Bardziej przypominała luźno powiewający żagiel niż białą flagę pokoju.

Pokonali dwie trzecie drogi przez East River, teraz wyraźniej widziała linię frontu Południa: żelbetowe okopy i bunkry z okienkami, z których wystawały długie, grube lufy dział artyleryjskich. Pomiedzy budowlami dostrzegala też pojedyncze twarze. Gwar i krzątania rosły z każdym ruchem wiosła.

- Zmiotą nas z tej rzeki - mruknęła.

- Już od pięciu minut znajdujemy się w zasięgu ich dział - odparła siedząca obok Beki. - A mimo to nie oddali strzału.

- Uznajmy to za dobry omen. - Maddy wyszczerzyła zęby w nerwowym uśmiechu.

- Potwierdzam.

Łódź wreszcie dobiła do drewnianego pomostu wyrastającego z cmentarzyska rdzewiejących i gnijących kadłubów, pamiątek po dawno temu zbombardowanych statkach, które leżały na pokrytych szlamem brzegach rzeki.

Sternik wrzucił wsteczny bieg, woda za rufą zaczęła się hałaśliwie pienić, a łódź zwolniła. Kilku żołnierzy na dziobie czekało już, żeby przeskoczyć przez burtę na pomost.

- Mam nadzieję, że nie wezmą tego za desant na ich pozycje - mruknęła Maddy pod nosem.

- Zaprzeczam - powiedziała Beki. - Dysponujemy zbyt małymi siłami, żeby przeprowadzić skuteczny szturm.

- No co ty? Niemożliwe - westchnęła Maddy.

Łódź z głuchym łomotem uderzyła w pomost, dwaj żołnierze zeskoczyli na skrzypiące, drewniane deski i szybko obwiązali liną słupek cumowniczy.

Devereau zszedł na drewniany podest jako pierwszy.

- Proszę - powiedział, podając rękę Maddy, która szykowała się już do zeskoczenia tuż za nim.

- Ach, cóż za gentleman! - Z wdzięcznością ujęła jego dłoń. - Dziękuję.

Następna w kolejce była Beki. Devereau podał jej dłoń.

- Nie potrzebuję pomocy - odparła, po czym pewnie i swobodnie zeskoczyła z łodzi, adidasy wylądowały na pomoście z delikatnym tąpnięciem.

- Oczywiście, że nie potrzebujesz. - Devereau wzruszył ramionami. - Sierzancie Freeman?

- Tak, sir?

- Weźcie sześciu żołnierzy i chodźcie ze mną. Reszta zostaje tutaj.

Maddy rozejrzała się wokół.

Zadygotała. Ranek wciąż był rześki i zimny, jasne wrześnie niebo znaczyły piękne odcienie łososiowego różu malowane przez wschodzące słońce.

- Nie denerwuj się, Madelaine - powiedziała Beki. - Jestem tuż obok.

Nastolatka złapała dłoń jednostki pomocniczej.

- Nic mi nie jest - skłamała. - Trochę tu chłodno, nic więcej.

Podszedł do nich Devereau.

- No i co teraz? - spytała Maddy.

Jakby w odpowiedzi na jej pytanie, zapanowało poruszenie. Na końcu pomostu pojawił się właśnie komitet powitalny. Zobaczyła tuzin mężczyzn w mundurach skrojonych ładująco podobnie do uniformów Devereau i jego żołnierzy. Inny był tylko kolor: szary zamiast granatowego. Oddziałowi uzbrojonych ludzi przewodził oficer tuż przed czterdziestką. On też nosił czarną brodę, choć inną niż pułkownik Devereau, ta była przycięta jak u zawadiackiego, rubasznego muszkietera.

Zatrzymał się kilkanaście metrów od nich. Teatralnym gestem zerwał z głowy filcowy kaszkiet, spod którego spłynęła fala piaskowych włosów, i uklonił się niczym aktor wywołany przez publiczność przed kurtynę.

- Pułkownik Devereau! Cóż za miła niespodzianka! - Uśmiechnął się. - Jeśli kompletnie nie poplątały mi się daty... do Święta Dziękczynienia pozostało jeszcze kilka ładnych tygodni, czyż nie?

- Pułkownik Wainwright! - Devereau postąpił krok do przodu i wyciągnął rękę na powitanie. - W rzeczy samej, nie przybyłem dziś, aby wypić naszą doroczną buteleczkę sherry.

- Wielka szkoda. - Wainwright wzruszył ramionami.

Devereau wskazał Maddy i Beki.

- Przybyła tu ze mną para... dam, które, jak to ująć... potrzebują wsparcia.

- Wsparcia? - Wainwright ze zdziwieniem uniósł brew.

- Tak. - Devereau podszedł jeszcze bliżej do pułkownika Konfederacji. - Jamesie - zniżył głos tak, żeby słyszał go tylko Wainwright - mają naprawdę intrygującą opowieść. Bardzo... bardzo intrygującą.

- Coś tylko dla moich uszu, Bill?

- W rzeczy samej.

- Zakładam, że coś ważnego.

- Bardzo.

Wainwright przez chwilę w zamyśleniu drapał się po policzku.

- Musimy zachować dyskrecję, stary przyjacielu... mamy gości.

- Anglików?

Skinął głową.

- Wierchuszka... w sąsiedniej strefie przeprowadzają rutynową inspekcję linii obronnych. - Wyszczrzył zęby. - Obawiam się, że źle zinterpretowaliby moje pogaduszki z wrogiem.

- W takim razie lepiej nie traćmy już czasu, stojąc tak na widoku.

- Racja. - Popatrzył za plecy Devereau. - Drogie panie! Jakże miło was poznać! Bill... proszę za mną. Tak się składa, że właśnie zaparzyłem bardzo przyzwoitą kawusię.

Devereau pozwolił Maddy mówić, Beki od czasu do czasu dokładniej wyjaśniała zawilości co bardziej skomplikowanych aspektów technicznych, które tak jak nie trafiały do wyobraźni pułkownika Unii, tak samo nie mieściły się w głowie pułkownikowi konfederatów.

Wainwright przez pół godziny siedział nieruchomo z miną po-kerzysty, jego twarz, zastygła w wyrazie uprzejmego zainteresowania, nawet nie drgnęła. Wyglądał jak przyjazny starszerek słuchający wyssanej z palca historyjki dziecka.

Maddy skończyła opowieść i upiła łyk chłodnej kawy.

- Piekielnie interesująca historia - odezwał się wreszcie Wainwright. Spojrzał na pułkownika Devereau. - Williamie? A ty co o tym sądzisz?

- Bardzo chętnie wpakowałbym ją do aresztu i uznał za jednego z twoich szpiegów. Niestety, pokazała mi kilka migawek ze swojego świata.

I m i Pułkownik Południa z niekłamanym zainteresowaniem uniósł swoje płowe brwi.

Devereau poklepał tornister trzymany przez Maddy na kolanach.

- Pokaż mu, co tu ze sobą przyniosłaś.

Maddy skinęła głową, sięgnęła głęboko do torby i wyciągnęła kopię magazynu „Wired”.

- Czasem sobie kupię. To wrześnieowy numer. - Przy jej łóżku zawsze piętrzyła się sterta wrześnieowych czasopism o grach i gadżetach. Co kilka dni, odkąd została zwerbowana, nachodziła ją ochota kupienia jakiejś gazety, chciała czuć się związana ze światem, w którym przyszło jej żyć. Do jej kolekcji, o zgrozo, trafiło nawet kilka ohydnych magazynów

plotkarskich ze zdjęciami pijanych celebrytów wytaczających się z klubów nocnych i limuzyn.

Wainwright przerzucił kilka błyszczących stron, na których widniały efektowne ujęcia z niedługo wchodzących do kin filmów. Maddy wyciągnęła kolejną gazetę, „National Geographic”.

- Ta jest lepsza - powiedziała - więcej tu zdjęć prawdziwego świata niż samych filmów.

- To coś jak slajdy, Jamesie - powiedział Devereau. - Ruchome obrazy z dźwiękiem.

- Ach - chrząknął Wainwright, sięgając po trzymany przez Maddy magazyn. Przekartkował jeszcze kilka stron, zatrzymując się na zdjęciu przedstawiającym statek kosmiczny Discovery startujący z przylądka Canaveral. I na kolejnym, pokazującym Ziemię z kosmosu.

Wainwright podniósł wzrok na Maddy.

- Chcesz mi wmówić, że to prawda? Że ludzie... przekroczyli granice tego świata?

- O tak! Ludzie postawili nogę na Księżycu. - Uśmiechnęła się. - Na mojej osi czasu wydarzyło się to dużo wcześniej. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku.

Wainwright sceptycznie i podejrzliwie potrząsnął głową, oglądając zdjęcie międzynarodowej stacji kosmicznej montowanej przez mężczyznę ubranego w niewiarygodnie masywny biały kombinezon wykonany z materiału, który zdał mu się podobny do lnu.

- To... niewiarygodna historia. - Poglaskał podbródek. - Chciałbym wierzyć, że taki świat istnieje. - Posłał Maddy melancholijny uśmiech. - Chciałbym w to wierzyć, ale te zdjęcia... to zwykły fotomontaż przygotowany przez wasz Wydział Propagandy, Bill.

Devereau zaśmiał się w odpowiedzi.

- Naprawdę sądzisz, że Naczelne Dowództwo zdobyłoby się na taką kreatywność? Głupcy ledwie potrafią się zatroszczyć o paczki żywnościowe dla moich ludzi.

Wainwright wzruszył ramionami. To akurat racja.

- To nie wszystko... mam i to. - Maddy wyciągnęła z kieszeni iPhone'a. Włączyła telefon i pokazała pułkownikowi błyszczący ekran.

Aż podskoczył na krześle, przez nieuwagę uderzając butem w nogę od stołu i rozbryzgując lurowatą kawę.

- Bożesz ty! Co to, na litość boską, jest?

- To zwykła komórka! - odpowiedziała. - Takie radio polowe.

Wlepił szeroko otwarte oczy w ekran.

- Macie radia, prawda? - spytała.

- Bezprzewodowe komunikatory? - upewniał się Wainwright.

Devereau mówił jej, że mają tu o wiele lepszy sprzęt komunikacyjny niż w jego własnym pułku, w którym wciąż jeszcze posługiwano się technologią przewodową, starą i podatną na częste awarie po nalotach bombowych Południa.

- Tak... tak, oczywiście - odparł Wainwright, nie czekając na odpowiedź i obłożoną w rękawiczkę dłonią dotknął jej iPhone'a - Nieprawdopodobnie małe jest to urządzenie.

- Można go też używać do wielu innych rzeczy. Na przykład do odtwarzania muzyki. Chce pan posłuchać?

Jego oczy załśniły w półmroku bunkra. Pokiwał głową.

Dotknęła ekranu, z głośniczka wydobyły się pierwsze skrzypliwe dźwięki i kilka zniekształconych słów hip hopu.

Pułkownicy zrobili identyczne miny: coś pomiędzy grymasem zniesmaczenia a uśmiechem politowania.

- To jest muzyka? Muzyka z twoich czasów? - spytał Wainwright.

Maddy wyłączyła telefon i przepraszająco wzruszyła ramionami.

- Cóż... chyba jednak nie wszystko zmieniło się u nas na lepsze. - Podała mu i Phone'a. Wainwright zamilkł na kilka chwil, głaszcząc w niemym zachwycie błyszczący ekran.

- Jamesie... - rzekł Devereau - i ty, i ja, nasi ludzie, wszyscy moglibyśmy żyć w tamtym świecie, nie w tym. - Nachylił się do przodu, pochwa z bagnetem dotknęła nogi krzesła. - Ta dziewczyna pochodzi z Ameryki, która jest jednym, zjednoczonym narodem, a nie mozaiką rozbitych i zniszczonych stanów. Nasi obywatele, nasi pobratymcy, mają tam własną flagę, własny rząd!

- Bill... - Wainwright uniósł dłoń, aby grzecznie uciszyć przyjaciela. W milczeniu patrzył na iPhone'a, pieszczotliwie dotykając gładkiego ekranu. - Tak zaawansowanej technologii nie mają chyba nawet Anglicy.

- Nie mają - odrzekła Maddy. - A w moich czasach jest wszędzie. Takie urządzenie ma każde dziecko. Albo prawie każde.

- To zabawka dla dzieci? - spojrzał na nią z zainteresowaniem.

- Nie, to nie zabawka, ale dzieci też go używają.

Wainwright odwrócił się do Devereau z pytającym wyrazem twarzy.

- Bill?

- Widziałem też inne rzeczy, Jamesie. Te panie pojawiły się znikąd, wylądowały w

samym środku naszej starej linii frontu przy rzece. Mają maszyny, urządzenia. Naprawdę powinieneś rzucić na to okiem.

- Dziewczyna nie kłamie?

- Wydaje mi się, że nie - odrzekł Devereau. - Jak inaczej wytłumaczyć te zdjęcia, istnienie urządzenia, które trzymasz w ręku?

Wainwright po raz kolejny zerknął na ekran, na kolorowe ikony aplikacji.

- Jamesie, jeśli ma rację, jeśli naprawdę istnieje inna Ameryka, to nie przypomina już skąpanego we krwi pola walki. Brytyjczycy i Francuzi nie wybijają się już nawzajem na naszej ziemi... nie przelewają krwi Amerykanów. - Devereau dotknął palcem strony czasopisma ze zdjęciem startującego promu kosmicznego. - To dzieło Amerykanów, Jamesie. Nie Anglików. Nie Francuzów... Amerykanów.

Wainwright spojrział na niego, mrużąc oczy.

- Kiedyś mieliśmy wspólny sen, stary przyjacielu, pamiętasz?

Devereau pokiwał głową.

- O narodzie wolnych ludzi. Tak... mieliśmy wspólny sen.

Wyciągnął rękę nad stołem, by oddać telefon Maddy.

- Twierdzi, że wehikuł do podróżowania w czasie może odmienić rzeczywistość tak, żeby wyglądała jak na tych zdjęciach?

- Tak.

Wainwright powoli pokiwał głową, rozmyślając nad wszystkim, co zobaczył.

- Czego w takim razie ode mnie oczekujesz?

Beki nachyliła się nad stołem.

- Osiowo-parabolicznej anteny transmisyjnej.

- Słucham?

- Talerza satelitarnej - odpowiedziała Maddy. Obaj pułkownicy popatrzyli na nią, jakby gadała po hebrajsku. - Anteny radiowej?

- Ach... - Devereau uniósł palec. - Chodzi im chyba o spodek komunikacyjny.

Maddy skinęła głową.

- Tak... chyba właśnie tego szukamy.

ROZDZIAŁ 46

Miasto Trupów rok 2001

Sal zawyła z bólu, gdy bestia wreszcie bezceremonialnie cisnęła nią o ziemię.

Rozejrzała się wokół po ciemnym pomieszczeniu, ale nie zobaczyła nic, poza słabymi przebłyskami światła. Słyszała natomiast wszystko: chrząknięcia, jęki i dyszenie kilku tuzinów ciężkich oddechów, czuła zjełczały zapach potu.

Nagle w ciemności rozbłysła latarka. Zorientowała się, że znajduje się w jakimś składziku na węgiel, a obok niej siedzi cała wataha tych dziwnych istot. Zapalka dotknęła knota grubej świecy, mocno już wypalonej, oblepionej kropelkami i zaciekami stwardniałego wosku. W równo płonącej poświacie przyglądała się stworzeniom. Niektóre z nich zwinęły się na strzępach ścierek i wytartych materacach. Zrozumiała, że to musi być ich... legowisko... z braku lepszego słowa. Pozostałe istoty nie miały łóżek ani gniazd, w których mogłyby się umościć. Zauważyła, że mały, wyglądający jak dziecko stworek zdawał się wszystko organizować, rozdawał strzępy szmat tym, którzy zostali bez posłania. Usłyszała stłumione pomruki i po-chrząkiwania, które wydawał z siebie gestykulując, wskazując i wyjaśniając coś kilku salamandrowatym istotom. Zdawały się niepewne otoczenia i przerażone.

„Są nowe w grupie”. - Zgadywała, że wataha musiała zgarnąć je po drodze podczas wyprawy łupieżczej z...

Krew w jej żyłach zamarzła.

Miasta Trupów.

Tu ich przyniosły. Gdy obróciła głowę w jedną stronę i uniosła wzrok ponad przepocone ramiona istoty, dostrzegła szpetne peryferia opuszczonego miasta, sięgające klatki piersiowej chwasty, sadzonki drzewek rosnące na środku popękanej asfaltowej drogi, już dawno temu zamienionej przez Matkę Naturę w pokierszowany bruk. Wschodziło słońce, na drogę padały cienie rzucane przez wysokie, ceglane budynki z rzędami okien obrośniętych brudem i porostami, z popękanych, drewnianych ram okiennych wystawały kępki mchu.

Zauważyła stare witryny sklepowe i wyblakłe szyldy z łuszczącą się farbą: SKLEP ŻELAZNY MCKENZIEGO, CUKIERNIA U RUSSELLA I BARTONA, SMAŻONY KURCZAK U MA JACKSONA. Szyldy zwisały bezwładnie ponad roztrzaskanymi oknami i wydrążonymi skorupami pomieszczeń, które dokumentnie opróżniono z wszystkich użytecznych i jadalnych produktów.

Miasto Trupów. Czy napotkany Chińczyk nie ostrzegał ich, aby trzymali się z dala od tego miejsca?

- Panienko Vikram! - Niespokojnie odwróciła głowę na dźwięk szeptu, ale na szczęście zobaczyła tylko Lincolna leżącego obok niej na stercie węgla.

- Jahulla! - syknęła, dziwiąc się samej sobie, że tak bardzo cieszy się na jego widok. - Żyje pan?

Szorstkie włosy mężczyzny skleiły skrzepłe krople krwi.

- Jeden z tych wielkich diabłów wcielonych łomotnął mnie z całej siły w gospodarstwie. Najpewniej na jakiś czas straciłem zmysły.

- Chyba znaleźliśmy się w Mieście Trupów, tamten Chińczyk ostrzegwał, żeby w ogóle się tu nie zbliżać.

Lincoln pokiwał głową.

- Tak mi się właśnie wydaje.

- Boję się - powiedziała.

- Ja również. - Lincoln przełknął ślinę. - Wie panienka, czym są te istoty?

Potrząsnęła głową. Gdyby wierzyła w rzeczy, w które niegdyś wierzyli jej rodzice - w Siwę, w Brahmę z czterema głowami i Wisznu z wszystkimi jego rękami, w cały ten szalony panteon - wtedy być może doszłaby do wniosku, że to nadprzyrodzone, złe istoty.

- Skrzek piekielny? - wyszeptał Lincoln - Demony? Może umarliśmy, a to pierwszy krąg zaświatów?

Spojrzała na niego sceptycznie.

- Dlaczego? Naprawdę tak pan sądzi?

Skrzywił się z bólu, gdy dotknął guza na swojej głowie.

- Nigdy nie widziałem takich stworzeń żyjących na ziemi.

Prowadzona szeptem rozmowa przykuła uwagę „dziecka”, które nagle przestało wydawać instrukcje pozostałym i podeszło do nich. Jego kaczki kroki przypominały trochę niezręczny chód człowieka. Zupełnie jakby istota za wszelką cenę starała się sprawiać wrażenie normalnej osoby.

Sal i Lincoln natychmiast przerwali rozmowę i spojrzeli na stworka z wysokości hałdy węgla. Teraz widziała go wyraźniej, choć padało na niego jedynie skąpe światło świeczki. Miał co najwyżej sto dwadzieścia centymetrów wzrostu, szczupłe i wąskie ramiona. Jego głowa, podobnie jak u innych, miała podłużny, bana-nowaty kształt, ale w zestawieniu z chudym ciałkiem sprawiała wrażenie dużo większej.

Stwór uklęknął, wyglądając w tej pozycji o wiele naturalniej, i z zainteresowaniem przekrzywił nieproporcjonalnie dużą głowę. Jego oczy były dużo większe niż u małpopodobnych istot, które taszczyły na plecach Sal i Lincolna. Były wielkie jak u dziecka. Ale to usta najbardziej przykuwały uwagę. W miejscu warg wyrastała poszarpana linia zabliznionego, prądkowanego mięsa. Zupełnie jakby jakiś niedbały albo pijany rzeźbiarz wyrznął je bez przekonania w grudkowatej glinie.

Sal zauważyła - zaskoczona, że dopiero teraz - iż istota obwiązała kark muszką.

Wyglądało to niemal komicznie i znowu przywiodło jej na myśl dzieci bawiące się w maskaradę. Gdyby nie paraliżujący strach o siebie i Lincolna stwierdziłaby zapewne, że stworek wygląda uroczo.

- Jestem... Sal - wyszeptała. - Na-nazywam się... Sal. - Wskazała Lincolna. - A to jest... A-Abraham.

Potworek ponownie przekrzywił głowę, oczy - czarne jak u gryzonia - zmrużyły się, a na bladą, gładką skórę wystąpiły niewyraźne fałdki zadumy. Wargi drgnęły nieprzyjemnie.

- Szal?

- Saleena - powtórzyła. - Mo-moje prawdziwe imię to... Sa-leena.

- Szaleena? - powtórzyło ostrożnie.

- Nie, Ssss-aleena.

- Pszeczysz tak powiedziałem. Szaleena?

Zrozumiała, że przez deformację ust stworek sepleni. Skinęła głową.

- Właśnie tak.

Spojrzał na Lincolna.

- Ay-bra-ham? - wydeklamował ostrożnie.

Mężczyzna kiwnął głową.

Stwór, pogrążony w refleksyjnej zadumie, patrzył na nich uważnie przez dobrą minutę, wreszcie jego wargi ściągnęły się i drgnęły.

- Nazywam się... Szeszczdziesiąty Pierwszy.

„Nazywam się Sześćdziesiąty Pierwszy?”.

- A pszynajmniej tak się nazywałem. - Wargi stwora drgnęły w sposób, który Sal zinterpretowała jako uśmiech, chociaż przy skrzywionej, poszarpanej linii jego ust ten skurcz mógł oznaczać dosłownie wszystko.

- Zmieniłem me imię. Teraz nazywam się Szamuel.

„Czy on właśnie powiedział Samuel?”. - Posłała Lincolnowi szybkie spojrzenie.

Ponownie popatrzyła na stworka.

- Twoje imię... wła-właśnie powiedziałeś, że nazywa-wasz się Samuel?

Skinął łebkiem. W geście widać było krztynę dziecięcej dumy. Zupełnie jak u małego chłopca, który udowodnił nauczycielowi, że sam, samiuśki, potrafi zawiązać sznurówki.

- Właśnie tak. - Uśmiechnął się ponownie. - Nazywam się Szamuel.

ROZDZIAŁ 47

Okolice Miasta Trupów rok 2001

Kapitan Ewan McManus obserwował linię horyzontu miasta przez lornetkę połową.

- Przepięknie - mruknął wypranym z entuzjazmu głosem. Odłożył lornetkę i zmrużył oczy od blasku światła, które zalało twarz pod daszkiem hełmu.

- Tam ich zabrali? - spytał Liam. - Czy to jest Miasto Trupów, o którym rozmawialiśmy zeszłej nocy?

- Dokładnie to samo. - McManus skinął głową.

Biały Niedźwiedź, który właśnie powrócił z wyprawy zwiadowczej, stanął tuż obok nich.

- Ślady wieść do miasta - oznajmił. - Wiele śladów wieść do miasta.

- Dokładnie jak podejrzewałem. - Kapitan wcisnął lornetkę do sakiewki przypiętej do pasa. - Cały ten obszar został zaludniony przez zbiegłych geników. Grabią okoliczne miejscowości z jedzenia, czasem atakują dla zabawy. I zawsze uciekają z powrotem do miasta.

- Ja widzieć też ludzki ślad... mały, zostawić go ktoś niegruby, może dziewczynka - powiedział Biały Niedźwiedź, patrząc na Liama. - Twoja siostra. Ona szła tu. Może genicy musieli trochę odsapnąć.

- Ach, Jezu! Dzięki Bogu... ona żyje!

McManus poklepał go po ramieniu.

- Sam widzisz. Doczekałeś się dobrych wiadomości.

- Co teraz? Wchodzimy do miasta?

McManus pokiwał głową.

- Oczywiście, że wchodzimy. Moi chłopcy są zaprawieni w takiej walce - plądrowanie domu po domu i potyczki na ulicach to nasza specjalność. Nie jest to zabawa dla ludzi o słabych nerwach. Zawsze kończy się brutalną, nieprzyjemną dla oka, konfrontacją twarzą w twarz i sieczką. - Potrząsnął głową. - Oczywiście, gdyby armia konfederatów miała dość oleju w głowie, by wcześniej uprzątnąć ten cały bajzel, zamiast ignorować problem, nie mielibyśmy teraz na karku aż tylu geników. - Wydał wargi. - Pff... Zgraja bęcwałów i nieudaczników Licho przeszkoleni parobkowie, głupcy i kryminaliści.

- Czyli kiedy?

McManus odwrócił się do Liama.

- Kiedy zaatakujemy miasto?

Liam kiwnął głową.

- Wpierw muszę wezwać transporter pułkowy. Chłopcy potrzebują jeszcze kilku

rzeczy. - Odwrócił się od Liama w stronę reszty żołnierzy dosiadających huffali i ściągnął z hełmu komunikator.

- Woła Boga Niebios - rzekł Biały Niedźwiedź, szczerząc zęby.

- Słucham?

- Wielkiego Ptaka... z nieba. Przybywa... i robi dużo śnieg. Dah?

- Ach tak. Lubisz śnieg, co?

Indianin energicznie pokiwał głową.

Liam odwrócił się, by spojrzeć na pogrążone w ciszy miasto, niegdyś znane pod nazwą Baltimore. Z tej odległości nie sprawiało wrażenia opuszczonego. Wyglądało raczej spokojnie: wysokie budynki, kominy fabryk, iglice kościołów i równe rzędy ceglanych podmiejskich domów. Spokojne miasto drzemiące pod popołudniowym słońcem dnia.

Usłyszał łomot ciężkich kroków i odwrócił się do Boba.

- Znalazłeś coś?

- Zaprzeczam - grzmotnął Bob, który właśnie wrócił z prywatnego zwiadu. Wspiął się na pobliską wieżę ciśnień w nadziei, że uda mu się coś wyniuchać. Ale Maddy wciąż nie dawała znaku życia, nie wykrył choćby fragmentu wiadomości, nawet pojedynczej cząstki tachionowej. A to mogło oznaczać tylko jedno: Amerykanka miała własne problemy na głowie.

„Dzień jak co dzień. Każdy musi gasić własny pożar”.

ROZDZIAŁ 48

Nowy Jork rok 2001

- Zakładam, że mówisz o naszym dywizyjnym węzle komunikacyjnym? - spytał Wainwright.

Beki skinęła głową.

- Pułkownik Devereau wyjaśnił, że za pomocą węzła obsługiwany jest przepływ wiadomości pomiędzy tym odcinkiem linii frontu a Naczelnym Dowództwem w Fredericksburgu, w Wirginii.

Puścił oko do Devereau.

- Wygląda na to, że twoi szpiedzy wykonują kawał dobrej roboty, Bill.

- Wiemy, gdzie jest już od jakiegoś czasu. Niedaleko na południe od miejsca, które niegdyś nazywano Times Square. Widzieliśmy talerz i antenę. Gdyby nasze siły powietrzne były cokolwiek warte, już lata temu zamienilibyśmy wasz węzeł w kupę gruzów.

Wainwright podniósł się z krzesła i podszedł do olbrzymiej mapy rozwieszanej na całej powierzchni ściany. Mapę pokrywał las wystających szpilek, przytwierdzonych pinezkami karteczek oraz naszkicowanych długopisem gryzmołów oznaczających rozmieszczenie oddziałów i koncentrację sił obronnych wzdłuż wschodniego wybrzeża Manhattanu. Gdyby wojna nie przeszła w stan stagnacji, byłyby to najściślej chronione informacje wywiadu wojskowego, ale Devereau i tak wiedział już od jakiegoś czasu o wszystkim. Niektóre bunkry, schrony i transzeje wybudowano wiele dekad temu, kiedy i on, i Wainwright byli chłopcami w szortach. Devereau wiedział o rozmieszczeniu ludzi Wainwrighta dokładnie tyle, ile o rozmieszczeniu swoich własnych. Wszystko.

Pułkownik Południa dotknął mapy palcem.

- Tutaj... tak jak mówisz, tuż pod starym Times Square. To dość blisko.

- No to na co czekamy? - spytała Maddy. - Chodźmy po nią.

- Dość blisko... ale to nie rozwiązuje problemu, bo bunkra komunikacyjnego strzeże oddział Anglików. - Wzruszył ramionami. - Nie ufają zwykłym konfederackim żołnierzom, nie pozwoliliby nam postawić własnych straży... widzą w nas jedynie gromadę głupkowatych kmiotków, którzy potrafią tylko siać kukurydzę. - Odwrócił się, by spojrzeć na mapę i po chwil podjął: - Musielibyśmy wziąć go siłą, zaatakować. - Pozwolił, aby słowa odbiły się echem od grubych ścian pomieszczenia. Wreszcie potrząsnął głową i westchnął. - Przykro mi. To jedyny sprzęt komunikacyjny, jakim dysponujemy na tym odcinku frontu. Nie ma innego sposobu, żeby naprawić wasz wehikuł?

- Zaprzeczam - powiedziała Beki.

Wainwright spojrzał na nich, na otwarte na stole magazyny, mały błyszczący ekran w urządzeniu dziewczyny, który nazywała iPho-nem. W środku znajdowały się dowody na istnienie innego świata. Był więcej niż pewien, że Północ nie ma takiej technologii, wiedzy, wyobraźni, umiejętności tworzenia obrazów w tych czasopismach. Był też po dwakroć przekonany, że nigdy nie potrafiliby skonstruować takiego urządzenia.

- Czy rozumiesz, że właśnie prosisz mnie... o zdradę swojego kraju?

- Już przez sam fakt, że tutaj jestem i rozmawiam z tobą, jestem winien zdrady - rzekł Devereau. - Obaj kwalifikujemy się do postawienia przed plutonem egzekucyjnym.

Wainwright skinął głową, nie mógł nie zgodzić się z tym argumentem.

- Ale... odbicie tego bunkra, wymiana ognia z Anglikami... - Przygryzł wargę. - Rozumiecie, co to oznacza?

- To otwarty bunt... tak.

Te słowa otrzeźwiły obu oficerów.

Maddy zareagowała natychmiast.

- Słuchajcie... może znajdziemy inny sposób.

- Zaprzeczam - powtórzyła Beki. - Antena transmisji radiowej to niezbędny komponent. Wymagane będzie przeprowadzenie niezbędnych modyfikacji, żeby...

Maddy uniosła dłoń, aby ją uciszyć.

- Nigdy nie staniecie przed plutonem egzekucyjnym, ponieważ jak tylko dostosujemy waszą antenę do naszej technologii, będziemy mogli przywrócić pierwotną postać tego świata.

- Lecz jeśli ten plan się nie powiedzie, bez względu na przyczynę, to konsekwencje zarówno dla naszych ludzi, jak i dla nas samych... okażą się co najmniej fatalne.

Wainwright usiadł przy swoim stole.

- Uznanie pułkownika Devereau i mnie samego za zdrajców to jedno. Obaj stanęlibyśmy przed plutonem egzekucyjnym. Ale bunt...? - Nalał sobie mętnej, stygnącej kawy ze stojącego pomiędzy nimi obtłuczonego dzbanka. - Każdy żołnierz z pułku zostanie srogo ukarany, bez względu na to, czy brał udział w rebelii, czy nie.

Devereau powoli pokiwał głową.

- Nie mogę prosić o to swoich ludzi.

- Możemy pokazać im to samo co wam - próbowała ratować sytuację Maddy.

- Nie. - Potrząsnął głową. - Obawiam się, że niewielu z nich pojęłoby, co to oznacza.

A jeśli nie będą całkowicie przekonani, nie zaryzykują przystąpienia do buntu.

Ktoś zapukał do drzwi pokoju.

- Wejść.

W szparę między drzwiami wcisnęła się szara furażerka naciśnięta na strzechę rudych włosów opadających na twarz młodego mężczyzny rozglądającego się po pomieszczeniu.

- Sir?

- Słucham, kapralu.

- Prosił pułkownik, żeby uprzedzić, gdy zobaczymy Anglików... Właśnie idą, sir.

- Dziękuję, Lawrence. Każ ludziom przygotować się do inspekcji.

- Tak jest, sir.

Zamknęły się za nim drzwi.

- Musicie natychmiast opuścić to miejsce - powiedział Wainwright. - Będę tu za dziesięć minut. Lepiej, żeby was tu nie zastali.

- Proszę! - błagalnym tonem odezwała się Maddy. - Proszę... niech pan to przemyśli!

- Oddaję to, madame... niech panienka zabierze to ze sobą - powiedział, zbierając jej

czasopisma.

Beki odebrała od niego gazety i iPhona, po czym włożyła je do przewieszanej przez ramię torby.

- Proszę się dobrze zastanowić. Musimy naprawić historię! - Maddy nie dawała za wygraną. - Myśli pan, że ta wojna jest straszna?... Może być dużo gorsza!

Wainwright zeszywniał, ignorując jej błagania.

- Pułkownik Devereau, zechce pan zabrać te damy z powrotem do swoich okopów.

Devereau skinął głową.

- Oczywiście! - Bill zasalutował oficerowi konfederatów, który energicznie oddał salut. Odwrócił się na obcasie wojskowego buta, otworzył drzwi i wyszedł na betonowy korytarz. - Za mną - powiedział, chwytając Maddy za rękę. - Musimy iść.

- Ale... - Złapała się za krawędź stołu, aby tak łatwo nie dać się wypędzić. - Ale... on do cholery jest naszą jedyną nadzieją! Musimy...

- Sierżancie Freeman!

W drzwiach pojawiła się głowa Freemana.

- Potrzebuję tu lekkiego wsparcia!

Beki, o dziwo, zgodziła się z pułkownikiem.

- Postąpimy najrozsądniej, jeśli opuścimy to miejsce, Madelaine. Przeprowadzimy ponowną analizę opcji po powrocie do bazy.

Pięć minut później znajdowali się już w motorówce, która niemrawo pruła wody East River. Maddy wpatrywała się w powoli wyrastający przed ich oczami krajobraz zrujnowanego Brooklynu, zastanawiając się, czy ich jedyną opcją jest teraz przekonanie pułkownika Devereau i jego ludzi, aby przypuścili atak na własną rękę i spróbowali przejść bunkier komunikacyjny.

Gdy tak patrzyła na niego, na sierżanta Freemana i innych żołnierzy, zarówno starych, jak i młodych, którzy siedzieli w przetartych uniformach z tym samym cierpliwym grymasem porażki na twarzach, uświadomiła sobie, że nie są to prawdziwi wojskowi łaknący wojennej chwały i smaku kurzu bitewnego, a zwykli rekruci... ludzie mający ileś tam lat do odświeżenia, ludzie odhaczający w kalendarzykach dzień po dniu, z utęsknieniem wypatrując dnia powrotu do domu.

Dopóki nie otworzy się przed nimi inna możliwość, dopóki nie nastąpi jakiś zwrot, pozostaną w tym bajzlu. Czas zapomnieć o pomocy Liamowi i Sal. Czas zapomnieć o tajemniczych wiadomościach i złowieszczych ostrzeżeniach z przyszłości... ona i Beki są teraz dwójką zwykłych cywilów uwięzionych na ziemi niczyjej, spustoszonej i targanej

konwulsjami wiecznej wojny.

ROZDZIAŁ 49

Okolice Miasta Trupów rok 2001

Liam wyglądał przez mostek obserwacyjny transportera, przez długi szereg ułożonych w podkowę szklanych paneli wpadało słońce, zalewając całe pomieszczenie ciepłym światłem. W dole przesuwał się patchwork pól maleńkich jak naparstki. Na samym ich skraju wyrastały przedmieścia Miasta Trupów. Uporządkowane rzędy podmiejskich domów z zapuszczonymi ogrodami ustępowały miejsca mniejszym szeregowcom w gęstej zabudowie, a te z kolei przechodziły w bure cementowe kamienice czynszowe. Jeszcze dalej wyrastały coraz wyższe apartamentowce, obok których stały fabryki, magazyny i biurowce. Martwe, opuszczone budynki przywodziły na myśl płyty nagrobne.

- Niedługo lądujemy - powiedział kapitan McManus. Skinął głową, wskazując przysadzistego mężczyznę koło czterdziestki o srebrnoszarych włosach i obfitych, rozszerzających się ku dołowi bokobrodach.

- Pułkownik Donohue wysyła nas z trzema oddziałami żołnierzy i kilkunastoma eksperymentalnymi.

- Eksperymentalnymi?

- Niedługo zobaczysz ich na własne oczy. - McManus się uśmiechnął.

Warkot silników transportera zelżał, a okręt zaczął łagodnie pikować. Liam zauważył, że za oknami mostka unoszą się kosmyki mgły i przypomniał sobie dziwaczny widok nieba, które niespodziewanie zasnęła zamieć.

- O co chodzi z tym śniegiem?

- Transporter wzbija się dzięki gazom lżejszym od powietrza oraz zasysanej próżni, lecz sama technologia nie zapewnia jeszcze pełnej nośności. Dno kadłuba jest wentylowane za pomocą chmury azotowej, która schładza powietrze i zwiększa jego gęstość... tak uzyskujemy dodatkową wyporność. Tworzy się warstwa gęstszego powietrza, które cały czas płynie pod nami, pozwalając utrzymać się nad ziemią.

- Ale śnieg?

- Wilgotne powietrze zamienia się w śnieg, rozumiesz?

- Kapitanie McManus! - krzyknął pułkownik.

- Tak, sir?

- Zbierajcie się do zejścia na ląd.

- Tak jest, sir - odpowiedział i dotknął ramienia Liama. - Tędy.

McManus sprowadził ich z mostka na nadbudówkę rufową.

Stamtąd zeszli po drabinie na znajdujący się poniżej spardek. Zanim jednak pokonali strome stopnie, Liam popełnił szkolny błąd i spojrzał w dół na powoli rosnący za miedzianą poręczą krajobraz miasta.

- O Jezu - powiedział niespokojnie. - Wcale nie chciałem tego robić.

- Lęk wysokości. Kilku moich chłopców też to ma - powiedział McManus, szczerząc zęby. - Po prostu nie patrz w dół.

Liam i Bob zeszli wreszcie i dołączyli do McManusa stojącego już u podstawy schodów, później, ku uldze Liama, wrócili do wnętrza statku, gdzie kilku żołnierzy usłużnie ustąpiło im miejsca przy kolejnej drabinie, którą zeszli w końcu do wielkiego hangaru.

- Mój Boże - wyszeptał, stawiając stopę na ostatnim stopniu.

Hangar miał na oko ze dwadzieścia pięć metrów szerokości i był trzy albo i cztery razy dłuższy, rozmiarami przypominał małe boisko piłkarskie. Po hali krzątało się trzystu mężczyzn, którzy formowali szyki i wzajemnie sprawdzali ekwipunek w plecakach. Do jednego z rogów hali zapędzono huffale. Było zimno, chłód wywoływała sztuczna, arktyczna mgła generowana wokół kadłuba. Z ust ludzi wydobywały się kłęby dymu.

Chociaż Liama zżerał niepokój o Sal, która znalazła się w nie lada niebezpieczeństwie - mimo że w umyśle tliły się gorączkowe iskry nadziei, że dziewczyna wciąż żyje uwięziona gdzieś w mieście pod nimi - nie potrafił pozbyć się uczucia zachwytu nad tym kipiącym życiem i energią miejscem.

Po drugiej stronie hangaru dostrzegł kilka podobnych do psów zwierząt. Ale nie były to psy, przynajmniej nie takie, jakie widywał wcześniej. Te były większe, duże jak lwy, ale gibkie i szczupłe niczym charty z czaszkami niepokojąco podobnymi do głów ludzi, czy może bardziej pawianów. Żarzyły się w nich żywe, ludzkie źrenice, w których skrzyła się inteligencja.

- Czym one są?

- To zwiadołowcy. Genicy oczywiście. Świetnie sprawdzili się w Afganistanie i północnych Indiach. Doskonale wywąchują powstańców, sprawnie przeciskają się przez jaskinie, tunele i inne wąskie przejścia, potem meldują o ich pozycjach i podają liczebność oddziału.

- Meldują? Chcesz powiedzieć, że potrafią...

- Mówić? Tak, oczywiście. W przeciwnym wypadku byłiby całkowicie bezużyteczni.

- Uniósł brew i zaśmiał się, widząc wybałuszone oczy Liama. - Nie sądzę jednak, żeby z ich

ust kiedykolwiek wypłynęły głębokie słowa mądrości. Obawiam się, że Hamleta ci nie zacytują. Mają mózdzki małych dzieci.

- Co? Naprawdę właśnie powiedziałeś... „małych dzieci”?

- Ich inteligencja i zdolności poznawcze są na poziomie pięcioletniego dziecka - dodał. - Popelnialiśmy błędy podczas projektowania starszych typów geników... stworzyliśmy zbyt zaawansowaną inteligencję. I w tym tkwił problem. Genicy muszą być na tyle bystrzy, żeby wykonać powierzone im zadanie, ale ani krztyny więcej. Przy nieskomplikowanej konstrukcji psychicznej łatwiej zapewnić im szczęście.

McManus odszedł do młodszych rangą oficerów i podoficerów, a Liam wciąż przetrwał informację, że w tym szalonym świecie istnieją gadające psy-pawiany.

Odwrócił się, by spojrzeć na Boba, który wzruszył ramionami i posłał mu uśmiech.

- Ta rzeczywistość zaczyna być dla mnie zdecydowanie zbyt dziwna - wyszeptał Liam.

Bob pokiwał głową.

- Musimy ich znaleźć... i to szybko. Przed nadejściem kolejnej fali.

ROZDZIAŁ 50

Miasto Trupów rok 2001

Jedzenie. Mnóstwo różnego rodzaju jedzenia. Sal patrzyła, jak eugeniczne istoty łapczywie pożerają resztki, które zdobyły podczas ostatniej akcji. Zauważyła, jak podają sobie kilka starych i zardzewiałych puszek z etykietami, które wskazywały, że zawartość konserw dawno temu zgniła lub zjełczała. Do tego szczury, cała chmara obdartych ze skóry szczurów... wędzonych nad małym paleniskiem. I kolby kukurydzy bez liści.

Zobaczyła Samuela siedzącego wśród mamroczącej zgrai istot. Stworek zarządzał dystrybucją żywności, pilnował, aby każdy członek jego watahy miał czym napęścić brzuch.

„Wataha”.

Tym terminem określiła ich wcześniej. Ale teraz... teraz, kiedy wiedziała, że przynajmniej niektóre z tych stworzeń potrafią mówić jak ludzie, a inne, choć nie mówią, to przejawiają oczywistą inteligencję... słowo „wataha” wydawało się niestosowne.

Samuel przyczłapał do niej i do Lincolna, trzymając w ramionach naręczę jedzenia.

- Muszycie czoszczesz albo uszchniecie z głodu.

Wyciągnął nadziany na patyk i wciąż skwierczący zewłok szczura. Podał im zdobycz.

- Bardzo dobre!

- Nie tknę tego. - Sal potrząsnęła głową.

- Na brodę Jowisza! - mruknął Lincoln. - Nie będę jadł szczura!

Samuel obojętnie wzruszył ramionami.

- To szam żjem. Może czosz innego? Kukurydżę?

Sal skinęła głową. Choć warzywo wyglądało na surowe, dziewczyna umierała z głodu.

- Poproszę.

- Już jadalem surową kukurydżę. - Lincoln również długo się nie wahał.

Samuel podał im liściastą kolbę, po czym usiadł na ziemi i zaczął pożerać szczura.

Węglowa piwniczka rozbrzmiała odgłosami jedzenia, chleptania, przeżuwania i pomrukiwania zadowolonych istot, które wreszcie napchały brzuchy.

- Samuelu... - cicho odezwała się Sal - dlaczego... dlaczego tu trafiliśmy?

Genik spojrzał na nią znad padliny.

- Jeszteszcie więźniami.

- Powiedziałaś „więźniami”? - spytał Lincoln.

- Dobrze pan szłyszał.

Sal oderwała ostatni liść i łapczywie wgryzła się w kolbę kukurydzy.

- Ale dlaczego?

- Żołniesz... niedługo tu pszyjdą.

- Żołnierze?

- Jedna z band zabiła kilku ludzi. Oj, głuupio zrobili. - Samuel spojrzał na nich. - Żabili ludzi takich jak wy. Dlatego pszyjdą żołniesz. Jesztem pszekonany. - Potrząsnęła głową i ostentacyjnie uderzył się w czoło. - To było baaardzo głuupie.

„Shadd-yah... jakże ludzki gest. Dokładnie tak samo durnie reaguje Maddy, gdy jest poirytowana i zestresowana”.

- Jesteśmy teraz zakładnikami? - spytał Lincoln.

Samuel przekrzywił głowę.

- Zakładnikami? A czóz to żnaczy?

- Użyjecie naszego życia... żeby ocalić wasze.

- Bycz może. - Powoli pokiwał głową, w jego dużych ślepiach odbijał się proces formułowania myśli, przeformułowywania planów. - Jeszli oddamy wasz czałych i zdrowych... to mosze żosztawią nasz wszystkich w szpokoju. - Zgarbił wąskie ramiona. - Żażwyczaj nie żabi jamy ludzi. To przynoszi szame kłopoty. Musziało szię wydarzyć czóz złego. - Ostrożnie oderwał kolejny kawałek ugotowanego szczura.

Sal zauważyła, że przeżuwa go bardzo powoli, uważając, aby zęby nie dotykały jego

poszarpanych warg. Odważyła się zadać to pytanie.

- Co stało się z twoimi ustami?

Samuel potrząsnął głową.

- Urodziłem się z normalnymi uszami. Zupełnie takimi jak twoje, Szaleeno.

Zaprojektowano mnie do pracy pszy maszsy-nach.

- Zaprojektowano?

- Tak... zrobili mnie mądszy ludzie z dalekiego miasta. Oksfordu. Hodowali tam nasz, geników w dużych...

- Geników? - Sal zmarszczyła czoło. - Chcesz powiedzieć, że jesteście genetycznie zmodyfikowanymi... organizmami?

- Pracowałeś przy maszynach? - dopytywał Lincoln.

- Jesztem mechem - odrzekł z nutką dumy w głosie. - Mechanicznym genikiem. Jesztem bardzo bysztry. Geniczy taczy jak ja naprawiają zepszute maszyny w fabrykach, żeby znowu działały szprawnie. Ale... ja i mój długi jęzor...

Sal pomyślała, że genik się uśmiecha, choć nie miała stuprocentowej pewności.

- Zrobiłem szporą, szporą drakę.

Lincoln wyciągnął kukurydżę spomiędzy zębów.

- Drakę?

- Tak jeden z duszych geników-robotników zosztal żgnieciony i żabity przez jedną z maszyn w fabrycze. Widziałem, czo się wydarzyło. Błąd popełnił człowiek. Maszyna była źle zaprogramo-wana. Powiedziałem o tym. Ale ludzie nie chcieli mnie szłuchać. - Mimowolnie wzruszył ramionami. - Wtedy powiedziałem pra-czującym fizycznie genikom, żeby odłożyli szwe narzędzia i prze-sztali praczować, aż maszyna zosztanie naprawiona. Inaczej żgi-nąłby kolejny... i kolejny... i kolejny.

- Co się wtedy wydarzyło?

- Zszyli mi uszta igłą i nitką. Powiedźeli, że jesztem mącziwodą. Oni nie lubią, jak geniczy się szprzeciwiają! Poza tym, kiedy przeszukali mój pokój, odkryli, że mam książki. Ojoj, to im szię wczale a wczale nie szpodoabało. Nie byli zadowoleni, że nauczyłem szię czytać. To ponocz bardzo niebezpieczne. Może podszunącz genikom inne wielkie... - Samuel ostroźnie próbował wypowiedzieć następne słowo. Prawie zdołał je wypowiedzieć bez seplenienia. -...konc-czepeje. - Znowu zanurzył zęby w padlinie i podjął: - Już wiele lat temu pszesztali produkowacz bardzo bysztre gatunki, takie jak ja. Za dużo mieli problemów z odpowiadaniem na nasze pytania!

- W dalszym ciągu nie rozumiem, jak cię właściwie stworzyli? - powiedział Lincoln.

- Na początku, w poprzednim wieku, mieszano jedno zwierzę z drugim, żeby zrobić nowe zwierzęta. Nazywano to „szelektywną hodowlą”. Teraz wiadomo już jednak, jak wyhodować stworzenie z niczego. Słyszałem, jak ktoś mówił, że mądrzy ludzie z Oksfordu potrafią manipulować „kodem natury”. Niektórzy mówią nawet... że igrają z Boszym planem! Naukowy termin opisujący tę metodę to „eugenologia!”.

Samuel przełknął ostatni kęs szczura i odrzucił drewniany szpikulec, z którego sterczały już tylko szerniałe kości i kilka strzępów żylastego mięsa.

- Najpierw piszą kod, potem nasz hodują... zupełnie jak pomidory... na wielkiej plantacji fabrycznej.

- Hodują... jak rośliny?

- Tak... w wielkich cylindrach wypełnionych szmerdzącą, kleistą mazią, którą nazywają proteinowym roztworem wżrostowym.

- Shadd-yah - wyszeptała Sal. - zupełnie jak Boba!

Jeden z geników krzyknął coś do Samuela.

- Uch-och, ktoś mnie potrzebuje. - Spojrzał na niedojedzoną kukurydzę. - Zjedźcie to. Muszycie nabracz szil na później - Wstał i przeczłapał przez piwnicę na platformistycznych stopach, zostawiając Sal i Lincolna samych.

- Święty Bonifacy, jego opowieść była niewiarygodna - wymruczał Lincoln i spojrzał na Sal. - Hoduje się ich jak fasolę na polu? Czy on przypadkiem nie robi z nas dudków?

Sal potrząsnęła głową, po raz kolejny przysysając się do kolby kukurydzy.

- Mówi o transgenicznym organizmach... w moich czasach to dość zaawansowana gałąź nowych technologii. Wszystko jest genetycznie modyfikowane. Jak Bob.

- Bob? Duży przyjaciel panienki?

- Mhm, zaprojektowano go w identyczny sposób... potem dojrzewał w wielkim cylindrze wypełnionym mazią.

ROZDZIAŁ 51

Nowy Jork rok 2001

- Pułkownik James Wainwright?

Postanowił nie stawać na baczność ani nie salutować angielskiemu oficerowi, który butnie i arogancko wtargnął do jego kwatery, nie pamiętając nawet o zapukaniu. Wainwright zdobył się jedynie na podniesienie wzroku znad zalegającej przed nim sterty petycji.

Oficer był na oko o połowę młodszy od niego, ledwie przekroczył dwudziestkę, a

mimo to miał prawo wydawać mu rozkazy.

- Tak, o co chodzi?

- Zwyczaj nakazuje salutować starszemu rangą oficerowi - odparł oficer obruszony protekcjonalnym tonem Wainwrighta.

Wainwright ostentacyjnie rozsiadł się w krześle i rozłożył ręce.

- No i? Czego chcesz?

Nie rozpoznał twarzy młodego człowieka. To na pewno stosunkowo nowy oficer. Emblematy na kołnierzu i klatce piersiowej wskazywały na OSW - Oddział Sygnalizacyjno-Wywiadowczy - grupę oficerów odpowiedzialnych za nadzorowanie tego odcinka frontu.

Młodzieniec postąpił krok do przodu, wyciągnął krzesło spod biurka i beztrąsko usiadł.

- Pułkownik Wainwright - powiedział szeptem - dowódca Trzydziestego Ósmego Pułku z Wirginii.

- Wiem, kim jestem, ale dziękuję za przypomnienie.

- Odłóżmy na bok te formalności, jeśli można. Proszę mi mówić po imieniu. Rupert.

Wainwright nic nie odpowiedział. Patrzył na młodego oficera ze słabo maskowaną wzdargą.

- Jak długo pan tu dowodzi, pułkowniku Wainwright... mniej więcej?

- Jak długo dowodzę? Dziewięć lat, trzy miesiące i siedem dni, jeśli koniecznie musisz wiedzieć. Ale patrzę wrogowi prosto w oczy przez ten piekielny odcinek rzeki od niemal dwudziestu lat.

Rupert w zamyśleniu podparł podbródek palcami.

- Kawał czasu.

- Zdecydowanie za długi.

- Cóż - młodzieniec odrobinę zniżył głos - w takim razie ulży panu.

- Ulży? - Wainwright posłał mu ostre spojrzenie.

- Rozumie pan... wszystko płynie. Wierchuszka wierzy, że ta zimna wojna powoli dobiega końca, więcej dobrego nie przyniesie. Dlatego postanowili położyć jej kres.

Poruszony Wainwright nachylił się w fotelu.

- Dobry Boże, rozejm! Czy o tym mówicie?

Rupert zaśmiał się dobrodusznie.

- Nie, oczywiście, że nie. Wyobraźcie sobie natarcie, pułkowniku. Ostateczne natarcie. Uderzymy w same trzewia Północy, przedrzemy się przez to śmietnisko. - Przepraszająco

wzruszył ramionami. - Ale ze mnie gapa... czy wypsnęło mi się słowo „śmietnisko”? Miałem oczywiście na myśli ruiny Nowego Jorku.

- To szaleństwo! Okopali się tu głęboko jak kleszcze na grzbiecie psa. Piechota zrzucona na przeciwległy brzeg zostanie natychmiast wybita co do nogi...

- Ach, tym akurat bym się nie przejmował, kochany pułkowniku. Będziemy wysyłać pana chłopców z eksperymentalnymi partiami pomiędzy nalotami marynarki powietrznej, na pewno...

- Z eksperymentalnymi?

Rupert uśmiechnął się chłodno.

- Tak, z genikami.

- Chcecie wymieszać geników z moimi ludźmi?

- Bez paniki, pułkowniku. Nie mówię o starych gatunkach morderców. Nowe modele są niezawodne.

Wainwright wstał i nachylił się nad biurkiem, spoglądając prosto w oczy młokosa.

- Naczelne Dowództwo obiecało! Dostaliśmy żelazną obietnicę! Koniec z bojowymi genikami. Koniec z tymi... tymi bydlętami!

- Spokojnie, spokojnie. Żadne z nich bydlęta, pułkowniku. To tylko narzędzia przeznaczone do wykonania określonego zadania. Zwykle narzędzia z naszego skromnego warsztatu.

- Narzędzie, drogi chłopcze, nie atakuje swojego właściciela. Narzędzie nie rozdziera na strzępy wroga tylko po to, by w następnej chwili rzucić się na osobę, która się nim posługuje, i rozerwać ją na strzępy również... tylko po to, żeby później popełnić harakiri na własnym gatunku, gdy w zasięgu wzroku nie zostanie już nic do zabicia.

- Ależ błagam, niech pan nie przywołuje tego nieszczęsnego incydentu z Preston. Przecież to wszystko wydarzyło się niemal dwie dekady temu! Aktualnie genikom wszczepia się znacznie bardziej niezawodne inhibitory behawioralne.

- Ludzie się na to nie zgodzą - odparł Wainwright. - Moi żołnierze nie staną do walki ramię w ramię z tymi potworami.

- Nie zgodzą się? - Rupert chłodno popatrzył na konfederackiego pułkownika. Wreszcie rysy jego twarzy złagodniały.

- Ściśle mówiąc, Wainwright, nie będą walczyli ramię w ramię... twoi chłopcy wylądują na brzegu w pierwszej fali, utworzą przyczółek do ataku. Później - uśmiechnął się - wyślemy nasze bydlęta, jak je nazywasz, spuścimy je z łańcuchów i poszczujemy nimi wroga.

- To czyste szaleństwo! Ja... Ja... odwołam się do...

- Posłuchaj mnie uważnie, pułkowniczyno. Z celi w Camp Elizabeth będziesz mógł sobie protestować ile wlezie.

- Coś ty powiedział? - Wzmianka o wojskowym obozie internowania skutecznie uciszyła Wainwrighta. Podczas długiej przerwy w rozmowie gorączkowo starał się odgadnąć, jak dużo wie o nim ten cały Rupert.

- Słyszał pan. - Anglik wrócił do oficjalnego tonu. - Poznał pan prawdziwy cel mojej wizyty. Zwalniam pana ze służby, pułkownika Wainwright. Podejrzewam, że bardzo szybko trafi pan przed sąd wojskowy.

- Pod jakim zarzutem?

Młodzieniec uniósł brew.

- Doskonale wie pan pod jakim. A może życzy pan sobie, żebym dokładnie wszystko wyłuszczył?

Wainwright pokiwał głową.

- Lepiej, żebyś to zrobił!

- Zebraliśmy na pana teczkę. Całkiem grubą, mówiąc między nami. Prowadzimy ją od kilku ładnych lat. Krążyło mnóstwo plotek, że wykazuje pan zbyt dużą pobłażliwość wobec wroga. Wiemy, że kilkakrotnie, bez upoważnienia, spotykał się pan z oficerami po drugiej stronie rzeki. Wiemy, że kilka lat temu wydał pan rozkaz uwolnienia jeńców wojennych z Północy, aby powrócili...

- To byli dezercerzy! Nie nadawali się do walki. Chcieli tylko wrócić do domu!

- Nawet dziś rano... mój mały ptaszek zaćwierkał mi wprost do ucha, że przyjął pan gości z przeciwległego brzegu rzeki. Obawiam się, że to naprawdę nie wypali. Szykujemy ofensywę, nie możemy pozwolić sobie na utrzymywanie dowódcy, który uczynił zwyczaj z popijania herbatki z wrogiem.

Wainwright utkwiał w nim stalowy wzrok.

- Odbierasz mi dowództwo?

- Obawiam się, że ze skutkiem natychmiastowym. - Młody oficer wzruszył ramionami w nieszczerym geście współczucia. - Teraz możemy to przeprowadzić w dwojaki sposób. Albo wezwę oddział żandarmów, którzy wyciągną stąd pana, kopiąc w zadek jak porykującą świnię - proszę to sobie wyobrazić, mało dostojny widok, jestem przekonany, że nie chciałby pan w ten sposób żegnać się ze swoim pułkiem - albo obaj zachowamy się jak prawdziwi gentlemani. Wyznaczy pan w zastępstwie tymczasowego dowódcę regimentu, zabierze osobiste przedmioty... a później razem opuścimy to miejsce. - Uśmiechnął się.

- Sądzę, że ten drugi scenariusz okaże się zdecydowanie lepszym rozwiązaniem i dla

pana, i dla pana podkomendnych.

Wainwright zerknął na korytarz. Za otwartymi drzwiami, zobaczył strumień światła spływający z zawieszanej pod sufitem żarówki i cień stojącego na baczność żołnierza.

„Jego czy mój?”.

Młody oficer wyciągnął nad biurko dłoń w białej rękawiczce.

- Proszę oddać mi swój pistolet, pułkowniku.

Wainwright odpiął od pasa kaburę i poczuł na palcach metaliczny chłód rewolweru.

- Proszę! - wyszeptał - Nie będę robił niepotrzebnego zamieszania, ale wpierw proszę mnie uważnie wysłuchać. Nie możecie wysłać geników razem z moimi ludźmi. To będzie masakra!

- Dzisiaj na linii frontu mogą znajdować się tylko pełnowartościowe pułki, Wainwright, ludzie zdolni do walki, a nie podobni tobie zdrajcy i tchórze... nie te półanalfabetyczne wsioki, których nazywasz żołnierzami. Jak tylko zdobędziemy przyczółek, natychmiast wyślemy tam angielskie oddziały Twoja chłopska milicja pójdzie na mięso armatnie.

Pistolec sam wsunął się do ręki. Gdy w kwaterze cichło echo wystrzału, do pułkownika dopiero powoli docierało, co właśnie zrobił. Przez chmurę rozpraszającego się błękitnoszarego dymu zobaczył, że młody oficer utkwiał w nim nienaturalne spojrzenie: na samym środku jego czoła wyrosła czerwona, ziejąca dziura, z tej trzeciej źrenicy wypływała mała strużka niemal czarnej krwi, zalewając młodą, zastygłą w wyrazie zdziwienia twarz.

Klapanął ustami i wybełkotał kilka nieartykułowanych dźwięków.

- Ty... ty... - zdołał jeszcze powiedzieć, zanim przewrócił białkami oczu i runął na podłogę. Wojskowy but zabębnił o nogę biurka.

Wainwright wycelował pistolet w stronę korytarza, w miejsce gdzie drgnął i poruszył się cień. Nagle zza drzwi wychynęła głowa jego rudowłosego adiutanta. Wybałuszone oczy spoczęły na rewolwerze, potem przeniosły się na wciąż targanego konwulsjami młodzieńca.

- Zastrzelił... pułkownik... angielskiego oficera?

- Tak, Lawrence, wygląda na to, że właśnie to zrobiłem. - Wainwright przez chwilę przygryzał usta w zamyśleniu. - Ilu wziął ze sobą ludzi?

- Dwunastu.

- Gdzie teraz są?

- W kantynie, sir.

- Aresztuj ich.

- Mam ich zaaresztować?

- Gratuluję, nie ogłuchłeś. Skonfiskuj broń, zabierz wszystkie nadajniki radiowe i zamknij dziadów w bunkrze zaopatrzeniowym. Później... później... - Zwinął dłonie w pięści i jął rytmicznie uderzać nimi o biurko, żeby zmusić galopujący umysł do należytego skupienia.

- Potem podwoisz strażę w bunkrach dowództwa i na stanowiskach artyleryjskich. Nikt nie może stamtąd wyjść ani tam wejść.

- Tak jest, sir! - Porucznik odwrócił się na pięcie i odmaszerował.

- Aha, Lawrence?

- Słucham, sir?

- Idź do sali radiowej i odłącz wszystkie kable łączące nas z węzłem komunikacyjnym.

- Wszystkie?

- Każdy jeden!

Był pewien, że Anglicy wkrótce zatęsknią za swoim oficerem i bardzo szybko wieść o nowych kłopotach rozniesie się po całym mieście... ale im dłużej nie będą mieli sprawdzonych informacji, tym lepiej.

Młody porucznik zbladł.

- Co się z nami stanie, sir?

- Obawiam się, że nic dobrego. Muszę porozmawiać z ludźmi.

- Zwołać zbiórkę?

- Nie... nie, jeszcze nie teraz. Najpierw muszę się z kimś zobaczyć. - Podniósł wzrok na Lawrence'a. - Nikomu ani słowa, rozumiesz?

Skinął głową.

- I zamknij pokój. Niedługo wrócę.

- Gdzie idziecie, sir?

- Spotkać się z wrogiem.

ROZDZIAŁ 52

Miasto Trupów rok 2001

- Na brodę Jowisza! Toż to istny gabinet osobliwości - wyszeptał Lincoln.

Sal mimowolnie pokiwała głową. Według jej pobieżnych rachunków w opuszczonym Albion Theatre zebrało się około stu pięćdziesięciu geników. Naprzeciwko sceny z mokrych gnijących desek - ustawionej pod częściowo zawalonym dachem - stały rzędy zaplamionych, spłowiałych siedzeń obitych ciemnoczerwonym jedwabiem i wypchanych kłakami materiału,

które wystawały z rozprutych szwów. Przez dziury w poszyciu rytmicznie skapywała woda i wpływało blade popołudniowe słońce rzucające ukośne, różowawe promienie, rozświetlając mrok audytorium.

Wszystko wskazywało na to, że Samuel jest jednym z przywódców tego osobliwego zbiorowiska nienaturalnych istot. On i dwójka geników tworzyli swego rodzaju komitet przywódczy. Jeden z nich był jeszcze szczuplejszy niż gatunek, który w myślach nazwała „salamandrą”. Niewiarygodnie chudy. Zastanawiała się, gdzie właściwie mieszczą się wewnętrzne organy tego stwora. Jego ręce i nogi były patykowate i chorobliwie nabrzmiałe w okolicach stawów. Głowa nie przypominała kształtem banana jak u pozostałych gatunków, a raczej szpiczasty, stożkowaty pachołek drogowy. Samuel mówił im, że sylwetka każdego genika jest projektowana specjalnie pod kątem jego przeznaczenia roboczego. Sal doszła do wniosku, że jedynym obowiązkiem tego stwora mogło być pełzanie w rurach albo przeciskanie się przez bardzo wąskie szczeliny. Wyglądał jak cieliste cygaro z kończynami.

-... ignorowali nas... tak długo, bo widzą w nas... tylko problem... niebezpieczeństwo!

Jego klatka piersiowa była tak wąska, a płuca musiał mieć tak maleńkie, że był zmuszony sapać jak pies w gorące popołudnie, zdania wypływające z jego ust rozбивały się na krótkie fragmenty szat-kowane szybkimi oddechami.

- Mówię wam... zostańmy tu w ukryciu. - Powłócząc dygocącymi nogami podszedł do stołka ustawionego na skraju sceny i przysiadł na jego krawędzi.

Przemówił kolejny z przywódców. Ten wyglądał na rozbudowaną, bardziej brylowatą wersję gatunku „małpoludów”. Przez nieproporcjonalną budowę ciała cały czas się kołysał, a wszystkie jego mięśnie prężyły się i pęczniały, ewidentnie żyjąc własnym życiem. Głowa wyglądała jak jabłko wciśnięte - i niemal niewidoczne - pomiędzy dwa arbuzowate ramiona. Na czubku głowy sterczał staromodny cylinder. Sal uświadomiła sobie, że choć jego głowa w zestawieniu z olbrzymim ciałem nie wygląda na większą od jabłka, to w rzeczywistości musiała być duża jak głowa dorosłego człowieka, skoro kapelusz idealnie na nią pasował.

„Jest ogromny”.

Pozostała część ciała genika była dziwnie nieproporcjonalna. Talia zwężała się ku dołowi, a nogi, krótkie i grube, wyglądały jakby ktoś doczepił je przez przypadek.

- Jeśli ludzie przyjdą - odezwał się głosem tak głębokim, że Sal poczuła, jak zawibrował jej w klatce piersiowej. Palec wielkości melona przeciął powietrze i wskazał na nią i Lincolna. - Jeśli przyjdą, to my odciąć ich głowy... i pokazać je żołnierzom. Oni się wystraszą i nigdy więcej nas nie niepokoić! - Przy tubalnym ryku małpoluda głęboki głos Boba zabrzmiałby jak brzęczenie neurotycznego komara.

Samuel odłożył strzelbę, którą trzymał w wychudzonych ramionach, na scenę i podbiegł do niego.

- Nie, to jest głupie! Potrzebujemy ich żywych! Jeśli ich zabijemy, zapragną krwawej zemsty i pozabijają nas wszystkich!

- Jestem pewien... że żaden człowiek... nie przyjdzie... Samuelu - wyszeptał stwór przypominający cygaro. - Zostawili... nas w spokoju... już dawno temu...

- Ale to było, zanim jakiś głupi genik zabił kilku z nich! - Samuel przebiegł małymi kroczkami przez scenę i z wyrzutem spojrzał na drobniutką głowę w kształcie jabłka. - Zrobił to w zeszłym tygodniu jeden z twoich, co?

Małpolud z poczuciem winy wzruszył ramionami.

- Chyba zrobić.

- Ty idioto! - warknął Samuel. - Przez ciebie wszyscy niedługo zginemy!

- Nie... odważą się... wjechać... do miasta, Samuelu - wysapało cygaro. - Wciąż się lękają... trucizn i... chorób.

Sal zauważyła, że chude nogi istoty wciąż drżą z wysiłku. Może i zaprojektowano go do przeciskania przez wąskie otwory, ale słabe nogi na pewno nie były w stanie długo utrzymywać ciężaru całego ciała. Cygaro znowu przysiadło na krawędzi stołka.

- Atak... właściwie... to po co... ukradłeś... ludzi?

- Ponieważ, Henry, ponieważ słyszałem o ataku tego głupca! Słyszałem o zabitych ludziach - kobietach i dzieciach - i uznałem, że lepiej mieć coś na wymianę, kiedy przyjdą tu po nas!

Małpolud stanął nad Samuelem, jego cień zakrył połowę sceny.

- Sam jeszcze raz nazwać mnie głupcem... to ja zgnieść Sama!

Samuel zadarł głowę, by na niego spojrzeć, poszarpane usta dziecka zatrzepotały. Sal zastanawiała się czy ze strachu, czy raczej z frustracji. Publiczność obserwowała tę konfrontację w milczeniu, w tle wciąż kapła deszczówka.

Hinduska patrzyła na zastygłą w oczekiwaniu grupę istot. Przez moment miała wrażenie, że wpadła do króliczej nory i znalazła się w cudacznej, postapokaliptycznej wersji Alicji w Krainie Czarów.

- Daj mi tych ludzi - powiedział małpolud. - Ja ich zabić, uciąć głowy i rzucić czerwonym kurtom, jeśli one przyjdą. To ich wystraszyć! A jeśli nie - wyszczerzył zęby, spoglądając na leżącą na scenie strzelbę - to my mieć ładną, dużą broń i jej użyć!

Samuel potrząsnął głową i sarknął:

- Mają większe szczelby niż my, ty wielki, głupi łosiu! I duszo, duszo więcej.

Pokonają nasz w minutę, Jerry!

Małpolud - Jerry - grzmotnął trójpalczastą dłońią w stare deski. Cała scena zatrzęsa się od wibracji.

- Ja chceć walczyć... a nie uciekać jak... - Podrapał się po głowie, szukając jakiegoś porównania.

Samuel odczekał, aż stanie się jasne, że Jerry nic nie wymyśli.

- Prawda jeszt taka, Jerry, że zabicie ludzi to był sztraszny bład.

- Nie chciałem zabić, Sam! Oni wejść nam w drogę... i... i... samo się stać. Szybko bardzo.

- Czo szię ształo, to szię nie odsztanie. - Samuel wruszył kościstymi ramionami. - Bycz mosze ja tesz popelniłem bład, biorąc ludźkich więźniów. - Spuścił głowę, która zawisła na wąskim karku - Tym razem za bardzo kusziliśmy losz. Powinniszmy sztađ odejścz. Znaleźć nową kryjówkę.

- Gdzie... pójdziemy... Samuelu? - wydyszał Henry.

Samuel przyłożył palec do swoich postrzępionych ust i pograżył się w zamyśleniu.

- Mosze szpróbujmy na północy?

W odpowiedzi przez audytorium popłynął szmer szeptów i pomruków.

- Niektórzy z wasz wiedzą, że potrafię czytać... Czytałem szłowa, które nażywa się książzkami.

- Książki? - Zwalisty genik z głową w kształcie jabłka wyraźnie się stropił. - Co to być?

- Żnaki na papierze... wielki głąbie. Szłowa. Wiedza.

- Ty jeszcze raz nazwać mnie głąbem, to ja cię zmiażdżyć!

W odpowiedzi na wybuch Jerry'ego Samuel lekceważąco machnął ręką.

- Czicho, ropucho... daj mi skończyć. Czytałem książki o szwie-cie. O tym, jak wyglądał. Książki o takich sprawach nazywają... książkami hisztorycznymi.

Publiczność geników jak echo powtórzyła tę frazę, próbując wymówić ją swoimi niekształtnymi wargami.

- Kiedysz te ziemie zamieszkiwali ludzie, których traktowano jak nasz. Nażywali ich murzynami. Wyglądali inaczej. Mieli ciemną skórę, traktowano ich jak zwierzęta. Ale niektóre blade twarze zaczęły im współczucz, bo sztwierdziły, że są normalni jak inni ludzie.

- Samuelu... co nam chcesz... powiedzieć? - spytał Henry. Słaby chrapliwy głos zaświszczał astmatycznie.

- Wiecie, że ludzie prowadzą wojnę? Jedna ze stron to Północni. Druga strona to nasi prześladowcy. Może... jeśli udamy się na północ tamtejsi ludzie potraktują nas inaczej?

- Ci Północni - huknął małpolud - to też ludzie?

- Tak, oczywiście.

- Oni potraktować nas tak samo. Wszyscy ludzie źli.

- Nie wszyscy ludzie. Niektórzy...

- Wszyscy ludzie źli! Ja zabić wszystkich, którzy przyjdą do naszego miasta!

Kilku geników z audytorium ryknęło z aprobatą.

Samuel westchnął. Odwrócił się i podniósł wzrok na wielkiego małpoluda, po czym wskazał cylinder naciśnięty na czubek jego głowy.

- Dlaczego w takim razie, Jerry, skoro tak nienawidzisz ludzi, tak bardzo chcesz się do nich upodobnic? Hmm? I dlaczego wybrałeś ludzkie imię?

Twarz Jerry'ego spochmurniała: w równych proporcjach odbijały się w niej uczucia gniewu i zmieszania. W teatrze zaległa cisza. Samuel pozwolił, żeby pytanie zawisło w powietrzu, a gigant głęboko je przemyślał.

Wreszcie Jerry uniósł dużą pięść na wysokość głowy i zdjął z niej cylinder, po czym rzucił go na scenę.

- To być głupi kapelusz - huknął.

- Jerry... Henry... wszyscy, posłuchajcie mnie! Mówię, że musimy odejść stąd jutro. Wiem, że idą tu ludzie... czuję to w kościach... zabiją nas wszystkich, jeśli zosztaniemy. Jestem pewien!

Jerry wyzywająco potrząsnął głową.

- Oni tu przyjdą? My ich zmiażdżyć!

Ponad siedzeniami widowni wzniósł się kolejny ryk poparcia.

- Jak szobie chcecie. Ja? Ja jutro odhodzę i zabieram ze sobą dwójkę tych więźniów - powiedział, wskazując na Sal i Lincolna.

- Oni zostać tutaj!

Sam poczłapał w stronę Jerry'ego. Zatrzymał się tuż przed nim, zadarł głowę i gniewnie spojrzał mu w oczy.

- Są moi. To ja ich znalazłem! Jeśli ich chcesz, będziesz musiał mi ich odebrać.

W drobnych, czarnych oczkach Jerry'ego zamigotały podobne błyskawice gniewu; wielkie pięści zaciskały się, gdy tak patrzyli na siebie w milczeniu przez kilkanaście sekund.

- Teraz zamierzasz mnie zmiażdżyć?

Jerry nic nie odpowiedział.

- No i?

Wreszcie Jerry, z zawstydzonym wyrazem twarzy, spuścił wzrok na scenę pod swoimi stopami.

- Nie, Sam - wymruczał.

- Właśnie... nie zamierzasz. - Potrząsnął głową. - Bo jeśli pojawia się problem, to ja go rozwiążę, dla Ciebie to za trudne. - Spojrzał na cudaczną menażerię stworów siedzących w rzędach wypłowiałych siedzeń. - Dla wasz wszystkich!

Płynące z audytorium odgłosy - poćwierkiwania, pomruki, ryki - ucichły.

- Musimy odejść. Wojszkowi przyjdą tu, bo zabiliśmy ludzi. Opuścimy to miasto jutro rano i udamy się na północ, aby znaleźć nowy dom. - Spojrzał na Sal i Lincolna. - Nie wszyscy ludzie nienawidzą naszej rasy. Tych dwoje wydaje się innych. Może Północni też myślą inaczej. - Wzruszył ramionami. - A może i nie, wiem jednak, że nie możemy tu zostać, już za późno. Wiedzieliśmy, że ten dzień w końcu nadejdzie.

W długiej ciszy słychać było tylko trzaskanie starego, spróchniałego drewna.

- Sam... ma... rację... tak myślę - wyzijał Henry. - Musimy... odejść.

Jerry spojrzał na niego, wyczuwając, że mądrzejsze głowy właśnie doszły do porozumienia. Nie mógł się im sprzeciwić.

- Może ty mieć rację - westchnął.

- Oczywiście, że mam rację.

- Przepraszam, Sam - powiedział w końcu małpolud.

- Nie przejmuj się. - Sam poklepał potwora po jednym z jego nabrzmiętych knykci. - Czasem musisz mi zaufać, szтары, dobry durniu. Rozumiesz? Żostacz tutaj i walczy z żołnierzami to byłaby głupota. Czysta głupota.

Sam podreptał na krawędź sceny i spojrzał na ciemne rzędy siedzeń.

- A przeciesz my nie jesteśmy głupkami.

ROZDZIAŁ 53

Miasto Trupów rok 2001

Sal patrzyła na gwiazdy przez okienko w piwnicy na węgiel. „Dziwnie uspokajający widok” - pomyślała. W świecie wywróconym do góry nogami, gdzie wszystko jest złe, cudaczne, można przynajmniej spojrzeć w niebo i tam ujrzeć porządek: gwiazdy, które lśnią na niebie bez względu na rozstrzygnięcie wojny secesyjnej czy wynik wyborów

prezydenckich. Ich światło płynie tu od miliarda lat. Mają gdzieś, że wpatruje się w nie dziewczyna z dwa tysiące dwudziestego szóstego roku, która tkwi teraz w roku dwa tysiące pierwszym, w świecie, który nigdy nie powinien zaistnieć.

Śmieszne.

Naprzeciwko niej, na legowisku ze starych koców, wiercił się we śnie Samuel, przy każdym płytkim oddechu jego poszarpane wargi łopotały niczym podrywane przez wiatr klapy namiotu. Wokoło leżeli pogrążeni w głębokim śnie genicy standardowych gatunków, z ich ust wydobywała się niezharmonizowana sonata oddechów: kakofonia dźwięków i rytmów.

Ciche skomlenie, majaczenie, niewyraźne pomruki. Podrygujące, podskakujące stopy. Uświadomiła sobie, że te wyprodukowane istoty śnią zupełnie jak ludzie. Drżały przez sen i wierciły się jak płód w łonie matki.

Niemowlaki. Dzieci. Tak, zupełnie jak przerażone dzieci. Nawet te bystre, takie jak Sam i ta dziwna płaszczka, Henry. Nawet gigantyczny małpolud... Może i wygląda przerażająco, ale miniaturowa głowa kryje umysł dzieciaka. A te ich daremne i rozpaczliwe wysiłki, by jak najbardziej przypominać ludzi? Czy to również nie było dziecinne? Elementy garderoby, które starali się nosić dokładnie jak należy, imiona, które sobie nadawali. Mieli wszelkie powody ku temu, aby nienawidzić ludzi za to jak ich traktowali, a mimo to robili wszystko, żeby jeszcze bardziej się do nich upodobnić.

Po naradzie w opuszczonym teatrze poszczególne watahy wróciły na nocny spoczynek do swoich legowisk. Ona i Lincoln mieli okazję przez chwilę porozmawiać z Samem - półszepem, bo pozostałe istoty zaczęły zapadać w sen. Pytała o jego życie, o to jak to jest być „wyprodukowanym”. Opowiedział jej o farmach hodowlanych na angielskiej wsi - gigantycznych fabrykach zbudowanych ze stalowych podpór i brudnego szkła, gdzie dojrzałych już prawie geników wyjmowano z gigantycznych miedzianych kadzi, a potem myto, ubierano i etykietowano. Opowiedział o życiu, jakie wiedli od pierwszego dnia w budynkach szkolnych: długich chatach wypełnionych twardymi łózkami i słomianymi materacami. Żyli tam, żeby uzyskać podstawową wiedzę, niezbędną do wykonywania dożywotnich obowiązków. Uczyli ich specjalnie zaprojektowani genicy-nauczyciele. Opis farm hodowlanych przywiódł jej na myśl gigantyczne obozy internowania, jakie budowano w Indiach w roku dwa tysiące dwudziestym szóstym wzdłuż północnej granicy z Pakistanem; uchodźców, którzy wiedli swe monotonne życie w szeregach identycznych brych chat, odliczając ludzko podobne do siebie dni.

Później, bez żadnego ostrzeżenia, Sam został włożony do skrzyni jak zwykły ładunek

i wywieziony do odległego zakątka Imperium Brytyjskiego.

Sam opowiadał, że na początku pracował w bardzo gorącym miejscu, w którym wszyscy ludzie mieli taki kolor skóry jak Sal albo ciemniejszy. Był tam konserwatorem kombajnów, rozbierał je i czyścił silniki razem ze zwykłymi robotnikami, którzy wiedli tylko nieznacznie bardziej komfortowe życie niż genicy. To jeden z pracujących tam ludzi nauczył Sama czytać.

Jakiś czas później, znowu bez ostrzeżenia, Samuel został spakowany jak towar i wysłany do kolejnego kraju, i kolejnego. Dzięki chomikowanym skrawkom książek i broszur poznał nazwy tych wszystkich miejsc: Nowa Rodezja, Wielkie Albany, Brytyjski Dystrykt Centralny, Przylądek Georgia. Wreszcie skończył w miejscu o nazwie Ameryka.

Pojmował niemal wszystko, co czytał. Tylko czasami książkowy język okazywał się zbyt trudny. Strasznie żałował natomiast jednego: że potrafi jedynie bazgrać jak dziecko. Jego ręce, zaprojektowane do posługiwania się kluczami i innymi narzędziami, nie były dość zręczne, aby utrzymać tak prosty przedmiot jak ołówek.

Gdyby umiał pisać - mówił - z przyjemnością napisałby kilka „śpiwnych opowieści”. Sal nie miała pojęcia co to jest, podejrzewała tylko, że genik może mieć na myśli wiersze.

Znużony długą rozmową stwierdził, że potrzebuje odpoczynku. Zasnął niemal natychmiast. Sal zastanawiała się, czy to jakaś wbudowana funkcja, wewnętrzny wyłącznik świadomości, czy może nabyty odruch każący zapaść w sen i odpocząć zawsze, gdy jest to możliwe.

- Panie Abrahamie? - wyszeptała w ciemności.

Cisza.

- Lincoln? - spróbowała ponownie. Nic.

Chciała go zapytać, co sądzi o jej pomysłe, żeby niepostrzeżenie wyślizgnąć się z piwnicy, uciec z miasta i odnaleźć pościg, który według geników na pewno już tu zmierza. Być może, jeśli żołnierze zobaczą, że zakładnicy uciekli i są cali i zdrowi, zostawią stwory w spokoju i wrócą do pożyteczniejszych obowiązków. A jeśli nie, to wskażą im z Lincolnem złą drogę, żeby nie znaleźli nic poza wiatrem w polu. Trzeba dać tym istotom szansę ucieczki, odnalezienia nowego domu w innym miejscu. Niestety, z ciemności odpowiedział tylko tubalny głos jakiegoś poirytowanego genika.

- Zamknąć dziób... odpoczywam.

I to by było na tyle z jej pomysłu.

ROZDZIAŁ 54

Okolice Miasta Trupów rok 2001

Liam stał ze wzrokiem utkwionym w rozgwieżdżonym niebie. Obserwował te same gwiazdy, na które patrzyła Sal. Przed nimi malował się zarys pogrążonych w mroku peryferii miasta.

McManus grzebał patykiem w dogasającym ognisku.

- Poczekamy do brzasku, Liamie. Wtedy wyślemy ogary.

Kolejne kilkugodzinne opóźnienie. Liam starał się jak mógł, by ukryć frustrację za zaciśniętymi zębami.

- Szybko odnajdą zbiegów... a wraz z nimi twoją siostrę i przyjaciela.

Liam rozejrzał się po zdeptanym polu oświetlanym przez kilka ognisk. „Ogary”, o których wspomniał McManus, to te wielkie psy o pawianich głowach. Kotłowały się teraz wokół jednego z ognisk, wyzerając jedzenie ze żłobu. W świetle ogniska pobły-skiwały ich długie zębiska, gdy podnosiły głowy i łapczywie przeżuwały coś przypominającego suche kawałki proteinowych herbatników.

- Wyglądają na dzikie bestie, w rzeczy samej. Na pewno nie skrzywdzą mojej siostry?

- Ależ absolutnie. Zwiadołowcy są posłuszni. Dostali rozkazy.

- Skąd będą wiedzieć, kogo nie krzywdzić?

- Biały Niedźwiedź pozwolił im poniuchać ślady zostawione przez geników. Znają zapach twojej siostry. Dostali rozkaz podążenia za tym zapachem, wytropienia ich kryjówek i zaraportowania o jej lokalizacji.

Liam popatrzył na niego ze sceptycznym wyrazem twarzy.

- Dostali instrukcje? Mówisz o nich jak o ludziach.

McManus wyszczerzył zęby. Włożył palce do ust i gwizdnął. Jeden ze zwiadołowców podniósł pysk znad koryta.

- Tak, ty tam! Chodź tutaj... Pack-Alfa.

Stwór posłusznie podniósł zad z ziemi i ruszył klusem przez obóz.

Liam wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Bobem.

- Nigdy nie widziałem tak dobrze wytresowanego psa.

- Zacznijmy od tego, że te stworzenia to nie są psy - powiedział McManus.

Zwiadołowca zatrzymał się tuż przed nimi - sięgał im pasa, był niemal tak duży jak dog niemiecki.

- Możesz usiąść, Pack-Alpha.

- Dzięki, panie - chrząknął, sadzając wąski zad na brudnej ziemi.

- Ten cywil to pan Liam O'Connor. Ten tu wielki chłop to pan Bob O'Connor. To właśnie ich siostrę i przyjaciela porwali uciekinierzy. A teraz powiedz im, proszę, jakie otrzymałeś rozkazy, może ich to odrobinę uspokoi.

Stwór przeniósł swoje inteligentne pawianie spojrzenie na Liama, po czym otworzył długi, kudłaty pysk i wystawił różowy jęzor, którym zwilżył szorstkie wargi.

- Podążyć za zapachem. Znaleźć ludzi.

- A co zrobisz, kiedy ich już znajdziesz?

Przekrzywił czaszkę, Liam mógłby przysiąc, że widział, jak ogar wywraca oczami, zupełnie jakby właśnie usłyszał najgłupsze pytanie pod słońcem.

- Ja zadzwonić do domu.

McManus wskazał skórzaną obrozę zawiązaną wokół karku psa-pawiana i małą mosiężną skrzynkę z przełącznikiem, która dyndała pod jego szczęką.

- Po przekręceniu tego pstryczka emitowany jest radiowy sygnał naprowadzający, za którym możemy podążyć. Jednocześnie uruchamia się też mikrofon, dzięki któremu mogą nam dokładnie opowiedzieć, co widzą. To naprawdę wspaniałe jednostki rozpoznawcze.

Odwrócił się do genika i uklęknął, żeby sprawdzić numer identyfikacyjny na jego obroży.

- Ach, jesteś Pack-Alfa-Dwa. Przepraszam, nie poznałem cię... Jerzy, prawda?

- Jerzy? - Liam zdusił śmiech zaskoczenia.

- Ach tak. Pozwalamy im wybrać własne, nieformalne imiona. Lubią to robić. Czują się przez to częścią pułku. Prawda, stary druhu?

Stworzenie pokiwało łbem.

- Dobre imię, Jerzy. Jak król.

- Właśnie, to również imię naszego króla. - McManus pogłaskał czubek małego, okrągłego łba. - Jerzy to jeden z naszych najzdolniejszych zwiadowców. Nie raz popisał się isticie mistrzowskimi umiejętnościami, w górach Afganistanu na przykład wytropił i zlikwidował groźnych górali. Pamiętasz?

- Złych ludzi. Zabiłem.

- Wspaniale się wtedy spisałeś, Jerzy. Bez zastrzeżeń.

Jerzy odwrócił pawiani pysk w stronę watahy i koryta, na czole wystającym ponad oczami rozlały się zmarszczki zmartwienia.

- Iść jeść, mogę panie?

- Ach tak... lepiej zasuwać, zanim te chciwe żebraki z twojej brygady opędzują całe żarcie. Możesz odejść.

Łowca poderwał zad z ziemi i pognął z powrotem przez tymczasowe obozowisko.

Liam potrząsnął głową, nie mogąc uwierzyć, że był właśnie świadkiem tak dziwacznej rozmowy.

- Tak... te eugeniczne produkty są bardzo pomocne - powiedział McManus. - Są dużo bardziej skuteczne w tropieniu śladów niż ludzie, chyba zaryzykuję twierdzenie, że są lepsze od naszego przyjaciela Indianina, Białego Niedźwiedzia.

- Dlaczego w takim razie nie użyliście tych zwiadołowców wcześniej? - spytał Bob.

- Gdy ruszyliśmy tropem z gospodarstwa?

Bob skinął głową.

- Tropienie to nie tylko kierowanie się zapachem lub odciskami stóp. To dedukcja, wczuwanie się w skórę uciekiniera, który chce zatrzeć za sobą wszystkie ślady. To jak gra w szachy... przewidywanie następnego ruchu przeciwnika. Jerzy i jego bracia nie potrafią przeprowadzać tak skomplikowanych procesów myślowych. Są natomiast niezastąpieni w wyczuwaniu zapachów. Podążać za zapachem a tropić... to dwie zupełnie różne rzeczy.

- A te imiona... - powiedział Liam. - Dlaczego wybierają właśnie takie? Imiona ludzi? McManus wzruszył ramionami.

- To zastanawiające, ale wszyscy genicy, nie wiedząc czemu, chcą upodobnić się do ludzi. W końcu w jakimś sensie jesteśmy ich rodzicami i tak na nas muszą patrzeć. Bo tak naprawdę to dzieci. Prostoduszne dzieci.

Wysoko na niebie szerokim łukiem nawracał pułkowy transporter, w wyniku tego manewru reflektory w równych odstępach rozbłyskały w ciemności i omiały cały obszar obozowiska. McManus zaczął gmerać w ognisku kijem, obracając polana, które żarzyły się coraz intensywniej.

- Nawet dzikusy, zbiedzy, przyjmują ludzkie imiona. Zauważyliśmy, że naśladują nas przy każdej okazji, czasem nakładają na siebie ubrania, bransoletki... kapelusze. I tym podobne.

- Tak jak kiedyś czarni niewolnicy?

McManus zamarł.

- Czarni niewolnicy? - Spojrzał na Liama. - Na niebiosa! Mówisz o ludzkim niewolnictwie?

- Tak - pokiwał głową Liam.

- Barbarzyństwo! - splunął. - Odrażająca, niegodna, brutalna praktyka. Dziękuję Bogu, że żyjemy we współczesnych, oświeconych czasach.

- Czyli wasza strona, Południe...

- Anglo-Konfederacja - poprawił Liama. - Północ i Południe to stare nazwy z odległej przeszłości.

- Czyli w Anglo-Konfederacji... nie ma już czarnych niewolników?

- Dobry Boże! Czy ty koniecznie chcesz mnie dzisiaj obrazić?

Liam spotulniał.

- Nie, przepraszam. Zastanawiałem się tylko...

- Czy naprawdę sądzisz, że rząd Jego Wysokości, nasze siły zbrojne i ten prestiżowy pułk to zgraja cyników? Nigdy nie zgodzilibyśmy się walczyć ramię w ramię z narodem, który zamienia ludzi w niewolników. Niewolnictwo zniesiono ponad sto pięćdziesiąt lat temu!

McManus z dezaprobatą pokręcił głową.

- Dobry Boże! Rozejrzyj się wokół. Nie jesteśmy prostackimi barbarzyńcami wcielonymi siłą do brytyjskiej armii! - Wstał i odszedł, zostawiając Liama i Boba z szeroko otwartymi ustami.

Liam spojrzał na jednostkę.

- No co? Zadałem proste pytanie... to wszystko!

- Chyba rozzłościłeś McManusa - odparł Bob.

Liam pokiwał głową.

- Pewnie masz rację. - Rozejrzył się, idąc za sugestią kapitana. Przy ogniskach siedzieli szeregowi ubrani w wełniane podkoszulki i spodnie na szelkach, podoficerowie ogrzewali ręce nad koksownikami. Tak mocno zaangażował się w ratowanie Sal i Lincolna, tak bardzo rozproszyła go nieprawdopodobna technologia używana w tym świecie oraz gadające istoty, które były jej płodem, że nie zauważył nawet, iż co najmniej jedna trzecia oficerów w ciemnoczerwonych bluzach i korkowych hełmach to czarnoskórczy. Byli to za-wodowi żołnierze pochodzący ze wszystkich zakątków imperium brytyjskiego.

- Ach... rozumiem. - Przygryzł wargę, pojmując, dlaczego jego niezręczne pytanie wywołało gniew McManusa. - Pewnie powinienem go teraz przeprosić.

ROZDZIAŁ 55

Nowy Jork rok 2001

Devereau patrzył, jak równy mu stopniem oficer Konfederacji zeskakuje z dziobu motorówki na obmywany małymi falami brzeg i zmierza w jego stronę.

Wainwright stanął kilka metrów od niego i raźnie zasalutował.

- Pułkownik.

- To już drugi raz się dzisiaj widzimy. - Odsalutował mu Devereau. - Marni z nos wrogowie.

Wainwright grzecznie uklonił się Maddy i Beki, które stały kilka metrów za Devereau.

- Williamie, musimy natychmiast pomówić.

- Co się stało?

- Brytyjczycy przygotowują ofensywę. Zaatakują tę strefę.

- Znowu?

Co dwa, trzy lata Anglo-Konfederaci wypuszczali się na jakiś odcinek frontu, po czym bez wiary i przekonania szturmowali wybrane pozycje wroga. Zazwyczaj oznaczało to tysiące nowych ofiar i rannych oraz przesunięcie linii frontu o pół kilometra w jedną lub w drugą stronę. Rozpisywały się o tym gazety, a generałowie zyskiwali szansę zdobycia nowych orderów. Nic pożytecznego z tego nie wynikało.

- Nie, Williamie, tym razem pójdziemy ostro. Chcą wreszcie odnieść jakieś znaczące zwycięstwo.

- Ach tak?

- Chcą zdobyć Nowy Jork. - Wainwright podszedł trochę bliżej i zniżył głos. - Wysyłają eksperymentalnych.

Genicy. Devereau poczuł, że jeżą mu się włosy na karku. Walczył ze sobą, żeby nie okazać zbyt wielu emocji.

- Jesteś pewien, Jamesie?

- Pewien? - Wainwright zaśmiał się gorzko. - Rozmawiając z tobą na ten temat, dopuszczam się zdrady. Oczywiście, że jestem pewien. Niedługo tu będą, Williamie, i wyciągną ze swojego magicznego kapelusza karawanę potworów, które rzucają się wam do gardeł.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece - wyszeptał Devereau. Zerknął przez ramię na Maddy i Beki, potem na Wainwrighta. - Jamesie, może zechcesz ponownie rozważyć propozycję, którą złożyliśmy ci dzisiejszego ranka.

- Po to tu przyjechałem, stary przyjacielu. Te dwie kobiety, czy...?

- Czy wierzę w ich historię? - Devereau przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. - Widziałeś ich zdjęcia, ich małe urządzenie... Nie jestem inżynierem, ale przysięgam, że takich cudów nie potrafiliby skonstruować nawet Anglicy.

Wainwright pokiwał głową.

- A w ich bunkrze jest dużo więcej do zobaczenia, jeśli zechcesz...

Wainwright uniósł dłoń.

- Nie mamy na to czasu. Wierzę im... bo nie mam innego wyjścia, muszę im wierzyć.

Została mi tylko nadzieja, że zdołają odmienić całą tę rzeczywistość.

Devereau odwrócił się i gestem przywołał Maddy oraz Beki.

Maddy się uśmiechnęła.

- Pułkowniku - przywitała się grzecznie.

- Panienko Carter, zgodziłem się połączyć moje siły z pułkownikiem Devereau, pomogę wam naprawić wehikuł czasu.

- Naprawdę? Ach, to...

- Williamie, Madelaine, Beki... - Wainwright wziął głęboki oddech. - Dopuszciliem się aktu zdrady i zbuntowałem przeciwko swojemu krajowi. Jak tylko się o tym dowiedzą, zaatakują moją strefę. Jeżeli potrzebujecie jakiegoś sprzętu z węzła komunikacyjnego Anglików, to musimy działać natychmiast.

- Jeśli zdobędziemy niezbędne urządzenia, ile potrwa naprawa wehikułu czasu? - spytał Devereau.

Maddy odwróciła się do Beki.

- Beki?

- Nie potrafię tego dokładnie oszacować. Podłączenie i konfiguracja anteny radiokomunikacyjnej może zająć... zamrugła powiekami - trzynaście godzin.

- Co? - wydyszał Wainwright. - To zdecydowanie za długo!

- Musimy też zdobyć źródło zasilania. Generator spala ropopochodny olej napędowy. Macie paliwo tego typu?

Pułkownicy spojrzeli po sobie. Wainwright potrząsnął głową.

- Nie słyszałem o tym. Silniki Południa są zasilane płynnym paliwem o nazwie kukuryna. To mieszanka kukurydzianej whisky z teksańską ropą.

- Tak podejrzewałam - stwierdziła Beki. - Odmiana hybrydowego etanolu. Spróbujemy zmodyfikować generator pod kątem tego paliwa, choć niewykluczone, że okaże się to niemożliwe. Wtedy przekształcimy jeden z waszych silników w urządzenie napędowe, które uruchomi dynamo generujące prąd.

Maddy zacisnęła zęby.

- No to teraz czeka nas ogrom pracy.

- Potwierdzam. - Beki ponownie mrugnęła. - Mniej więcej trzydzieści godzin. - Odwróciła się do Maddy. - Choć i tak założyłam spełnienie kilku warunków. Wszystko może potrwać dużo dłużej.

- Dobry Boże, nie mamy na to czasu! Anglicy dotrą tutaj, zanim zdołamy...

- Zagrajmy na zwłokę - zaproponował Devereau. Wszyscy utkwili w nim pytające spojrzenia. - Jamesie - podjął - już o tym rozmawialiśmy, pamiętasz? Ta wojna lata temu zmieniła swoje oblicze. To już nie jest nasza wojna.

Wainwright pokiwał głową.

- Wojna nie leży w interesie żadnego Amerykanina.

Pułkownicy długo patrzyli na siebie w milczeniu. Według Maddy - za długo.

- O co chodzi? Co wy, u licha, kombinujecie?

- Jamesie... sądzę... nie, jestem przekonany, że żołnierze mnie nie opuszczą. A ty?

Pułkownik Konfederatów odwrócił się i wlepił wzrok w długi brzeg East River.

- Wierzę, że pójdą za moim przykładem. - Zerknął na Devereau.

- Zwłaszcza jeśli dowiedzą się o planach Anglików.

- Co? - Maddy błędziła wzrokiem od jednego do drugiego. - O czym wy gadacie?

- O powstaniu - wyjaśnił Devereau.

- O buncie - dodał Wainwright.

Obaj mężczyźni uśmiechnęli się na tę myśl.

- Bunt się rozprzestrzeni - rzekł Devereau. - Rozprzestrzeni się wzdłuż linii frontu, jeśli tylko ktoś odważy się uczynić pierwszy krok.

- Trzeba dać sygnał do walki. My obaj, Williamie, musimy zrobić absolutnie wszystko, co w naszej mocy, żeby każdy żołnierz dowiedział się o buncie.

Niespodziewanie Wainwright uśmiechnął się szeroko.

- Każdy pułk, stary przyjacielu, dosłownie każdy konfederacki pułk pragnie zakończenia tej przeklętej wojny!

- O mój Boże! Taki macie plan? - Maddy nie wierzyła własnym uszom. - Powszechna rebelia?

- Jeżeli rozniesie się wieść - powiedział Devereau - że Anglicy znowu planują użyć bojowych geników na amerykańskiej ziemi... tak, dobry Boże, to... to naprawdę może się udać. Żołnierze każdej ze stron, zwykli ludzie, wystraszą się perspektywy kolejnego Preston Peak!

- A jeśli do tego dojdzie - dodał Wainwright - jeśli do tego dojdzie, to nasi ludzie na pewno staną do walki ramię w ramię.

Maddy zdawało się, że dostrzega łzy w oczach Devereau.

- Mój Boże, James! Ponowny atak bojowych geników! Wreszcie, to może być bomba - beczka prochu, która zjednoczy Amerykanów!

- I o tym, stary przyjacielu, musimy powiedzieć. Jasno i wyraźnie. Niech wszyscy to dokładnie usłyszą. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Od tej iskry zapłonnie powstańczy ogień.

- Właśnie.

Maddy wciąż skakała wzrokiem od jednego pułkownika do drugiego.

- W takim razie to teraz zrobimy? Wywołamy bunt?

Obaj kiwnęli głowami.

- Gdy nadejdzie odpowiednia pora - rzekł Devereau.

Maddy zgarbiła się nieznacznie.

- To co, może przypieczętujecie to uściskiem dłoni?

Wainwright wyciągnął rękę do Devereau, który mocno ją ścisnął.

- Mamy dużo do zrobienia, James. Musimy działać bardzo szybko.

- Bardzo. No, to wracam poinformować o wszystkim swoich ludzi.

- Ja również - odrzekł Devereau.

ROZDZIAŁ 56

Okolice Miasta Trupów rok 2001

Wraz z nastaniem świtu żołnierze brytyjscy organizowali już wymarsz, pakowali ekwipunek i dopinali klamry przy pasach. Wojskowe buty tratowały i tak wydeptaną już ziemię, wykrzykiwano rozkazy. Z powściągliwą fascynacją Liam patrzył, jak błyskawicznie ustawiają się według plutonu i kompanii. Trzystu żołnierzy: równe szeregi czerwonych kurt i założonych na krzyż skórzanych pasów falujących łagodnie na unoszących się piersiach. Białe, korkowe hełmy z prostymi daszkami zasłaniały surowe twarze i beznamietne oczy oficerów, podoficerów i zwykłych szeregowców, którzy widzieli już niejedno pole bitwy.

Liamowi imponowało ich zdyscyplinowanie i skuteczność. Jeśli angielska armia walczyła w połowie tak dobrze jak wyglądała, to przy takiej sile bojowej żadna wojna na świecie nie mogła trwać zbyt długo.

Zeszłej nocy McManus powiedział mu w zaufaniu, że jego pułk, Czarna Straż, uchodzi za najbardziej elitarną jednostkę w brytyjskiej armii: regiment walczył na każdym kontynencie i został wybrany do sprawdzenia w terenie najnowszej generacji eksperymentalnych jednostek geników.

I to właśnie ich, zwiadołowców, Liam widział teraz, jak klusem wybiegli z obozu, gdy spakowano ostatnie namioty i sprzęt obozowy, i przytroczono do wielkich toreb przy siodłach huffali. Zwiadołowca, który zeszłej nocy rozmawiał z McManusem - Jerzy - grzecznie skinął

kapitanowi pyskiem, gdy wataha opuszczała obóz. Kłus ogarów przeszedł w galop, a wataha rozproszyła się po zarośniętym chwastami polu, by wreszcie - kilka minut później i pół kilometra dalej - zniknąć wśród opuszczonej i zarośniętej zabudowy podmiejskiej na obrzeżach Baltimore. Liam zdołał dostrzec jedynie linię podwórek otoczonych gnijącymi, krzywymi płotami, walące się domy, porzucone wozy, rdzewiejące pojazdy przypominające autobusy starego typu, ze szprychowymi kołami, które zdawały się przywiązane do ziemi grubymi gałęziami jeżyn i wrzośca.

McManus wydał rozkazy niższym rangą oficerom i podoficerom, po czym podszedł do Liama i Boba.

- Niedługo powinni zlokalizować geników. Widzieliście, jakim pędem wybiegły? Coś mi się zdaje, że już złowiły nozdrzami zapach.

Liam skinął głową.

- Na pewno nie opanuje ich nagła żądza krwi, kiedy ich odnajdą?

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Są co prawda genikami, ale i członkami brytyjskiej armii. Będą się zachowywać. - Zdjął mosiężny mikrofonik przyczepiony do słuchawki z boku hełmu.

- Tu kapitan McManus... właśnie wysłaliśmy ogary Wyruszamy w stronę miasta. - Energicznie kiwnął głową w odpowiedzi na rozkaz, który zabrzączał w słuchawce. - Tak jest, sir.

Wysoko na niebie powoli krążył transporter, pierwsze promienie brzasku odbijały się od migoczącej miedzi kadłuba, na który słońce padało już od godziny, ludzie poczują jego ciepło na swoich twarzach dopiero za jakiś czas.

- Dobrze - podjął McManus. - Ruszamy. Będziemy mieli mniejszy dystans do pokonania, gdy zwiadołowcy podadzą nam lokalizację. - Uśmiechnął się. - Znajdziemy ich jeszcze dzisiaj rano, nie martwcie się.,'

Liam skinął głową. Sądząc po tempie, w jakim psy-pawiany przebiegły wyjałowione pole, z pewnością nie będą miały trudności z odszukaniem porwanej pary. Martwił się bardziej, czy odnajdą ich w jednym kawałku.

Sierżant z sumiastym wąsem ryknął komendę do wymarszu: żołnierze partiami opuszczali szeregi, dołączając do wydłużającej się kolumny maszerującej po popękanej asfaltowej nawierzchni, która musiała być kiedyś główną drogą dojazdową do miasta.

- Wolicie iść na piechotę czy jechać?

- Pójdziemy - powiedział Liam.

- Cudownie - powiedział, zaciskając pasek pod swoim hełmem. - Nie ma co zwlekać.

W ogniu karawany zwykle wleką się żebracy i urzędasy!

ROZDZIAŁ 57

Miasto Trupów rok 2001

Sal poczuła na ramieniu dłoń, bardzo namolną dłoń.

- Obudź! Teraz!

Podniosła głowę i zobaczyła małpoluda z watahy Samuela. Tego, który zeszłej nocy przyniósł ją tutaj na swoich plecach.

- Co się dzieje?

- Oni... przyjsć!

Sal usiadła na łóżku, nierównym stosie utyłanych worków z węglem. Wataha była już na nogach, stwory w pośpiechu pakowały swój niewielki dobytek. Zobaczyła siedzącego obok Lincolna, równie wściekłego co otumanionego z powodu brutalnego wyrwania go ze snu.

- Co tu się, u diabła, znowu wyprawia? - warknął.

Samuel podbiegł do nich na palcach.

- Szą jusz tutaj! Żołniesz! Idą. Muszimy iszcz! - Wyciągnął rękę do Sal.

- Proszę! - Została na swoim miejscu. - Dlaczego po prostu nie uciekniecie! Pójdziemy z Abrahamem do żołnierzy... powiemy im, że nie wyrządziliście nam krzywdy!

Zdawało się, że Samuel zaczął rozważać tę propozycję. Potem jeszcze raz sięgnął po jej rękę.

- Nie... idziesz ze mną!

- Nie. - Wyrwała się z jego uścisku.

Genik bluzgnął coś pod nosem i odwrócił się do stojącego obok małpoluda.

- Podnieś ich! - powiedział i odwrócił się do pozostałych. - Idziemy!

Samuel wyszedł z piwniczki, małpolud zaś szarpnął Sal i Lincolna, zmuszając ich do wstania z posłań.

- Wy iść! - ryknął, popychając ich przed siebie.

Pokonali kamienne schody i wyszli z piwnicy do pomieszczenia, które kiedyś było salonem. W skąym świetle sączącym się przez roztrzaskane okna Sal dostrzegła przykryte zakurzonymi narzutami fotele o wysokich oparciach oraz ścianę z półkami pełnymi rozpadających się książek.

Przeszli po skrzypiącej, drewnianej podłodze i znaleźli się w holu, do którego przez

otwarte drzwi wlewało się słońce. Potem wyszli na ganek, zeszli po schodkach na zarośnięte podwórze i minęli rdzewiejącą bramę prowadzącą na zachwaszczoną ulicę otoczoną wysokimi, trzypiętrowymi kamieniczkami z imponującymi werandami i portykami.

Kątem oka zauważyła, że okna i drzwi wejściowe zabito deskami, na których dekady temu ktoś w pośpiechu nabazgrał łuszczącą się czerwoną farbą ostrzeżenia o wybuchu epidemii i groźbie infekcji.

Przed nimi, dziwacznie powłócząc nogami, człapał przygarbiony Samuel. Zgiął się wpół jak goryl i zaczął szybko przebierać króciutkimi nóżkami, żeby utrzymać się na czele watahy „małpoludów”, szczupłych „salamander” i innych gatunków’.

Zauważyła kilka miniaturowych egzemplarzy geników o wzroście nieprzekraczającym pięćdziesięciu centymetrów. Przypominali chudziutkie surykatki i tak jak pozostali genicy byli łysi i bladzi. Mieli też podobnie wyprofilowane czaszki w kształcie zakrzywionego banana. Wszyscy nosili identyczne miniaturowe pasiaste kombinezony, przez co sprawiali wrażenie grupy robotników. Zastanawiała się, do jakiej to żmudnej harówki zostali zaprojektowani. Od czasu do czasu, aby nie zostać w tyle, machali ramionkami i podbiegali jak makaki. Słyszała ich przerażone trajkotanie i wypowiedane świergotliwymi głosikami zniekształcone angielskie słowa.

Za ich plecami, za rogiem na końcu ulicy, rozległo się echo wystrzałów i wysoki, agonalny pisk czegoś, co właśnie padło na ziemię. Odgadła, że to genik z innej watahy.

Są blisko!

Biegli wzdłuż drogi, jedno przy drugim, aż do skrzyżowania. Oczom Sal ukazał się wielki, stary budynek z czerwonej cegły. Marmurowe kolumny podpierały masywny portyk. Na dachu dumnie sterczała wieża zegarowa. Stwierdziła, że musiał to być kiedyś gmach sądu, biblioteka albo inny budynek użyteczności publicznej. Ogród przed budynkiem zarósł prawdziwie dziką, rodzimą florą... od ulicy oddzielał go niski, kamienny mur, od którego miejscami odchodziły warstwy białej farby. Na murze wisiała przerdzewiała, wyblakła tablica z nazwą ulicy i napisem: UNIWERSYTET ROBERTA E. LEE.

Samuel rozpaczliwie wymachiwał patykowatymi ramionami.

- Tędy! - krzyczał, wskazując w lewo. - Tędy! Spieszcie się!

Z bocznych uliczek i otwartych drzwi opuszczonych domów wylaniały się kolejne watahy.

Teraz wyszli na o wiele szerszą aleję zakorkowaną porzuconymi wozami i starymi samochodami. W przeszłości miasto ogarnęła panika, ulice i aleje zaroily się od cywili zdeterminowanych, by uciec stąd i uratować życie. Wozy obładowane walizkami,

wartościowymi pamiątkami rodowymi i portretami rodzinnymi w złożonych ramach gniły teraz na świeżym powietrzu, wystawione na zabójcze działanie kapryśnej pogody.

North Charles Street. Obecnie cmentarzysko automobili i... tak... tu i ówdzie widać było biel kości, szerniałe i wysuszone płaty skóry, kępki włosów zaplątanych w stalowe szprychy kół u wozów i rdzewiejące podwozia.

W momencie gdy zaczęli torować sobie drogę przez zator utworzony przez dawno zepsute pojazdy, ponownie usłyszeli odgłosy strzelaniny. Tym razem wyraźniejsze. Sal wyswobodziła się z uścisku małpoluda, który ją prowadził.

- NIE! - krzyknęła. - Proszę! Puśćcie nas!

Małpolud chwycił ją, podniósł i włożył sobie pod ramię.

Samuel prowadził pochód przez zaporę utworzoną z samochodów, ale w pewnym momencie się zatrzymał. Zwały wraków za bardzo ich spowalniały. Skręcił więc z szerokiej alei w mniejszą uliczkę. Pozostali podążyli za nim. Zatrzymał się i oparł o ceglany mur, ziejąc i rżąc z wysiłku po kilkuminutowym biegu. Drobne ciało z małymi płucami i serduszkami nie były przystosowane do takiego wysiłku. Pozostali genicy zgromadzili się wokół dyszącego przywódcy, czekając aż odzyska siły i wyda dalsze dyspozycje.

- IDŹCIE! - sapnął. - IDŹCIE! Nie ma czasu do sztraczenia, nie czekajcie. IDŹCIE! IDŹCIE!

- Ale w którą stronę, Sam? - spytał jeden z nich.

- Na północ!

- Ale gdzie ta północ? - spytała jedna z salamander.

- Północ! - Pokazał kawałek nieba nad zaułkiem. - Pilnujcie, żeby słońce zawsze było po prawej! Na niebie... po waszej prawej stronie - powiedział, klepiąc się po prawym ramieniu, na użytek tych, którzy nie potrafili rozróżnić lewej od prawej. - Słońce musi być... po tej stronie ciała! - sapnął. - IDŹCIE JUSZ!

Kilku geników poszło za jego radą i niechętnie poczłapało uliczką w stronę małego skrzyżowania po drugiej stronie, co chwila ze smutkiem oglądając się za siebie i sprawdzając, czy Samuel idzie za nimi.

Małpolud trzymający Sal i ciągnący Lincolna za rękę zawahał się, nie chciał zostawiać Samuela, więc tak jak inni zwlekał z odejściem, przestępując z nogi na nogę.

- Sam? Ty też iść?

Sam zamachał rękami.

- Idźcie... wszyscy... uciekajcie!

Sal próbowała się wykręcać.

- Puść mnie! Proszę!

- Sam... ty też iść? - mruczał małpolud.

- Ja... jusz... nie mam siły.

Na North Charles Street rozlegały się kolejne wystrzały, powaleni na ziemię genicy krzyczeli. Wydawało się, że całe miasto zaczyna budzić się do życia, chmary przerażonych geników wychodziły ze swoich kryjówek jak szczury uciekające z tonącego statku. Sal zrozumiała, że miasto było domem nie tylko dla tych stu pięćdziesięciu stworów, które widziała na zebraniu w teatrze.

Trzaski wystrzałów słyhać było wszędzie, na całej długości alei. Żołnierze nadchodzili ze wszystkich stron. Pętla się zacieśniała.

Sal podniosła wzrok na twarz małpoluda.

- Zostaw mnie! Puść nas i podnieś Sama!

Małpolud kiwnął głową i zwolnił uścisk.

- Ja nieść ciebie!

W odpowiedzi drobny genik pokręcił swoją nieproporcjonalnie dużą głową.

- Nie... ale... zrób, jak mówi. Puszcz ich oboje.

Małpolud postawił Sal na ziemi i puścił nadgarstek Lincolna. Lincoln odetchnął z ulgą i zaczął rozcierać rękę w miejscu, na którym zakleszczyły się palce brutalą.

- Idźcie do żołnierzy, jeśli chcecie - z rezygnacją westchnął Sam.

Sal nie ruszyła się z miejsca. Po chwili klękła przed Samem.

- Sam, musisz uciekać, natychmiast! - powiedziała. - Ja i Abraham ich zatrzymamy.

Kupimy wam trochę czasu! Ale musicie uciekać!

Na jego czoło wystąpiły zmarszczki dezorientacji.

- Chcecie, żebym uciekł? - wysapał.

- Tak! - Hinduska spojrzała na Lincolna. - Chcemy, prawda?

Mężczyzna pokiwał głową.

- Choć dziwna z pana istota, wykazuje pan - próbował znaleźć najtrafniejsze słowo - wykazuje pan godne podziwu przymioty.

Jest pan znacnym człowiekiem. - Uklękł obok Sal. - Zaciejszym niż większość ludzi, których poznałem.

Sam popatrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

- Nikt nigdy nie mówił do mnie „pan”.

Usłyszeli odgłos wystrzału i pisk dochodzący z drugiego końca uliczki. Sal odwróciła się i zobaczyła, że genicy, którzy ruszyli w tamtą stronę, zawrócili i biegną z powrotem. Za

ich pokracznymi postaciami, na wysokości skrzyżowania, stał rząd czteronogich istot przypominających psy myśliwskie... choć nie do końca. Jeszcze dalej pojawił się szereg umundurowanych mężczyzn z karabinami. Dalsza część uliczki była zablokowana.

- Shadd-yah! - Wymieniła spojrzenie z Lincolnem.

„Co teraz?”

Uliczka - wąska jak szczurza nora - była zanurzona w cieniu pomiędzy dwiema starymi kamienicami czynszowymi. Większość okien i drzwi zabito deskami, tylko niektóre listwy poluzowały się i odpadły. Stwory mogłyby rozpierzchnąć się wewnątrz budynków, ukryć w mrocznym labiryncie pomieszczeń i korytarzy, ale tylko na chwilę. Kryjówka szybko zamieniłaby się w pułapkę.

Słyszała hałasy dochodzące z North Charles Street: żołnierzy brutalnie spychających z drogi zalegające pojazdy. Trzaskanie szprych w starych kołach i wozów, skrzypienie rdzewiejących automobili przesuwanych na pobocze. Byli zajęci oczyszczaniem drogi z wszystkich przeszkód.

Wtedy to poczuła... zimne mrowienie na policzku. Znowu to samo. Ciecz.

„Przecież nie płaczę”.

Teraz poczuła to samo zimne mrowienie na dłoni i spojrzała na Lincolna. Płatek śniegu, kołysząc się leniwie, opadał na ziemię między nimi.

- Pada śnieg? - chrząknął Lincoln.

Padał. Wokół nich zaczęły wirować kolejne płatki. Podniosła głowę, by spojrzeć na wąski prześwit między kamienicami, lecz je-dyne, co zobaczyła, to kawałek niebieskiego nieba. Przez parę chwil jej umysł instynktownie próbował rozwiązać zagadkę: jak to możliwe, że we wrześniey, słoneczny poranek spadł śnieg. Skąd? Dlaczego? Uliczka pograżyła się w jeszcze głębszym mroku, gdy na błękitny skrawek nieba wpłynął ciemny miedziany kadłub gigantycznego okrętu.

- Oni przyjdą. - Małe oczka wpatrującego się w niebo małpoluda zrobiły się okrągłe jak grosiki.

ROZDZIAŁ 58

Miasto Trupów rok 2001

Kapitan McManus kiwał głową, przysłuchując się meldunkom płynącym ze słuchawki.

- Zrozumiałem. Już do was idziemy. Bez odbioru.

Odwrócił się do Liama.

- Mam dobre wieści. W małej uliczce zablokowaliśmy grupkę zbiegów... jest wśród nich para gości: dziewczynka i mężczyzna, dość wysoki. Strzał w dziesiątkę?

Liam odetchnął z ulgą.

- Są cali i zdrowi?

- Najwyraźniej. Oboje stoją o własnych siłach. To dobry znak. - McManus rozłożył mapę miasta. - Znaleźliśmy ich niedaleko starego uniwersytetu przy North Charles Street. - Podniósł wzrok znad mapy, by rozejrzeć się po siatce ulic i rozeznąć w aktualnym położeniu. - Ach... tak, to faktycznie bardzo blisko. - Podniósł rękę i wskazał palcem transporter, który unosił się nad miastem jakąś przecnicę dalej. - Dokładnie tam. Tuż pod statkiem. - Dotknął przełącznika w ustniku. - Do wszystkich jednostek w pobliżu transportera: tu Kapitan McManus. Odcięliśmy drogę ucieczki grupie geników, wśród których znajdują się zakładnicy. Żeby mi przypadkiem nikt ich nie atakował. Powtarzam... nie strzelać. Zostańcie na swoich pozycjach, chłopcy, aż usłyszycie dalsze rozkazy.

Ponownie dotknął przełącznika w mikrofonie, żeby go wyłączyć.

- A teraz... proszę za mną.

Na twarzy Liama wreszcie rozlało się uczucie ulgi.

- Oczywiście.

- My iść się chować - niespokojnie powiedział małpolud, wskazując schody pożarowe i otwarte okna kamienic.

- Nie! - odparła Sal. - Nie... jeśli zaczniecie uciekać, jeśli ukryjecie się w tych budynkach, rzucą się za wami w pościg! A później wszystkich zabiją!

Stwory zgromadzone wokół Sama ze strachu zaczęły kwilić i pojękiwać.

- Robimy co, Sam? - spytał jeden z nich. - Robimy co?

Sal wyciągnęła szyję, aby wyjrzeć z uliczki na szeroką aleję. Dostrzegła tuziny żołnierzy w czerwonych kurtach, którzy klęczeli na ziemi z karabinami wycelowanymi prosto w nich. Anglicy odciągnęli na pobocze kilka samochodów i wozów, żeby utworzyć wąską ścieżkę wzdłuż North Charles Street. Teraz odwróciła się, by spojrzeć na drugi koniec alejki. Żołnierze i ich psy cierpliwie już tam czekali. Niebo nad nimi wciąż zasłaniał statek powietrzny, reflektory w równych odstępach migwały i z góry na dół omiały alejkę.

- Wyjdę do nich - powiedziała, wskazując żołnierzy. - Pozwólcie mi z nimi porozmawiać! Wy tłumaczę im, że nie jesteście niebezpieczni... że nikogo nie skrzywdziliście. Że poddacie się pokojowo.

- Oni zabić nas! - wydyszał jeden z geników.

- Musicie mi zaufać! - powiedziała. - Według mnie przyszli tutaj, żeby uratować mnie i Abrahama. Jeśli stąd wyjdziemy i udowodnimy, że nikt nas nie skrzywdził...

- Żołnierze zabić innych! Ja to widzieć! - odezwał się genik z innej grupy. - „Ręce do góry” mówią... a potem robią bang, bang!

- Jeśli tylko spróbujecie uciekać, na pewno was zastrzelą! - ostro odezwała się Sal i odwróciła do Samuela. - Proszę, Sam... puść mnie i pozwól z nimi porozmawiać!

Podrapał się po podbródku drżącymi palcami. Spoglądał nerwowo to na jeden, to na drugi kraniec uliczki.

- Tak myślisz? Możesz nas oczalicz?

- Nie jesteście potworami... nie jesteście niebezpieczni. Powiem im o tym.

Mocno zacisnął poharatane wargi.

- Powiedz im więc... Powiedz, że nie jesteśmy zli. Nikogo nie skrzywdziliśmy.

- Tak im powiem.

Samuel się uśmiechnął.

- Ufam ci.

- Okej. - Sal z uśmiechem zaczęła zbierać się do odejścia.

- Zaraz, młoda damo! - powiedział Lincoln. Oderwał dolną część rękawa swojej brudnej koszuli. - Biała flaga... no cóż, tak po prawdzie jest brązowa, lecz na pewno pojmą, iż to znak pokoju - powiedział, przywiązując ją do kawałka drewna. Wstał i ostrożnie ruszył ku wylotowi alejki. - Pozwól mi.

- WYCHODZĘ! - ryknął donośnie. - WSTRZYMAJCIE OGIEN! - Kilka razy machną swoją prowizoryczną flagą, żeby upewnić się, że dobrze go widzą.

- IDEŃ DO WAS! - Znów zabrzmiał głos Lincolna, który powoli, z uniesionymi rękami, wychodził na poranne słońce zalewające szeroką aleję. - Jestem Abraham Lincoln! Nie mam przy sobie broni!

- Wyjdź na drogę... chcemy cię dobrze obejrzeć!

- Jest ze mną dziewczyna! Chcemy pertraktować!

Odpowiedziała mu głucha cisza. Lincoln odwrócił się i powoli skinął na Sal, żeby do niego dołączyła. Wyszła na słońce, osłaniając oczy ręką.

- Proszę! Nie strzelajcie! - krzyknęła.

- Stań obok tego gentlemana - odpowiedział głos. - Dobra dziewczynka!

Zrobiła, jak jej kazano.

- Jest z nami kilka eugenicznych istot... w uliczce! One też chcą wyjść i pokojowo do nas dołączyć.

Znów brak odpowiedzi. Poranek był cichy, spokojny; słychać było tylko dyskretny szum silników transportera, który dumnie unosił się na niebie. Spokój przerwał rozbrzmiewający w oddali trzask wystrzału.

- Sal?... To ty?

ROZDZIAŁ 59

Miasto Trupów rok 2001

Głos przyplłynął z dalszej części alei. Niemal nic nie widziała, bo słońce całkiem ją oślepiło, zdołała jednak rozpoznać głos.

- Liam?

- Tak! Jezuu! - odpowiedział ten sam głos. Usłyszała tupot stóp uderzających o twardej asfalt. Wreszcie Irlandczyk przepchnął się przez kordon żołnierzy i zatrzymał tuż przy niej.

- Popatrz na siebie... - Zlustrował ją od stóp do głów. - Wyglądasz jak kocmołuch.

Poczuła tak mocny przyplływ ulgi, że nogi niemal się pod nią ugięły. Zauważyła bandaż na jego głowie.

- Jesteś ranny?

- Walnąłem się w łepetynę, Sal. Głupek ze mnie, mogłem się schylić. Dlatego...

- Więc to jest twoja siostra? - odezwał się obcy głos, dźwięczny i rozkazujący.

„Siostra?” - Popatrzyła na niego zaskoczona. Dyskretnie skinął głową. Zrozumiała, że Liam skłamał nie bez przyczyny. Zauważyła, że z zalewu słońca wyłania się potężna postać. Najwyraźniej Bob. Obok niego szedł inny mężczyzna, szczupły, w białym tropikalnym kasku.

- Ten oficer - powiedział Liam, gdy podeszli tuż do nich - to kapitan McManus. Tylko dzięki niemu was odnaleźliśmy.

Daszek hełmu rzucał cień na surową twarz młodego żołnierza.

- Siostra? - Zmarszczył brwi, nic nie rozumiejąc. - Ależ ty jesteś biały, a ona...

- To moja przyrodnia siostra, w rzeczy samej... - przerwał mu Liam. - To moja najbliższa rodzina, pomóż nam.

McManus przekrzywił głowę i wzruszył ramionami.

- Cóż, w takim razie - wyciągnął rękę w białej rękawicy - niezmiernie się cieszę, że znaleźliśmy cię w jednym kawałku, młoda damo.

Ujęła podaną dłoń i delikatnie nią potrząsnęła.

- Dziękuję.

- A kim pan jest?

- Abraham Lincoln - odparł Abe i uścisnął dłoń oficera.

- Cieszę się, że znaleźliśmy pana w dobrym zdrowiu, panie Lincoln. - McManus grzecznie skinął głową. - Ale do rzeczy... w uliczce zostało jeszcze kilku zbiegów, nie myślę się?

- Kapitanie... proszę nie robić im krzywdy! - błagalnym tonem odezwała się Sal.

- Nie robić im krzywdy? - McManus rzucił jej zdziwione spojrzenie.

- Proszę! Są zupełnie niegroźni!

Oficer w zadumie przystawił palec do podbródka.

- Ilu ich tam zostało w tej bocznej uliczce?

- Kilka tuzinów.

- Te stworzenia, kapitanie... nikogo nie zabiły. To była inna wataha. Nie wyrządziły też nam żadnej krzywdy ni despektu - rzekł Lincoln.

- Traktowały nas naprawdę dobrze - dodała Sal. - Napoiły nas i nakarmiły. Nie skrzywdziły nas.

- Naprawdę? - McManus sprawiał wrażenie zdziwionego. - To raczej nietypowe zachowanie dla tych istot. To dziczące bestie. Nigdy nie można przewidzieć, jak się zachowają.

- Na pewno nie zrobiły wam krzywdy? - spytał Liam. - Podczas ataku na gospodarstwo nie zachowywały się wcale jak potulne zwierzaczki. Były dzikie, zaciekle, niebezpieczne.

- Bały się, Liamie! One niczym nie różnią się od przerażonych dzieci.

- Może i były wystraszone, ale to wciąż nadzwyczaj niebezpieczne bestie. Należy je pojmać. Później zdecydujemy, co z nimi zrobimy. Jeśli odkryjemy, że bezpośrednio przyczyniły się do ostatnich zabójstw, nie mogą liczyć na naszą łaskę. Rozumiecie?

- To naprawdę nie był żaden z nich - zapewniała Sal.

Spojrzał przez ramię na opuszczoną ceglana kamienicę.

- Teraz pewnie musimy ich stamtąd wykurzyć?

Potrząsnęła głową.

- Nie... powiedziałam im, żeby nie chowali się w środku, że to tylko pogorszy sprawę.

- Bardzo rozsądna rada.

- Teraz wszyscy czekają w alejce. Po prostu chcą wyjść... tak jak my. Chcą poddać się i wyjść z uniesionymi do góry rękami.

- Świetnie. - McManus wzruszył ramionami i przyłożył dłonie do ust. -
DEZERTERZY W ULICZCE... MOŻECIE JUŻ WYJŚĆ.

Nic jednak z uliczki nie wyszło. Na chwilę Sal ogarnęło niepokojące przeczucie, że strach wziął nad nimi górę i postanowili cichutko wymusknąć się do kamienic. Po kilku sekundach usłyszeli jednak bezradne pojękiwania dochodzące z mroku.

„Są przerażone, boją się ruszyć z miejsca”.

- Może ja spróbuję? - spytała McManusa.

- Jak sobie panienka życzy.

- SAMUELU! - krzyknęła. - Wszystko w porządku! Nikogo nie skrzywdzą! Róbcie, co mówi... wszyscy! Wyjdźcie dokładnie jak ja... powoli, z rękami uniesionymi wysoko w górę!

Cisza. Absolutnie żadnego szmeru. Już chciała ponownie przyłożyć ręce do ust, ale wtedy pojawiła się pierwsza blada postać, która szła ostrożnie, krok za krokiem, mrużąc oczy przed słońcem.

Samuel robił dokładnie to, co mu kazano: chude jak u dziecka ręce trzymał wysoko nad rozrośniętą ponad miarę głową. Dzielilo ich już tylko dwadzieścia metrów, widziała, że drży. Z tyłu pojawił się górujący nad nim małpolud, który trzymał swe wielkie, muskularne ręce uniesione wysoko w górze.

- Nie strzelać! - ryknął głębokim głosem.

Sal zachęcająco kiwała głową.

- Właśnie tak! Nikt was nie zastrzeli. Chodźcie!

Z ciemnego zaułka powoli, jeden za drugim, zaczęli wychodzić pozostali.

- Świetnie... śmiało. Wszystko jest pod kontrolą!

Kapitan McManus uważnie przyglądał się istotom, które wychodziły na słońce.

- Kształt głów wskazuje, że większość z nich to genicy klasy Wat-son-Rutheford. Wyprodukowano ich piętnaście... niektóre dwadzieścia lat temu. - Zamyślił się. - Hmmm. Stara seria w bardzo złym stanie, wszyscy niedożywieni.

Rozkazał kilku żołnierzom, żeby zagonili wszystkich w jedno miejsce.

Liam podszedł do Sal. Objął ją ramionami i przytulił.

- Dobrze cię widzieć. Kamień spadł mi z serca - wyszeptał, ściskając ją mocno. - Zawiodłem cię, Sal. Boże, tak mi przykro! Kiedy odzyskałem przytomność... Ja... ciebie już nie było...

Położyła dłoń na jego ustach.

- Nic mi się nie stało. Słowo.

- Ale gdyby...

- Żadnemu z nas nic się nie stało, Liamie. - Uśmiechnęła się. - Umieramy z głodu,

poza tym czujemy się świetnie.

- Ciaśniej, kapralu! - warknął McManus. - Żeby mi się żaden z tych diabłów nie wymyknął!

- Panie Lincoln? Nie jest pan ranny? - spytał Liam.

- Jak już mówiła młoda panienska... oboje wyszliśmy z tej opresji bez szwanku, panie O'Connor. Ale w brzuchu tak mi burczy, że zjadłbym całą stodołę koni z kopytami!

- Liamie? - Sal odstąpiła od niego na krok. - Jakies wieści od Maddy?

Potrząsnął głową i zniżył głos:

- Nic.

McManus w pośpiechu wydawał rozkazy i sprawdzał stan geników.

- Ani słowa - ciągnął Liam. - Na pewno sama ma sporo zmartwień.

- Stwory w ubraniach! - zawołał McManus. - Natychmiast je zdjąć... nie jesteście ludźmi!

Sal odwróciła się, podniosła wzrok na Boba i uśmiechnęła się.

- Dobrze cię widzieć, kokosiany łbie.

- Bardzo się, cieszę, że żadne z was nie odniosło obrażeń - odpowiedział poważnie.

Delikatnie szturchnęła go w bok.

- Widziałam dwóch czy trzech geników z większymi mięśniami niż twoje!

Obruszył się i rzucił jej zagniewane spojrzenie.

- To gęstość tkanki mięśniowej, nie rozmiar mięśni decyduje o ich sile.

Ruchem głowy wskazała jednego ze stworów.

- Widzisz tego dużego tam? I jak? Zazdrosny?

- Moje oprogramowanie nie zdołało jeszcze przyswoić tej ludzkiej emocji - odrzekł zmieszany.

- Nie jesteś zazdrosny? Tak, jasne. - Odwróciła się, żeby pokazać mu małpoluda, ale stanęła zamurowana. - Czekaj! Hej!... Co się dzieje?

Kapitan McManus odpinał zapięcie przy kaburze pistoletu. Istoty stały obok siebie, zbite w gromadę na środku drogi, ich ubrania - kapelusze, szale, fartuchy - leżały na ziemi. Żołnierze utworzyli wokół geników luźny okrąg, stając w bezpiecznej odległości kilkunastu metrów, podnieśli karabiny na wysokość ramion i wymierzili je prosto w stwory.

- Zaraz, zaraz! - krzyknęła Sal. - Co wy wyprawiacie?

McManus zignorował jej protest.

- Cel...

- Jezu! - Liam szybko do niego podbiegł. Sal poszła za jego przykładem. - Kapitanie

McManus! Co to ma znaczyć? Zaraz! Proszę przestać! Chyba nie zamierzacie ich rozstrzelać?

- Co? - odwrócił się do Liama. - Oczywiście, że zamierzamy.

Sal ujrzała Samuela stojącego na czele gromady, świdrował ją oczami. Poharatane wargi poruszyły się bezgłośnie. Między nimi zawisł niemy wyrzut: „Szal? Przecież obieczałaś...?”

- Ale one nie są już groźne! - nie dawał za wygraną Liam. - Nie widzi pan? Nie mają broni! Wystarczy na nich spojrzeć... są...

- Są wadliwe. To wadliwe jednostki eugeniczne, co czyni je zawodnymi jednostkami eugenicznymi. Nieprzewidywalnymi jednostkami eugenicznymi.

- Wadliwe? - Sal poraziła go wzrokiem.

- Dość wadliwe, tak. - Beztrosko skinął głową. - Nie kwalifikują się do naprawy. Szczerze mówiąc, są w fatalnym stanie. A ja na pewno nie pozwolę, aby te stwory biegały tu sobie bez żadnego dozoru. - Odwrócił się do swoich ludzi. - Przygotować się do strzału!

- Stójcie! - pisnęła. - Proszę! Nie róbcie tego! - Chwyciła rękę, w której trzymał pistolet.

- Puść mnie, dziewczyno! Dobrze radzę, puszczaj.

- Proszę mnie posłuchać, kapitanie - odezwał się Liam. - Mnie też nie wydaje się, żeby to było słuszne! Nie może ich pan tak po prostu zastrzelić!

Teraz wsparł ich Lincoln.

- Moi przyjaciele mają rację, sir! Te nieszczęsne istoty nie zasługują na taki los!

McManus patrzył na nich, niedowierzając ich skrupułow.

- Rozumiecie, że to nie są - spojrzał na dygoczącą bandę popie-latobiałych geników - że to nie są... ludzie? Dobry Boże! To nie są nawet zwierzęta. To zwykłe produkty eugeniczne! To maszyny fabryczne, zbudowane z tkanek i kości... nic więcej.

- Nie! - krzyknęła Sal. - Na Jahullę! Nie! Kryje się w nich wiele więcej! One., one... są dokładnie takie jak my! Są inteligentne! Potrafią mówić i...

- Oczywiście, że potrafią mówić. Niektóre zostały tak zaprojektowane. Na litość boską, te najbystrzejsze potrafią być nawet dość przekonujące. Ale proszę mnie posłuchać, młoda damo - podjął łagodnym, niemal ojcowskim tonem. - Niech panienska nawet nie próbuje myśleć, że te stwory mogą zostać panienki przyjaciółmi. - Wyswobodził dłoń z jej uścisku. - Proszę zrozumieć, to produkty. Nic więcej! Maszyny. W dodatku popsute... a przez to niesolidne. Nieprzewidywalne. - Podniósł pistolet. - I niebezpieczne.

- Błagam! - krzyknęła Sal. - Przestańcie! - Popatrzyła na Samuela... jego kościste rączki zasłaniały twarz. McManus odbezpieczył pistolet i nabrał w płuca powietrza.

- CEL!

Małpolud stojący za Samuelem szybko opuścił masywną rękę i troskliwie owinął nią chudziutką klatkę piersiową małego genika, zupełnie jakby zwaliste mięśnie mogły utworzyć nieprzepuszczalną tarczę, która ocali przyjaciela.

- PAL!

ROZDZIAŁ 60

Nowy Jork rok 2001

Pułkownik Wainwright obserwował swoich podkomendnych, którzy zebrali się na nierównym placu pomiędzy bunkrem dowodzenia a transzeją przy East River. W pułku zostało niespełna trzystu żołnierzy. Ostatni raz przepisowych sześciuset żołnierzy służyło w Trzydziestym Ósmym Wirginia kilka dekad temu, on sam tego nie pamiętał.

Najwyraźniej dowództwo konfederatów przejęło ten zwyczaj od Północy. Gdy liczebność pułku spadała poniżej krytycznej wartości, pułk rozwiązywano. Pułkownik potrząsnął głową. Głupcy... ducha walki tworzy historia pułku. Trzydziesty Ósmy powstał w tysiąc osiemset sześćdziesiątym pierwszym, dowodził nim generał Lee, regiment walczył pod Pickett i stawił czoła oddziałom Unii pod samym Gettysburgiem. Zdobył Cemetery Ridge i odesłał trzodę Meada z kwitkiem do domu. Takie dziedzictwo jednoczy żołnierzy, buduje solidarność, braterstwo.

Stali tak w oczekiwaniu, patrząc na swojego dowódcę. Na twarzach malowało się uczucie niepewności. Dobrze wiedział, że po obozie od dawna krążą już pogłoski o tym, że coś się szykuje. Żołnierze natomiast wiedzieli, że coś ważnego wydarzyło się dzisiaj w kwaterze dowódcy. Wiedzieli też, że zatrzymano, rozbrojono i wrzucono do paki kilkunastu Anglików. Z ust do ust niosły się coraz pewniejsze wieści, że coś się niedługo wydarzy. Przekazana przez brytyjskiego oficera informacja o zbliżającej się ofensywie nie była dla Wainwrighta wielkim zaskoczeniem. Wiedział - tak jak każdy szeregowiec w okopach - że Anglicy ściągają tu jednostki z terenów całego imperium. Pogłoski o tym oraz inne plotki i półprawdy płynęły jak w głuchym telefonie z jednego końca linii She-ridana na drugi.

Tamten młody oficer tylko potwierdził ich wiarygodność.

- Żołnierze! Anglicy kumulują wszystkie zasoby by wyprowadzić ofensywę. A na czele tej ofensywy znajdzie się ten właśnie sektor.

Zapanowało poruszenie, wśród szeregów przetoczyła się fala niepokoju.

- Trzydziesty Ósmy Wirginia pójdzie na pierwszy ogień.

Wszyscy rozumieli, co to oznacza. Niewyobrażalne straty. Jak tylko wybiegną z amfibii na kamienistą plażę po drugiej stronie rzeki, okopany na bezpiecznych stanowiskach wróg natychmiast zasypie ich niszczycielskim gradem pocisków. Wezmą ich w krzyżowy ogień: ostrzelają ze zburzonego mostu Williamsburg po prawej stronie i z ruin fabryki po lewej. Zanoszą się na masakrę.

Widział, że wszyscy w milczeniu dochodzą do tego samego wniosku. Czekają ich masowa rzeź.

„A to jeszcze nie wszystko... chłopcy”.

- W drugiej fali... - podjął Wainwright lecz przerwał, czekając aż szepty wśród żołnierzy ustaną. Te słowa musiały odpowiednio wybrzmieć. - W drugiej fali... wysła geników.

Jego głos utonął wśród powszechnego ryku mężczyzn. Niemal trzysta głosów wyło na alarm z niedowierzania, złości i przede wszystkim ze strachu. Podniósł ręce, aby ich uciszyć. Ale chociaż wszyscy ci mężczyźni bezwarunkowo wierzyli swojemu pułkownikowi, byli mu posłuszni i szanowali jego dorobek, wrzawa wcale nie cichła.

Sięgnął do kabury po pistolet i wystrzelił w powietrze. Już drugi raz użył dzisiaj broni, choć wcześniej nie robił tego przez wiele dni.

Pokrzykiwania żołnierzy stopniowo słabły, w końcu słyszał tylko odgłos niespokojnego szurania stóp na żwirze.

„Postaraj się, Jamesie... teraz naprawdę musisz się postarać” - zagrzewał się w duchu i w końcu rzekł:

- Nie wierzę już... Już dawno temu, wiele lat temu, przestałem wierzyć, że walczymy za sprawę Konfederacji. Zrozumiałem, że zamieniliśmy się w mięso armatnie w służbie Anglików.

Tym razem żołnierze ryknęli jednym głosem. Był to okrzyk wsparcia i uznania dla kogoś, kto jako pierwszy odważył się nazwać rzeczy po imieniu, powiedzieć głośno to, o czym wszyscy szepotali. Odważył się powiedzieć to, za co niechybnie może zostać postawiony pod ceglany murem i rozstrzelany jako tchórz i zdrajca.

„No i już!” - pomyślał Wainwright i podrapał się po brodzie. - „Słowo się rzekło, kobyłka u płota... Zimny ze mnie trup!”.

Po drugiej stronie rzeki podkomendni Devereau szczelnie wypełnili parter fabryki i połowę zbombardowanego pierwszego piętra, rzędy nóg w wojskowych buciorach zwisały przez poszarpaną krawędź, w miejscu, gdzie dawno temu runęła podłoga.

-...nie pozwolą nam uciec - kontynuował pułkownik. I on, i zebrani żołnierze,

doskonale wiedzieli, co ma na myśli. Sektor tuż za linią frontu patrolowały oddziały francuskiego legionu. Federalne oddziały wycofujące się bez błogosławieństwa Naczelnego Dowództwa potraktowano by jak dezertorów i rozstrzelano na miejscu.

„A mimo to wielu z nich rozpatruje taką ewentualność..- pomyślał. O wiele rozsądniej uciec z nadzieją uniknięcia plutonu egzekucyjnego niż zostać tutaj i czekać na straszną śmierć z ręki konfederackich geników.

W fabryce rozbrzmiało echo odpowiedzi, podniesione okrzyki żołnierzy odbijały się od porysowanych ścian pustego budynku.

- Ja... - Jego głos utonął w zgiełku. - Nie wierzę... - Przerwał. Jego ludzie i tak go nie usłyszą.

- CISZA, PUŁKOWNIK MÓWI! - ryknął sierżant Freeman.

Żołnierze zareagowali niemal natychmiast, choć nie wszyscy.

Freeman rzucił gniewne spojrzenie kilku unionistom, którzy wciąż szeptali coś do siebie. Szybko zamilkli pod ciężarem karcącego wzroku.

Devereau spróbował raz jeszcze:

- Nie wierzę już, że to wciąż nasza wojna.

Nagle zapadła grobowa cisza, powietrze zgęstniało.

- Nie... już w to nie wierzę. - Powoli pokręcił głową. - Przestałem ufać naszym generałom, nie wierzę w rząd Unii Północnych Stanów Ameryki.

W głębi fabryki rozbrzmiał samotny okrzyk radości.

- Tak, powiedzcie to, pułkowniku! - zawołał ktoś inny.

- Nasze rodzinne wioski... miasta... stany znalazły się pod okupacją. Nasza ojczyzna jest zniewolona. Dobrze zważcie me słowa, my już jesteśmy podbitym narodem. Podbitym nie przez Anglo-Konfederację, ale przez Francję i jej sojuszników: Austrię, Prusy, Szwajcarię... i kilkanaście innych krajów, o których istnieniu wielu z was nigdy zapewne nie słyszało!

Ogarnął go pusty śmiech.

- Nie zostaliśmy pokonani na polu walki. Nie stawiliśmy czoła wrogowi w otwartej bitwie i nie przegraliśmy z honorem... nie. Popelniliśmy dużo większy błąd, otworzyliśmy drzwi przed okupantami!

W fabryce zagrzmiały setki podniesionych, gniewnych głosów. Devereau uciszył je uniesieniem dłoni.

- Tym razem, chłopcy... tym razem staniemy do prawdziwej walki. Nie brat przeciwko

bratu. Nie Amerykanin przeciwko Amerykaninowi. Będzie to walka Amerykanów z Anglikami... - Devereau przerwał. Nie odwoła już tych słów. Spojrzał na Maddy, która stanęła z boku, robiąc mu miejsce na małym podium skleconym ze skrzyń na amunicję. Delikatnie skinęła głową. Wiedziała, co za chwilę powie. -...Amerykanów z Francuzami.

Mężczyźni poruszyli się niespokojnie. Zaczęli szeptać.

- Kiedyś my i chłopcy z drugiej strony rzeki tworzyliśmy jeden naród. Zawalczy raz jeszcze o wspólny kraj...

ROZDZIAŁ 61

Nowy Jork rok 2001

Wainwright pokiwał głową.

- Taka jest moja propozycja, panowie! Zjednoczenie sił! Rewolta, do cholery! - Zwinął pięść i ze złością uderzył nią we własne udo. - Zamierzam nazwać rzecz po imieniu!... To bunt!

Słowo zawisło w powietrzu, odbijając się od przeciwległej ściany zawałonego budynku niczym rykoszet wystrzału.

- Bunt! - powtórzył. - Który wybuchnie tutaj, w Trzydziestym Ósmym Wirginia.

Z ust żołnierzy wypłynął ryk poparcia.

- Ale to nie wszystko, chłopcy... nie będziemy w tej walce osamotnieni. Dołączą do nas pozostali. Jedenasty Alabama stacjonujący na północy, Siódmy Maryland... i wszystkie pułki z linii She-ridana!

Armia wzniosła okrzyk triumfu. Kilka furazerek wyfrunęło w powietrze ponad zbitą gromadę znoszonych szarych mundurów.

Wainwright uśmiechnął się zwycięsko i jął wiwatować razem ze swoimi podkomendnymi. Oczywiście tylko on wiedział, że to kłamstwo. Nie nawiązał jeszcze kontaktu z żadnym dowódcą pułków stacjonujących na linii frontu. Liczył na ich wsparcie. Stawiał je na szali. Lecz czy na pewno przyłączy się do Trzydziestego Ósmego?

- Słuchajcie! - Ponownie uniósł broń, żeby uciszyć ich wystrzałem, ale zamilkli bez tego. - Posłuchajcie! Z pomocą przyjdą nam pułki z drugiego brzegu East River... oddziały federalne z Unii Północnych Stanów Ameryki!

Reakcja była mieszana. Być może posunął się o krok za daleko, może tego nie potrafili już przełknąć. W końcu dla każdego ze stojących przed nim mężczyzn obdartusy z przeciwległego brzegu rzeki - unioniści z Północy - zawsze byli wrogami.

Wainwright zrozumiał, że właśnie przekroczył Rubikon. Teraz musi zjednoczyć tych chłopców dla wspólnej sprawy, przekonać ich, że pułki wzajemnie się potrzebują, że oni potrzebują Pięćdziesiątego Czwartego Massachusetts.

- Ich żołnierze niczym się od was, ode mnie nie różnią. To też Amerykanie... tacy sami jak my. Kiedyś mieliśmy wspólny sen! Język! Dziedzictwo! Wiarę... w kraj wolnych ludzi!

Zauważył, że kilka głów potakuje. Gdzieś podnosiły się głosy poparcia.

- Dawno temu... przed stu czterdziestu laty niemądrze obraliśmy dwie rozłączne drogi. Lecz teraz, rozumiecie? Rozumiecie? Po raz kolejny połączyć nas może wspólny cel! Znowu możemy zbudować jeden naród, jedną Amerykę... stać się panami własnego losu.

Przerwał i uświadomił sobie, że echo wypowiedzianych słów odbija się od pobliskich ścian i wiruje w powietrzu gęstym od złowieszczonego, pełnego wyczekiwania milczenia.

„Mój Boże, może źle oceniłem nastroje panujące we własnym pułku”.

- Kto pójdzie za mną?

Teren pomiędzy bunkrem dowodzenia a transe ją niespodziewanie wypełnił ogłuszający wrzask. Wrzawa wiwatów i okrzyków radości na pewno dotarła do uszu Devereau i jego ludzi z przeciwległego brzegu rzeki.

Skierował pistolet ku niebu i wystrzelił, potem jeszcze raz, i jeszcze, aż opróżnił magazynek. Klekot naciskanego spustu utonął w nieznośnym harmidrze okrzyków. Przez cały czas, wiwatując z szerokim uśmiechem przyklejonym do twarzy, miał rozpaczliwą pułki z drugiego brzegu East River... oddziały federalne z Unii Północnych Stanów Ameryki!

Reakcja była mieszana. Być może posunął się o krok za daleko, może tego nie potrafili już przelknąć. W końcu dla każdego ze stojących przed nim mężczyzn obdartusy z przeciwległego brzegu rzeki - unioniści z Północy - zawsze byli wrogami.

Wainwright zrozumiał, że właśnie przekroczył Rubikon. Teraz musi zjednoczyć tych chłopców dla wspólnej sprawy, przekonać ich, że pułki wzajemnie się potrzebują, że oni potrzebują Pięćdziesiątego Czwartego Massachusetts.

- Ich żołnierze niczym się od was, ode mnie nie różnią. To też Amerykanie... tacy sami jak my. Kiedyś mieliśmy wspólny sen! Język! Dziedzictwo! Wiarę... w kraj wolnych ludzi!

Zauważył, że kilka głów potakuje. Gdzieś podnosiły się głosy poparcia.

- Dawno temu... przed stu czterdziestu laty niemądrze obraliśmy dwie rozłączne drogi. Lecz teraz, rozumiecie? Rozumiecie? Po raz kolejny połączyć nas może wspólny cel! Znowu możemy zbudować jeden naród, jedną Amerykę... stać się panami własnego losu.

Przerwał i uświadomił sobie, że echo wypowiedzianych słów odbija się od pobliskich ścian i wiruje w powietrzu gęstym od złowieszczych, pełnego wyczekiwania milczenia.

„Mój Boże, może źle oceniłem nastroje panujące we własnym pułku”.

- Kto pójdzie za mną?

Teren pomiędzy bunkrem dowodzenia a transzeją niespodziewanie wypełnił ogłuszający wrzask. Wrzawa wiwatów i okrzyków radości na pewno dotarła do uszu Devereau i jego ludzi z przeciw-ległego brzegu rzeki.

Skierował pistolet ku niebu i wystrzelił, potem jeszcze raz, i jeszcze, aż opróżnił magazynek. Klekot naciskanego spustu utonął w nieznośnym harmidrze okrzyków. Przez cały czas, wiwatując z szerokim uśmiechem przyklejonym do twarzy, miał rozpaczliwą nadzieję, że jego obietnica, że chłopcy z Jedenastego Alabama z północy Manhattanu i z Siódmego, stacjonującego w sąsiedniej strefie, zapalą się do idei tego buntu i staną razem z nimi do walki.

Tak czy inaczej, nie ma już odwrotu.

Devereau z uśmiechem kiwał głową. Ruiny fabryki trzęsły się od ryków wiwatujących mężczyzn. Wcale nie był pewien, czy jego ludzie są gotowi podjąć tak drastyczny krok... zjednoczyć się z konfederatami z drugiej strony rzeki. Podejrzewał tylko, miał nadzieję, że odbierają tę sytuację podobnie jak on.

„To się może udać” - pomyślał, patrząc na rozradowane oblicza i wsłuchując się w zgodne „hurra” poparcia.

Odwrócił się do Maddy i Beki. Amerykanka szerzyła zęby i pokazywała uniesione w górę kciuki.

„To naprawdę może się udać”.

Być może rebelia rozwinię się przynajmniej na tyle, żeby te dwie tajemnicze podróżniczki w czasie zdążyły naprawić swój wehikuł czasu. Devereau wciąż nie był do końca pewien, czy powinien wierzyć w ich opowieść. Choć pokazały mu wszystkie te zdjęcia i urządzenia, wizja innej rzeczywistości wciąż wydawała się surrealistyczna. Miał wrażenie, że obezwładniło go nierealne marzenie albo zapadł w sen, a wszystko zniknie w momencie, gdy wyciągnie po to dłoń. Ale... poszły konie po beton. Kości zostały rzucone. Podróże w czasie i alternatywne historie, bez względu na to, czy rzeczywiście istnieją, sprezentowały im prawdziwą szansę, żeby wszystko odmienić.

Być może ten bunt rozgorzeje na dobre, rozprzestrzeni się po całej linii frontu jak wirus, a dziesiątki, setki tysięcy żołnierzy, Północ i Południe zjednoczą się pod jednym sztandarem i obrócą swój gniew przeciwko obcym ciemnościom. Nawet jeżeli obietnice

panienki Carter, że potrafi odwrócić bieg tej nieszczęsnej historii, okazały się wierutną bzdurą, to sam bunt z odrobiną szczęścia położył kres tej wiecznej wojnie.

Devereau przyłączył się do wiwatów. Darł się jednym głosem razem ze swoimi chłopcami. Od zgiełku dzwoniło mu w uszach. Ale ogłuszający ryk rozlewał się miodem na jego duszy: brzmiał niczym kaskada wzburzonej wody, jak tama pękająca pod naporem milionów ton wyzwolonej energii, gwizd pancерnej lokomotywy... nadciągający sztorm. Brzmiał jak walące się mury, dzwiczące dzwony wolności, trzęsąca się w posadach siedziba rządu.

Brzmiał jak rewolucja.

Brzmiał jak nadzieja.

ROZDZIAŁ 62

Nowy Jork rok 2001

- Panienko, ależ jesteś tylko kobietą! Moi żołnierze sami mogą zaatakować i zdobyć ten bunkier radiokomunikacyjny.

- Zaprzeczam - przerwała mu Beki. - W bunkrze radiokomunikacyjnym umieszczono czułe urządzenia, które mogą zostać zniszczone w wyniku konwencjonalnego ataku. Takie ryzyko jest niedopuszczalne. Sugeruję alternatywną strategię.

Wainwrighta zbiła z tropu bezceremonialna i pewna siebie postawa młodej damy.

- Co w takim razie zrobimy?

- Ilu Anglików pilnuje budowli? - spytała.

Wainwright wzruszył ramionami.

- Zazwyczaj to dwa działony: dwudziestu, trzydziestu ludzi, nie więcej.

Beki odwróciła się do Maddy.

- To akceptowalne ryzyko.

Obie dopiero co przepłynęły przez rzekę w motorówce Devereau. Teraz stały przed bunkrem dowodzenia Wainwrighta, patrząc, jak dwóch unionistów stojących na rufie łódki rozwija wielką szpulę izolowanego kabla telekomunikacyjnego. Łącznościowcy z obu stron debatowali, jak najlepiej zamontować i przyłączyć kabel do sieci, żeby utworzyć bezpośrednie połączenie pomiędzy kwaterami pułkowników. Dla Maddy szybko stało się jasne, iż losy powstania będą w dużej mierze zależały od skutecznej komunikacji pomiędzy dwoma pułkownikami.

- Sądysz, że poradysz sobie sama? - spytała Maddy.

- Potwierdzam. Według moich obliczeń prawdopodobieństwo zdobycia nieuszkodzonego sprzętu jest wyższe, jeśli spróbuję zrobić to sama niż z pomocą tych - zerknęła na oddział, który Wainwright wyznaczył do wykonania zadania - tych...

Maddy gestem ręki kazała jej zamilknąć, zanim chlapanie coś wulgarnego.

- Beki jest wyjątkowa - szybko powiedziała Maddy - To nie tylko ładna buźka.

Wainwright groźnie zmarszczył czoło.

- Rozumiem, madame, że pochodzicie z zupełnie innych czasów niż nasze, ale arytmetyka jest bezlitosna: dwudziestu czterech uzbrojonych i świetnie wyszkolonych angielskich żołnierzy przeciwko jednej młodej kobiecie... rezultat jest łatwy do przewidzenia.

- Beki to jednostka bojowa.

Wainwright zmarszczył brwi i podrapał się po podbródku.

- Że co?

- Jest genetycznie zaprojektowaną istotą z kawałkiem silikonowego procesora w mózgu. Jest nadnaturalnie wytrzymała, nadnaturalnie silna i nadnaturalnie szybka. Krótko mówiąc, to prawdziwa maszyna do zabijania.

Pułkownik zlustrował jednostkę od stóp do głów.

- To znaczy, że ta młoda dama nie jest...

- Człowiekiem. - Maddy wzruszyła ramionami. - Nie do końca.

Oficer wybałuszył oczy.

- Mój Boże! - wysapał. - Jeśli dobrze pojąłem, ona jest... geni-kiem.

Maddy potrząsnęła głową.

- Nie wiem dokładnie, czym oni są, do Beki bardziej pasuje termin robot organiczny.

- Robot? Pierwszy raz słyszę to słowo. Co to takiego?

- Robot to taka maszyna.

- Maszyna! - Znów spojrzał na Beki. - Przecież ona nie jest skonstruowana z metalu i przewodów!

- Nie... nie jest. - Maddy wzruszyła ramionami. - Ale mogłaby być.

Wainwright podejrzliwie zmrużył oczy.

- To, co mówisz, nie trzyma się kupy, panienko.

- Pułkowniku... tylko tracimy czas - rzekła Maddy. - Musimy zdobyć bunkier radiokomunikacyjny w nienaruszonym stanie. Proszę mi zaufać. - Uśmiechnęła się. - Beki wywiąże się z zadania śpiewająco.

- Potrzebuję karabinów - beznamiętnie zakomunikowała Beki.

- Oczywiście, że potrzebujesz - odrzekła Maddy, klepiąc ją po ramieniu. - Jestem przekonana, że pułkownik Wainwright da ci tyle karabinów, ile zapragniesz. Prawda, pułkowniku?

Wainwright popatrzył na swoich żołnierzy ustawionych w kilku szeregach na przysypanym gruzami placu apelowym.

- To ona... ona... chce to zrobić sama?

- Tak jest. Skoro potrafiła przywalić dinozaurowi w nos, to dlaczego ma sobie nie poradzić z kilkoma żołnierzami?

Wainwright popatrzył na nią przeciągle.

- Słucham? Musiałem się przesłyszeć. Właśnie panienka powiedziała...

- Pańscy ludzie, pułkowniku - weszła mu w słowo Beki - mogą mnie osłaniać. Należy zabezpieczyć obszar wokół stacji, żeby angielskiego garnizonu nie wzmocniły posiłki. A sprawy na odciętym terenie i w budynku stacji - na jej twarzy pojawił się chłodny uśmiech - lepiej zostawić mnie.

- Proszę mi zaufać. - Maddy pokiwała głową. - Ona ma rację!

Wainwright przyglądał się obu kobietom, nie wiedząc, co o tym wszystkim sądzić. Przybyły tu z innego świata, nie miał co do tego wątpliwości. Świadczył o tym ich sposób bycia, ubiór, dobór słów. Ale żeby jedna dziewczyna atakowała bunkier wroga?

- Nie jest pan chyba przekonany, pułkowniku? - Maddy zauważyła jego wątpliwości.

Przez ramię zerknął na swoich chłopców, którzy czekali tuż poza zasięgiem słuchu.

- Ja i moi ludzie... podpisaliśmy na siebie wyrok śmierci. Już jesteśmy żywymi trupami, chyba że - jak zapewnia mnie mój przyjaciel, pułkownik Devereau - naprawdę macie wehikuł, który pozwoli zastąpić nasz świat innym, lepszym. - Zmarszczył gęste brwi. - To akurat muszę przyjąć na wiarę, bo sam nie widziałem tej maszyny. Pułkownik Devereau też nie widział zresztą, jak ona działa.

- Działa - odparła Maddy - w innym razie nie zawracałybyśmy wam głowy.

Wzruszył ramionami.

- Rzecz w tym, panienko, że życie moich ludzi zależy od tego, czy mówicie prawdę. Proście mnie, żebym uwierzył, że ta młoda kobieta skutecznie zaatakuje strzeżone pozycje wroga całkiem na własną rękę?

- Potwierdzam - odparła Beki.

- Proszę mnie posłuchać - podjęła Maddy - nic nam nie przyjdzie ze zdemolowania tej stacji. Długa wymiana ognia jest głupim pomysłem, a Beki to świetna alternatywa. Musi nam pan zaufać. Poza tym, jeśli zawiedzie - Maddy mimowolnie wzruszyła ramionami - wtedy

natychmiast wyśle pan swoich komandosów. Co pan na to?

Wainwright odwrócił się do Beki.

- Zdołasz to zrobić bez niczyjej pomocy?

Beki utkwiała w pułkowniku konfederatów chłodne spojrzenie szarych oczu.

- Powinniśmy bezzwłocznie przejść do działania. Marnujemy cenny czas.

ROZDZIAŁ 63

Nowy Jork rok 2001

Szeregowy Sutter obserwował okolicę ponad gruzami ze swojego stanowiska obronnego: krótkiego okopu znajdującego się kilka metrów przed wejściem do Konstrukcji Obronnej nr 76 - jak oficjalnie nazywano bunkier radiokomunikacyjny On i inni szeregowcy służący w garnizonie oficjalnie nie powinni wiedzieć, że bronią węzła radiokomunikacyjnego umożliwiającego łączność na tym odcinku frontu, ale tylko głupiec nie zauważyłby talerza i anteny transmisyjnej, które sterczały wysoko ponad na wpół zawałonym dachem wysokiego budynku stojącego obok stacji. Płatnina kabli opadała z budynku przez dwa odsłonięte piętra na ziemię i wiła się aż do samego bunkra.

Nie, nie powinni wiedzieć absolutnie nic o przeznaczeniu tego miejsca, wciąż wpajano im, że służą w Konstrukcji Obronnej 76. Jeśli kiedykolwiek go złapią i zaczną przepytować w pokoju przesłuchań, będzie mógł powiedzieć tylko tyle, że służył w garnizonie przy Konstrukcji Obronnej nr 76. A to może przecież oznaczać wszystko: wieżyczkę strażniczą, stanowisko artyleryjskie, zwykły odcinek transzei z kilkoma karabinami.

Sutter pokręcił głową. Przecież te niezdary w granatowych mundurkach z drugiej strony rzeki potrafią tylko trząść się w tych swoich buciorach i chować się w okopanych stanowiskach jak karaluchy w syfiastej kuchni.

„I słusznie, niech dygoczą tchórze” - pomyślał szeregowy Sutter. Starszy szeregowy Davies chlapanął niedawno, że według jego zaufanego źródła z pułkowego oddziału logistycznego szykuje się coś „naprawdę dużego”. Jakaś ofensywa? Pewnie tak.

Po całej armii krążyły przeróżne plotki, a ludzie z jego plutonu aż przebierali nogami, żeby wreszcie zasmakować prawdziwej bitki. Zabawa w ochroniarzy strzegących małego betonowego poletka, z którego transmitowano propagandowe bzdury zalewające ten odcinek frontu... nie, nie takiej wojaczki pragnął Sutter.

Oparł się o worki z piaskiem i ze znużeniem gapił na oczyszczoną z gruzu drogę. Drogę, na której pomieścić się mógł co najwyżej jeden samochód, bo z poboczy wyrastały

skarpy gruzu i kurzu. Kiedyś to była ważna arteria. Na rogu pobliskiego budynku wisiał nakrapiany plamami rdzy znak z niewyraźnym napisem: SIÓDMA ALEJA.

Ktoś mu kiedyś powiedział, że w przeszłości była to jedna z największych ulic Nowego Jorku.

„Teraz nie wygląda najlepiej”.

Przez otwarte drzwi bunkra dobiegał stłumiony świst czajnika podrygującego na kuchence, stukot i brzęk układanych kostek domino, oblesny rechot jakiegoś szeregowca po raz setny opowiadającego ten sam sprośny dowcip.

Westchnął. Był setnie znudzony i marzył o popołudniowej kawie. Cudownie. Właśnie zastanawiał się, czy jeden z chłopaków wpadnie na to, żeby przynieść mu parujący kubek napoju, kiedy w oddali dostrzegł postać idącą po oczyszczonej drodze.

Samotna postać. Tak. Tylko jedna... teraz, gdy podeszła bliżej, dostrzegł, że to kobieta.

Kobieta? Szeregowy Sutter nie widział kobiety od trzech miesięcy, kiedy to z innymi chłopakami zastąpili poprzednią załogę znudzonych jak mopsy strażników Kobieta zmierzała ku niemu dość pewnym siebie krokiem.

Sutter wyszczerzył kły... Jedna mała kobietka nie zawadzi. Miły widoczek dla odmiany.

Podniósł biały hełm i nacisnął go na głowę, ciasno dopiął pasek pod podbródkiem, wspiął się po drabinie i wyszedł z okopu, aby go lepiej widziała.

- Stać! - krzyknął, kierując lufę karabinu w ziemię. Żadne z niej przecież zagrożenie.

Kobieta zdawała się nieświadoma niebezpieczeństwa, bo wciąż różnym krokiem zmierzała w jego stronę. Gdy podeszła jeszcze bliżej, zauważył, że ma na sobie szarą pelerynę konfederatów. Ale co tam peleryna... to była prawdziwa piękność: twarz anioła, blada i gładka cera, długie ciemne włosy falami opadające na ramiona.

- Panienko! - krzyknął raz jeszcze, niemal przeproszającym tonem. - Proszę się natychmiast zatrzymać!

Nie zwolniła kroku, zamiast tego zeszła z drogi i jęła wspinać się po kamienistym nasypie.

- Panienko! Błagam! - Z oporami podniósł karabin. - Zatrzymaj się tam, gdzie stoisz, ptaszynko!

Jest coraz bliżej, kilkanaście metrów, pewnie i miarowo wspina się do niego po głazach. Uśmiecha się. Sutter zaczął zastanawiać się, czy to nie podpucha. Jakiś test. Wiedział, że co rusz prowadzą w tym sektorze inspekcje, żeby sprawdzić gotowość bojową

żołnierzy A on właśnie pozwolił tej kobiecie podejść zbyt blisko. Jeśli faktycznie go sprawdzają, to przejadą się po nim jak po łysej kobyle.

- Stój, bo strzelam! - krzyknął, zły na samego siebie.

No, zatrzymała się. Nareszcie. Jeszcze sześć metrów w górę, kolejne cztery lub pięć kroków i znalazłaby się tuż obok niego.

- Kim jesteś?! - warknął Sutter.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Na imię mi Beki.

Peleryna kobiety załopotiała. Pomyślał, że lekko unióś ją podmuch wiatru. Dopiero po chwili, gdy coś zabłysło w powietrzu, zrozumiał, że peleryna rozchyliła się z powodu uniesienia rąk.

Poczuł uderzenie w gardło, natychmiast go zatkało, zachłysnął się powietrzem. Upuścił karabin, rękami sięgnął do otwartych ust, by sprawdzić, dlaczego nie wpada przez nie powietrze. Potem poczuł, że z gardła wystaje mu coś dziwnego. Spuścił wzrok i zobaczył sterzące pod podbródkiem ostrze bagnetu.

„A tak, teraz rozumiem...” - zamglona świadomość podpowiedziała mu, że kobieta wepchnęła mu go w gardło.

Poczuł, że pada do przodu, świat zawirował, runął wprost na leżące przed nim worki z piaskiem. Podniósł wzrok na kobietę, która ostrożnie przeszła nad jego głową...

„Oj, jaka ona piękna”. - Wskoczyła do okopu tuż obok niego i wyrwała wystające z gardła ostrze.

Na worki trysnęła czarna krew Suttera.

„Piękna. Cudowna. Anioł”. - Zakłapał ustami, próbował jeszcze zapytać, czym jest, ale z ust bryzgnęła krew i pociekła mu po podbródku.

Uśmiechnęła się do niego kojąco.

- A teraz umrzyj cichutko - rzekła niemal matczynym tonem, zakrywając usta chłopca dłonią.

ROZDZIAŁ 64

HMS Defiant rok 2001

Choć wzrok utkwiała w materacu nad głową, przed oczami miała tylko ulotne obrazy ciał, małych i dużych, ciśniętych na pobocze ulicy jak worki śmieci. Sal brakowało słów, żeby opisać, co teraz czuje. Pustkę? Smutek?

„Czy to szok? Czy jestem w stanie szoku?”.

Zatrzeszczał materac. To Lincoln obrócił się na posłaniu powyżej. Stopa w bucie opadła za krawędź łóżka; miał zdecydowanie za długie nogi jak na te materacyki. W oddali słychać było cichy szum silników, który wprawiał cały kadłub transportera w drganie, na korytarzu niosły się szepty mężczyzn, z kambuza dochodziło ledwie słyszalne pobrzękiwanie garnków i patelni.

„Jakieś trzydzieści sześć godzin...” - tylko tyle zapamiętała z tego, co mówił Liam, gdy ją i Lincolna zabrano na pokład transportera, a jakiś lekarz wojskowy poddał ich szybkim oględzinom.

Widziała ciała... szkliste oczy, martwe zwierzęco-ludzkie twarze skierowane ku błękitnemu niebu.

Widziała Samuela, szeroko otwarte poszarpane usteczka wykrzywione grymasem przerażenia.

Patrzyła, jak kolejno rzucają wszystkie zwłoki na pakę ciężarówki niczym worki ziemniaków. Słyszała, jak jeden z ludzi mówi, że ciała przetworzą na karmę dla huffali. Potem zobaczyła inne istoty, nowe typy geników: wielkie i kudłate zwierzęta z torsami byków i pyskami koni, a później psowate stwory o zgrabnych, szczupłych zadach i pawianich głowach. Oba gatunki miały pusty, charakterystyczny dla nierozgarniętych bestii wzrok. I wyprane z emocji pyski, zupełnie bez wyrazu.

Nie tak jak Sam i jego zbiegowie. To były nowe rasy... mniej inteligentne, mniej dociekliwe, mniej skore do refleksji nad swoim losem. Powolne swoim panom.

Znużona, niechętnie zamknęła oczy, choć wiedziała, że pod gładką, ciemną powierzchnią powiek znów ujrzy zakrwawioną twarz Samuela.

- Jeszcze kilka przystanków - rzekł kapitan McManus - Musimy zabrać resztę pułku.

- Resztę? - Liam zmarszczył brwi. - To jest was więcej na tym... statku?

- Osiemset trzydzieści sześć osób, jeśli mnie pamięć nie myli. Sześciuset dwudziestu siedmiu żołnierzy i oficerów pułkowych. Dwudziestu czterech zwiadołowców i pięćdziesiąt huffali... no i oczywiście załoga transportera i personel pomocniczy - sto dwadzieścia trzy osoby. - Wypił łyk herbaty. - Ale trzy oddziały wysłaliśmy w teren... patrolują i utrzymują pokój w całej Wirginii.

„Pokój?”.

To słowo miało się nijak do wydarzeń, które rozegrały się dzisiejszego ranka.

- Kiedy wszyscy znajdą się na pokładzie, skierujemy się na północ i wylądujemy na obrzeżach New Wellington w stanie New Jersey. To na skraju zatoki Lower New York Bay -

wyjaśnił kapitan. - Tam znajduje się port transportera. Zatrzymamy się, żeby uzupełnić zapasy i napełnić zbiorniki paliwa, potem polecimy dalej, na północ. Ty i twoi przyjaciele będziecie mogli tam wsiąść, jeśli zechcecie.

Liam skinął głową. Zorientował się, że na pokładzie statku zapanowało poruszenie: młodszy rangą oficerowie biegali wte i wewte, trzymając pod pachami podkładki do pisania.

- Coś się stało?

McManus podniósł wzrok znad filiżanki herbaty. Mesa oficerska była mała, mieściły się w niej tylko trzy długie stoły otoczone taboretami. Ściany udekorowano pułkowymi trofeami i sepiowymi fotografiami młodych, uśmiechniętych mężczyzn odzianych w schludne, ceremonialne mundury. Z niskiego sufitu zwisał szklany żyrandol pobrzękujący pod wpływem wibracji powodowanych przez silniki transportera.

Całą mesę mieli tylko dla siebie.

- Na północy pojawił się jeden problemik wymagający rozwiązania. - McManus wrzucił ramionami. - Bułka z masłem dla moich chłopców. - Stało się oczywiste, że oficer nie zdradzi Liamowi ani słowa więcej na ten temat.

Liam z nieobecny wyrazem twarzy mieszał łyżeczką w porcelanowym kubku, Bob patrzył na herbatę, analizując układ unoszących się na powierzchni fusów.

- Rozkaz rozstrzelania geników - powiedział McManus - to ci dokucza.

- Szczerze powiedziawszy... tak. - Liam podniósł suchara z leżącego między nimi talerza i zaczął obracać go w palcach. Nie miał apetytu. Właściwie to nie wiedział, dlaczego go podniósł. Czymś chciał zająć ręce. - Tak, dokucza mi.

- To były stare geniki. Zaprojektowano je i wyhodowano dawno temu. Niektórzy mieli dwadzieścia... nawet trzydzieści lat. Byli zawodni, Liamie. Niebezpieczni. - Westchnął. - W latach siedemdziesiątych wyprodukowano dziesiątki tysięcy sztuk przeznaczonych do przeróżnych prac. - McManus potrząsnął głową. - Pracowali nawet jako służba domowa... kucharze, kamerdynerzy. Wyobrażasz to sobie, do licha? A przecież takie obowiązki wymagają inteligencji. - Upił łyk herbaty. - Od tamtej pory eugenologia bardzo się rozwinęła. Wiemy już, że zdecydowanie łatwiej laboratoryjnie opracować kształt i muskulaturę stworza niż zaprogramować jego zachowania, myśli. Teraz wszystko to rozumiemy znacznie lepiej. Wyposażamy geników w o wiele prostsze umysły. - McManus potrząsnął głową. - To było szaleństwo. Tak, patrząc na to z perspektywy czasu, szaleństwem było stworzenie inteligentnych geników potrafiących czytać i pisać. Szaleństwem były rojenia, że wyhodujemy istoty, które staną się naszymi inżynierami, technologami i lekarzami... a my będziemy mogli kontrolować je jak zwierzęta.

- Te istoty...? - Liam podniósł na niego wzrok. - Chcesz mi powiedzieć, że te istoty są na tyle mądre, że potrafią czytać i pisać?

McManus ponownie wzruszył ramionami.

- W większości byli to pracownicy fizyczni starej generacji, inteligentniejsi niż juczne geniki, które produkujemy teraz... ale nieznacznie.

Kapitan badawczo przyglądał się zmartwionemu młodzieńcowi.

- Słuchaj, Liamie... błędnie zakładasz, że te stwory to naturalna forma życia. Wręcz przeciwnie. To produkty organiczne, zbudowane z kości i mięśni maszyny... nic więcej. A kiedy maszyna staje się wadliwa, należy ją rozebrać lub zniszczyć. Inaczej to ludzie obrywają.

Bob coś wymamrotał. Przez jego głowę przebiegał jakiś proces myślowy. Też wyglądał na zatroskanego. Liam zerknął na niego przez szerokość stołu i zastanowił się, czy jednostka pomocnicza czuje jakąś więź z genikami. Przecież, jeśli dobrze wszystko pojął, wyrósł z tej samej gałęzi nauki co oni.

- Maszyny się popsuły. Zrobiły się niebezpieczne. - Kapitan nachylił się nad małym stołem. - Będę z tobą szczery, Liamie. Nie miałem pewności, czy twoja przyrodnia siostra i twój przyjaciel przeżyją spotkanie z genikami. Mieli cholernie dużo szczęścia, że wyszli z tego bez draśnięcia.

- Zapewne.

- Bóg jeden wie, ile tych stworów jeszcze się tam czai. Większość geników starej generacji zostało wyłapanych i przetworzonych, ale kilkaset egzemplarzy wciąż jeszcze hasa po stanach Konfederacji: to uciekinierzy żyjący w porzuconych domostwach albo kryjący się po dzikich lasach i górach. Tym problemem należy się zająć... pewnego dnia będziemy musieli wytropić wszystkich co do jednego. Ale na to przyjdzie czas.

- Dlaczego nie zrobicie tego od razu?

McManus wyglądał tak, jakby miał zamiar zignorować pytanie Liama.

- Powiedzmy, że angielska armia jest w tej chwili bardzo zajęta. - Zmienił temat. - Ale co z tobą i twoimi bliskimi? Gdzie zamierzacie się udać, gdy was wysadzimy? Powrót do spokojnej i bezpiecznej Irlandii to najrozsądniejszy krok, jeśli mogę coś sugerować.

- Chcemy odwiedzić Nowy Jork - odparł obojętnie Liam.

- Czasem patrzę na ciebie i widzę Marsjanina. - McManus przyglądał mu się uważnie.

- Naprawdę nie wiedziałeś, że Nowy Jork prawie siedemnaście lat temu zamienił się w główną arenę wojny?

- Hmm? Ach tak, oczywiście. Może w takim razie udamy się z Bobem i resztą na

zachód.

- To byłaby dla was o wiele bezpieczniejsza wycieczka. - McManus z aprobatą pokiwał głową. - W górzystych stanach, takich jak New Wessex czy New Albany, zachowały się jeszcze dziewicze tereny. Biały Niedźwiedź mówił mi kiedyś, że w dziczy wciąż koczują plemiona Indian.

- Osiemset dwadzieścia cztery - powiedział Bob.

Obaj spojrzeli na niego.

- Hmm?

- Osiemset dwadzieścia cztery osoby - rzekł Bob. - Dokładnie tylu członków personelu i żołnierzy pan wymienił, choć na samym wstępie zaznaczył pan, że na statku łącznie służy osiemset trzydzieści sześć osób. Brakuje dwunastu.

McManus skrzywił się ironicznie.

- No i co mam odpowiedzieć? Nie jestem matematykiem...

Cichutko zabrzączał klakson.

McManus podniósł wzrok.

- Wkrótce lądujemy po kolejny oddział. Zechcą mi panowie wybaczyć?

ROZDZIAŁ 65

Nowy Jork rok 2001

- No i? Nada się?

Beki kucnęła obok szyku antenowego, szerokiej i długiej na pół metra obrotowej platformy naszpikowanej kilkunastoma anten-kami sterczącymi jak szczecina w szczotce do włosów. Na anten-kach, podstawą do dołu, leżał stożkowaty talerz z aluminiowej siatki.

Maddy zadrżała, gdy rzeński podmuch wiatru smagnął po dachu. Znajdowali się na szczycie jednego z najwyższych ocalałych budynków w mieście, skąd doskonale widziała ruiny Nowego Jorku. Okaleczony krajobraz zniszczonych, wybebeszonych budynków przywodzących na myśl próchniejące zęby. Betonowy, szarobury krajobraz poprzetykany wysepkami zieleni w miejscach, gdzie natura zaczęła najwcześniej upominać się o swoje terytorium.

Na samym dole, poniżej spadającej poza okap dachu płataniny kabli, rysowały się znajome kontury Times Square... choć Devereau powiedział jej, że nazwę placu zmieniono na Place D'Libertaire, gdy miasto po tej stronie East River znajdowało się pod kontrolą francuskiej Północy. Od patrzenia w dół zakręciło się jej w głowie. Odsunęła się od krawędzi

i odwróciła do Beki, która w milczeniu badała szyk antenowy.

- No i? Co myślisz?

Jednostka pomocnicza w zadumie pokiwała głową.

- Do wystrzelenia cząstek tachionowych będzie można użyć talerza. Niewykluczone, że platforma szyku antenowego też okaże się użyteczna.

- Hmm... - Maddy przesunęła okulary na czoło. - Chyba uda mi się podłączyć platformę do systemu komputerowego. To w końcu zwykły napęd elektryczny. Tak, zabierzmy całe to ustrojstwo.

- Potwierdzam.

Zostawiła Beki, aby dokładnie obejrzała dolną część platformy, po czym ruszyła w stronę Wainwrighta i kilku jego ludzi, którzy stali z drugiej strony dachu.

- Nada się - powiedziała. - Teraz trzeba to tylko przetransportować w całości.

Wainwright skinął głową.

- Dobrze, moi ludzie pomogą twojemu... hmm... twojemu... - Jego spojrzenie pobiegło ku skulonej postaci Beki. Zawiesił głos. Maddy miała nieodparte wrażenie, że chciał powiedzieć „twojemu genikowi”. - Żołnierze mówią, że zabiła wszystkich strażników w bunkrze. Wymordowała cały garnizon.

Maddy pokiwała głową. Przybyła tu akurat w momencie, gdy z bunkra wynoszono ostatnie ciała. Beki stała przed wejściem z twarzą zachlapaną krwią, jej usta rozciągały się w przyjaznym uśmiechu wyrażającym pytanie „Dobrze się spisałam?”.

Aż zadrżała na ten widok.

- Nie zostawiła przy życiu żadnego jeńca - cicho odezwał się Wainwright. - Czym ona, u diabła, jest?

- Celem misji było zdobycie anteny transmisyjnej w nienaruszonym stanie. Nie branie jeńców.

Doszła do wniosku, że nie ma sensu wyjaśniać Wainwrightowi, że ludzie, których zabiła gołymi rękami, i tak nigdy nie powinni byli się urodzić. Zakrwawione zwłoki leżące przed bunkrem w pewnym sensie zmartwychwstaną, zamienią się w żywych ludzi wiodących inne życie... gdy historia zostanie już skorygowana.

Wyobraźnia podsuwała jednak obraz brutalnej jatki, którą jednostka musiała urządzić w środku. Czasem nie dawała jej spokoju myśl, że ona, Sal i Liam żyją pod jednym dachem z dwiema istotami, Bobem i Beki, które mogą w każdej chwili rozerwać ich na strzępy, jeśli tylko do głowy wpadnie im taki pomysł - jeśli w wyniku błędu oprogramowania stanie się to „celem misji”.

- Odpowiadając na pana pytanie, pułkowniku... czym ona jest? - Odwróciła się, by spojrzeć na Beki, która leżała na plecach, badając spód platformy szyku antenowego i odłączając kolejne kable zasilania. - To maszyna do zabijania... jednostka bojowa z przyszłości. Może pan ją traktować jak zaawansowany gatunek waszych geników.

- Dobry Boże! - Oczy pułkownika zrobiły się jeszcze szersze. - Wolałbym tak o niej... o tym... nie myśleć w ten sposób - mruknął.

- Beki to żywa istota... nie przedmiot. Poczulaby się zraniona, gdyby usłyszała jak bezosobowo pan o niej mówi. - Chciała zmusić się do przyjaznego chichotu, ale śmiech ugrzązał w jej gardle.

- A jak to jest z Maddy Carter? - Zmrużył oczy. - Też jest panienka sztucznie zaprojektowanym tworem? Superbohaterką incognito? Genikiem?

- Dawno, dawno temu byłam programistką gier komputerowych. Kimś, kto siedzi na stołku za biurkiem i stuka w klawiaturę. To cała ja. - Wzruszyła ramionami. - Obawiam się, że nie jestem nikim wyjątkowym.

Owiał ich podmuch wiatru, ponad dach wzbily się tumany kurzu.

- Wysłał pan wiadomość, pułkowniku?

Wainwright potakująco skinął głową. Zanim rozebrali antenę radiokomunikacyjną, zdążył przesłać obwieszczenie do dowódców innych pułków stacjonujących wzdłuż linii frontu. Teraz mogli mieć już tylko nadzieję, że jego inspirująca przemowa przyniesie oczekiwany skutek, a pozostałe oddziały konfederatów odpowiedzą na apel do wzniesienia buntu. Jak dotychczas nikt jednak nie zareagował.

- Niedługo dostaniemy odpowiedź. - Uśmiechnął się. - Jestem przekonany.

- W takim razie, czas zabrać się za demontaż - odrzekła Maddy i spojrzała na błękitne niebo, przeniosła wzrok na południowo-za-chodnią linię horyzontu, gdzie w oddali majaczyły zwały chmur zwiastujące dżdżysty dzień.

- Kto wie, jak szybko zaatakują nas Anglicy.

Wainwright podążył za jej wzrokiem.

- Kto wie...

ROZDZIAŁ 66

New Wellington rok 2001

Liam i reszta stali na pokładzie bateryjnym tuż przy przedniej wieży działowej: kopule o wysokości trzech i szerokości dwudziestu metrów, którą odlano z platerowanego metalu

wzmocnionego wielkimi jak pięści nitami. Z otworów artyleryjskich wystawały dwie długie lufy, teraz owinięte zabezpieczającym brezentem.

Patrzyli, jak transporter powoli opada ku New Wellington, pikując w upiornie białym morzu gęstych chmur. Po lewej widzieli wschodnie wybrzeże Ameryki; po prawej ponure i szare wody Oceanu Atlantyckiego.

W dole, pod dziobem okrętu roztaczał się patchwork ulic, drózek i alei, szachownica podmiejskich, przemysłowych i handlowych dzielnic.

- Patrzcie - powiedział Liam, wskazując wybrzeże.

Na zamglonym niebie nad New Wellington pojawiły się widmowe sylwetki kilkunastu długich okrętów powietrznych, kilka z nich miało bardzo podobny kształt do ich transportera.

- Widzę... jedenaście - powiedział Lincoln. - Nie... dwanaście, jeśli się nie mylę.

Sal spojrzała jeszcze wyżej, bo wysoko nad morzem dostrzegła niewyraźne, ciemne kształty.

- Nadlatują kolejne. - Odwróciła się do Liama i Lincolna. - Myślicie, że każdy z nich wiezie armię żołnierzy?

- To chyba pozostałe pułki brytyjskie. - Liam zapiął pod szyję pożyczoną budrysówkę i założył kaptur podrywany podmuchami wiatru. - Szykuje się coś dużego. Nie inaczej.

Tuż obok - na tyle blisko, by dostrzec pokład, wieże artyleryjskie i duże segmentowe zbiorniki na gaz - unosił się niemal identyczny transporter, powoli dobijający do przystani portowej. Rozbrzmiał donośny jak śpiew wieloryba sygnał i syk sprężanego gazu, a na otwarty teren wielkości dwóch pełnowymiarowych boisk piłkarskich sypnęła kurzawa śniegu i azotu. Zdawało się, że statek umości się na wyprodukowanej chmurze, białej poduszce. Ta wydeła się jednak na wietrze i niespodziewanie pękła, ukazując hektary zasypanego śniegiem asfaltu.

Liam zauważył jeszcze cztery podobne pasy lądowania, nad każdym z nich wznosiła się para wysokich na kilkadziesiąt metrów dźwigów portowych. Nad statkiem, który osiadł na ziemi, zakołysały się ramiona dźwigów, wysięgniki zacisnęły się z obu stron kadłuba, a okręt zawisł kilka metrów nad ziemią jak dziecko w ramionach matki.

Gdy rozproszyła się ostatnia chmura azotu, dno transportera zaczęło się powoli otwierać, wysunęły się z niego rampy. Patrzyli na drobniutkie jak ziarnka pieprzu postaci schodzące na ląd i powoli formujące się na pasie w uporządkowane oddziały.

Liam i Sal zerknęli na siebie porozumiewawczo. Chłopak doskonale wiedział, o czym myśli Hinduska.

„Kolejny widok, kolejny niewiarygodny widok, który nie ma racji bytu”.

Ponownie wyjrzał na zewnątrz, opierając ramiona o mosiężną poręcz - następna nieprawdopodobna scena, następne wydarzenie, którego nigdy nie zapomni. Równie niesamowite jak morze epi-kontynentalne w Teksasie z okresu kredy i rozległa równina, na której pasły się stadka dinozaurów albo błyszcząca ściana kolczug i zbroi w nadciągającej armii króla Ryszarda Lwie Serce; ocean łopoczących sztandarów i falujących pik, widoczne w oddali ma-sywne konstrukcje trebuszów. Wspomnienia te wryły mu się w pamięć głęboko jak inskrypcje wygrawerowane w marmurze.

Nawet jeśli, jakimś trafem, jutro przyjdzie mu umrzeć, to w trakcie swojego krótkiego życia widział więcej rzeczy - usłyszał, zasmakował i doświadczył więcej historii - niż ktokolwiek inny, najznamienitsi historycy daliby się pokroić, żeby znaleźć się na jego miejscu.

- To dopiero coś, prawda, Sal?

Tylko skinęła głową. Starła się wychwycić i zapamiętać jak najwięcej szczegółów.

Poblądły Lincoln patrzył na wszystko szeroko otwartymi oczami.

- A to? Czyżby to był tylko ułamek potęgi brytyjskiej armii? - wymamrotał.

- Tak. - Liam potwierdził skinieniem głowy. - Jest ich całe mrowie.

- Boże... - Tubalny, jak u wyszczezanego adwokata, głos stracił moc i przeszedł w nerwowy szept. - Na Jowisza.

Dopiero sześć godzin po przylocie nad New Wellington transporter, czekający na pozwolenie na lądowanie razem z innymi unoszącymi się obok lewiatanami - gigantycznymi, czarnymi i posępnymi jak kłębiaste chmury deszczowe - zgrabnie opadł na pas startowy w otoczeniu zawieruchy sztucznego śniegu, a pierwsze oddziały Czarnej Straży wreszcie zeszyły na ląd.

Tak jak wszyscy oficerowie kapitan McManus był zajęty formowaniem swoich oddziałów na lądowisku. Na czas postoju trzeba zakwaterować żołnierzy w obozach obok portu, zamówić i zabezpieczyć zapasy, ustalić harmonogram zejścia na ląd, zorganizować sprzęt, broń i amunicję, naprawić uszkodzenia i uzupełnić niedobory. I on, i pozostali młodszy rangą oficerowie muszą teraz dopilnować mnóstwa spraw. Siłą rzeczy pożegnanie musiało być zdawkowe.

- Na twoim miejscu, Liamie O'Connor, wróciłbym do Irlandii. Nadchodzą niebezpieczne czasy... a wszystko rozstrzygnie się tutaj, na Północy.

Liam doskonale wiedział, że nie ma sensu wypytywać go i naciskać. McManus i tak zdradził mu już zdecydowanie za dużo. Młody oficer popatrzył na niego uważnie, po czym przeniósł wzrok na Sal, która odpowiedziała mu stalowym spojrzeniem.

- Musisz mnie mieć za zimnokrwistego mordercę.

Nic nie odpowiedziała.

Milczenie wziął za potwierdzenie.

- Widziałem, jakich rzeczy potrafią się dopuścić te stwory. Nie tylko zbiedzy... nawet nasi przeskoleni genicy. Gdyby to ode mnie zależało, żadna z tych aberracji nie chodziłaby po tym świecie. Człowiek nie powinien igrać z naturą. - Mocno zacisnął pasek pod hełmem. - Ale stało się: dżin wyskoczył z lampy. Jesteśmy w tym, a nie innym miejscu.

Dziarsko zasalutował i posłał im ciepły uśmiech.

- Cieszę się, że oboje jesteście cali i zdrowi. - Przyjrzał się każdemu z osobna. - Specyficzną tworzyacie „rodzinkę”, jeśli wolno zauważyć.

- A ty... - zwrócił się do Liama, podając mu rękę - jesteś najdziwniejszy w tej całej menażerii. Gdybym wierzył w takie historie, pomyślałbym, że spadłeś tu prosto z nieba, z innego stulecia.

- Rzeczywiście. - Liam uśmiechnął się mimowolnie. - Zawsze miałem opinię dość staroświeckiego.

McManus puścił jego dłoń, na pożegnanie kiwnął im głową i odwrócił się do żołnierzy, którzy cierpliwie czekali w cieniu rzucanym przez kadłub transportera. Podróżnicy w czasie odprowadzili kapitana wzrokiem, w popołudniowym powietrzu wibrowały odgłosy ciężkich kroków i pobrząkiwanie uprzęży, sierżanci wyszczekiwali rozkazy jak tresowane rotwailery, po rampach z terkotem zjeżdżały wózki dostawcze.

- Co teraz? - spytała Sal.

- Północ. - odparł Liam i spojrzał na nich uważnie. - Nowy Jork. Teraz musimy znaleźć drogę do domu... prawda? Chyba że Maddy prześle inne instrukcje.

- Potwierdzam. - Bob pokiwał głową.

- Na pewno ma kłopoty. - Sał stwierdziła to, co było oczywiste dla wszystkich. - Potrzebuje naszej pomocy.

- Musimy dotrzeć do miasta jak najszybciej... - Liam spojrzał w niebo. Wysoko nad nimi, niczym chmury burzowe, wciąż unosiły się transportery z żołnierzami niecierpliwie oczekującymi zejścia na ląd. - Zanim ta eskadra skieruje się na północ i zrówna z ziemią resztki Nowego Jorku.

ROZDZIAŁ 67

Nowy Jork rok 2001

Maddy zasłoniła oczy ręką i popatrzyła w górę. Beki i technik z pułku Wainwrighta, podporucznik Jefferson, montowali na szczycie ceglanego kopca napędową platformę szyku antenowego, czyli ich nową antenę do transmisji tachionów. Należało ją dobrze przytwierdzić, nie mogła się chybotać. Byłaby stabilniejsza, gdyby ustawili ją na ziemi, obok kruszejącej bazy, ale wtedy znalazłaby się poniżej krawędzi leja 1 nie miałyby właściwego zasięgu.

Jefferson sugerował, żeby zainstalować szyk na szczycie kikuta podpory mostu Williamsburg górującego nad okolicą, ale to wymagałoby poprowadzenia wielu metrów kabla... kabla, który zbyt łatwo mógł się porwać na jakimś załamaniu w gęstym labiryncie poskręcanego i ostrego żelastwa. Poza tym wołała mieć antenę tuż pod ręką.

Plątanina przewodów odchodziła od dna platformy i meandrując po obsypującym się suficie wpadała przez dziurę w dachu prosto do zaplecza. Stamtąd biegła przez pokrytą gruzem podłogę i rozsuwane drzwi do głównego pomieszczenia, gdzie ciągnęła się obok biurka z komputerami i nad wyrwą w podłodze aż do ple-ksiglasowego cylindra i metalowej szafy z wehikułem czasu.

Niemal cały wczorajszy dzień Maddy spędziła na rzucaniu przekleństw podczas majsterkowania przy szafie. Przekleństw, które jak podejrzewała, mocno zniesmaczyły zaintrygowanego tym wszystkim sierżanta Freemana.

Trochę zgadując, trochę analizując diagramy, które rozrysowała jakiś czas temu, połączyła z systemem komputerowym kabel przesyłu danych i kabel zasilania, aby komputer-Bob mógł wyregulować położenie talerza. Oczywiście komputer-Bob nie był jeszcze tego wszystkiego świadomy. Sieć komputerów pozostawała w trybie uśpienia do czasu uruchomienia generatora - i to było kolejne zadanie na liście rzeczy do wykonania.

Generator zwyczajnie się zepsuł. A mówiąc dokładniej - jego silnik. Zbiornik paliwa pękł, gdy zawaliła się część sufitu, teraz na dnie chlupotały tylko jakieś resztki oleju napędowego. Reszta wyciekła i wypełniła zaplecze odorem paliwa.

Na szczęście alternator i regulator napięcia ocalały. Teraz wystarczyło zdobyć jakieś zastępcze źródło napędu mechanicznego - inny silnik - aby wygenerować niezbędny ładunek elektryczny Teoretycznie nic prostszego. Muszą tylko szybko znaleźć pojazd spalinowy.

Pułk Devereau - pułk piechoty - nie dysponował ani ciężarówką, ani jeepem, ani czołgiem. Pułkownik mógł zaproponować Maddy dwa rozwiązania: albo rozebrać na części pierwsze ich jedyną motorówkę i wyjąć z niej słaby silnik, albo spróbować rozmontować i przetransportować starzejący się generator armii zagrzebany głęboko w bunkrach obronnych.

Wainwright złożył ciekawszą ofertę: jeden ze starych czołgów, który powoli rdzewiał

na placu między bunkrami obronnymi Południa.

- To model Mark Czwarty Georgian - oznajmił, a Devereau od razu zorientował się, o jakim modelu mówi przyjaciel. - Smażony Kurczak Konfederatów.

- Smażony Kurczak? - Maddy nie wiedziała, czy powinna się roześmiać.

Wainwright pokiwał głową.

- Ma cienki pancerz i tragicznie zaprojektowaną konstrukcję. Ciepło generowane w silniku przepływa przez cały pojazd, przez co w środku jest gorąco jak w piekarniku.

- Poza tym źle umiejscowiono zbiornik paliwa, który znajduje się na zewnątrz - dodał Devereau. - Wystarczy strzelić w zbiornik, a paliwo zalewa cały pojazd... i...

- Właśnie. - Wainwright pokiwał głową. - „Smażony” nie wzięło się znikąd.

Beki i Jefferson właśnie skończyli montować antenę. Na przeciwległym brzegu East River biegła gromada mężczyzn w granatowych i szarych mundurach. Z iskrzącymi spawarkami w rękach, w pocie czoła budowali prowizoryczną tratwę dla czołgu Mark Czwarty, żeby przetransportować go na drugi brzeg.

Pułkownik Devereau nadzorował naprawę porzuconego łańcucha okopów. Zgodził się z Wainwrightem, że organizowanie obrony na przeciwległym brzegu rzeki, po stronie konfederatów, byłoby kompletnie pozbawione sensu, bo konstrukcje obronne skierowane są w złą stronę, na północ. Anglicy zaatakują zaś z południa. To po tej stronie rzeki oba pułki muszą więc utworzyć pozycje obronne.

Porzucone okopy wznosiły się nad zrównanym z ziemią pejzażem miejskim, który łagodnie opadał ku rzece. Jeżeli Anglicy rzeczywiście planują desant przy użyciu amfibii, to właśnie tu wylądują: na obszarze, który zamieni się w strefę śmierci, jeśli rebelianci odpowiednio przygotowują i wykorzystają okopy.

Maddy spytała, dlaczego musiał to być akurat desant. Dlaczego nie przylecą tu jednym z tych podniebnych statków i nie zrzucą za linie obrony żołnierzy na spadochronach?

Odpowiedziały jej dwa pytające spojrzenia.

- Spado-chronach? - Devereau zmarszczył brwi. - A cóż to, u diabła, jest?

- Nieważne.

Poszedł za jej wzrokiem i popatrzył na roziskrzony brzeg po drugiej stronie rzeki.

- Krzepiący widok, nie ma co. Dwie wrogie armie pracujące w zgodzie i harmonii.

- Tak. Mam tylko nadzieję, że starczy nam czasu.

Devereau pokiwał głową. Nakaz aresztowania dostał dzisiaj rano, doręczył go oficer w granatowym, niemal czarnym, mundurze Jednostki Wywiadowczej Unii, który przybył w obstawie pieszego patrolu Legii Cudzoziemskiej. Najwyraźniej pogłoski o buncie dotarły już

pocztą pantoflową do Naczelnego Dowództwa. Łudził się, że to delegacja z Piątego Maine ze wschodniego skraju linii Sheridana-Saint Germaina. Ze chęcią jako pierwsi wzięć z nich przykład i przyłączyć się do rebelii. Niestety, jak na razie nie było żadnego odzewu.

Popatrzył w prawo, wzdłuż rozległego zakola rzeki. Wyobrażał sobie, że znajomi oficerowie Unii stoją teraz pośród rysujących się w oddali wyszczerbionych kikutów zrównanych budynków, patrząc na to całe zamieszanie i zastanawiając się jak długo potrwa ten „naiwny buncik Devereau”.

„Potrwa dużo dłużej... jeżeli będziecie mieli jaja, żeby się do nas przyłączyć!”.

Sprawy u pułkownika Wainwrighta wcale nie wyglądały lepiej. Z Richmond dotarł nakaz aresztowania go pod zarzutem buntu.

Dziś rano Devereau przeprowadził z pułkownikiem Konfederacji krótką rozmowę za pośrednictwem ich prowizorycznej linii telefonicznej. Wszelkie nadzieje dotyczące tamtego brzegu rzeki się nie ziściły. Komunikat Wainwrighta z apelem o przyłączenie się do powstania albo w ogóle nie dotarł do innych pułków konfederacyjnych, albo, jak podejrzewał, nie miały one najmniejszej ochoty przystępować do walki.

Ostatni oddział żołnierzy z Trzydziestego Ósmego przekroczy rzekę dzisiaj wieczorem i pomoże im okopać się po tej stronie. Łącznie blisko sześćuset żołnierzy i oficerów. Nie wystarczy, by stawić czoła potędze brytyjskiej armii i pułkowi bądź dwóm elitarnym Francuskiej Legii Cudzoziemskiej, która prawdopodobnie przyłączy się do rozgrywki.

Devereau podejrzewał, że najstarsi rangą generałowie obu stron zorganizowali już dyskretne spotkanie na szczycie i porozumieli się w sprawie stłumienia w zarodku tej śmiesznej próby powstańczej.

Popatrzył na linie pogłębianych i umacnianych workami z piaskiem oraz drewnianymi podporami okopów. Biegły równoległe do rzeki: od filara mostu Williamsburg aż do popękanych i pokrytych sadzą budynków fabrycznych Bryson Glue, za którymi Brooklyn zamieniał się w Queens. Żołnierze powinni zająć pozycje w tych właśnie fabrykach, to idealny punkt do ostrzelania ogniem flankowym plaży i nadciągających oddziałów wroga.

Ale to tu, na otwartej przestrzeni, na tych pięciuset metrach kwadratowych zbombardowanych budynków i lejów po bombach, na tym zrównanym z ziemią terenie opadającym ku rzece, właśnie tutaj przybiją łodzie desantowe, z których jednocześnie opadną rampy, wysypią się żołnierze i nadejdzie decydujący atak.

A to niebezpiecznie blisko tego kruchej kopca z cegieł, w którym znajdował się rzekomy wehikuł czasu.

Ich pierwszą linię obrony stanowiła „granica”, długi i prosty okop ciągnący się od podpory mostu aż do fabryki kleju. Druga linia obrony to „podkowa”, transzeja w kształcie łuku, którą naprędce wykopali wokół leja po bombie z ceglanym kopcem na dnie.

Jeżeli „podkowa” padnie, zostaje jeszcze „fort”. Wejście do bazy dziewczyn wzmocniono pierzeją zbudowaną z worków z piaskiem i podpór, dach tworzyła kolejna warstwa worków i ziemi. Był to prawdziwy bunkier ze stanowiskami dla trzech plutonów obsługujących kartaczownicę Gatlinga, które ustawiono przy otworach artyleryjskich.

„To będzie nasz ostatni bastion... jeśli zajdzie taka potrzeba”.

Odgonił tę myśl uspokajającym uśmiechem.

- Utrzymamy pozycje na tyle długo, żebyś uruchomiła wehikuł czasu i napisała dla nas zupełnie nową historię, panienko Carter. Jestem pewien, że się uda. To świetna strefa obronna.

ROZDZIAŁ 68

New Wellington rok 2001

Na ulicach Wellington roiło się od spalinowych i konnych pojazdów oraz uchodźców. Wszyscy zmierzali na południe. Uciekali przed nieuchronną inwazją. Pogłoski o rozstrzygającej bitwie już od jakiegoś czasu krążyły po kraju. Na głównej ulicy portowego miasta zrobił się zator, powietrze było gęste od ogłuszającego zgiełku: ludzie wznosili gniewne okrzyki, konie niespokojnie parskwały, silniki spalinowe charkotały.

Po chodnikach z obu stron drogi dreptały setki pieszych dźwigających na plecach i ramionach cały dorobek życia. Liam i reszta stali na ganku sklepu z narzędziami, patrząc na zalew objuczonych ludzi.

- Wszyscy uciekają! - mruknął Liam.

- O co chodzi? - spytała Sal. - McManus coś ci mówił? - Wypowiedziała to nazwisko, krzywiąc się, jakby właśnie przełknęła coś ohydneho.

- Coś wydarzy się w Nowym Jorku - odrzekł Liam. - Kapitan wspominał o nowej ofensywie.

- Eskalacja wojny? - mruknął z niechęcią Lincoln. - Czy ten zepsuty świat nie ma jej dość?

- Ale skoro walka rozegra się w Nowym Jorku, to dlaczego wszyscy stąd uciekają? To przecież setki kilometrów stąd, prawda?

- To nie tak znowu daleko - odpowiedział jej jakiś opryskliwy głos.

ROZDZIAŁ 68

New Wellington rok 2001

Na ulicach Wellington roilo się od spalinowych i konnych pojazdów oraz uchodźców. Wszyscy zmierzali na południe. Uciekali przed nieuchronną inwazją. Pogłoski o rozstrzygającej bitwie już od jakiegoś czasu krążyły po kraju. Na głównej ulicy portowego miasta zrobił się zator, powietrze było gęste od ogłuszającego zgiełku: ludzie wznosili gniewne okrzyki, konie niespokojnie parskwały, silniki spalinowe charkotały.

Po chodnikach z obu stron drogi dreptały setki pieszych dźwigających na plecach i ramionach cały dorobek życia. Liam i reszta stali na ganku sklepu z narzędziami, patrząc na zalew objuczonych ludzi.

- Wszyscy uciekają! - mruknął Liam.

- O co chodzi? - spytała Sal. - McManus coś ci mówił? - Wypowiedziała to nazwisko, krzywiąc się, jakby właśnie przełknęła coś ohydneho.

- Coś wydarzy się w Nowym Jorku - odrzekł Liam. - Kapitan wspominał o nowej ofensywie.

- Eskalacja wojny? - mruknął z niechęcią Lincoln. - Czy ten zepsuty świat nie ma jej dość?

- Ale skoro walka rozegra się w Nowym Jorku, to dlaczego wszyscy stąd uciekają? To przecież setki kilometrów stąd, prawda?

- To nie tak znowu daleko - odpowiedział jej jakiś opryskliwy głos.

Odwrócili się i zobaczyli staruszka, który wyszedł ze sklepu za ich plecami. Nawet nie usłyszeli, kiedy otworzył drzwi.

- Nie słyszeliście plotek?

- Plotek? - Liam wzruszył ramionami. - Słyszeliśmy... Anglicy szykują ofensywę.

Staruszek machnął ręką, jakby usłyszał właśnie nieaktualną plotkę.

- Tyle to i moja wnuczka wie, chłoptasiu... Nie, tera gadają już, że do bitki znowu wypuszczą eksperymentalnych. - Skinął głową na przechodzących ludzi. - Poranne gazety o tym huczały. Jacyś do-kerzy przyważyli na rampach wyładowczych gromadę nowych próbówkowców.

Liam popatrzył na Sal i pozostałych, nie miał pewności, czy starzec mówi o zwiadołowcach, czy o huffalach.

- Głupie krety! W nosie to mają, wszystko im jedno, jakie kłepy tu na nas

wypuszczą! Krwiopijcze bestie hodowane do zabijania? Co z tego? To tylko Ameryka, nie? - Gniewnie potrząsnął głową. - Już i tak zalali próbnikowcami cały kraj, wszystkie farmy, wszystkie fabryki... a teraz wymyślili se geniki hodowane i szkolone do zabijania. Nie dziwota, że wszyscy trzęsą portkami. Boją się drugiego Preston Peak. - Wskazał głową zatłoczoną ulicę. - Doba nie minie, a to miejsce zamieni się w wymarłe miasto. Teraz będę musiał zabić mój sklepik dechami, żeby mi się szabrowniki do zapasów nie dobrali, i chyba sam ruszę na południe. Zostanę tam, aż powy-łapują wszystkie potwory i wsadzą je nazad do klatek. Bóg wie, co to będzie... nie chcę być jedynym głupcem w mieście i czekać, aż znowu stracą nad nim kontrolę.

- Słusznie - odparł Liam, potakując głową.

- Ale, ale... - Starzec spochmurniał. - Przyszłeś tu z przyjaciółmi, żeby co kupić może?

- Nie, my tylko... zesliśmy z drogi przed naporem...

- A co to ja hotel prowadzę!? - Zerknął na kolosalną postać Boba, który zgarbił się, żeby zmieścić swą kudłatą głowę pod markizą zawieszoną nad witryną staruszka. - Przez was nie widzą mnie klienci! Albo już mi zjeżdżać z tego ganka, albo coś kupcie!

Liam westchnął.

- Dobrze już... dobrze, idziemy.

Gdy zszedł po stopniach na chodnik, wchłonął go kłębiący się tłum uchodźców. Ruszył pod prąd, mijając przeróżne postaci - bogatych i biednych, mężczyzn w melonikach i czapkach z daszkiem, kobiety w koronkowych czepkach i wypłowiałych szalach - istny potop podenerwowanych mieszczuchów, którzy klęli pod nosem i mamrotali nieprzyjaźnie, gdy Liam przeciskał się w kierunku przeciwnym do wlekącej się karawany.

Godzinę później stali na poboczu drogi wiodącej na północny wschód od New Wellington. Szosę wciąż korkowały mechaniczne pojazdy i wozy, które nieznośnie wolno, ale jednak, przesuwały się ku południowym stanom.

- Wygląda na to, że wszyscy z północy uciekają - rzekł Liam.

Zastanawiał się, dlaczego tak wielu cywilów mieszkało w bezpośrednim sąsiedztwie linii frontu. Przecież McManus mówił, że wojna trwa nieprzerwanie już od wielu lat, a linia frontu, ciągnąca się na zachód przez stan Nowy Jork, Pensylwanię, Ohio, Illinois, wciąż zmienia położenie w wyniku pomniejszych potyczek, po których okopy przenoszą się dwa kilometry w jedną lub w drugą stronę.

Z drugiej strony armie pozostają w klinczu. Ludzie przywykli już do takiego stanu rzeczy. Przywykli do odległych grzmotów i huków, które odzywają się nagle i przemijają szybko jak burza z piorunami.

„Jakoś przecież trzeba żyć... i to ludzie starają się robić”.

Teraz oczywiście sytuacja się zmieniła. Krążące pogłoski o wielkiej ofensywie i planowanym ataku geników morderców zrobiły swoje.

- To niemądre - powiedziała Sal. - Genicy nie są groźni... przynajmniej ci, którzy nas porwali tacy nie byli. Prawda? - Zadarła głowę, spoglądając na Lincolna.

- To żalosne stworzenia - powiedział. - Prawdę mówiąc, uważam je za godne politowania istoty.

Liam wciąż nie potrafił wyrobić sobie zdania na temat geników. Patrzył na zalew przejeżdżających ludzi i doskonale rozumiał ich przerażenie. Atak geników na gospodarstwo był okrutny i przerażający. No ale dowiedział się przecież, że mieli do czynienia jedynie z bandą zbiegłych pracowników. Wystraszonych i zagubionych. Pragnęli jedynie znaleźć jedzenie i przeżyć.

Ale skoro to były tylko przerażone istoty, to ciężko sobie nawet wyobrazić, jak groźni muszą być genicy bojowi. Raz zresztą widział jeden podobny gatunek. Zwiadołowców. Nie sprawiali wrażenia szczególnie niebezpiecznych.

„Muszą być jeszcze inne gatunki, których nie widzieliśmy”.

- Powinniśmy się zbierać. Ruch na drodze chyba zelżał. Teraz powinniśmy poruszać się szybciej, wyszliśmy poza granice miasta. Daleko stąd do Nowego Jorku, Bob?

- Informacja: sto siedemdziesiąt osiem kilometrów.

- A tam, czyli nie jest źle. - Liam uśmiechnął się. - To wcale nie tak daleko. Idziemy?

ROZDZIAŁ 69

Nowy Jork rok 2001

- O mój Boże! - krzyknęła Maddy, odwracając się do Beki, która stała przy biurku z komputerami. - To naprawdę działa!

Patrzyła, jak niewyraźna bursztynowa dioda zapala się na czte-rozaworowym konwerterze napięcia.

- Mamy odpowiednie napięcie!

- Potwierdzam.

Maddy schyliła się pod biurko i włączyła najbliższą jednostkę centralną. Zapalił się jeden z monitorów. Włączyła następny i następny, nareszcie pracowało wszystkie dziewięć komputerów.

Chciała, żeby zobaczyli to pułkownicy. Chociaż wiedziała, że niemal uwierzyli w jej

opowieść, nie zaszkodzi, jeśli zobaczą, jak maszyny budzi się do życia. Pognała przez bazę, ślizgając się na zalegającej warstwie kurzu i przeskakując przez grube kable zasilania biegnące pod podniesionymi drzwiami rolety. Za niskim wejściem do „fortu” plątanina przewodów odchodziła w lewo i wiała się jakieś dwadzieścia metrów wzdłuż świeżo wykopanego okopu. Dalej kable wspinały się na tylną ściankę transzei i biegły kilka metrów przez porośnięty chwastami i zavalony gruzem obszar, po czym wpełzały przez otwarty właz w tylnej masce czołgu Mark Czwarty. Obudowa silnika, masywna i pokryta rdzą, podskakiwała irytująco jak dachowiec uwięziony w pudełku na kapelusze. Rura wydechowa, zamontowana na wierzchołku kwad-ratowej żelaznej wieżyczki, wypływała z siebie gęstą chmurę dymu.

Rzęzący silnik czołgu napędzał koło zamachowe, wokół którego obracał się pasek rozrządu - kawałek grubej skóry - który zdjęto z wału napędowego pojazdu i podłączono do przytarganego tu wcześniej zdewastowanego generatora. Pasek obracał wewnętrznym wirnikiem generatora.

Poniżej, bliżej rzeki, zobaczyła Wainwrighta i Devereau, którzy stali nad „granicą”. Devereau uklęknął i zaczął coś wyjaśniać żołnierzowi, którego głowa wystawała z okopu, Wainwright popalał fajkę i patrzył na drugą stronę rzeki.

- Hej! Wy dwaj! Pułkownicy! - zawołała, próbując przekrzyknąć wściekły warkot silnika.

Pomachała im, gdy popatrzyli w jej stronę.

- Działa! Mamy prąd!

Poczekala, aż do niej podejda, po czym zaprowadziła ich z powrotem do okopu. Idąc śladem wijącego się po ziemi kabla, przeszli przez fort i weszli do bazy. Maddy podeszła do rzędu monitorów, na których wyświetlała się ta sama tapeta, którą ustawiła kilka dni temu.

Zdjęcie Homera Simpsona.

- Dobry Boże! - sapnął Devereau, niepewny, co sądzić o tej ścianie uśmiechniętych twarzy.

Maddy wyciągnęła krzesło i usiadła przy biurku.

- Komputerze-Bob? Jesteś tam?

- Ta... ta żółta twarz - rzekł Wainwright - to twarz twojego komputera?

- Hmm? Spojrzała na monitory. - O nie... To tylko... - Zmarszczyła nos. - Nieważne.

Na monitorze przed jej oczami pojawiło się okno dialogowe.

> Witaj, Madeline. Wygląda na to, że wystąpiła poważna awaria.

Musiał widzieć obróconą w ruinę bazę za jej plecami albo zarejestrował wewnętrzne

problemy z co najmniej jednym z podłączonych do sieci komputerów.

> Wykrywam też dwie nieupoważnione osoby w bazie.

- Spokojnie Bob... spokojnie. Mają moje upoważnienie na przebywanie w bazie.

> Potwierdzam.

Wainwright szeroko otworzył usta.

- Macie gadające urządzenie?

- A tak... to Bob, właściwie komputer-Bob. Nie należy go oczywiście mylić z Bobem, który jest komputerem o wyglądzie mężczyzny i kopią komputera-Boba... i w jakimś stopniu kopią Beki, która też jest zresztą kopią komputera-Boba... - Spojrzała na kompletnie zdezorientowanych pułkowników. - Jak to ująć? Beki i ten system komputerowy to rodzina... w pewnym sensie.

- Rodzina? - spytał Wainwright, patrząc na Devereau, który wcale nie wyglądał na mądrzejszego.

- Bob, uderzyła w nas fala czasu, duża.

> To oczywiste.

- To przez to, że Lincoln jest w dwa tysiące pierwszym roku, zamiast w dziewiętnastym wieku.

> To najbardziej prawdopodobna konkluzja. Jaka jest aktualna lokalizacja Lincolna?

- Nie mamy takich danych - powiedziała Beki.

> Witaj, Beki.

- Witaj, komputerze-Bob.

Maddy niecierpliwie stuknęła pięścią w biurko.

- Oszczędźcie sobie tę kurtuazję na później. Teraz musimy im wysłać wiadomość!

- Ich ostatnia znana lokalizacja - powiedziała Beki - to okno otworzone w pobliżu akademii szkoleniowej FBI w Quantico, w Wirginii. To było pięć dni temu.

> Potwierdzam. Takie współrzędne są zapisane w moim rejestrze zdarzeń.

- Pewnie postanowili tu wrócić - stwierdziła Maddy. - Jak daleko to jest?

- Informacja: trzysta sześćdziesiąt trzy kilometry.

- No to raczej powinni być z powrotem. - Przygryzła wargi. - Chyba że zostali na miejscu i czekają aż otworzę okno w miejscu zrzutu.

> To również jest prawdopodobne.

Maddy zwinęła pięść i bluznęła. Pułkownicy wymienili zdziwione spojrzenia, zachwyceni tym barwnym doborem słów.

- Czekajcie! - Uniosła palec do góry. - Mogę podarować im tyle czasu, ile potrzebują...

nawet cały miesiąc, jeśli tyle trzeba, żeby...

- Nie wstrzymamy Anglików na cały...!

Maddy potrząsnęła głową.

- Spokojnie... spokojnie. To translokacja czasowa. Otworzę portal, jak tylko wehikuł się naładuje, czyli za jakieś dwanaście godzin, ale ustawię sygnaturę czasową na następny miesiąc, licząc od dzisiaj. Widzicie... podczas translokacji czasowej wszystkie wymiary czasu - przeszłość, terażniejszość i przyszłość - to w rzeczywistości tu i teraz... o ile ma się wystarczająco dużo mocy, aby po nie sięgnąć. Proste jak drut.

Przez okno dialogowe śmignął kursor.

> Zaprzeczam.

- Co?

> System diagnostyczny wehikułu translokacyjnego wskazuje, że moduł analityczny fazy trzeciorzędowej uległ awarii. Nie możemy otworzyć okna w przyszłości.

Uderzyła pięścią w biurko.

- Dlaczego zawsze wszystko musi być tak cholernie...? Arghhh! - Potrząsnęła głową.

- Czy to znaczy, że wasz wehikuł nie działa? - spytał Devereau.

Maddy westchnęła.

- Nie... nie, to tylko oznacza, że będziemy musieli odczekać dany okres w czasie rzeczywistym. - Wzruszyła ramionami. - Ależ ze mnie idiotka... a łudziłam się, że choć raz wszystko pójdzie jak z płatka.

Usadowiła się wygodnie w krześle.

- No dobra... teraz trzeba uruchomić plan B. Wybierzemy lokalizację mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Nowym Jorkiem a Quantico i damy im... ile? Dwa dni... nie, trzy dni, żeby mieć pewność, że zdołają dotrzeć na miejsce.

- Licząc od teraz? - spytał Devereau.

Skinęła głową. Potem zauważyła zmartwienie odbijające się w twarzach obu mężczyzn.

- Co, nie wytrzymamy tyle? - Jej wzrok biegł od jednego do drugiego. - Czy gdyby Anglicy zaatakowali teraz, wasi żołnierze utrzymaliby ten odcinek przez trzy dni?

Oficerowie spojrzeli na siebie. W końcu milczenie przerwał Wainwright.

- Wszystko zależy od tego, jakie siły na nas rzucą... no i oczywiście, jak szybko zdecydują się zareagować na pogłoski o buncie.

- I z jakim zaangażowaniem będą walczyć nasi chłopcy - dodał Devereau.

Wainwright kiwnął głową.

- Oficerowie z mojego pułku będą walczyć do końca, jestem pewien. Po złożeniu broni wszyscy wyżsi stopniem oficerowie i tak staną przed plutonem egzekucyjnym. A rekruci? Czeka ich co najwyżej angielski obóz jeniecki.

Devereau posępnie pokiwał głową.

- Podobny los czeka też naszych oficerów. Ale szeregowcy dadzą z siebie wszystko, bo jeśli Południe zaatakuje, to i tak nie mają gdzie uciekać. Za naszymi plecami, z karabinami w rękach, czekają już żołnierze Legii Cudzoziemskiej, gotowi zastrzelić każdego uciekiniera.

- Więc? - Maddy wciąż czekała na odpowiedź. - Trzy dni?

Wainwright podrapał się po brodzie.

A

- Tak dla pewności... możesz nam obiecać nową wersję historii?

- Tak, jeśli zdołam ich odebrać i zrzucić do tysiąc osiemset trzydziestego pierwszego roku.

„No i jeśli Lincoln wciąż żyje”.

Podjeżdżała, że ani Liamowi, ani Bobowi nic się nie stało; jak dotychczas ta dwójka skutecznie stawiała czoła wszystkim przeciwnościom losu. Sal jest natomiast bezpieczna pod ich opieką. Ale Lincoln... ten facet to świr jakich mało. Pleciuga i narwaniec. Przez cały ten tydzień mogło się z nim stać dosłownie wszystko.

- W takim razie nasi żołnierze dadzą wam te trzy dni - obiecał Wainwright. - Co ty na to, Williamie?

Devereau pokiwał głową.

- Mamy dobrą pozycję obronną.

Maddy odwróciła się twarzą do kamerki internetowej na biurku.

- Okej, komputerze-Bob. Odbiór nastąpi za trzy dni od dzisiaj, teraz musimy po prostu wybrać lokalizację gdzieś w połowie drogi między Nowym Jorkiem a Quantico. Cichą i spokojną lokalizację.

> Potwierdzam.

- Ładunek wystarczy, żeby wysłać sygnał o szerokim zasięgu?

> Potwierdzam. Informacja: za pomocą systemu diagnostycznego wychwyliłem kilka błędów kalibracyjnych w ustawieniu anteny transmisyjnej.

- Potwierdzam - powiedziała Beki. - Podłączyliśmy komponent zastępczy - konwencjonalny talerz radiokomunikacyjny. Mogę ci pomóc w rekaliibracji, Bob.

- Dobra, zajmijcie się tym teraz oboje. - Odwróciła się do Wainwrighta i Devereau. - Macie jakąś aktualną mapę? Musimy wyznaczyć cel podróży dla naszych przyjaciół.

ROZDZIAŁ 70

New Wellington rok 2001

Iskry wirowały nad ogniskiem, jednym z kilkudziesięciu, jakie na poboczach drogi rozpalono dzisiejszej nocy. Uchodźcy zmierzający pieszo na południe, tak jak Liam, Sal i Lincoln zatrzymali się na nocny spoczynek na poboczu drogi, żeby odpocząć, pożywić się i może zaznać trochę snu.

Nad ogniem piekli kolby kukurydzy, które dzisiaj wieczorem zerwali z pola. Po drugiej stronie drogi ktoś prażył w płomieniach ziarna kawy, ktoś inny solony boczek.

- Dzisiaj jest chłodniej - zauważył Liam.

Sal, wtulona w niego, skinęła głową.

- Wszystko w porządku, Sal? - spytał.

Po raz drugi kiwnęła głową, nie odrywając błyszczących oczu od ognia.

- Rozumiem - powiedział. - Wiem, że to, co się wydarzyło, jest trudne...

- Trudne? - wyszeptała. Trudne to mdłe, nieprzemyślane słowo, jeśli się pomyśli o tym wszystkim, czego byli świadkami. - Ja... ja wciąż mam to przed oczami. Rozumiesz? - Podniosła na niego wzrok. - Widzę, jak Samuel na mnie patrzy gdy do niego strzelają. Był... - Jej głos niemal zgasł. Oboje w milczeniu wpatrywali się w płomień, patrzyli, jak kolby leżące na skraju ogniska powoli czernieją.

- Czuję... - Zaczęła obgryzać paznokiec. - Czuję się dziwnie. Jakbym... jakbym nie była już tym, kim byłam wcześniej. Nie jestem już tą samą Saleeną.

- Oboje wiele tu przeszliśmy. - Liam pokiwał głową. - I ja, i ty.

- Moje stare życie - rodzice, dom, przyjaciele ze szkoły - mam wrażenie, że stało się częścią życia kogoś innego, nie należy już do mnie. Wiesz, co mam na myśli?

- Tak - powiedział cicho. - Czuję to samo.

- Mam wrażenie, że ty, ja i Maddy znamy się od lat - powiedziała, choć wiedziała dokładnie, jak długo razem pracują: sto pięćdziesiąt pięć dni. Siedemdziesiąt pięć cykli czasowych i pięć dni.

- W moim przypadku to bardziej prawda - zauważył Liam. - Spędziłem sześć miesięcy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku... i kolejne sześć miesięcy w dwunastym wieku. Do tego dochodzą czasy dinozaurów. - Popatrzył na nią z niepewnym wyrazem twarzy. - Wiesz co? Od momentu rekrutacji przeżyłem rok więcej niż wy.

- Wiem. - Przechyliła głowę, żeby lepiej przyjrzeć się pasmu siwych włosów nad jego

skronią. - I wyglądasz starzej.

- Mam już siedemnaście lat - powiedział z udawaną powagą. - Przegapiłem swoje urodziny!

Uśmiechnęła się i lekko uderzyła go pięścią w ramię.

- No to wszystkiego najlepszego.

Wziął w dłoń kij i dotknął nim jednej z nadpalonych kolb. Wciąż była twarda jak podeszwa. Po drugiej stronie ogniska Lincoln długo opowiadał Bobowi o swoim dzieciństwie, mamrotał coś właśnie o obdzieraniu zajęcy ze skóry.

- Ale masz rację - podjął Liam po chwili.

- Z czym?

- Że jesteśmy już kimś innym. Ty, ja i Maddy. Widziałem i robiłem rzeczy, które musiały mnie zmienić.

- Na przykład?

- Na przykład... zabiłem człowieka.

- Naprawdę?

Ze smutkiem pokiwał głową.

- W bitwie o Nottingham. Przebiłem żołnierza mieczem. Spojrzał na mnie... wpatrywał się we mnie, a ja w niego. Sam nie wiem, Sal, zupełnie jakby chciał zyskać pewność, że dobrze mu się przyjrzę w ostatniej minucie jego życia, jakby chciał, żebym zapamiętał go na zawsze. - Liam potrząsnął głową. - I udało mu się. Teraz widzę go każdej nocy... w moich snach. Tego samego człowieka. Tę samą twarz.

- Śniesz czasem o dniu, w którym zwerbował cię Foster?

Liam przymknął oczy. Ostatnio nie. Od czasu Nottingham w snach na okrągło nawiedza! go ten mężczyzna.

- Śniłem.

- Ja tak - przyznała Sal. - Niemal każdej nocy Pamiętam najdrobniejsze szczegóły. Te same obrazy przesuwają mi się co noc w głowie jak w holofilmie.

Kiedyś opowiedziała mu, jak ją zwerbowano.

- Ogień?

Sal pokiwała głową.

- Każdego ranka budzę się ze łzami w oczach... czuję się, jakbym dopiero co opuściła moich rodziców... jakbym po raz kolejny zostawiła moją mathaji, mojego babę.

- Ja ledwie pamiętam rodziców - powiedział. Próbował przypomnieć sobie ich twarze, przywołać uśmiechy, grymasy niezadowolenia. Lecz tylko jedno wspomnienie by!o wyraźne:

pamiętał, jak trzyma w rękach ich zdjęcie, niemiłosiernie wyblakłą fotografię w starej posrebrzanej ramie. Potrząsnął głową. Jak to w ogóle możliwe, że prawie nie pamięta twarzy własnych rodziców?

- Ale jest jedna rzecz, Liamie, jedna dziwna rzecz...

Dał już sobie spokój z wyławianiem z pamięci obrazu mamy i taty. Przepadli. Należą do innego życia.

- Co? Jaka dziwna rzecz?

- Wspomnienie Fosterera ratującego mnie z płonącego wieżowca. Ten moment, kiedy budynek zaczyna się walić. To straszne. - Po-trząsnęła głową i skrzywiła się, wyobrażając sobie zapadającą się pod jej stopami podłogę i uczucie spadania... prosto w płomienie smagające ją ognistymi jęzorami i wciągające do piekła.

- Spadam, Liamie... ale tuż pode mną wiruje pluszowa zabawka. Pluszowy miś. Niebieski pluszowy miś. Należał do jednego z moich sąsiadów, synka pani Chaudry. Byłam jego niańką.

Wzruszył ramionami.

- Co w tym znowu dziwnego?

- Widziałam go, Liamie. Tego samego misia, dokładnie tego samego misia, w sklepie ze starzyzną w naszej dzielnicy.

ROZDZIAŁ 71

New Wellington rok 2001

Siedzący po przeciwnej stronie ogniska Lincoln wydawał się skwaszony, zdezorientowany i zdenerwowany.

- Jak to możliwe, że zniknięcie jednego człowieka tak głęboko odmieniło świat? - wymamrotał. - To niedorzeczna idea. Nawet jeśli mowa o człowieku o moim potencjale. - Podrapał się po czarnej brodzie. - Zawsze pragnąłem być kimś, ale żeby cała rzeczywistość wywróciła się do góry nogami dlatego tylko... że mnie zabrakło? Wciąż nie potrafię objąć tego umysłem.

- Jest to możliwe, ponieważ wszystkie wymiary czasu - przeszłość, teraźniejszość i przyszłość - istnieją jednocześnie. Tym samym można logicznie założyć, że przyszłość już się wydarzyła - wyjaśnił Bob, nie przestając uważnie przeczesywać wzrokiem pograżonej w mroku okolicy. - Dlatego wszystkie wydarzenia są, w pewnym sensie, określone z góry. Każde wydarzenie, każdy człowiek jest częścią ustalonej sekwencji wydarzeń. - Spojrzał na

Lincoln. - Ta predeterminowana sekwencja - można ją też nazwać „historią” - toleruje co prawda nieobecność lub modyfikację nieistotnych wydarzeń, ale pana wpływ na wynik wojny secesyjnej był decydujący.

- Może zechcesz mi zatem wyjawić więcej szczegółów dotyczących mego przyszłego żywota? Z pewnością pomoże mi to dokonywać jedynie słusznych wyborów i w rezultacie zostać prezydentem Północy w czasie wojny.

- Zaprzeczam. Nic nie powinien pan o tym wiedzieć. Wypełni pan swoje przeznaczenie dzięki zbiegowi wydarzeń historycznych, sprzyjających okoliczności i własnemu charakterowi.

- Lecz pokrętny los szykuje mi zapewne wiele pułapek, a moje przeznaczenie nie raz zawisnie na włosku, gdy - Lincoln potrząsnął głową, myśląc nad obrazowym przykładem - piękna dama kuszącym uśmiechem zechce sprowadzić mnie na manowce.

- Gdyby bieg pańskiego życia rzeczywiście zależał od tak marginalnych zmiennych, byłby pan „pomniejszym czynnikiem sekwencyjnym”, a pańskie zniknięcie nie wywołałoby żadnej fali czasu.

- Bob przekrzywił głowę, próbując pobrać z bazy danych odpowiedni cytat. - „Przeznaczenie ma wobec pana plany”.

Lincoln utkwiał wzrok w płomieniach, jakby migocące kształty skrywały odpowiedzi czekające na odkrycie.

- Innymi słowy... twierdzisz, że muszę zawierzyć własnej intuicji?

- Potencjał, który się ujawni w przyszłości, już w panu drzemie - powiedział Bob. - Ludzki umysł to magazyn danych... wspomnień. Wspomnienia i behawioralna matryca dziedziczona po przodkach to czynniki, które definiują człowieka.

Lincoln skinął głową. Wydawało mu się, że pojął sens tych słów Kiedyś przeprowadził bardzo podobną rozmowę ze swoim ojcem. Prostym, niewykształconym człowiekiem, którego życiowa mądrość wyrastała ponad spracowane ręce farmera.

„Jesteśmy tym, co widzimy i co widzieli nasi przodkowie”.

A w ciągu kilku ostatnich dni widział kilka niewiarygodnych rzeczy, na przykład te istoty. Gadające stwory zdolne formułować inteligentne myśli - potrafiące czytać i pisać, na Boga! - traktowano tu jak prywatną własność, przedmioty, jak rzeczy, które można wyrzucić lub przetworzyć, gdy się popsują. Widział istoty o ludzkiej inteligencji, którymi pomiatano jak bezpańskimi psami - gorzej, jak byłem prowadzonym na rzeź.

- Sądzę, że możesz mieć dużo racji, Bob. Mój ojciec raz...

- Chwileczkę. - Bob przekrzywił głowę i zaczął mrugać.

Lincoln zerknął na niego nieufnie.

- Co się, u diabła, z tobą dzieje?

Liam przerwał rozmowę z Sal. Oboje spojrzeli przez ognisko na Boba.

- Bob? Wszystko...?

- Potwierdzam, Liamie. Wykrywam cząstki tachionowe.

- Wreszcie! - powiedziała Sal - Co mówi Maddy?

Bob wciąż siedział z przechyloną głową, jak pies nasłuchujący nawoływania swojego pana.

- Chwileczkę... kompiluję wiadomość.

Lincoln patrzył na nich z niedowierzaniem, podejrzewając, że cała trójka kompletnie oszalała.

- Chcecie mi powiedzieć, że przemawia do niego teraz panienka Carter?

- Tak jakby. - Liam wzruszył ramionami.

Bob skinął głową, wyprostował się i spojrzął na Liama.

- Dostaliśmy sygnaturę czasowo-lokalizacyjną.

- Gdzie otworzą portal? - spytała Sal.

- I przede wszystkim kiedy? - dodał Liam.

- Za siedemdziesiąt jeden godzin, pięćdziesiąt dziewięć minut i trzy sekundy.

- Czyli za trzy dni, mówiąc po ludzku - doprecyzował Liam, spoglądając na Lincolna.

- Punkt ekstrakcji znajduje się czterdzieści dziewięć kilometrów na zachód od aktualnej lokalizacji. Nazwa tego miejsca to New Chelmsford.

Liam podparł kciukiem podbródek i spojrzął w mrok. Aby podążać we wskazanym kierunku, będą musieli zjechać z drogi północno-południowej. Czeka ich marsz przez wiejskie okolice, z dala od dróg zablokowanych przez tabuny uchodźców. Z dala od Nowego Jorku.

„Zrobiła to świadomie. Wyznaczyła nam ustronne i bezpieczne miejsce”.

- To długi spacer... ale damy radę. Wyruszamy z samego rana.

ROZDZIAŁ 72

Nowy Jork rok 2001

Wainwright upił łyk kawy i cmokając, oblizał usta.

- Mówicie na to kawa instant?

Maddy spojrzała na słoik obok czajnika na małym stoliku.

- Tak. W naszych czasach jesteśmy dość leniwi. Wystarczy nastawić czajnik i wsypać łyżeczkę kawy do kubka. - Zaśmiała się.

- Wcale nie trzeba zawracać sobie głowy prażeniem i mieleniem własnych ziarenek.

Jej samopoczucie znacznie się poprawiło: w bazie rozbłysło światło, monitory komputera-Boba znów emitowały migającą poświatę, a wehikuł translokacyjny szumiał, powolnie się ładując. Na zewnątrz, poza zasięgiem ich wzroku, z warkotem obracał się silnik czołgu, wydając mechaniczne, wściekle syki, zupełnie jakby miał ochotę rzucić ręcznik i dać za wygraną przy pierwszym głosie krytyki.

Żołnierze zeszli już do okopów, konfederaci i unioniści tworzyli teraz jeden, pełny pułk. Mężczyźni w granatowych i szarych bluzach wpatrywali się w szeroką, oświetloną księżycem, East River i wyrastające za nią rozłupane kontury Manhattanu.

- Anglicy rzadko atakują nocą - rzekł Wainwright, wracając do dyskusji na temat przygotowań do obrony. Prychnął śmiechem.

- Byłoby to zapewne „szalenie niehonorowe”. - Upił łyk kawy. - To oczywiście nie znaczy, że dzisiaj tego nie spróbują.

ROZDZIAŁ 72

Nowy Jork rok 2001

Wainwright upił łyk kawy i cmokając, oblizwał usta.

- Mówicie na to kawa instant?

Maddy spojrzała na słoik obok czajnika na małym stoliku.

- Tak. W naszych czasach jesteśmy dość leniwi. Wystarczy nastawić czajnik i wsypać łyżeczkę kawy do kubka. - Zaśmiała się.

- Wcale nie trzeba zawracać sobie głowy prażeniem i mieleniem własnych ziarenek.

Jej samopoczucie znacznie się poprawiło: w bazie rozbłysło światło, monitory komputera-Boba znów emitowały migającą poświatę, a wehikuł translokacyjny szumiał, powolnie się ładując. Na zewnątrz, poza zasięgiem ich wzroku, z warkotem obracał się silnik czołgu, wydając mechaniczne, wściekle syki, zupełnie jakby miał ochotę rzucić ręcznik i dać za wygraną przy pierwszym głosie krytyki.

Żołnierze zeszli już do okopów, konfederaci i unioniści tworzyli teraz jeden, pełny pułk. Mężczyźni w granatowych i szarych bluzach wpatrywali się w szeroką, oświetloną księżycem, East River i wyrastające za nią rozłupane kontury Manhattanu.

- Anglicy rzadko atakują nocą - rzekł Wainwright, wracając do dyskusji na temat

przygotowań do obrony. Prychnął śmiechem.

- Byłoby to zapewne „szalenie niehonorowe”. - Upił łyk kawy. - To oczywiście nie znaczy, że dzisiaj tego nie spróbują.

Na przeciwległym brzegu East River zostawili mały oddział żołnierzy, który wypatrywał zwiastunów brytyjskiej inwazji. Nad wodą wciąż biegł kabel telefoniczny. Pierwszy niepokojący znak i chwycą za słuchawkę, żeby podać orientacyjne siły wroga, a potem szybko przepłyną przez rzekę w motorówce.

- Przewiduję jednak, że dzisiaj jeszcze będziemy mogli delektować się kawą. - Wainwright wyjął z kieszeni porysowaną piersiówkę. - Pułkownik Devereau, nie przydałaby się pańskiej kawce instant kapka prądu?

Devereau uśmiechnął się i uniósł kubek, aby dowódca konfederatów dolał do jego kawy miarkę whisky.

- Kropelkę... żeby nie zaszumiało mi w głowie.

- W rzeczy samej. - Wainwright stuknął kubkiem o kubek Devereau i obaj wiali w gardło łyk napoju.

- Maddy, opowiedz nam jeszcze o podróżowaniu w czasie - poprosił Devereau. - Ta koncepcja jest całkowicie fascynująca, ale i odrobinę niejasna.

- Co chcesz dokładnie wiedzieć?

Devereau sprawiał wrażenie skołowanego.

- Może... zacznijmy od samego podróżowania w czasie. Jak to przebiega?

Przymknęła oczy, głębiej zastanawiając się nad odpowiedzią.

- To... to jest bardzo dziwne. Wokół panuje upiorna biel. Człowiek jest zawieszony w przestrzeni, a właściwie pomiędzy dwiema przestrzeniami. W innym wymiarze. Bo to się wtedy faktycznie dzieje, porzuca się konwencjonalną czasoprzestrzeń i wchodzi się do niej ponownie w innym miejscu, wcześniej lub później.

- Jakiego sformułowania panienka użyła? - spytał Wainwright. - Inny wymiar?

- Tak. Zakładam, że rozumiecie, czym są trzy wymiary? Góra i dół, prawo i lewo, przód i tył?

- Ach! Chodzi panience o osie ruchu? - spytał Wainwright. - O tym panienka mówi?

- Tak. To „wymiar przestrzeni”. Tak je nazywamy. Na mojej osi czasu fizycy mówią o jedenastu wymiarach przestrzeni. O jedenastu osiach ruchu.

- To nie ma sensu! - powiedział Devereau. - Jest góra i dół, lewo i prawo, przód i tył, ale co jeszcze?

- Właśnie w tym szkopał. My ludzie potrafimy wizualizować jedynie trzy wymiary,

bo w takiej przestrzeni żyjemy. Ale pozostałe wymiary naprawdę istnieją, bez względu na to, czy w nie wierzymy, czy nie... czy możemy ich doświadczyć, czy nie. Proszę wyobrazić sobie dwuwymiarowy świat. - Maddy wyrwała z leżącego na stole notesu kartkę papieru w linie i położyła ją między dwoma pułkownikami. Złapała za długopis i naszkicowała na kartce zwykłego ludzika. - Przedstawiam wam Freda, który mieszka w swoim dwuwymiarowym świecie. Fred widzi i porusza się w czterech kierunkach: w górę i w dół, w lewo i prawo. Jasne?

Obaj skinęli głowami.

Naszkicowała kolejną koślawą postać, tym razem w spódnicy i z wydętymi wargami.

- A to jest Loretta. Jeśli Fred spojrzy na Lorette, wcale nie będzie miał pewności, czy patrzy na chłopca, czy dziewczynę. Jak myślicie, dlaczego?

Obaj pułkownicy w zadumie gładzili się po brodzie.

- Jak myślicie, co widzi Fred, gdy na nią patrzy?

- Krzywo narysowaną lalunię? - spytał Wainwright.

- Nie. Widzi same płaskie linie. Może patrzeć jedynie wzdłuż powierzchni papieru. Jeśli sami przyłożycie do papieru głowę, to zobaczycie ten mały światek z jego perspektywy. Loretta jest zbudowana z samych linii. Fred nigdy nie zobaczy jej powabnych ust ani dziewczęcej spódniczki. Do końca życia będzie widział tylko proste linie, ponieważ nie potrafi spojrzeć na kartkę z zewnątrz. Nie dowie się, że stoi przed nim kobieta i nigdy się w sobie nie zakochają.

Devereau zmarszczył czoło.

- A czy Fred może patrzeć w górę? Widzi nas?

- Nie. Choć pochylamy się tuż nad nim, on nie rozumie pojęć takich jak świat na kartce i poza kartką, dlatego nie wie, że istniejemy.

Usiadła z powrotem na krześle.

- Podobnie my, mieszkańcy trójwymiarowego świata, nie widzimy ani nie rozumiemy pozostałych wymiarów czasu. Lecz samo to, że ich nie widzimy, nie oznacza, że nie istnieją.

- Rozumiem - powiedział, ale Maddy wcale nie była pewna, czy rzeczywiście.

- Dla Freda podróżowanie w czasie - podjęła - oznaczałoby podniesienie go z jednego fragmentu kartki i zrzućenie w drugim rogu.

- To zapewne nie byłoby miłe doświadczenie dla Freda - zauważył Wainwright.

- Ja też raczej za tym nie przepadam - odrzekła Maddy. - To uczucie podobne do spadania.

Przez chwilę milczeli. Kilku mężczyzn siedzących na zewnątrz wokół nocnego

ogniska wybuchło śmiechem.

- Jeśli wam się uda i ten Abraham Linford...

- Lincoln.

- Abraham Lincoln... powróci do swoich czasów, to historia zostanie napisana na nowo?

- Tak.

- Powiedz mi - poprosił Devereau - co to oznacza dla nas? Dla mnie, Jamesa... dla naszych ludzi. Będziemy tego świadomi? Będziemy wiedzieć, że to się dzieje?

Pokiwała głową.

- Zobaczycie to na własne oczy. To naprawdę niesamowity widok.

- Proszę o tym opowiedzieć. Co zobaczymy? - spytał Wainwright.

- Zobaczycie... - W poszukiwaniu inspiracji popatrzyła na Beki, która posłała jej tylko beznamienne spojrzenie. - Zobaczycie ścianę rzeczywistości, czoło dużej fali. Fali, która początkowo jest niewyraźną zmarszczką na wodzie, ale podróżując przez dni, miesiące, lata, dekady... wieki rośnie i rośnie do olbrzymich rozmiarów. A kiedy wreszcie nadchodzi... - Potrząsnęła głową. Na jej przedramionach wytrysnęła gęsia skórka. - Wygląda to jakby... sama nie wiem... jakby zapadła się skorupa ziemska, a jeden koniec fali połykał drugi. Jest wielka jak łańcuch górski, ale zbudowany z wirującej i kłębiącej się cieczy, która rozlewa się w zastraszającym tempie... cholernie szybko. Nie da się jej prześcignąć.

Otworzyła oczy.

Devereau pobladł.

- To brzmi naprawdę przerażająco.

- Gdy widzi się ją po raz pierwszy - rzuciła niedbale - jest naprawdę straszna.

- A kiedy fala do nas dotrze, panienko Carter? - Wainwright rozłożył ręce. - Co wtedy?

- Zmienicie się wraz z całym światem.

- Zmienimy? Jak? To bolesne uczucie? Nieprzyjemne?

- Nie. Po prostu przestaniecie istnieć, pojawi się alternatywna wersja was samych.

Proste.

Mężczyźni wymienili spojrzenia. Wainwright zmrużył oczy.

- Czyli... ta fala nas zmiecie, zniszczy?

Maddy przygryzła wargę. Właściwie miał sporo racji.

- Nadejście tej fali położy kres mojemu istnieniu? - spytał Wainwright. - Moje osiągnięcia zostaną przekreślone? Moje słodkie i gorzkie wspomnienia, moja rodzina w

Richmond, wszystko to zniknie? Wyparuje?

Zastanawiała się, czy powinna delikatnie nagiąć prawdę, tak, żeby brzmiała przystępniej, żeby była łatwiejsza do przełknięcia dla pułkownika z Południa. Doszła jednak do wniosku, że powinna być z nim szczerą.

- Tak... to będzie koniec, ale - dodała szybko - i narodziny nowego ciebie.

- Nowego mnie? - Wainwright zmarszczył brwi. - Nowego mnie? Pojawi się co najwyżej inny mężczyzna o moim nazwisku i tych samych rysach twarzy - Spojrzał na Devereau. - Williamie, czy my nie poświęcamy naszego życia tylko po to, żeby nasze sobowtóry mogły się cieszyć lepszym życiem?

- Być może. - Devereau powoli pokiwał głową. - Tyle że my już i tak jesteśmy trupami, Jamesie.

Bruzda na czole pułkownika konfederatów zrobiła się jeszcze głębsza.

- Nasz bunt szybko zgaśnie - ciągnął Devereau. - Łudziłem się, że płomienie rebelii rozprzestrzenią się po całej armii, lecz teraz widzę, że zostaliśmy w tym wszystkim sami. Tak to wygląda, tak już jest. - Nachylił się w fotelu, stare sprężyny jęknęły pod jego ciężarem. - Ale, pułkowniku, powiem tak...

- Słucham.

- Jeśli umierając na polu walki lub wywołując tę niszczycielską falę, uda nam się położyć kres wojnie, przegnać Francuzów i Brytyjczyków z naszych brzegów i na dobre zjednoczyć pod jednym sztandarem zwaśnione stany Południa i Północy... czy to nie słuszna droga? Skoro istnieje szansa, że uda się to wszystko osiągnąć w mgnieniu oka?

Wainwright przez dłuższy czas przyglądał się koledze. Wreszcie na marsowe oblicze wpłynął uśmiech, od którego lekko uniosły się wąsy mężczyzny.

- Świetnie to ująłeś, drogi pułkowniku Devereau... - Uniósł kubek i stuknął nim o kubek przyjaciela. - Za głupców, którzy chcą zmienić historię.

ROZDZIAŁ 73

Nowy Jork rok 2001

Sierżant Freeman mrużył zapuchnięte oczy, wpatrując się w czerwony nieboskłon. W oddali, za pasem Manhattanu, za szeroką i spokojną rzeką Hudson, leżało New Jersey.

- Południe.

Freeman pomyślał, że miejsce, w którym przyczaili się z młodym Rayem - ostatnie piętro wysokiego budynku, chyba starego banku - to najwspanialsza panorama z widokiem na

Południe jaką w życiu oglądał. Południowe stany miał niemal na wyciągnięcie ręki. Siedzieli na zakurzonych stołkach, patrząc na krajobraz rozciągający się za popękkanymi ramami okien. Południe niczym nie różniło się od popadającego w ruinę miasta, w którym mieszkał od lat, sam nie pamiętał nawet od ilu. Wschodzące za ich plecami słońce rzucało pierwsze promienie na szkielety portowych żurawi, te połamane i powyginane konstrukcje; powoli wyłaniał się rdzewiejący kadłub starego Shermana Ironside, okrętu marynarki zatopionego prawie siedemdziesiąt lat temu, podczas drugiej ofensywy konfederackiej na Nowy Jork.

Zadrzał z zimna, chłodny wiaterek poderwał z podłogi kłęбки kurzu, które zaczęły wirować po całym odsłoniętym piętrze. Wschodnia ściana całkiem się zawaliła, ukazując przekrój poprzeczny wszystkich pięter budynku. Odwrócił się, by spojrzeć na stare sprzęty biurowe - maszyny do pisania, szafy na dokumenty, biurka i krzesła - wszystkie pokrywała gruba warstwa tynku i gołębic odchodów.

Całe piętro wypełniała jasność, bo słońce wlewało się przez nieistniejąca ścianę. Zasłonił oczy przed blaskiem. Gdyby delikatnie je zmrużył, wyobraziłby sobie, jak wyglądało to biuro wcześniej. Na pewno panował tu tłok, krzątały się elegancko ubrane i ambitne młode wilczki biznesu. A za dużymi oknami rozciągał się Nowy Jork, kraina bogactwa i optymizmu. Szorstką twarz rozciągnął smutny uśmiech.

- Niezły widoczek musiały stąd mieć te wszystkie ludziska - mruknął.

- Sir?

Freeman potrząsnął głową.

- Nic, Ray. Takie tam bajdurzenia staruszka.

- Zimno tu jak cholera.

- Słoneczko niedługo nas ogrzeje, synu.

Zaczął rozcierać zgrabiące ręce. Młodziak ma rację. Zimno tu. Wiatr zacina, duje niemiłosiernie. Zapomniał, kurczę, zapytać pułkownika, czy nie mogliby przytargać tu ze sobą koksownika. Albo przynajmniej zabrać kilka termosów gorącej wody czy jakiejś lury.

Ray przyglądał się długiemu zachodniemu wybrzeżu Manhattanu. Widoczne w oddali kosmyki dymu unosiły się zapewne nad kuchniami polowymi konfederackich pułków.

- Sierzancie? A przyłączą się do nas pozostałe pułki z góry rzeki? Jak myślicie, sir?

- Jak przyjdzie pora... wtedy tak. Ale najpierw pokażemy im, jak to się robi. - Ponownie spojrzął na mglisty labirynt rozłupanego bombami Brooklynu. - Nasi chłopcy i ci południowcy... muszą rozpętać piekło. Trzeba pokazać tym cykorom w górze rzeki, że powstanie to żadne przelewki. Że ta przeklęta wojna już dawno się nam przejadła.

Freeman nie miał pewności, czy to rzeczywiście takie proste. Co gorsza, wyczuwał te

same wątpliwości u swojego pułkownika.

„Wyrko już posłane. Teraz czas się w nie walnąć i zasnąć”.

- Sir?

Freeman odwrócił się do Raya.

- O co chodzi, synu?

- Co to jest? - Chłopak na coś wskazywał. Freeman powiódł wzrokiem za palcem i ponownie zmrużył stare oczy, żeby cokolwiek dojrzeć. Na horyzoncie majaczyły chmury burzowe. Nic dziwnego.

O tej porze miało lać.

Szereg gęstych chmur.

- Podaj lornetkę, Ray.

Młodzieniec wymacał w chlebaku soczewki i podał lornetkę sierżantowi.

- Zaraz, zaraz - powiedział Freeman, kręcąc pokrętle zblizenia. - Niech no tylko...

Brzęczenie dzwonka przstraszyło Maddy i wyrwało ją z niespokojnego snu. Otworzyła oczy i wbiła wzrok w sprężyny pod materacem Sal. Przez krótką chwilę, patrząc na niewyraźny blask żarówki rzucającej przez kratowany klosz patchwork cieni, i wsłuchując się w stabilny szum komputerów, myślała, że wszystko samo się uporządkowało. Ze wojna secesyjna toczona na gruzach Nowego Jorku była tylko złym snem.

Ale ciszę znowu rozerwał ten sam brzęczący tryl dzwonka.

Odwróciła głowę i zobaczyła, jak zaspany pułkownik Devereau podskakuje przestraszony w jednym z foteli. Wyciągnął rękę i zdjął słuchawkę z widełek telefonu ustawionego na biurku.

- Tak?

Maddy przerzuciła nogi na podłogę w momencie, gdy Wainwright poruszył się w fotelu, a Beki wbiegła pod roletą do bazy.

Devereau poważnie kiwał głową, słuchając głosu po drugiej stronie.

- Dobra robota. Wracaj natychmiast - powiedział w końcu i odłożył słuchawkę na widełki.

- Zbliżają się.

Chwilę później wszyscy wyszli na zewnątrz, na zalany porannym słońcem plac. Maddy szła za pułkownikami wzdłuż okopów, przechodząc obok żołnierzy o srogich minach, którzy sprawdzali ekwipunek, zapinali pasy, przytwierdzali futerały na naboje, dopinali ostatnie guziki w bluzach i zastępowali furażerki metalowymi hełmami. Wspięli się po krótkiej drabinie i wyszli z „podkowy” na otwartą połąć ziemi opadającej ku „granicy” i

rzece.

Po gładkiej jak lustro wodzie pruła motorówka, zostawiając za sobą fale w kształcie litery V

- Już są - oznajmiła Beki.

Nisko na niebie nad Manhattanem, niczym archipeląg latających wysp, unosiła się gigantyczna flota podniebnych transporterów.

ROZDZIAŁ 74

W drodze do New Chelmsford rok 2001

Liam otarł pot z twarzy. A przecież poranek zapowiadał tak chłodny dzień. Teraz, w południe, niebo było lagunowo błękitne, a słońce zawisło nad głowami jak wyrok śmierci. Spóźniony dzień parnego lata.

Wlekli się przez bezkresne pola, tu i ówdzie urozmaicane zielonymi łązkami... wreszcie doszli do ogromnego sadu jabłoniowego. Byli wycieńczeni.

- Pięć minut - wysapał Liam. - Kolka mnie złapała. - Oparł się skonany o pień jabłunki. - Odsapniemy tu przez pięć minut, potem ruszamy dalej.

Lincoln osunął się na ziemię tuż obok niego, był równie padnięty i biadolił, że rosną mu na stopach odciski.

Sal nie chciała usiąść. Wiedziała, że gdyby to zrobiła, miałyby problemy z podniesieniem się z ziemi. Poza tym męczyło ją teraz coś innego.

- Muszę, uh... iść się...

- Tylko nie odchodź za daleko. - Liam machnął jej ręką na pożegnanie.

- Okej.

Odwróciła się i kucnęła pod nisko zwisającymi gałęziami pobliskiego drzewa. Wciąż ich widziała, czyli oni ją też. Przeszła kawałek między szpalerem drzewek, stawiając stopy w wysokiej trawie, która laskotała ją w palce. Tym razem kucnęła na skraju polany, pod kolejnym baldachimem uginających się od jabłek gałęzi.

Zerknęła za plecy. Już ich nie widziała, choć słyszała dudniący w oddali głos Boba.

„Wystarczająco ustronne miejsce”.

Odwróciła się, i już miała obejść znajdujący się za jej plecami pień drzewa, żeby wyjść na polanę, kiedy go zobaczyła. Prawie krzyknęła z przerażenia i błyskawicznie schowała się w wysokiej trawie.

Genik.

Siedział na skraju polany. Był ogromny. Jeden z małpoludów. Mała, jakby zaprojektowana w pośpiechu, główka sterczała pomiędzy gigantycznymi barkami jak wieszka na torcie. Hinduska zastygła w bezruchu, bojąc się, że najmniejsze poruszenie zwabi go w jej stronę.

Przyjrzała mu się dokładniej. Był wyraźnie większy i niemal o połowę masywniejszy od małpoludów, które widziała wcześniej. Do tego olbrzymie zwały mięśni sprawiały, że wyglądał jeszcze po-kraczniej. Ale to twarz uderzyła ją najbardziej.

Nie miał ust. Z otworu gębowego wyrastała tylko krótka rurka z zapieczętowanym wylotem. Na głowie miał jarmułkę. Patrzyła na niego dobrą minutę, potem zaczęła podejrzewać, że jest martwy.

Liam uklęknął naprzeciwko stwora i uważnie oglądał maleńką twarz. Oczy istoty wciąż były otwarte, rozszerzone i szkliste. Słyszeli, jak oddycha, powietrze wpadało przez szpary w nozdrzach i wracało tą samą drogą, świszcząc jak w miechach kowalskich.

- Martwy to on nie jest. Tyle mogę wam powiedzieć.

- Ta istota została czymś odurzona - zauważył Lincoln.

Sal wyciągnęła dłoń i dotknęła nią małpiej twarzy o bladej skórze, gładkiej i pozbawionej włosków jak u dziecka. Skórzana mycka wyglądała, jakby była przyszyta do głowy, choć w rzeczywistości przypięto ją do opaski wokół czoła za pomocą pary klipsów. Sal spojrzała na Liama.

- Może ją zdejmujemy?

Skinął głową.

- Próbuje... tej bestii to chyba nie zrobi różnicy.

Ostrożnie odpięła jeden klips i drugi, po czym delikatnie zsunęła jarmułkę z opaski.

- O Boże, ohyda!

Z czaszki przykrytej porysowaną szklaną kopułą ktoś wyskrobał mózg. W jamie czaszkowej, pod popękany szkłem, zauważyli szarą, żebrowaną masę o rozmiarze, kształcie i fakturze orzecha włoskiego. Masę przeszywało kilka mosiężnych pręcików podłączonych do kasetki sterowniczej, na której migało bursztynowe światełko.

- Informacja - powiedział Bob. - Impulsy elektroniczne przesyłane za pośrednictwem prętów do tkanki organicznej symulują aktywność umysłu. To bardzo prymitywna wersja silikonowo-orga-nicznego interfejsu wbudowanego w moją głowę.

Liam skrzywił się z obrzydzeniem.

- McManus mówił, że teraz znacznie skuteczniej kontrolują te istoty Teraz wiemy, jak to robią: wyskrobują mózgi i wkładają tam to coś.

- To jest mózg - zauważyła Sal.

- No tak... ale maciupki. Jak jakiś szczurzy mózdzek.

Teraz Sal się skrzywiła.

- A może hodują te istoty zupełnie bez mózgów - podsunął Liam. To wydało mu się o wiele strawniejszym pomysłem, bardziej humanitarnym niż hodowanie inteligentnych stworzeń i wyciąganie z nich mózgów.

Nagle usłyszeli dochodzący z oddali świst.

- Co to było? - spytał Lincoln.

W sadzie rozbrzmiały głosy mężczyzn i furkot uruchamianych silników.

- Koniec przerwy na lunch? - zgadywał Liam.

Światelko na kasetce nagle zmieniło kolor z bursztynowego na zielony.

Sal przekrzywiła głowę.

- Czy to znaczy, że właśnie się włączył?

Liam popatrzył na pozostałych.

- Ufff... kto sądzi, że natychmiast powinniśmy dać drapaka, ręka w górę.

Sal nie podniosła co prawda ręki, ale w popłochu skinęła głową. Naciągnęła na główkę stwora skórzaną myckę i zdążyła jeszcze przypiąć ją jednym z klipsów, zanim genik się obudził. Potwór poruszył powiekami i zamrugał, po czym wbił wzrok w Sal.

- O Jezu! - wyszeptał Liam. - Obudził się! - Liam odciągnął Sal na bok i zasłonił ją swoim ciałem. - Spokojnie... wielkoludzie - wy-dukał drżącym głosem.

Istota powoli wstała i wyprostowała się, prezentując się w pełnej krasie. Była co najmniej pół metra wyższa od Boba. Smolisto-czarne ślepia, małe i błyszczące jak u pająka, patrzyły na nich beznamietnie, próżno w nich było szukać śladu ciekawości. Nagle, bez ostrzeżenia, stwór obrócił się na pięcie i odbiegł, wciskając się w prześwit pomiędzy dwiema jabłonkami.

Liam schylił się pod gałęziami i odprowadził bestię wzrokiem. Ta śmignęła przez kolejny rząd drzew i wybiegła na polanę, na której krzątali się już robotnicy i kilkanaście podobnych, wielkich jak lewiatany, geników zgromadzonych po jednej stronie maszyny przypominającej kombajn.

Na niebie, w odległości niecałego kilometra, Liam ujrzał statek powietrzny, który powoli podchodził do lądowania. Zupełnie jak tydzień temu na farmie.

Po chwili wiódł wzrokiem do gigantycznych roboczych geników. Sam rozmiar tego gatunku... Bob wyglądał przy nich na żałośnie małego.

- Wcześniej nie widzieliśmy tego gatunku - powiedział Liam.

- Powinniśmy iść dalej - stwierdził Bob, kucając obok Liama. - Punkt ekstrakcji znajduje się w odległości trzydziestu czterech kilometrów od aktualnej lokalizacji.

Liam pokiwał głową.

- Racja. Zbieramy się.

ROZDZIAŁ 75

Nowy Jork rok 2001

Maddy wypluła żwir.

- O Boże, o mały włos!

Ostrzał artyleryjski rozpoczął się kilka godzin po przybyciu Anglików - pułkownik Devereau idealnie to przewidział. Po każdym perkusyjnym łupnięciu pocisku lądującego po tej stronie rzeki z sufitu i ze ścian bazy sypały się coraz większe lawiny kurzu i cegieł. Okaleczony szkielet mostu chronił ich częściowo przed bezpośrednim atakiem... ale fakt, że stopniowo, kawałek po kawałku, walił się dach sugerowało, że nawet niecelny strzał może wywołać takie same zniszczenia jak bezpośrednie trafienie.

Podniosła leżącą przed nią klawiaturę i obróciła ją, spomiędzy klawiszy na biurko wysypał się worek piasku i kurzu.

- Jezu... to cud, że kilka rzeczy jeszcze tu działa!

Jej słowa zagłuszyło kolejne pobliskie łupnięcie, które wywołało istną burzę piaskową w pomieszczeniu. Dziesięć minut bombardowania, a nerwy Maddy już były w strzępach.

„Jedno trafienie... tylko jedno... a zostanę pogrzebana żywcem pod lawiną cegieł”.

Naszła ją ogromna ochota, aby wybiec z bazy i schronić się na zewnątrz w okopach. Przynajmniej nie zostanie zgnieciona. Beki wciąż siedziała przy wehikule czasu, chroniąc szafkę z układem sterowniczym przed rozpadnięciem się na kawałki. Klawiatura pewnie.

ROZDZIAŁ 75

Nowy Jork rok 2001

Maddy wypluła żwir.

- O Boże, o mały włos!

Ostrzał artyleryjski rozpoczął się kilka godzin po przybyciu Anglików - pułkownik Devereau idealnie to przewidział. Po każdym perkusyjnym łupnięciu pocisku lądującego po tej stronie rzeki z sufitu i ze ścian bazy sypały się coraz większe lawiny kurzu i cegieł.

Okaleczony szkielet mostu chronił ich częściowo przed bezpośrednim atakiem... ale fakt, że stopniowo, kawałek po kawałku, walił się dach sugerowało, że nawet niecelny strzał może wywołać takie same zniszczenia jak bezpośrednie trafienie.

Podniosła leżącą przed nią klawiaturę i obróciła ją, spomiędzy klawiszy na biurko wysypał się worek piasku i kurzu.

- Jezu... to cud, że kilka rzeczy jeszcze tu działa!

Jej słowa zagłuszyło kolejne pobliskie łupnięcie, które wywołało istną burzę piaskową w pomieszczeniu. Dziesięć minut bombardowania, a nerwy Maddy już były w strzępach.

„Jedno trafienie... tylko jedno... a zostanę pogrzebana żywcem pod lawiną cegieł”.

Naszła ją ogromna ochota, aby wybiec z bazy i schronić się na zewnątrz w okopach. Przynajmniej nie zostanie zgnieciona. Beki wciąż siedziała przy wehikule czasu, chroniąc szafkę z układem sterowniczym przed rozpadnięciem się na kawałki. Klawiatura pewnie wciąż działa, pomimo tkwiących pomiędzy klawiszami odprysków cegły, ale wrażliwe na wstrząsy układy elektroniczne w wehikule czasu mogły się posypać.

A szyk antenowy? Nawet jeśli trafi w niego odłamek, będą zmuszeni ponownie go wyregulować. Wyjść na zewnątrz, stanąć na wałącym się dachu i przekalibrować, bo w przeciwnym wypadku okno może pojawić się na drugim krańcu kontynentu.

Ale i to nie jest najgorsze. Co się stanie, gdy pocisk uderzy w tego starego, zardzewiałego trepa, ich czołg, który wciąż cierpliwie warkocze na zewnątrz? Brak czołgu to brak prądu. A wtedy - po ptakach, zimny trup!

- Beki!

- Tak, Maddy?

- Nie ma szans, nie utrzymamy się tu przez dwa dni! - Gdzieś w pobliżu grzmotnął kolejny pocisk, na głowę Maddy znowu posypał się deszcz gruzu. Wypluła piasek z ust i potrząsnęła włosami, uwalniając mniejszą kaskadę kurzu, który opadł na jej kolana.

- Musimy natychmiast otworzyć okno!

- Nie możemy tego zrobić, Maddy. Prawdopodobnie nie dotarli jeszcze do wyznaczonej lokalizacji.

„Beki - Królowa Cholernego Banau”.

- Wiem... wiem... ale... musimy przecież coś zrobić, zanim nas trafią!

Beki i Bob porozumiewali się za pomocą bezprzewodowej sieci lokalnej, ale nie mogli przesyłać sobie wiadomości na odległości większe niż trzy, cztery kilometry.

- Informacja: prawdopodobieństwo bezpośredniego trafienia jest relatywnie małe, Maddy. Sprzęt raczej ulegnie awarii w wyniku skumulowanych wibracji poudrzeniowych.

- No i sama widzisz! Trzeba coś zrobić... i to szybko!

Beki nie wpadła na żadną rekomendację. Po kolejnym uderzeniu monitora zgasty, sekundę później znowu się włączyły.

- Totalna lipa, Beki. Musimy coś zrobić!

Rozejrzała się po biurku w poszukiwaniu inspiracji.

„Myśl... myśl. Co teraz? Co robić?”

Powinny wysłać wiadomość do Boba i reszty. Dadzą im znać, że wszystko trzeba koniecznie przyspieszyć, otworzyć okno znacznie wcześniej niż planowali. W tym tempie za dwa dni ani z bazy, ani z okopów, ani z oddziałów nic nie zostanie, bo Nowy Jork zamieni się w pustkowie poznaczone świeżutkimi lejami po bombach.

- Komputerze-Bob!

Na ekranie wyskoczyło okno dialogowe.

> Tak, Maddy?

- Mam nową wiadomość dla Boba...

> Kontynuuj.

- Baza zaatakowana... otworzę okno w tej samej lokalizacji, ale dużo wcześniej. -

Przygryzła wargę.

„Jak długo wytrzyma jeszcze ten sprzęt? Kilka minut, godzin?”

Ale na to pytanie nałożyło się inne, równie ważne: w jakiej odległości od punktu ekstrakcji znajduje się Liam i pozostali? Przecież na to pytanie nie ma odpowiedzi. Możliwe, że są bardzo blisko... w końcu wybrała lokalizację leżącą w dwóch trzecich drogi z Quantico do Nowego Jorku, w odległości kilkunastu kilometrów od często uczęszczanych dróg. Cichą okolicę. Gdy dostali wiadomość, mogli być bardzo blisko... ale tylko mogli. Wiadomość wysiała jakieś osiemnaście godzin temu. Może już czekają i przebierają z niecierpliwością nogami, z utęsknieniem wypatrując okna. Choć z drugiej strony mogą też być pięćdziesiąt, sto kilometrów od celu i rozpaczliwie próbują zdążyć na czas.

- Okno otworzy się za dziesięć minut! - Maddy podyktowała ostatnie słowa. - Koniec wiadomości.

> Potwierdzam. Kompiluję pakiet z komunikatem.

- Maddy! - zawołała Beki. - Jeśli otworzymy okno za dziesięć minut, to ponowne naładowanie wehikułu zajmie dwanaście godzin.

Maddy skrzywiła się i bluznęła. Doskonale to wiedziała. Beki ma rację. Nie mogą sobie pozwolić na panikę i wywalenie całego ła-dunku w błoto. Spojrzała na szafkę sterowniczą, na której jasno błyszczało dwanaście diod LED. Pełny ładunek, stary żalony

czołg terkotał całą poprzednią noc i pół dnia, żeby mogli go zdobyć.

- Komputerze-Bob... usuń to. Nowa wiadomość!

> Komunikat usunięty. Czekam na nowy, Maddy.

- Okej, wiadomość brzmi następująco: „Baza zaatakowana. Zasuwaszcie prosto do wyznaczonej lokalizacji ile sił w nogach! Uruchomimy sondę. Otworzymy portal, jak tylko was zobaczymy”. Koniec wiadomości.

> Potwierdzam. Kompiluję pakiet z komunikatem.

Odwróciła się do Beki.

- Teraz otworzymy mikroskopijne okno i zrobimy zdjęcie... jeśli ich tam nie będzie, zrobimy kolejne... powiedzmy... za pół godziny. Później kolejne... i kolejne...

- Będziemy tracić moc.

- To mnie pozwij! - Zgrzytnęła zębami i niemal natychmiast skrzywiła się z poczuciem winy. Beki wykonywała przecież tylko swoją pracę. - Dzięki zdjęciom będziemy przynajmniej mieli pewność, że nie marnotrawimy całego ładunku.

- Potwierdzam.

- W takim razie tak zrobimy Dopóki nie będziemy zmuszone do oszczędzania tej resztki mocy, która nam zostanie.

Komputer-Bob przysłuchiwał się wymianie zdań.

> Maddy, czy mam wysłać komunikat? Proszę o potwierdzenie.

- Tak! Potwierdzam. Wyślij im wiadomość. Zrób to!

ROZDZIAŁ 76

Nowy Jork rok 2001

Devereau spojrział na swoich ludzi kulących się na dnie „granicy”. Bombardowanie pozycji obronnych rzadko dziesiątkowało armię wroga, ale za to skutecznie podkopywało morale żołnierzy. Większość pocisków artyleryjskich trafiało w opadające ku rzece zbocze, tworząc nowe leje i choć jedna czy dwie kule przez przypadek wpadły prosto do okopów, wyrwy da się szybko załatać przed desantem Anglików.

Nie... oni chcieli jedynie złamać ducha bojowego Amerykanów, bombardowanie nie przyniesie strat w ludziach, ale spowoduje, że poczują się bezradni i bezsilni w obliczu miotanych przez wroga pocisków.

Widział, jak sierżant Freeman, biegnący wte i wewte wzdłuż okopów, co chwila coś wykrzykuje, motywując i mobilizując skulonych szeregowców z improwizowanego pułku

składającego się z jego unionistów i konfederatów Wainwrighta z Wirginii. Devereau uśmiechnął się z dumą - podoficerowie tacy jak Freeman byli kręgosłupem pułku. Weterani o srogich twarzach znaczonych szeregiem blizn, wykrzykujący rozkazy mocnym głosem niosącym się ponad perkusyjnym grzmiotem lądujących pocisków artyleryjskich. Szeregowcy podążali za swoimi generałami i pułkownikami, ale w ukropie bitwy patrzyli na swoich sierżantów i kaprali, czekając na krzepiące skinięcie głową.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na „podkowę” i sprawdzić, czy czołg wciąż działa, ale w następnej chwili leżał już na plecach na dnie okopu, patrząc jak opada na niego mała lawina ziemi. Instynktownie zasłonił twarz i zamknął usta, w momencie gdy zaczął zasypywać go piasek. Devereau próbował wierzgnąć, żeby otrząsnąć się z ziemi i wstać, ale ciężar przygniatający jego ręce i nogi okazał się za duży.

Nagle zapanowała kompletna cisza. Słyszał tylko rytmicznie łomoczące serce. W uszach cichutko dzwonił huk kanonady, jakby dochodziła z odległości tysiąca kilometrów, jak letnia burza w sąsiednim hrabstwie.

Poczuł na sobie czyjeś dłonie, zaczęły zrzucać z niego ziemię i wyjmować z jego płytkiego grobu. Nad głową Devereau zawisła twarz: spod daszka hełmu wyzierała gęsta broda i umorusana błockiem skóra. To jeden z konfederatów Wainwrighta. Szeregowiec krzychał coś do niego, ale Devereau nie rozumiał ani słowa. Słyszał tylko walące serce i dochodzący jakby z oddali pogłos kanonady.

- Nic mi nie jest! - odrzyknął do mężczyzny. Sam zupełnie nie słyszał siebie samego. Nie był pewien czy krzyknął, czy szepnął. Mężczyzna pomógł mu wstać, Devereau szybko omacał całe ciało, sprawdzając, czy nie dostał przypadkiem odłamkiem szrapnela.

Głuche pstrykanie w uszach zamieniło się we wściekłe dzwonienie, od którego, jak pomyślał, zapewne szybko zwariuje, jeśli przekształci się w trwałą przypadłość. Schylił się i z ciemnej ziemi pomiędzy jego butami podniósł furazerkę, i założył ją z powrotem na głowę. Gdy prostował daszek, zauważył, że kilkunastu szeregowców przygląda mu się trochę nieufnie.

„Patrz na siebie... pokaż im, że masz jaja”.

Wyciągnął z pochwy szablę - bardziej reprezentacyjny dodatek niż praktyczną broń - przystawił ostrze do twarzy i użył go jako lustro, w którym poprawił czapkę i wyprostował kołnierz. Po chwili aprobująco skinął głową i wsunął broń z powrotem do pochwy, doskonale wiedząc, że szeregowcy zareagują szczerym uśmiechem.

Dzwonienie w uszach wreszcie zaczęło słabnąć, niewyraźnie usłyszał pierwsze słowa wypowiedziane przez żołnierza Południa:

-...ali...a!

- Co? - Oślonił ucho dłonią.

Szeregowiec ruchem głowy wskazał obszar poza krawędzią okopu.

- Przerwali, sir! Przerwali ostrzał!

Devereau wszedł na skrzynię z nabojami, żeby objąć wzrokiem większą przestrzeń.

„Przerwali... tak, naprawdę przerwali! - Rzeczywiście poczuł, że ustały już wibracje i fale uderzeniowe wywoływane przez spadające pociski. Nad porytym lejami zboczem unosiła się biała mgła.

- Dym - wyszeptał. Ostatnia salwa artylerii posłużyła do stworzenia zasłony dymnej. Odwrócił się do stojącego obok konfederata. - Nadchodzą!

Niespodziewana cisza, jaka nastąpiła po nieustającym bombardowaniu, była niepokojąca. Uszy, w których dzwoniło się w niewyraźny szmer, starały się złowić odgłosy nadciągających Anglików. Pod osłoną chmury dymu na pewno spróbują przepłynąć East River. Bóg jeden wie, ile łodzi desantowych pruje teraz po rzece.

- Przygotować się! - Ryk Devereau'go rozdarł ciszę. - Naładować broń, sprawdzić amunicję! To wszystko dzieje się zdecydowanie za szybko, panowie!

Ponownie spojrzął na zwarty mur unoszącej się na lekkim wiatku białej zasłony. Zaklął w duchu, że akurat dzisiaj pogoda musiała być tak doskonała. Każdego innego dnia wiatr od Atlantyku już dawno rozpędziłby całą tę zasłonę dymną.

- Sierzancie Freeman!

- Sir! - odpowiedział mu głos z dalszego odcinka okopu.

- Gotowy na bitkę?

- Gotowy, sir? Od samego ranka paluszki mnie świerzbią, pułkowniku. Już mnie jasna cholera bierze, że tak się pętaki guzdrzą.

Usłyszał, jak wzdłuż okopów niesie się fala podenerwowanego śmiechu szeregowców.

Devereau uśmiechnął się pod nosem.

„Dobry chłop z tego Freemana” - pomyślał Devereau.

Później to usłyszał... niewyraźny warkot - wrr wrr wrr! - wydawane przez chór silników pracujących gdzieś na rzece. Sięgnął po pistolet, rozpiął kaburę i położył obleczone rękawiczką dłoń na kolbie. Ruch okazał się odrobinę za szybki. Rewolwer zahaczył o pasek i prawie upadł na ziemię. Prawie. Na twarzy stojącego obok konfederata pojawił się grymas rozczarowania. Zauważył nieporadność Devereau, ale ze zrozumieniem skinął głową. Inni chłopcy nic na szczęście nie dostrzegli.

Westchnął. Wystraszony pułkownik to ostatni widok, jaki powinni teraz oglądać jego

ludzie.

Coraz wyraźniej słyszał furkot silników, a wśród kotłującej się zasłony dymnej dostrzegał niewyraźne zarysy kilkunastu łodzi desantowych o płaskich pokładach. Takich samych używała armia Południa, widział je kilkakrotnie: wielkie łodzie z podniesionymi ściankami bocznymi, teraz opadały przy samym brzegu. Każda z takich łodzi mogła pomieścić kompanię żołnierzy.

„Dobry Boże... tysiąc dwustu ludzi... dwa pułki w pierwszej fali?”.

Sama myśl o tym natychmiast pozbawiła go tchu.

„Spokojnie, pułkowniku”.

Odetchnął głęboko.

- Poczekajcie, aż opuszczą rampy! - ryknął. - Potem urządzimy tu piekło!

W okopach rozbrzmiały buntownicze okrzyki.

Łodzie desantowe zbliżały się z każdą sekundą, dostrzegał już pierwsze szczegóły: powiewający nad pokładem sztandar z barwami kompanii, zarys oficerów stojących obok sterników na tyłach każdej amfibii. Słyszał, jak warkot silników ustaje, jak zastępuje go brzęk i szum kolejnych łodzi wpływających na plażę i lądujących dziobami w kamieniach.

Słyszał przytłumione głosy angielskich oficerów, którzy za podniesionymi metalowymi panelami wykrzykiwali rozkazy, instruując szeregowców przed zejściem na ląd. Kilku żołnierzy w okopach nie wytrzymało napięcia i wystrzeliło, pancierz łodzi zaiskrzył tylko od uderzeń pocisków.

- Wstrzymać ogień, kutafony! - ryknął sierżant Freeman.

Usta Devereau wyschły na wiór.

„Już”.

U podstawy zbocza rozbrzmiał podniesiony głos żołnierzy. W odpowiedzi na coś wyrwało im się zgodne „hurra” i pewny siebie śmiech. Śmiech weteranów przekonanych, że ta mała potyczka dobiegnie końca, zanim ostatnią chmurę dymu rozwieje wiatr.

Potem usłyszał ryk trąbki.

We wszystkich dwunastu łodziach jednocześnie opadły burt, które wryły się w plażę, tworząc rampy zejściowe. Devereau jak zaczarowany patrzył na nieprzebraną liczbę żołnierzy - mrowie krwistoczerwonych mundurów i białych hełmów - zeskakujących z łodzi na ląd.

- OGNIA!!!

ROZDZIAŁ 77

W drodze do New Chelmsford rok 2001

Szli przez miasteczko East Farnham, kolejną miejscinę, w której główną ulicę otaczały skromne sklepiki z zapasami dla farmerów, narzędziami i artykułami żelaznymi. Oprócz tego był tu jeszcze oczywiście ratusz, kościół i kilka drewnianych domków z podwórzami ogrodzonymi sztachetowymi płotkami.

Powoli przyzwyczajali się do ukradkowych spojrzeń rzucanych spod cylindrów i koronkowych czepków. Mijani ludzie zerkali ciekawie na brudne i nietypowe ubrania wędrowców, a w szczególności na imponującą sylwetkę Boba. Liam zastanawiał się, czy widzieli w nim prototypowy model nowego gatunku geników.

Nie zdziwiłby się - wciąż jeszcze natykali się po drodze na bez-mózgie bestie, które zajmowały się rozładunkiem worków z karmą dla zwierząt z wozów dostawczych. Wykonywały automatyczne i ociążałe ruchy, niemal jak roboty, wadliwie zaprojektowane maszyny. Wciąż nie mógł nadziwić się ich rozmiarom: miały trzy... trzy i pół metra wzrostu, a rozpiętość ich toczonych, masywnych barków sięgała dwóch i pół metra.

- Czy nie moglibyśmy znaleźć w tej miejscinie kwatery na nocleg? - wymamrotał Lincoln. - Stopy bolą mnie, jakby mi je kto kruszył w dybach!

Liam ze zrozumieniem pokiwał głową. Czuł się równie wycieńczony. Sam trzydziestokilometrowy spacer po twardym asfalcie mocno dał im w kość, nie mówiąc już o przedzieraniu się przez pola, skiby świeżo zaoranej ziemi, łąki porośnięte wysoką trawą, ściółkę leśną pełną mokrych liści kryjących sękatę korzenie, o które wciąż się potykali... Tak, był tak samo zmordowany.

A do celu zostało dwadzieścia pięć kilometrów. Tak powiedział Bob, gdy po raz kolejny zamęczał go żądaniem o podanie szacunkowej odległości.

- Tak, chyba możemy tak zrobić. Mamy jeszcze cały dzień i kilka godzin rezerwy. Jutro na pewno zdołamy dotrzeć na miejsce.

Nie mieli przy sobie pieniędzy, nie mogli zapłacić za kwaterę, zresztą nigdzie nie dostrzegli żadnego zajazdu ani hotelu. Ale nocleg w zwykłej stodole, oborze czy szopie to znacznie bardziej kusząca perspektywa niż sen pod gołym niebem.

Choć było dopiero późne popołudnie, wszyscy potrzebowali odpoczynku, a czasu mieli przecież pod dostatkiem. Liam odwrócił się, by powiedzieć Bobowi, że planują znaleźć jakieś lokum na obrzeżach miasteczka i zatrzymać się na odpoczynek. Ale Bob, nie wiedząc czemu, stał nieruchomo jak posąg kilkanaście metrów za nimi i wpatrywał się apatycznie w jasne, błękitne niebo.

- Hmm... Bob? Wszystko z tobą dobrze?

- Chyba odbiera wiadomość - zauważyła Sal.

Liam rozejrzył się dookoła.

„Mógł sobie psiakrew wybrać lepsze miejsce”. - Dziwne zachowanie Boba przyciągnęło kolejne spojrzenia mieszczuchów przechodzących przez wąską ulicę. Swobodnym krokiem podszedł do klona i pociągnął go za rękaw.

- Hej, wielkoludzie... straszysz tubylców, nie inaczej.

Bob - zajęty przechwytywaniem i układaniem niewidzialnych cząstek tachionowych, które wirowały wokół nich w swojej sub-atomowej postaci - zignorował go.

- Twojemu przyjacielowi przytrafiło się coś złego, młodzieńcze? - spytała kobieta ściskająca w rękach koszyk z zakupami. Zatrzymała się w pół kroku i zerknęła spod czepka na wysoką postać, osłaniając ręką oczy przed popołudniowym słońcem.

- Ach nie, nic mu nie jest - powiedział Liam. - Trochę się tylko zgrzał, proszę pani.

Uspokojona odeszła na drugą stronę ulicy, rzucając jeszcze jedno wścibskie spojrzenie.

- Bob...? Może odejdziemy kawałek, żebyś spokojnie odczytał wiadomość? Zwracasz na siebie uwagę.

Bob nie poruszył się nawet o milimetr.

- Bob?

Wreszcie mrugnął, a do jego szklistych oczu wróciła świadomość. Opuścił wzrok i spojrzał na Liama.

- Liamie - rzekł. - Właśnie odebrałem wiadomość od Madelaine.

Liam szeroko otworzył oczy.

- Wszyscy w domu zdrowi?

Bob groźnie zmarszczył czoło, niezadowolony z tego lekceważącego tonu.

- Zaprzeczam. Z wiadomości nie wynika, że wszyscy są zdrowi.

Dołączyła do nich pozostała dwójka.

- To Maddy? - spytała Sal.

- Potwierdzam. Odebrałem fragment wiadomości. Sygnał był zniekształcony. Treść komunikatu jest następująca: „Baza za...ana. Za...wajcie pros... to do wyzn...nej loka... acji ile sił w no...ch! Ur...imy...dę. Otw... po...tal jak tylko was zob...ymy”.

Liam popatrzył na resztę.

- Chyba się stresowała. To nigdy nie jest dobry znak.

- Za... ana? - Sal zmarszczyła brwi. - To pewnie znaczy „zaatakowana”. - Rozejrzała się po pozostałych. - Jak myślicie?

Liam zaklął.

- Rekomendacja: powinniśmy...

- Wiem, wiem - przerwał Liam. - Zapomnijcie o odpoczynku! - Rozejrzał się po głównej ulicy. Zauważył kilka koni przywiązanych do poręczy przed jednym ze sklepów. Kilkadziesiąt metrów dalej po koleinach wrytych w zakurzonej ulicy powoli toczył się wóz z płaską platformą ciągnięty przez parę huffali.

„Za wolny”.

Dotychczas nie podążali wyznaczonymi drogami, maszerowali do punktu ekstrakcji w linii prostej, przecinając pola, zarośla, lasy i strumyki. Potrzebowali pojazdu, który poradzi sobie w trudnym terenie. Odwrócił się i spojrzął w drugą stronę ulicy.

Zobaczył wóz dostawczy obładowany workami paszy dla bydła: długą przyczepę podłączoną do spalinowego traktora. Na dachu ciasnej szoferki sterczał komin, który niecierpliwie wypuszczał w niebo kłęby dymu.

- Myśli pan... o kradzieży tego pojazdu? - spytał Lincoln.

Liam skinął głową.

- Pewnie nie będzie to najszybszy automobil na drodze... ale lepsze to niż spacer, co myślicie?

Sal i Lincoln zgodnie pokiwali głowami.

- Bardzo dobrze - rzekł Liam. - W takim razie chodźmy go... hmm... pożyczyć.

ROZDZIAŁ 78

Nowy Jork rok 2001

Devereau naliczył trzydzieści sekund nieprzerwanej palby, potem trzask wystrzałów ucichł, a puste magazynki wyjmowane z karabinów z ostrzegawczymi kliknięciami sprężyn zaczęły lądować na ziemi.

W powietrzu wyrosła nowa ściana dymu, powoli opadająca z okopu w dół zbocza. Gdy rozpierzchła się i rozproszyła, zauważył, że na plaży i mieliźnie wokół ramp zalegają dziesiątki zabitych i rannych. Początkowo wydawało się, że pierwsza salwa zdziesiątkowała Anglików. Niestety, wyspiarze zaczęli odpowiadać ogniem. Teraz wyraźnie widział, że wiele leżących na skraju falującej wody ciał w karmazynowych mundurach to żywi żołnierze, którzy instynktownie padli na ziemię, a teraz zaczęli podnosić się i układać do strzału.

Wzdłuż nasypu transzei eksplodowały bryły ziemi. Devereau, tak jak wszyscy jego chłopcy, błyskawicznie osunął się na dno okopu, żeby uniknąć kul posyłanych przez

Anglików.

Jego żołnierze wymienili już magazynki i przez kolejne pół minuty oddawali niezsynchronizowane strzały ponad linią worków z piaskiem. Szybko naliczył czterdziestu - może pięćdziesięciu - martwych Anglików. Nieźle jak na otwierającą salwę. Ale to była ich jedyna szansa, żeby wyrównać siły. Anglicy rozpierzchli się już po kamienistej plaży, kryjąc się w nowo powstałych lejach i wyrwach, starych fundamentach, odsłoniętych piwnicach, za wąskimi fragmentami ścian i wytrzymałymi elementami starej zabudowy, które jakimś cudem ocalały w tej kilkudziesięcioletniej zawierusze wojennej.

Pocisk świsnął tuż przy jego lewym uchu. Devereau bluznął i znowu się schował. Przeładował rewolwer, drżącymi rękami wsuwając do komory pocisk po pocisku.

Obecnie najlepsza i jedyna taktyka, jaką mogli zastosować, to wstrzymać napór Anglików na zboczu, zapobiec zorganizowaniu zwartego natarcia na okopy. I wystrzelać ich po kolei jak kaczki, posyłając jeden celny strzał za drugim.

„Trzeba zabić oficerów”. - Wiedział, że Anglicy chcą zrobić dokładnie to samo: mierzą w ich sierżantów, kaprali, kapitanów i poruczników, żeby pozbawić przeciwników dowódców.

Znowu wystawił głowę ponad worki i szybko oddał sześć strzałów, celując w krępego, brodatego sierżanta, który szaleńczo gestykulował w kierunku okopów. Tuż nad ziemią wzbiło się sześć obłoczków kurzu, sierżant padł w piach, dziękując zapewne swojej szczęśliwej gwiazdce, że Devereau okazał się tak marnym strzelcem.

Pułkownik znów zsunął się do okopu i przeładował rewolwer, tym razem dłonie już mu tak nie drżały.

- Sir! - odezwał się głos Freemana.

- O co chodzi, sierżancie?

- Przegrupowują się przed atakiem! Trzydzieści metrów na lewo od komina.

Mniej więcej na środku obszaru desantowego stały resztki komina fabrycznego - ceglany pierścień sięgający ramion dorosłego człowieka, ostatnia pamiątka po zbudowanej z tego samego materiału fabryce, która stała tutaj jeszcze pół wieku temu. Devereau szybko zerknął w tamtym kierunku nad szczytem okopu. Freeman miał rację. Za kominem poruszały się czubki białych kasków tropikalnych. Anglicy czekali na komendę do ataku.

W odpowiedzi na rozkaz wyspiarze rykną zgodnie, poderwą się na równe nogi, a ich zaleje perkusyjny terkot ognia osłonowego z dalszej części plaży.

Ta pobieżna ocena sytuacji wcale nie napawała optymizmem, pierwszy szturm na „granice” najpewniej okaże się skuteczny Anglicy wpadną do okopów i wszystko

rozstrzygnie się w bezpośredniej walce.

- Założyć bagnety! - krzyknął. Stojący obok żołnierz konfede-racki skinął głową i przekazał rozkaz dalej, nieporadnie wyjmując bagnet z pochwy. - Celować w oficerów, jak się pokażą! - dodał De-vereau. - Powiedz innym!

Schował rewolwer do kabury i wyciągnął z pochwy reprezentacyjną szablę.

„Tak walczone na początku tej wojny - powiedział sam do siebie. - Muszkiety, szable i nerwy ze stali”.

- Jest pan gotowy? - spytał konfederat.

Devereau pogłaskał się po brodzie i skinął głową.

- A ty?

Mężczyzna wsunął bagnet pod lufę karabinu.

- Chyba patrzę na nich teraz tak samo, jesteśmy po jednej stronie.

Usłyszał kilka głosów dochodzących z dołu zbocza: Anglicy zagrzewali się do walki, skandując potrójne „hurra”, jedno głośniejsze od drugiego, trzeci okrzyk poniósł się echem na całej długości obszaru desantowego.

„Oto nadchodzą”.

- Strzelać bez rozkazu! - ryknął Devereau.

Żołnierze Południa i Północy powstali jak jeden mąż, karabiny ciężko opadły na worki, tworząc nierówną linię kilkuset luf zakończonych błyszczącymi bagnetami. Przed oczami pędzących w górę zbocza Anglików eksplodowała ściana błysków i dymu, potem buchnęła lawina pocisków.

ROZDZIAŁ 79

W drodze do New Chelmsford rok 2001

- Co pan, na miłość boską, wyprawia, sir? - krzyknął Lincoln.

- Próbuję, psiakrew, kierować tym diabelstwem!

Liam próbował rozgryźć, jak działają dwa drążki sterownicze. Dopiero gdy traktor zatoczył kilka zygzaków na wąskiej ulicy, a wszystkie worki z paszą spadły z przyczepy, Irlandczyk nauczył się, jak operować dźwigniami - prawie. Lewym drążkiem sterowało się wielkim lewym kołem traktora, prawy zaś pozwalał kontrolować prawe koło. Aby skrócić w prawo, Liam musiał odciągnąć prawy i popchnąć lewy drążek. Żeby jechać prosto oba drążki musiały być skierowane do przodu.

Kiedy wreszcie udało mu się to pojąć, miasteczko East Farnham było już daleko w

tyle, pogrążone w chaosie, zniszczone i zaśmiecone po krótkiej lekcji jazdy, jaką urządził sobie Irlandczyk. Traktor sunął po podmiejskiej drodze gruntowej otoczonej śliwkowymi sadami.

- Jezu... udało nam się! - wydyszał Liam.

Lincoln i Sal kurczowo trzymali się siedziska w kabinie kierowcy. Bob stał na doczepionej do szoferki przyczepie, z której wszystko zdążyło już spaść. Przez niecały kilometr Liam starał się maksymalnie rozpędzić traktor - uzyskał prędkość niewiele większą niż trucht astmatycznego biegacza - ale w końcu musiał zjechać na pobocze.

Odłączyli przyczepę i pięć minut później jechali już zdecydowanie szybciej.

- W którą stronę?! - wydarł się Liam, próbując przekrzyczeć łoskot silnika.

Bob wskazał ręką rozciągającą się z dala od drogi przestrzeń za wybiegiem, na którym pasło się stado zwierząt wyglądających jak eugenicznie modyfikowane konie rasy shire.

- Czekaj! - powiedział Liam, odrobinę odciągając lewy drążek. Gigantyczne, masywne koła traktora z łatwością przetoczyły się przez drewniany płot sztachetowy i wybieg dla zwierząt. Spłoszyli wszystkie konie, które okazały się prawie tak wysokie w kłębie jak indyjskie słonie.

- Informacja: dwadzieścia cztery kilometry, czterysta dwadzieścia dwa metry w tamtym kierunku.

- Dobra - mruknął Liam, w skupieniu zaciskając na drążkach zbielełe dłonie. - Okej... dwadzieścia cztery kilometry.

Traktor nieustraszenie gnał przed siebie, alarmująco podskakując na nierównym gruncie i wykonując co chwilę gwałtowne skręty, żeby nie wpaść na któregoś ze spłoszonych shire'ów, które biegały po całym wybiegu jak oszalałe.

- Lał! - Sal pokazała coś za zachłapaną błockiem szybą. - Uważaj na... - Nie zdążyła, traktor staranował długie, drewniane koryto. W powietrze wzbił się grad drzazg i kolb kukurydzy.

- Już nic - powiedziała Sal.

Liam wypadł traktorem z padoku i gwałtownie odbił w prawo, żeby nie wjechać do otwartej stodoły. Potem wpadli na dziedziniec poprzecinany sznurami z wywieszonym praniem.

- Uważaj, patrz... dzieci!

Wśród trzepoczących prześcieradeł bawiło się kilkoro dzieci, które uciekły przed nimi w panice.

- O Jezu! Przepraszam! Przepraszam! - ryknął Liam przez uchyloną boczną szybę

szoferki. Właśnie z terkotem wjeżdżali na czyjś warzywnik, taranując przy okazji zбитy z kolorowych desek domek dla dzieci.

Chwilę później wjechali do winnicy i zaczęli rozjeżdżać kolejne rzędy dojrzewających winorośli. Sal wskazała długi rząd wciśniętych pomiędzy nie szklarni. Stojący na progu jednej z nich staruszek z konewką w jednej i nożycami do przystrzygania w drugiej dłoni w przerażeniu szeroko rozdziawił usta. Olbrzymie koła traktora roz-orały pas ziemi dosłownie kilka centymetrów od jego stóp i kruchej konstrukcji zбитej z drewna i szkła.

- Hej, Liamie... wreszcie udało ci się w coś nie trafić.

Twarz Irlandczyka zastygła w rozpaczliwej koncentracji.

- Nigdy w życiu niczym nie kierowałem.

Gałęzie winorośli smagnęły przednią szybę, znacząc ją soczystymi plamami po winogronowym miąższu.

- Liamie! - krzyknęła Sal.

Mrużył oczy, próbując dostrzec cokolwiek przez zalegającą na szybie warstwę miąższu i brudu; za bardzo absorbowowało go obserwowanie drogi, żeby zwracać uwagę na Sal.

- LIAMIE!

- CO?

Sal delikatnie ścisnęła jego ramię.

- Może kto inny powinien usiąść za kierownicą. Co ty na to?

- Dobry Boże, tak! - jęknął Lincoln, ściskając pękającą z bólu głowę, którą właśnie uderzył w niski dach szoferki.

- Hmm... Okej, dobra. To... chyba... rozsądny pomysł - zgodził się wreszcie Liam.

Powoli odciągnął lewarki i ustawił je równo, żeby traktor nie skręcił nagle w jedną lub drugą stronę. Wreszcie się zatrzymał, stygnący silnik pojazdu furczał wściekle, niezadowolony ze sposobu, w jaki go właśnie potraktowano.

Bob nachylił się nad ramieniem Liama.

- Rekomendacja; ja powinienem poprowadzić ten pojazd.

Liam skwapliwie pokiwał głową, powoli wypuszczając drążki sterownicze z żelaznego uścisku.

- Tak... myślę, że tak będzie lepiej.

ROZDZIAŁ 80

Devereau rozejrzał się wokół siebie, nie dostrzegając na razie żadnego wroga. Na dnie okopu zalegał już dywan wiercących się ciał, umierających i martwych żołnierzy, zgodnie leżących obok siebie czerwonych, szarych i granatowych mundurów.

Do transzei wpadali kolejni Anglicy, coraz wyraźniej przewyższający liczebnie chłopców Devereau, sto pojedynków jeden na jednego powoli zamieniało się w walki dwóch Anglików z jednym Amerykaninem.

„Stracimy ten okop... bardzo szybko”.

Kilkadziesiąt metrów dalej Freeman parował ciosy i odpowiadał pchnięciami ze spokojem i precyzją maszyny do zabijania. Za jego plecami wyrósł angielski szeregowiec, szykujący się do wrażenia bagnetu w plecy nieustraszonego sierżanta. Devereau sięgnął po rewolwer, uniósł go, wymierzył i wystrzelił kilkakrotnie, opróżniając cały magazynek. W unoszącym się dymie widział, jak piechur pada na ziemię. Freeman obrócił się i zrozumiał, że tylko cudem uniknął śmierci.

Devereau przywołał go gestem, więc sierżant zaczął przedzierać się przez kobierzec zwłok, brutalnie roztrzając po drodze kilka ciał dogorywających żołnierzy.

- Sir?

- Okop stracony. Daj sygnał do odwrotu. Wracamy do „podkowy”!

Freeman skinął głową, zgadzając się w duchu z opinią dowódcy.

- Tak jest, sir. - Sierżant sięgał już do kieszonki na piersi po zawieszony na łańcuszku gwizdek, kiedy Devereau złowił kątem oka kolejne poruszenie. Skraj okopu zaludnił się nagle postaciami mierzącymi w nich karabinami. Usłyszał wykrzyczany rozkaz, w ułamku sekundy w powietrze wzbila się kurzawa dymu, a uszy wypełnił ogłuszający terkot karabinów. Strzały poszybowały wzdłuż okopu, trafiając w wyznaczone cele w ciżbie żołdaków walczących na całej długości „granicy”, kanonada odrzuciła żołnierzy w czerwonych kurtach na błotniste ściany transzei. Anglicy zwijali się z bólu po odniesionych ranach.

Ostrzał osłabł, a w powietrzu rozbrzmiał brzdęk opróżnionych magazynków. Pozostali przy życiu Brytyjczycy, którzy wciąż trzymali się na nogach, zarzucili bezpośrednią walkę, wygramolili się z okopów i pierzchli w dół zbocza.

Do okopu wpadł pułkownik Wainwright i z dzikim rykiem wspiał się na przeciwległą ściankę, posyłając strzał za strzałem za gnającymi na złamanie karku Anglikami.

„Nieostrożny głupiec”.

- James! Złaż stamtąd natychmiast!

Wainwrighta otrzeźwiła dopiero seria karabinowa posłana z dołu zbocza, gdy tuż przy jego stopach eksplodowały kępi ziemi. Z rykiem ekscytacji zeskoczył z powrotem do okopu.

Reszta żołnierzy podchwyciła entuzjastyczny okrzyk dowódcy, wrzask szybko zamienił się w zgodny ryk całego pułku wiwatującego na cześć dokopania czerwonym kurtom, które miały się teraz po plaży, szukając kryjówek w stosunkowo bezpiecznych wyrwach i ruinach zniszczonych budynków nad rzeką.

Freeman wypluł z ust gwizdek i szeroko uśmiechnął się do Devereau.

- A niech mnie, sir... Pokazaliśmy naszym synom, jak walczyć! Może nie?

- Pokazaliśmy, sierżancie.

Spojrzał na Wainwrighta, który chodził między żołnierzami, triumfalnie potrząsając nad głową obnażoną szablą.

- Zajmijcie się rannymi, sierżancie. - Przecisnął się między Freemanem i kilkunastoma mężczyznami, którzy zawiesili hełmy na czubkach bagnatów.

- Zakładać hełmy z powrotem na te zakute łby! - warknął.

Wreszcie stanął obok Wainwrighta:

- Pułkowniku! Przecież mieliście zostać w „podkowie”! Co się stało?

Wainwright z poczuciem winy wzruszył ramionami.

- Racja, ale szkoda by było stracić okop w tak wczesnej fazie bitwy, prawda, Williamie?

Piorunujące spojrzenie Devereau zaczęło łagodnieć.

„Prawda, do cholery”.

- Faktycznie, zjawiliście się w idealnym momencie.

Zobaczyli, że angielskie oddziały formują się na plaży. Pułkowi snajperzy oddawali sporadyczne strzały w kierunku „granicy”, żeby osłabić ochotę Amerykanów do ataku.

- Niestety, udało im się zorganizować tu przyczółek - dodał.

Wainwright pokiwał głową.

- Zaatakujmy ich. Wciąż są w rozsypce. Zaskoczmy ich, mamy lepszą pozycję.

- A oni przewagę liczebną. Tam jest ponad tysiąc Angoli, my mamy mniej niż sześćset żołnierzy. Nie wystarczy. Teraz możemy się tylko głębiej okopać i trzymać pozycji jak kleszcze na grzbiecie psa.

Obaj mężczyźni obserwowali Anglików ponad workami z piaskiem. Inżynierowie w pośpiechu zdejmowali boczne burty łodzi desantowych i ustawiali je na plaży, tworząc w ten sposób prowizoryczne fortyfikacje obronne; rannych przeciągano do stosunkowo bezpiecznych, osłoniętych miejsc, gdzie mogli liczyć na opiekę lekarza. Devereau zachwycał się ich dyscypliną taktyczną konsekwentnie utrzymywaną na polu bitwy, na pierwsze niepowodzenie zareagowali wzmocnieniem pozycji i konsolidacją sił.

- Dobry Boże... nic dziwnego, że nad połową świata powiewa Union Jack. - Wrócił do blocka okopów. Wainwright klęczał w tran-szei, uważnie przyglądając się gwiazdkom oficerskim na kołnierzu martwej czerwonej kurty.

- A to był tylko zwykły pułk liniowy, Williamie. Żadne tam elitarne jednostki.

Devereau pokiwał głową. Najgorsze dopiero miało nadejść - może zaatakuje ich jeden z osławionych pułków: Czarna Straż, Gwardia Grenadierów, Gwardziści Króla.

- Udało się wam! - Obaj pułkownicy podnieśli wzrok i zobaczyli Maddy i Beki stojące na krawędzi okopu.

- Lepiej stamtąd zejździe! - powiedział Wainwright. - Mają snajperów.

Nie zdążył dokończyć zdania, a obok ucha Maddy świsnął strzał. Dziewczyna wskoczyła do rowu.

- O mój Boże! Czy on...?

- Chciał cię zabić? - Devereau z poważną miną pokiwał głową. - Tak.

Beki opadła obok niej.

Maddy rozejrzała się wokół, cały okop był zasłany kobiercem ciał, niektóre wciąż drgały, z ust wydobywały się agonalne jęki. Zauważyła szarpane rany, różowe mięso, ciemne strugi ciekącej i tryskającej krwi. W powietrzu czuć było spaleniznę, kordyt i mniej wyraźne zapachy bitwy: pot i wymiociny. Jeszcze ten żalorny skowyt dogorywających ludzi.

Zrobiło jej się niedobrze: ogarnęły ją zawroty głowy i nudności.

Zauważył to Wainwright.

- Jakże szybko zapominamy o tym, jak wygląda wojna.

Maddy przełknęła ślinę, jej twarz kompletnie pobladła, w ostatniej chwili powstrzymała torsje.

- Ja... grhh... przyszedłam was odszukać. - Wzięła kilka głębszych oddechów. - Przesłałam kolejną wiadomość. Odbiór nastąpi szybciej.

- Dużo szybciej?

- Ciężko powiedzieć, ale zobaczymy ich, jak tylko się pojawią w ustalonym miejscu.

A wtedy od razu ich przeniesiemy.

- Czyli kiedy? - spytał Devereau.

- To może się zdarzyć w każdej chwili - odparła.

Przez jego twarz przebiegł uśmiech. Wainwright odpowiedział tym samym.

- Im dłużej ci skretyniali Brytole będą się guzdrać na plaży, tym lepiej dla nas.

- Właśnie. - Devereau odwrócił się do Maddy i zniżył głos. - A gdy już wyślesz przyjaciół do... którego to roku?

- Tysiąc osiemset trzydziestego pierwszego.

- Tysiąc osiemset trzydziestego pierwszego... ten świat się zmieni?

- Wkrótce po tym, tak. Czasem przesunięcie nadchodzi natychmiast. Czasem po kilku godzinach.

- Nie można precyzyjnie przewidzieć godziny nadpłynięcia fali czasoprzestrzennej po zdarzeniu kontaminacyjnym - dodała Beki.

- Ale nadpłynie szybko - uspokoiła ich Maddy. Zerknęła na płataninę wijących się ciał. - Bardzo szybko będziecie mogli przerwać tę walkę, jak tylko odeślę ich z powrotem.

- Mamy się poddać? - Wainwright i Devereau wymienili spojrzenia. - Zastanawiam się... czy ta fala czasu przybędzie na tyle szybko, żebyśmy uniknęli plutonu egzekucyjnego?

Maddy potrząsnęła głową.

- Ja... nie potrafię powiedzieć kiedy. Może upłynąć dzień, może...

- W takim razie chyba zgodzimy się, pułkowniku Wainwright, że powalczymy aż do nadejścia tej fali.

Wainwright pokiwał głową.

- Całkowita zgoda, pułkowniku Devereau.

Maddy wzięła głęboki oddech.

- Dobrze, ale... - Odwróciła się i wskazała w górę zbocza, na „podkowę” i dalej na sam szczyt ceglanego kopca przycupniętego w cieniu górujących nad nim ruin mostu Williamsburg. - Antena transmisyjna... za wszelką cenę trzeba jej chronić. Jeśli ją zniszczą, to wszystko stracone.

- Będziemy walczyć do końca - uspokoił ją Wainwright. - Co z moim czołgiem? Silnik wciąż działa?

- Tak, działa; mamy moc. Wehikuł translokacyjny jest naładowany i gotowy do użycia. Nie jest źle.

- W takim razie teraz możemy tylko czekać - powiedział Devereau.

Maddy refleksyjnie pokiwała głową.

- Widzicie... w tej branży to norma. Czekanie. - Uśmiechnęła się niewyraźnie. - Straszna lipa.

ROZDZIAŁ 81

Nowy Jork rok 2001

Kapitan McManus spojrział na niebo. Nisko nad Nowym Jorkiem unosiły się -

rozświetlane późnopołudniowym słońcem - grzebieniaste chmury o pięknej łososiowej barwie. Jeszcze kilka godzin i zapadnie zmrok.

Pułkownik Donohue zwołał naradę oficerów: kapitanów kompanii, poruczników, sierżantów.

- Jesteśmy następni w kolejce, panowie. Strzelby z Lancashire zmoczyły paluszki i zdobyły tam dla nas dobry przyczółek. Jak widzicie - obrócił się i wskazał za saperów kończących zbijać burty łodzi desantowych, na przeciwległy brzeg East River - ci... hmm... buntownicy zorganizowali dwie linie obrony. Pierwsza to okopy biegnące równoległe do rzeki, ciągnące się od budynków fabrycznych po lewej aż po ruiny mostu po prawej stronie. Wyżej wykopali półokrągłą transzeję, która prawdopodobnie zakręca pod mostem. Pewnie traktują te rowy jako swoją drugą linię obrony.

McManus i pozostali oficerowie wyciągnęli szyje, żeby lepiej przyjrzeć się pozycjom wroga.

- Za tymi dwoma okopami... rozciągają się już linie obronne Północy. Bez wątpienia wiecie, że konfederacki pułk, chyba z Wirginii - chłopcy, którzy do niedawna pilnowali tego odcinka - zbuntowali się i połączyli siły z północnym pułkiem. Przez to... znaleźliśmy się w dość nietypowej sytuacji i musieliśmy zawiązać tymczasowy sojusz z francuskim Naczelnym Dowództwem.

- Sojusz, sir?

Pułkownik Donohue skinął głową.

- Żadna ze stron nie chce, aby ten wirus się rozprzestrzenił. Francuzi gotowi są dać nam błogosławieństwo i pozwolić na wysterylizowanie tej ropiejącej rany w ich imieniu.

- Bardzo ufne z nich zabojady! - krzyknął któryś z oficerów, wywołując powszechną wesołość.

- Bardzo. - Uśmiechnął się. - I nie za mądre.

Oficerowie pokiwali głowami. Chociaż oficjalnie ta informacja była ściśle tajna, wszyscy oficerowie ze wszystkich zaangażowanych w plan pułków doskonale wiedzieli, że to śmieszne powstanie było Anglikom bardzo na rękę. Teraz mogli przystąpić do rozstrzygającej ofensywy na Północy. Prawdę mówiąc, ta skazana na klęskę rebelia nie mogła przydarzyć się w lepszym momencie. Francuzi chcieli sprytnie poczekać, patrząc, jak Brytyjczycy dławią powstanie w zarodku, ale nie mieli głupcy świadomości, że Anglicy wcale nie zamierzają poprzestać na buntownikach. Brytyjska armia przebije się przez linię frontu Północy i zaleje całą ich flankę na wschodnim wybrzeżu.

- Kapitanie McManus?

- Sir?

- To wspaniała okazja, żeby sprawdzić w terenie nasze pancerniki, zanim walka rozgorzeje na dobre.

- Weźmiecie ze sobą swój oddział do pomocy... ale naprawdę wolałbym zobaczyć, jak eksperymentalni radzą sobie sami. Jasne?

- Włączymy się do bitwy tylko w wypadku absolutnej konieczności, sir.

- Reszta popłynie w drugiej flotyli. Kiedy bestyjki wyniuchają wroga, lepiej żeby w pobliżu nie znalazł się przypadkiem żaden z naszych chłopców.

Pułkownik Donohue obrócił się raz jeszcze, żeby spojrzeć na obszar desantowy po drugiej stronie rzeki. Tuż nad ziemią, niczym gęsta membrana, zawisła mgła po ostrzale, raz po raz, w rytm wystrzałów karabinowych, w powietrze wzbijały się niewyraźne pióropusze niebieskoszarego dymu.

- I niechaj Bóg ma swojej opiece te nieszczęsne duszyczki.

ROZDZIAŁ 82

Okolice New Chelmsford rok 2001

- Bob? Ile jeszcze?

Bob lekko pociągnął za drążki sterownicze, kiedy wielkie koła traktora wtoczyły się do płytkiej rzeczki, rozbryzgując wodę na wszystkie strony.

- Informacja: punkt ekstrakcji znajduje się trzy kilometry, trzysta dziewięćdziesiąt metrów od aktualnej lokalizacji.

Traktor wyjechał po drugiej stronie strumienia, zostawiając w mokrym bloku przy brzegu dwie głębokie koleiny.

- Trzy kilometry?

- Potwierdzam.

- W takim razie natychmiast się zatrzymaj.

Bob postąpił, jak mu rozkazano: ustawił drążki w neutralnej pozycji i zaciągnął lewarek hamulcowy. Popatrzył na Liama.

- Dlaczego?

- Właśnie... - poparła go Sal. - Jesteśmy prawie na miejscu!

- Właśnie dlatego... zostawiliśmy za sobą ślady, które wytropiłby ślepiec. Jeżeli traktora szuka jakaś policja czy inna gwardia... to nie będą z tym mieli najmniejszego kłopotu.

Zmierzchało. Słońce rzucało różaną poświatę i kładło długie, chłodne cienie wzdłuż

otaczającego ich sielankowego krajobrazu. Daleko po prawej stronie zauważyli małą wioskę wtuloną w gęsty platanowy zagajnik. Kominy wypuszczały kłęбки dymu, który unosił się prosto ku brzoskwińowemu niebu.

- Jeśli podjedziemy pod samo okno translokacyjne - ciągnął - trafi tam za nami oddział pościgowy policjantów lub żołnierzy. To raptem trzy kilometry, jeśli pobiegniemy, będziemy tam za... dwadzieścia minut?

- To rozsądna decyzja taktyczna - poparł go Bob.

Lincoln jęknął i bezradnym gestem wskazał stare buciory - w jednym pękł szew, a z przodu odeszła podeszwa. Przez wytartą skarpetkę wyzierały długie, owłosione palce. - Moje stopy są starte jak gałgany żebraka.

- Shadd-yah! Wy leniwe purchawy!

Liam otworzył drzwi szoferki i wyskoczył na brzeg rzeki.

- Chodźcie! To już niedaleko.

Bob ciężko wylądował obok niego.

- Potwierdzam, niedaleko.

- No, ruszajmy, niedługo będziemy na miejscu - zachęcała Sal, popychając Lincolna do przodu.

ROZDZIAŁ 83

Nowy Jork rok 2001

Maddy spojrzała na monitor. Kolejne niewyraźne, niejasne zdjęcie o niskiej rozdzielczości przedstawiające zabłocone pole pełne długich, drewnianych szop. Dostrzegła kilka drzew i ciemniejące niebo.

Komputer-Bob wysyłał wąski sygnał prosto do punktu ekstrakcji, co dziesięć minut sprawdzał fluktuacje gęstości, robiąc jednocześnie miniaturowe zdjęcia lokalizacji. W wehikule czasu powoli zmniejszał się poziom ładunku - z dwunastu zielonych diod LED paliło się już tylko dziewięć. Zgasły trzy.

Jeszcze kilkanaście podobnych zerknąć i zużyją całą moc, która była przecież niezbędna, żeby wysłać Liama i pozostałych do tysiąc osiemset trzydziestego pierwszego roku, a potem ich jeszcze stamtąd zabrać z powrotem do domu.

- Liamie! Gdzie, u diabła, jesteś?

Sześć kolejnych łodzi desantowych powoli prućło wody East River. Devereau z rosnącym niepokojem patrzył, jak żołnierze, wciąż trzymający pozycje na plaży za

prowilorycznymi barykadami, zaczynają wycofywać się ze środka obszaru desantowego, do którego zmierzało sześć łodzi.

- Jamesie - rzucił w nadchodzący zmrok. Wainwright był gdzieś w pobliżu. - Wainwright!

Usłyszał, jak Wainwright przedziera się wzdłuż okopu w jego stronę, rzucając słowa zachęty i poklepując po barkach mijanych szeregowców. Niebawem znajdzie się obok Devereau.

- O co chodzi?

Devereau wskazał w kierunku łodzi i podał mu lornetkę.

- Posiłki.

Wainwright przystawił lornetkę do zmrużonych oczu i wyregulował ostrość na kwadratowym kadłubie jednej z łodzi. Burty ochronne wysoko uniesiono, przez co nie było widać znajdujących się w środku oddziałów. Zdawało mu się jednak, że dostrzega podskakującą nad burtą głowę i panującą w środku krzątaninę. Przeniósł lornetkę na flagę, która powiewała niemrawo na rufie statku nad gniazdem sternika.

- Gdybym tylko zdołał dostrzec sztandar pułkowy... wtedy... - Słowa zamarły mu na ustach.

- Co? O co chodzi?

Wainwright odsunął lornetkę od twarzy.

- Czarna Straż.

Devereau słyszał o nich: to jeden z najlepszych pułków w armii brytyjskiej. Pułkownik wydał policzki i przywołał na twarz wymuszony uśmiech.

- Cóż, tym razem walka będzie bardziej wyrównana.

Wainwright z lękiem w oczach potrząsnął głową.

- Nie... Williamie - zniżył głos do szeptu. To co zamierzał powiedzieć przeznaczone było jedynie dla uszu Devereau. - Mamy problem. Czarna Straż to pułk, w którym szkolili jednostki eksperymentalne.

- Jednostki eksperymentalne?

Trwoga malująca się na twarzy Wainwrighta mówiła więcej, niż Devereau chciał usłyszeć.

- Dobry Boże... nie masz chyba na myśli...?

- Geników... tak.

Devereau odwrócił się w kierunku rzeki. Sześć łodzi o wysokich burtach przepłynęło już prawie całą jej szerokość, rozdzierający charkot silników zburzył ciszę i spokój, które

zapadły nad spornym skrawkiem porytej lejami i porośniętej chwastami ziemi niczyjej.

Pograżony w myślach zaczął tarmosić brodę.

- W takim razie... musimy skierować cały ostrzał na te łodzie. Na czające się w środku potwory.

Wainwright pokiwał głową.

„Bo bez względu na to, czym te bestie są... to jeśli dotrą do okopu...”.

- Trzeba o tym powiedzieć żołnierzom - dodał.

- Zgoda.

Devereau otoczył usta dłonią i krzyknął:

- Posłuchajcie mnie...!

Nad całą długością okopu unosił się szmer głosów, ale wszyscy szepczący żołnierze nagle zamilkli.

- Nadpływają kolejne łodzie... na tych statkach znajdują się eugeniczne jednostki!

Spodziewał się usłyszeć rwetes i wybuch paniki, może nawet odgłos ciskanych na ziemię karabinów. Oczyma wyobraźni, widział już, jak żołnierze wspinają się na okopy i uciekają gdzie pieprz rośnie. Odpowiedziała mu jednak kompletna cisza i nieruchome, pochmurne twarze kilku setek mężczyzn, twarze, do których powoli dochodziło znaczenie jego słów.

- NIE MOŻEMY pozwolić, żeby te bestie tu wpadły! Czy to jasne?

Zastygłe twarze, zastygłe miny, szeroko otwarte usta... i cisza.

- Czy to JASNE?

Sierżant Freeman odpowiedział za resztę:

- Tak jest, sir.

- Bez względu na to, jakie istoty wypadną z tych łodzi wybijemy je wszystkie, co do jednej! Zmasakrujemy je, zanim zdążą postawić stopy na piasku!

Kilku mężczyzn odpowiedziało niemrawymi okrzykami.

- Sprawdzić broń, sprawdzić amunicję! Przygotować się do walki! - Odwróci! się, by spojrzeć na rzekę.

Z sześciu łodzi desantowych dwie z lewej strony i dwie z prawej wysunęły się na czoło, powoli przybijając do brzegu pomiędzy statkami, które przyplęły w pierwszej fali ataku. Dwie pozostałe zostały z tyłu.

„Co oni kombinują?”.

Burty czterech płynących po bokach łodzi opadły na piasek, angielscy żołnierze nie tracili czasu i natychmiast zeszli po rampach do wody. Kilku ludzi Devereau oddało strzały,

w powietrzu nieśmiało świsnęły pierwsze kule.

„Dwie łodzie w centrum... tajemnicze potwory muszą się czaić właśnie na ich pokładach”.

- WSTRZYMAĆ OGIENI!

Freeman i kilku innych podoficerów przywołało do porządku swoich podkomendnych, strzelanina ustała. Lepiej żeby mieli pełne magazynki, kiedy w pozostałych łodziach spuszcza burty, po co marnotrawić naboje?

Żołnierze z Czarnej Straży szybko wyszli na brzeg i schowali się za osłoniętymi pozycjami, które udostępnili im żołnierze z pierwszej fali. Devereau zaczynał się niecierpliwić i kląć w duchu. Dlaczego burty jeszcze nie opadły i wciąż skrywają ładunek łodzi? Pragnął zobaczyć, jakie horrory przyszykowali angielscy eugenolodzy, manipulując biologicznym łańcuchem natury.

Usłyszał brytyjskiego oficera wykrzykującego rozkazy. Niespodziewanie na plażę rzucono kilkanaście małych granatów. Po kilku sekundach z sykiem zaczęły się z nich wydobywać musztardowe słupy dymu. W pierwszej chwili pomyślał, że to gaz trujący, ale mężczyźni nie nosili masek, zresztą gdyby chcieli rzucać jakieś trujące świństwo, cisnęliby je w górę zbocza, pod same okopy.

- Znów ta pieprzona zasłona dymna - rzucił mięsem Wainwright.

- GOTOWAĆ BRONI! - krzyknął Devereau.

„Usłyszemy plusk wody”.

- STRZELAĆ NA ROZKAZ!

Zaległa przedłużająca się, dręcząca cisza, żółte opary zgęstniały i rozlały się po plaży, całkowicie zasłoniły dwie środkowe łodzie i zaczęły owiewać pozostałe statki desantowe.

Potem usłyszał harmonijny brzęk zatrząsków zwolnionych gdzieś w gęstwinie dymu i rozbryzg wody, w której wylądowała rampa.

- OGNIA!

Na krawędzi okopu wyrosła koronka niebiesko-szarego dymu, z luf karabinów wylatywał pocisk za pociskiem, kilka działek maszynowych charczało ogniem i wypluwało serie kul, które tonęły w żółtawej mgle.

Ponad kakofonią ostrzału brzęczały i dzwoniły łuski odbijające się od metalu, potem coś z hukiem wpadło do bryzgającej wody.

Coś dużego.

Żółta mgła rozwiała się już odrobinę, ale zaczęła powoli unosić się w górę zbocza, ukrywając czające się w niej potworności dużo dłużej niż powinna.

Devereau zmrużył oczy, za żółtą zasłoną majaczył ceglany kikut komina fabrycznego, widać było też niewyraźną głowę i ramiona zuchwałego sztandarowego, który pomimo intensywnego ostrzału dzierżył wysoko uniesioną chorągiew pułkową, masywną burtę łodzi zacumowanej skrajnie po lewej stronie... oraz górujący nad polem bitwy upiorny zarys mostu.

Nagle horyzont przesłoniło coś ciemnego... coraz wyraźniejsze kształty zaczęły wspinać się ku ich pozycjom.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece - wyszeptał, gdy niepokojące sylwetki wyłoniły się zza ostatnich falujących kosmyków ulatującej w górę mgły.

ROZDZIAŁ 84

Nowy Jork rok 2001

Miały dwie ręce i dwie nogi, i na tym kończyło się ich podobieństwo do ludzi. Górowały nad całą okolicą, były wysokie jak autobus piętrowy i szerokie jak dom. Gdy wyłoniły się z dymu, Devereau zauważył, że nie mają głów, zamiast tego z mięsisto-kościstego mostka łączącego ramiona wyrastała bryłka tkanki, w której znajdowały się maleńkie oczodoły oraz rura w miejscu gdzie powinny znajdować się usta.

Gdy wielkimi susami pokonywały ostatnie metry łagodnego zbocza, zauważył, że istoty przypominają maszyny, mechaniczne automaty pokryte zespawanymi płytkami grubego metalu, który brzęczał hałaśliwie przy każdym skoku.

Nagle zorientował się, że jego ludzie, tak jak on, przestali strzelać. Zgroza wymieszana z fascynacją całkowicie ich obezwładniła.

- OGNIA! - wrzasnął.

Iskry odbijających się kul zalały ziemię, gigant zwolnił biegu i zatrzymał się. Gniewnie zamachał olbrzymimi ramionami, pod którymi Devereau zobaczył kawałki bladoszarej tkanki poznaczonej ciemnymi kropelkami krwi wylatującej spomiędzy zachodzących na siebie metalowych płytek.

Lewiatan potknął się, zatoczył i opadł ciężko na kolana, potem, wciąż otoczony gradem iskier od odbijających się od niego kul, powoli przechylił się na bok niczym świeżo ścięte drzewo i runął tuż przy okopie, jedno z grubych ramion wpadło do rowu i zmiażdżyło jakiegoś pechowego szeregowca.

„Mój Boże... trzeba było całego pułku, żeby to powalić”.

Z oparów dymu wyłoniło się jeszcze jedenaście potworów. Tym razem tylko połowie żołnierzy udało się oddać strzały, pozostali musieli odpiąć i wymienić puste magazynki.

Giganty dopadły do nich w przeciągu sekund, kilka zatrzymało się przed „granicą”, jeden czy dwa stanęły nawet nad nią w rozkroku i opuściły swe wielkie, kołyszące się metalowe ramiona prosto do wykopu.

Na pięściach - rozmiaru baryłek z piwem - znajdowały się przeróżne eksperymentalne nasadki. Niektórym do dłoni przyczepiono żelazne klatki, z których wystawały długie na kilkadziesiąt centymetrów kolce. U kilku z nich do żelaznych opasek, okalających trzy palce, przyspawano nieprawdopodobnie długie szpony, ostrza przypominające szablę Devereau. Jednemu z lewiatanów do ramienia przypięto nawet obrotową piłę napędzaną furkoczącym silniczkiem.

Stojący pod nimi szeregowcy nie mieli w tym starciu najmniejszych szans.

Na dalszej części odcinka wznowiono ostrzał. Jeden z konfederackich plutonów artyleryjskich zdołał powalić drugą istotę, pakując kilkanaście terkoczących serii w klatkę piersiową. Kiedy genik upadł, Devereau z bliska przyjrzał się jego niewielkiej głowie zatopionej w klatce piersiowej: para małych, czarnych oczu, otwór pełniący funkcję nozdrzy i wystająca z ust rura biegnąca pod lewym ramieniem do dwóch cylindrów przymocowanych do pleców.

Na nogach wciąż stało dziesięć tych stworów... dziesięć! Zakończone kolcami i ostrzami pięści dziesiątkowały ludzi w rowie: ćwiartowały, zgniatały i patroszyły wszystkich nieszczęsnych żołnierzy, którzy mieli pecha znaleźć się w ich zasięgu.

- Zaraz nas wymordują!

Wainwright pokiwał głową.

- Czas się wycofać!

Święte słowa... pozostanie tutaj, w zasięgu tych śmiertelnych, zakończonych ostrzami ramion, byłoby całkowitym szaleństwem. Okop stracony. Istnieje cień szansy, że na otwartej przestrzeni pomiędzy „granicą” a „podkową”, uda im się zabić jeszcze kilku geników.

- Odwrót! - ryknął Devereau, ale jego głos utonął w harmidrze wrzasków, stukoczącego metalu, terkotu karabinów i brzdęku kul odbijających się z iskrzeniem od żelaznych płyt.

Wrzasnął raz jeszcze, osłaniając rękami usta:

- ODWRÓT!

- PODKOWA! - krzyknął jeszcze Wainwright.

Odrąbiono komendę do odwrotu, pozostali przy życiu żołnierze, którzy zachowali ręce i nogi, wybiegli z tranzei w panice jak spłoszone kruki odlatujące z pola.

- Co się tam wyprawia, Beki?

- Zobaczę - odparła, odchodząc w kierunku rolety.

Dochodzące z oddali ryki wskazywały, że Anglicy znowu próbują szczęścia i przystąpili do ataku na pierwszy okop. Ale tym razem odgłosy bitwy były inne: mniej strzałów, więcej krzyków. Maddy usłyszała, że trębacz pułkowy wygrywa jakąś melodię. Nie miała pojęcia, co ona oznacza, lecz odgadła, że pewnie nie zapowiada nic dobrego.

- O Boże... nadchodzą! - mruknęła. Uświadomiła sobie, że drży na całym ciele. Nienawidziła dźwięku swojego głosu, tego pisku i szczebiotu małej dziewczynki, dziecinnego pojękiwania.

„Dlaczego zachowuję się jak skretyniała idiotka?”

Zazdrościła pułkownikom - mężczyznom ulepionym z tej samej gliny, szorstkolicym weteranom o identycznym sposobie bycie - dystygowanego spokoju i dżentelmeńskiego dystansu. Anglicy mówią o takich ludziach, że potrafią zachowywać fason w każdej sytuacji.

„A obok nich ja - drżąca jak jakiś wychuchany chihuahua na ławce w parku”.

- Bob? Uruchom kolejną sondę.

> Maddy, ostatnią aktywowałem siedem minut temu.

- Wiem! Wiem! Próbuj dalej!

> Informacja: zwiększenie liczby wysyłanych sond oznacza szybsze zużycie zapasu ładunku.

- Jezu! Jakbym nie wiedziała! Rób, co mówię!

> Potwierdzam. Aktywacja sondy gęstości.

Beki precyzyjnie się obok wejścia do bunkra z działem artyleryjskim i wskoczyła do „podkowy” wykopanej wokół bazy.

Żołnierze, którzy stali wzdłuż wzmocnionego workami z piaskiem i drewnianymi belkami wału ziemnego, czekając na przyjęcie uderzenia, gapili się na nią w niemym zadziwieniu.

- Bardzo tu niebezpiecznie, panienko - powiedział jeden z nich. - Lepiej wracaj do środka.

- Nic mi nie będzie - odparła Beki ze wzruszeniem ramion. - Dziękuję za troskę. - Wcisnęła się między dwóch żołnierzy i stanęła na skrzyni z amunicją, aby wyrzeć ponad krawędź okopu.

Na opadającym ku „granicy” rumowisku aż roilo się od żołnierzy wdrapujących się chaotycznie w ich kierunku. Wielu było pokrwawionych. Za nimi dostrzegła kolumnę rzadziej, żółtej mgiełki unoszącej się nad pierwszą transzeją i kolejnych mężczyzn

wylewających się na otwartą przestrzeń. Nad rowem unosiło się kilka gigantycznych sylwetek. Naliczyła dziewięć sztuk.

- Czym one są? - spytała siedzącego obok niej szeregowca.

- Po-potwory! Przyzwane przez Brytoli z samego piekła.

- To geniki, panienko - powiedział inny - Wyhodowane z krwi i organów. - Mężczyzna z dezaprobatą potrząsnął głową. - Ani to diabły, ani piekielne demony. Takie gadanie to tylko hokus-pokus i vodou. - Westchnął. - Tak, czy siak prawda jest gorsza... bo te istoty to wynaturzenie natury.

Skinęła głową. Chyba wiedziała, o czym mówi żołnierz.

„Genetycznie modyfikowane jednostki”.

Kilkanaście metrów dalej do „podkowy” wpadł właśnie pierwszy z uciekających żołnierzy.

- Jezu! To niemożliwe... niemożliwe! Nie da się... nie da się ich zatrzymać! - bełkotał do siebie, wybałuszając ze strachu oczy i sapiąc z przerażenia.

Przez worki z piaskiem przelatywali kolejni żołnierze, lądując w okopie obok pierwszego szeregowca.

- Geniki! Przekłęci Angole znów wypuścili przeciwko nam geników!

Beki widziała, że ludzi ogarnął strach, który rozprzestrzenił się jak płomień pożerające wysuszone letnim słońcem pole pszenicy.

„Żołnierze wykazują objawy ekstremalnego stresu”.

Oszacowała, że ich zdolność do walki została poważnie osłabiona. Myny mieli nietęgę. Beki była niemal przekonana, że wkrótce porzucą tę pozycję obronną. Weszła na skrzynię z amunicją, stając o głowę ponad nimi.

- UWAGA! - krzyknęła donośnie.

Blade i zakrwawione twarze odwróciły się w jej kierunku.

- Informacja: olbrzymie istoty, które widzicie, to transgeniczne jednostki bojowe. Są wytrzymałe i odporne na uszkodzenia... ale można je zlikwidować!

- To demony! Nie da się pokonać diabłów wcielonych!

- Nie, do cholery! Ona... ona ma rację! - ryknął jeden z zakrwawionych mężczyzn. - Zabiliśmy dwóch! Widziałem, jak padają!

- Celujcie we wrażliwe obszary ciała! - instruowała Beki. - W układ krążenia, układ nerwowy. Klatkę piersiową i głowę. - Popatrzyła na nich surowo. - Czy to jasne?

Mężczyźni patrzyli na nią w milczeniu.

- Jeden, umiejętnie wycelowany pocisk może zabić te jednostki! Mierzcie w głowy i

klatki piersiowe! - rzuciła jeszcze i odwróciła się, by spojrzeć w dół zbocza, gdzie zobaczyła zmierzających ku nim chwiejnym krokiem Devereau i Wainwrighta. Wskazała ich palcem.

- Patrzcie! To wasi dowódcy! Zaraz potwierdzą moje słowa!

Niemіłosiernie sapiąc i dysząc z wysiłku doczłapali do nich razem z ostatnimi żołnierzami nadbiegającymi z „granicy”. Devereau dostrzegł wystawioną na strzał wroga Beki.

- Co ty najlepszego wyczyniasz, kobieto? Na ziemię!

Zignorowała ten wybuch, patrzyła tylko jak obaj mężczyźni wspinają się na worki z piaskiem i zeskakują do rowu tuż obok niej. Devereau wstał, dysząc i niemal zginając się w pól, żeby złapać oddech.

- Nic mi nie jest - oznajmiła. - Teraz musicie usiąść i odzyskać siły. - Położyła dłonie na ramionach jego i Wainwrighta i nacisnęła na nie tak mocno, aż usiedli na ziemi, otwartymi ustami łapiąc powietrze. Uklękła przy nich.

- Odpoczywajcie. Żołnierze muszą zobaczyć, że jesteście gotowi do walki.

Wainwright, opierający się o wał ziemny obok Devereau, podniósł wzrok.

- Powiedziałaś... gotowi do walki? - wysapał.

- Potwierdzam.

Odwrócił się do Devereau, przywołując na twarz wymuszony uśmiech.

- Cóż za - sapnął i prychnął - wspaniała młoda dama, nie uważasz?

Devereau pokiwał głową.

- Prawdziwy z niej szturmowiec.

ROZDZIAŁ 85

New Chelmsford rok 2001

- Informacja: punkt ekstrakcji znajduje się dwieście trzydzieści pięć metrów przed nami.

Liam popatrzył przez drewniany plot na ciągnące się za nim błotniste pole.

- Żartujesz!... Maddy wybrała świńską farmę?

Bob potrząsnął głową.

- Tym razem nie próbowałem zażartować.

- Naprawdę musi nas nienawidzić. - Obezwładniający smród świńskich odchodów przyprawiał Sal o mdłości. - Ohydne, obrzydliwe zwierzaki.

- To tylko błoto i trochę świń. Chodźcie - ponaglił Irlandczyk.

Wspiął się na płot i zeskoczył na drugą stronę, buty wbiły się w grunt z kleistym plaśnięciem.

- Faj, jest głębiej niż myślałem.

Pozostali po kolei wdrapali się na płot. Sal zeskoczyła ostatnia, miotając pod nosem przekleństwa po każdym kroku w cuchnącym i wciągającym głębiej błocku. W zmierzchającym świetle dnia widzieli, że świny zgromadziły się po przeciwnej stronie zagrody - pewnie nadszedł czas karmienia. Albo trzoda chlewna urządziła sobie pogaduchy.

- W którym kierunku, Bob?

Bob wskazał palcem przestrzeń pomiędzy dwiema długimi i niskimi szopami świńskimi.

Liam szedł przodem, chlupocząc w błocie, aż wyszedł na suchy, stabilniejszy grunt.

- Wykrywam cząstki - zakomunikował Bob.

- Uruchomiła sondę - wydedukował Liam. - Pospieszcie się! Musi nas zobaczyć! Rzucił się pędem w kierunku tonącej w mroku przestrzeni pomiędzy szopami. Gdy wreszcie znalazł się na miejscu zaczął podskakiwać i wymachiwać rękami. - To tutaj? - krzyknął do Boba. - Jestem we właściwym miejscu?

- Potwierdzam.

- Co też, na Jowisza, ten głupiec wyprawia? - spytał Lincoln, otupując błocko.

- Ruch - odparła Sal. - Chce, żeby sonda zarejestrowała ruch.

Chwilę później stanęli obok niego pomiędzy szopami, ostatnie promienie gasnącego słońca niknęły za horyzontem łagodnie falujących wzgórz.

- Hej! Ju-huu! Jesteśmy tutaj, Maddy! - Liam zaczął podskakiwać z podekscytowaniem. - Chodźcie po nas!

Bob uniósł brew.

- Wiesz, że one nas nie słyszą, Liamie?

- Wiem... ja tylko... - Uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Po prostu bardzo chcę wrócić do domu, to wszystko.

Lincoln usiadł na brzegu koryta, rozwiązał sznurówki i zdjął buty. Podniósł jeden z nich i zaczął wylewać z niego brudną maź.

- Czy teraz wrócimy do tysiąc osiemset trzydziestego pierwszego roku?

- Zabieramy pana do domu, panie Lincoln - potwierdziła Sal.

- Rozumiem - burknął. W jego głosie dało się wyczuć rozczarowanie. - Dziwnie będzie wrócić teraz do Nowego Orleanu. Na barcę, do pracy majtka.

Hinduska podniosła drugi but Lincolna i kłosem zboża zaczęła odłupywać zastygłe

grudki błota.

- Ależ wcale pan do tego nie wróci. - Posłała mu przyjazny uśmiech. - Czeką pana coś zupełnie innego.

Podniósł na nią wzrok.

- Mówi panienka o pisany mi przeznaczeniu?

- Tak.

- Byłem niewykształconym drwalem, zanim spotkało mnie to... to nieszczęsne zdarzenie. Po powrocie będę tym samym niewykształconym drwalem bez grosza przy duszy, z tą różnicą, że teraz jeszcze śmierdę świńskim obornikiem.

- Nie... - Chwyła go za dłoń. - Nie, panie Abrahamie... przecież oboje to widzieliśmy.

Spotkali się wzrokiem.

- To wszystko jest złe - wyszeptala. - Ten świat... te biedne, inteligentne istoty traktowane jak przedmioty, maszyny, narzędzia. Ponad stuletnia wojna domowa? Kto na tym korzysta? Obce państwa, nikt więcej. To przez pana... z powodu pana nieobecności wydarzyło się to wszystko.

- I tylko ja mogę odmienić bieg zdarzeń?

Skinęła głową.

- Kimże jestem - westchnął - jeśli nie włóczęgą z pustą sakiewką? Jakimże to cudem zdołam podnieść się z dna i wspiąć na najwyższy urząd w państwie? Zostać prezydentem?

- Już to się panu udało - odparła Sal i zmarszczyła brwi. - Albo inaczej: na pewno się uda. Przecież straszny z pana uparciuch.

- I wali pan prosto z mostu, nie inaczej - dodał Liam. - To zawsze pomaga.

- Poza tym - ciągnęła Sal, ściskając dłoń przyszłego prezydenta - teraz doskonale pan wie, jakich wyborów dokonywać, jak postępować. Jaki bieg nadać swojemu życiu... nikt z nas nie ma takiego luksusu, nikt nie wie, jak powinno wyglądać jego życie. Jest pan wyjątkiem.

- Miał pan rzadki przywilej poznać swoją przyszłość - powiedział Bob. - To taktyczna przewaga nad oponentami, wykorzysta ją pan później, aby... - Przerwał i wyciągnął rękę. - Cofnij się, Liamie. Wykrywam cząstki.

Liam usiadł na korycie obok Lincolna.

- Proszę pamiętać, że jest pan jedynym człowiekiem swojej epoki, który miał okazję ujrzeć przyszłość, panie Lincolnie, a później wrócić do swojego życia. - Ze smutkiem wzruszył ramionami. - Nawet ja i Sal nie mamy takiego szczęścia.

Hinduska pokiwała głową.

- Taką mamy pracę. Pewnie do grobowej deski.

Fragment ciemnogrnatowego nieba, na którym rozbłysły pierwsze nieśmiałe gwiazdy, zaczął na ich oczach skręcać się i drgać.

- O, popatrzcie - powiedział Liam, nagle promieniejąc - pod-wózka do domu.

ROZDZIAŁ 86

Nowy Jork rok 2001

Walka rozgorzała na nowo: trzaski wystrzałów i odgłosy bitwy były oraz bliższe.

Maddy martwiła się, że coś lub ktoś zniszczy bądź przewróci unoszący się nad bazą sztyk antenowy. Wystarczy przypadkowy strzał, jedna zbłąkana kula... a cały ich wysiłek, ofiara złożona przez żołnierzy, ciała leżące obok siebie jak sardynki w puszcze, wszystko to pójdzie na marne.

Beki walczyła na zewnątrz, ramię w ramię z rebeliantami. Jednostka pomocnicza dopiero teraz wydawała się szczęśliwa, czuła się jak ryba w wodzie, bo upaprana krwią i blokiem robiła to, do czego została stworzona.

Maddy usłyszała, że ktoś wykrzykuje rozkazy, chyba Devereau, zaraz potem rozległ się pulsujący terkot jednego z ciężkich karabinów maszynowych. Odwróciła się w kierunku wejścia. Za roletą widziała żołnierskie buty i opadające pasy amunicji: plutony artyleryjskie opuszczały fort, przenosiły swoje stanowiska do „podkowy”.

„Są naprawdę bardzo blisko”.

Obaj pułkownicy zgodnie stwierdzili, że trzy oddziały artyleryjskie utworzą ostatnią linię obrony, a fort stanie się ich Alamo.

Najwyraźniej plan uległ zmianie.

„Jasna zaraza... ruszajcie tyłki, Liamie. Szybciej... na litość...”.

> Maddy?

- Co?

> Sonda gęstości właśnie wykryła ruch.

- O powtarzalnym wzorze? Nie przypadkowym?

> Potwierdzam.

- Pstryknij zdjęcie!

> Potwierdzam.

Światłomierz na wehikule translukacji zaczął migać, gdy ładunek został uwolniony i przesłany izolowanymi kablami przez dziurę w dachu do zamontowanej na zewnątrz anteny,

która precyzyjnie ukierunkowała strumień energii: struktura czasoprzestrzeni nieznacznie się rozwarła, w niezgłębionych wymiarach temporalnych powstało mikroskopijne nakłucie.

Na monitorze po prawej komputer-Bob wyświetlił niejasny obraz o niskiej rozdzielczości. Taki sam jak ostatnim razem: błotniste pole, niska szopa, ciemniejące niebo. Choć nie, zauważyła jeszcze zamazaną sylwetkę jakiegoś wioskowego głupka, który zawisł w powietrzu robiąc pajacyka.

„Liam”.

- To oni!

> Potwierdzam. Otworzyć okno?

- Tak! Otwórz!

Światłomierz, czyli rząd diod LED przypominający kolumny korektora graficznego, zamigotał radośnie podczas nagłego zużycia nagromadzonej energii. Jednocześnie otworzyły się dwa okna: jedno sto sześćdziesiąt kilometrów na południe od Nowego Jorku, drugie w Nowym Orleanie w roku tysiąc osiemset trzydziestym pierwszym. Operacja pochłonęła cały zapas energii. Zrobiła co do niej należy, teraz wszystko w ich rękach.

Wsluchiwała się w szum obwodów elektrycznych w wehikule translokacyjnym, potem zobaczyła jak wskaźnik mocy zmienia kolor na czerwony, jedna dioda po drugiej.

Teraz może już tylko mieć nadzieję. I czekać.

Znowu.

Kolejny lewiatan powoli runął na kolana, gruby pancerz pokrywający klatkę piersiową bestii odkształcił się i wygiął pod naciskiem rytmicznie wypływanych przez rebelianckie działa pocisków ciężkiego kalibru. Po poranionym ciele olbrzyma spływała krew. Stwór żałośnie, wściekle zamłócił w powietrzu pięściami, z których wyrastały długie ostrza.

- Załatwiliśmy następnego! - ryknął sierżant Freeman, wymachując rękami w powietrzu.

- Chodźcie! Tutaj! Dobrze. Właśnie tutaj! - Wainwright zachęcał pozostałe plutony artyleryjskie, żeby zajęły pozycje za nasypem okalającym okop. - Strzelajcie w tych geników! Mierźcie w górną część klatki piersiowej... w dziury w zbroi! Widzicie?

Devereau przyglądał się zbocz, które tonęło w karmazynowym świetle rac wystrzeliwanych w nocne niebo z łodzi desantowych - z niezdrowym zachwytem wpatrywał się w migoczącą krwistoczerwoną iluminację rozświetlającą zabłocone i pożłobione kraterami pole walki. Za sześcioma genikami, którzy ociężale wdrapywali się na zbocze, uginając się pod ciężarem pancerzy ważących zapewne z kilka ton, angielscy żołnierze gromadzili się w zdobytej „granicy”. Widział oficerów krzątających się wśród grupki żołnierzy gotowych

wybiec pędem z okopów, by pomóc w natarciu swoim genikom. Na workach z piaskiem siedział okrakiem jakiś oficer, który przystawił lornetkę do oczu i z angielską flegmą obserwował rozgorzałą na wzgórzu walkę.

ROZDZIAŁ 87

Nowy Jork rok 2001

Beki z chłodną fascynacją obserwowała gigantycznych geników, którzy bestialsko niszczyli wszystko na swej drodze. Potwory nieustraszenie kołysały ramionami, wyrzucając z okopów ociekające krwią kończyny i organy buntowników. Przeróżne elementy ludzkiej anatomii wlatywały w powietrze otoczone tumanami piachu. Bestie nie miały skrupułów, ich mózgów nie zaprzętały wątpliwości, a moralność i etyka nie znajdowały dostępu do ich świadomości - dokonywały masowego mordu z wrażliwością piły elektrycznej wrzynającej się w drzewo.

Potrafiła się z tym utożsamić: ze światem sprowadzonym do zero-jedynkowych zadań i celów misji. I na tym kończyła się jej empatia, więź braterstwa z bestiami. Bo ona też miała własne cele misji do zrealizowania.

Pod nogami najbliższego lewiatana leżeli zmasakrowani żołnierze z jednego z plutonów artyleryjskich. Gruba, skierowana ku niebu lufa trójnożnego działa wciąż dymiła. Beki pochyliła się nisko i ruszyła chyłkiem przez usypisko ciał zalegających pod grubymi nogami giganta. Dokładnie w momencie, gdy genik wyczuł ruch pod nogami, Beki dopadła do działa, odciągnęła je na metr i wycelowała lufę w górę. Krocza potwora nie chronił żaden pancerz, kule ciężkiego kalibru przeszły zwały miękkiej tkanki jak sito. Rozwścieczony genik zamłócił wszystkimi kończynami, z wąskich ust wypadła trzepocząca rura zasilająca, smagając go po twarzy Głęboki jęk wezbrał w klatce piersiowej i uwiązł w gardle, zasznurowane usta stłumiły krzyk gniewu i agonii.

Terkot broni maszynowej ustał, lufa się przegrzała i zerwał się pas amunicyjny. Na szczęście Beki zdążyła wyrzucić wystarczająco duże szkody. Lewiatan zrobił jeszcze kilka chwiejnych kroków, rozlewając wokół siebie hektolitry krwi, po czym runął tuż przed okopem i stoczył się w dół zbocza. Pod ciężarem kilku ton mięcha i żelastwa zadrzała ziemia.

Kiedy nad traszszą eksplodowała kolejna rasa, a całe pole bitwy utonęło w sztucznym karmazynowym brzasku, Beki jednym spojrzeniem oceniła sytuację. Na nogach trzymało się jeszcze dwóch geników, jeden z nich siał spustoszenie na dalszym odcinku „podkowy”. W granatowe niebo wzbijał się piasek wymieszany z lśniącymi od śluzu

wnętrzościami. Kilku żołnierzy, których potwór nie zdążył jeszcze okaleczyć, poćwiartować ani zabić, gramoliło się w panice na szczyt okopów, żeby uciec i uratować życie. Jakieś dwieście metrów dalej, w dole zbocza, trzy zwarte szeregi angielskich żołnierzy właśnie przypuściło szturm na ich pozycje.

Pułkownik Devereau wyszedł z okopu i próbował zgromadzić uciekających ludzi. Wainwright uwijał się jak w ukropie, posyłając kolejne kule w dół zbocza, w kierunku nacierających Anglików.

Bunkier zbudowany z worków z piaskiem i wałów ziemnych - fort - ostatnia linia obrony tuż przed bazą był pusty. Błąd.

- Devereau! - krzyknęła jednostka. Jej głos - dobrała odrobinę głębszy niż zazwyczaj, niemal męski, tembr - wzbił się ponad bitewnym zgiełkiem. Devereau spojrzał w jej stronę. Wskazała fort i cisnęła pułkownikowi leżący w okopie karabin maszynowy.

- Musisz obsadzić fort żołnierzami! - ryknęła.

Devereau skinął głową. Ostatni bastion, chyba właśnie tam przyjdzie mu umrzeć wraz z tymi kilkoma szeregowcami, których udało się odwieść od ucieczki. Pomogłoby spore działko maszynowe i kilkumetrowy pas amunicji leżący na ziemi.

W okopie zostało kilku żywych mężczyzn, zgromadzili się wokół milczącego działka maszynowego, z którego lufy ulatywał dym. Uwięzieni pomiędzy dwoma lewiatanami kulili się ze strachu, unikając zamaszystych siepień umorusanych krwią kolców i wirujących z warkotem ostrzy pił.

[Ocena: działko maszynowe - wartość taktyczna = WYSOKA].

Przechwycenie drugiego działka i umieszczenie go w ich ostatnim szańcu obrony wiązało się z dużym ryzykiem. Beki uznała jednak, że warto zaryzykować. Wyciągnęła szablę z rąk jednego z martwych ludzi. Rozpoznała czarną twarz mężczyzny, jego siwe kręcone włosy i brodę. Szkliste, nic niewidzące oko było wystarczającym powodem, żeby wyjąć mu z ręki broń i zrobić z niej dobry użytek.

Beki wyszła z okopu i ruszyła w kierunku dwóch ostatnich lewiatanów, beztrąsko skacząc z jednego worka z piaskiem na drugi jak po mokrych kamyczkach zanurzonych w szemrzącym strumyku. Znalazła się w pobliżu pierwszego potwora. Szybkim ruchem wyciągnęła szablę i napięła wszystkie włókna mięśni, żeby wyprowadzić niski, zamaszysty cios. Ostrze przeszło chropowatą, zwierzęcą skórę i przecięło mięśnie i kość goleni grubej jak klatka piersiowa człowieka. Goła, metrowa stopa, z której wyrastały wielkie - niby jabłka do pieczenia - drgające palce, wleciała do okopu jak połeć mięcha. Genik z oderwaną stopą stracił równowagę i zwałił się na ziemię, grube płyty żelaznego pancerza zabrzęczały i

zachrobotały niczym ładunek metalu wywalonego z wywrotki na hałdę złomu.

Lewiatan, już i tak uginający się ze zmęczenia pod ciężarem swojej zbroi, wierzgnął rozpaczliwie niczym słoń ze złamanym kręgosłupem, po raz ostatni próbując się podnieść z ziemi.

Beki stanęła nad jego małą głową, wpatrując się w dwoje pa-ciorkowatych ślepiów, mokrych i lśniących, w których odbijało się światelko opadającej na niebie racy. Pozbawione białek oczy były puste i matowe jak ślepia gigantycznego insekta... choć gromadzący się w nich błyszczący płyn wyglądał jak...

„Łzy?”.

Ta obserwacja zajęła Beki raptem kilka nanosekund w ramach pojedynczego cyklu komputerowego. „Łzy wściekłości - zastanawiała się - a może ulgi?”.

Pajęcze oczy zamknęły się, jakby istota wiedziała, zaakceptowała nawet, co ją za chwilę czeka. Beki wraziła szablę prosto w miękką tkankę pod rurą zasilającą, genik wierzgnął, gigantyczne wstęgi porastających całe ciało mięśni spięły się po raz ostatni, potem zwiotczał - martwy.

Odwróciła się akurat w chwili, gdy ostatni z kolosów padł na ziemię osłabiony wyciekami krwi z ran postrzałowych.

Po raz kolejny przeskanowała wzrokiem pole bitwy. Anglicy biegli już tylko sto metrów niżej. Oszacowała, że w „podkowie” zostało nie więcej niż kilkudziesięciu żywych mężczyzn, niektórzy posyłali w dół zbocza niemierzone strzały, większość klęczała pogrążona w katatonicznej panice.

Nagle z okopu chaotycznie wybiegło pięćdziesięciu, sześćdziesięciu kulejących i zataczających się mężczyzn. Przekuśtykali obok wciąż pracującego czołgu i zniknęli w bezpiecznym rumowisku Brooklynu. Devereau zdołał skupić wokół siebie gromadkę kilkunastu żołnierzy, którzy i tak byli zbyt ciężko ranni, żeby ratować się ucieczką. Tutaj mieli przynajmniej swój cekaem.

Wainwright stanął tuż obok i kiwnął na Devereau, który wysyłał szeregowców do fortu.

- Musimy kupić im trochę czasu, żeby mogli spokojnie rozstawić tam broń! - krzyknął Wainwright.

- Potwierdzam. - Wskazała kilku mężczyzn stojących w okopie. - Wstrzymam wroga. Rozkaż tym ludziom, żeby zajęli bezpieczne pozycje w forcie i w bazie. Trzeba utrzymać pozycje tak długo jak to możliwe!

Wainwright skinął głową. Ruszył wzdłuż okopu i po kolei klepał po plecach garstkę

trzymających się jeszcze na nogach żołnierzy, gestykulując w stronę bazy.

Beki podeszła kilka metrów do przodu. Sięgnęła po wciąż dymiący cekaem, bez trudu podniosła go z trójnożnej podstawy i oparła o biodro.

Wycelowała w biegnących pięćdziesiąt metrów w dole zbocza Anglików. I zaczęła strzelać.

ROZDZIAŁ 88

Nowy Orlean rok 1831

Lincoln patrzył na ulicę. Wczesny wieczór. Gwarno. Robotnicy portowi wreszcie mają fajrant, traperzy i kupcy ładują na barki bele bobrowych skór i przedmiotów na handel z Indianami. Setki szorstkich głosów wymienia pozdrowienia łamaną angielszczyzną lub po francusku, na ulicach pobrzmiwa stukot podkutych kopyt i chrobotanie obręczy metalowych kół.

Po drugiej stronie porytej koleinami drogi stoi gospoda, ta sama gospoda, w której splukał się ze wszystkich zarobionych pieniędzy, topiąc swe smutki wr kieliszku. Teraz zdawało mu się, że wytoczył się z tego ganku w poprzednim wcieleniu.

- Tu mnie znaleźliście - zauważył.

Sal pokiwała głową.

- I właśnie tutaj powinien pan zostać.

- Nowy Orlean. - Uśmiechnął się. - Teraz zdaje się o wiele mniejszym miastem.

- Coś w tym jest. - Podniosła na niego wzrok. - W porównaniu z ostatnimi cudami, które oglądaliśmy, nie robi piorunującego wrażenia.

Zaśmiał się.

- W rzeczy samej, oglądaliśmy same niewiarygodności. Jestem święcie przekonany, że przysporzą mi one wielu bezsennych nocy.

- To musi pozostać w tajemnicy. Wszystko - powiedziała. - Rozumie pan, że nikomu nie może opowiadać o tych wydarzeniach?

- Jeżeli pewnego dnia mam kandydować na prezydenta, młoda damo, to nie mogę snuć opowieści o latających statkach, gadających zwierzętach i wehikułach przenoszących ludzi w czasie. Stałbym się pośmiewiskiem. Nikt by na mnie nie zagłosował. Obywatele tego nowego kraju nigdy nie zaakceptowałyby obłąkanego szaleńca jako swojego przywódcy.

- Co racja, to racja - odparła Sal.

Lincoln podrapał się po czarnej brodzie.

- Ale ostrzegę każdego, kto zechce mnie słuchać, że kraj ten nie przetrwa, jeśli nie pozostanie zjednoczony. - Spojrzał na nią niepewnie. - To mi przynajmniej wolno powiedzieć?

Hinduska zerknęła na Liama, który stał kilka metrów dalej pogrążony w rozmowie z Bobem. Odwróciła się do Lincolna i wzruszyła ramionami.

- Myślę, że i tak zawsze pisane panu było głosić coś podobnego. Teraz wie już pan przynajmniej, dlaczego Stany Zjednoczone nie mogą się rozpaść.

Patrzyli, jak tęgi przedsiębiorca i jego żona przechodzą przez ulicę i jak kilka kroków za nimi pod ciężarami bagażów uginają się ich niewolnicy. Na szarym końcu nogami powłóczył mały, bosonogi Murzynek przyodziany w jakieś strzępy ubrań - ostatni przedmiot w tej karawanie własności.

Pomyślała o Samuelu. Podniosła wzrok i spojrzała w podkrążone, czarne oczy Lincolna. Na pewno myślał o tym samym.

- Wiele spraw w tej epoce będzie wymagało naprawy - mruknął Lincoln - zanim narodzi się naród, o którym śnili nasi ojcowie.

Właśnie wtedy usłyszeli pierwsze odgłosy dudniących kopyt. Na ulicy rozbrzmiały alarmujące okrzyki, rozległ się trzask staczających się z wozu i z hukiem spadających na szosę beczek z whisky i piwem, z pękających antałów bryzgała drożdżowa piana.

Wóz nadciągał, więc Liam i Bob na wszelki wypadek zeszli z ulicy i dołączyli do Sal i Lincolna. Sześć wierzchowców - z unoszącymi się niebezpiecznie chrapami - pędziło zygzakiem w ich kierunku. Przecwalały obok nich, zostawiając na drodze długi ślad rozwalonych beczek. Patrzyli, jak konie i wóz wpadają w tłum ludzi i kluczą między nimi jak oszalałe. Wóz zakołysał się i wypadła z niego resztką ładunku. Pod ciężarem przechylonej paki pękło jedno z kół. Drzazgi i zmiażdżone szprychy trysnęły na boki, a metalowa obręcz wygięła się nienaturalnie, ale konie w panice gnały dalej, ciągnąc wóz sunący teraz na samej osi. Wreszcie zniknęły poza zasięgiem wzroku.

- To wóz, który pana zabił - powiedział Liam i radośnie klepnął Lincolna po plecach. - Na szczęście nie tym razem, panie Lincoln.

Bob szturchnął Liama.

- Pamiętaj o celu drugorzędowym - zadudnił z cicha.

Liam skinął głową i podał Lincolnowi rękę.

- Miło było poznać przyszłego prezydenta, w rzeczy samej.

Lincoln odpowiedział skinieniem i mocno uściskał podaną dłoń.

- Postaram się... uczynię wszystko co w mojej mocy, panie O'Connor. Niech was Bóg

prowadzi.

- Obywatele tego kraju będą z pana dumni. - Uśmiechnął się. - Jestem o tym przekonany.

Bob znacząco pochylił się nad Irlandczykiem.

- Cel drugorzędowy - przypomniał.

- Już... już. - Zerknął na Sal. - Musimy iść. Czas zająć się jeszcze jedną sprawą. - Potrząsnął ręką Lincolna i ponownie się uśmiechnął. - Proszę na siebie uważać, panie Lincoln.

- Będę uważał, sir.

- Sal - Liam wskazał w górę ulicy - musimy to sprawdzić, natychmiast.

Skinęła głową.

- Dogonię was.

Liam pomachał ostatni raz na pożegnanie, Bob zdawkowo kiwnął głową, po czym obaj żwawo ruszyli śladem zniszczeń w górę Powder Steet, aby odnaleźć przyczynę paniki.

Sal i Lincoln popatrzyli po sobie.

- To był dość rozrywkowy tydzień - zauważyła.

Śmiech wysokiego młodzieńca zabrzmiał jak ryk dzikiej bestii.

- Mało powiedziane, panienko.

- Wie pan... - podjęła, ale szybko przypomniała sobie, że nie powinna zdradzać więcej.

A już na pewno nie może wyjawić, jaki ponury los szykuje mu historia niedługo po zwycięstwie Północy. - Nieważne.

Lincoln uniósł brew. Zaintrygowany.

- O co chodzi? Chciała mi panienska rzec coś ważnego.

- Tylko że... - Sal wzruszyła ramionami. - Ze pana twarz pojawi się na banknocie pięciodolarowym. - Uśmiechnęła się. - Super, co?

- Na banknocie pięciodolarowym? - Lincoln wyglądał na zaskoczonego. - To w przyszłości będą drukować banknoty o takim nominale? - Potrząsnął głową szczerze rozbawiony tym, co usłyszał.

Sal rozejrzała się po ulicy. Wciąż widziała Liama i Boba, ale nie chciała ich zgubić.

- Muszę się zbierać - powiedziała. - Pan również.

- W rzeczy samej.

- Powodzenia. - Mocno uściśnęła jego dłoń. - Po powrocie do domu wpiszę pana nazwisko w wyszukiwarce i przeczytam wszystko o pana życiu i karierze.

Machnęła jeszcze ręką na pożegnanie, odwróciła się na pięcie i pobiegła dołączyć do

przyjaciół. Lincoln patrzył, jak cała trójka znika w gęstniejącym tłumie ludzi, którzy wylegli na ulicę, żeby zobaczyć, co wywołało całe to zamieszanie.

„No i co teraz, panie Lincolnie?”. - Z dezaprobatą obejrzał ochlapane błockiem spodnie i rozpadające się buciory Bez względu na to, jaka przyszłość, jakie przeznaczenie go czekają, postanowił wyjść im naprzeciw nie cuchnąc świńskimi odchodami. Ruszył w kierunku nabrzeża i spokojnych wód Missisipi. W lśniącej, gładkiej jak lustro powierzchni przegłędały się promienie zachodzącego słońca.

ROZDZIAŁ 89

Nowy Jork rok 2001

Kapitan McManus szedł powoli wzdłuż zakrzywionego okopu, starając się stawiać stopy na równym gruncie, a nie na kończynach, torsach i twarzach trupów. Ci chłopcy, rebelianci, zasługiwali na lepszą śmierć.

Nad głową dzierżył białą flagę, to jest chusteczkę przywiązaną do czubka bagnetu. W drugiej dłoni trzymał latarnię, aby żołnierze kryjący się w bunkrze na końcu tej długiej, podkowiastej tran-szei wyraźnie widzieli, jak nadchodzi.

Bunkier był w rzeczywistości prowizoryczną konstrukcją, którą zbito naprędce z drewnianych belek, po czym otoczono wałem ziemnym i umocniono workami z piaskiem. Stał w cieniu górującego nad okolicą filara mostowego, obok kolejnej budowli - innego kopca podobnego do igloo Eskimosów, do którego budowy, zamiast bloków śniegu, użyto popękanych cegieł.

Dlaczego tu? Dlaczego ostatni bastion zbudowali w tym miejscu, pośrodku opuszczonego przez Boga i ludzi pustkowia? Postąpiliby rozsądniej, broniąc się wśród ruin fabryki. Walka w ścisłości, konieczność odbijania korytarza po korytarzu i pokoju po pokoju, zdziesiątkowałyby każdą armię próbującą pokonać rebeliantów wśród ruin.

„Dlaczego zatem wybrali otwarty teren?”. - To nie miało sensu.

Przestąpił ponad grubym zwaliskiem trupów, głównie Anglików i zatrzymał się na chwilę, żeby lepiej przyjrzeć się leżącemu w samym centrum ciała.

Kobieta.

Potrząsnął głową. Widział ją już wcześniej przez lornetkę. Ta młoda kobieta wstrzymała natarcie całego pułku na dobre pięć minut, samodzielnie obsługiwała kartaczownicę marki Armitage & Burton, strzelając do nich z biodra. Z biodra! Strzelała do samego końca, aż lufa się przegrzała i zatkała, a broń odmówiła posłuszeństwa. Potem rzuciła

się na starych wyjadaczy z gołymi rekami i zdążyła zabić kilkunastu, zanim wreszcie sprowadzili ją do parteru.

„Dobry Boże”.

Miał ochotę uklęknąć i przypatrzeć się jej z bliska. Ale to może poczekać. Czas zakończyć bitwę.

- Idę z białą flagą! - krzyknął. - Wy, tam, w bunkrze, widzicie ją?

- Ani kroku dalej! - odkrzyknął czyjś głos. - Słyszemy cię doskonale z tej odległości!

McManus skinął głową i wbił bagnet w piasek. Obok bagnetu postawił latarnię.

- Dobrze. Jestem przekonany, że wiecie, po co przyszedłem. Kończymy na dziś panowie?

Devereau odwrócił się do Wainwrighta, który, trzymając się za bok, siedział na klepisku pomiędzy dwoma rannymi żołnierzami. Kula drasnęła go w ramię w momencie, gdy próbował pomóc Beki ogniem osłonowym. Jedna strona szarego munduru lepiła się od czarnej krwi.

- Chcą negocjować, James.

Twarz Wainwrighta rozciągnął zmęczony uśmiech.

- Powiedz mu, że nie jesteśmy w nastroju brać jeńców.

Devereau wyszczerzył zęby. Już miał odwrócić się i powtórzyć to angielskiemu oficerowi, ale kątem oka złowił sylwetkę Maddy, która przykucnęła przy wejściu do bazy. Słaba poświata emitowana przez ustawione w rzędzie komputery ukazała betonową podłogę zasłaną rannymi i umierającymi żołnierzami.

Amerykanka spojrzała w lewo, na angielskiego oficera stojącego dziesięć, może piętnaście metrów dalej w okopie, po czym szybko przebiegła przestrzeń pomiędzy bazą a niskim wejściem do fortu. Skulona weszła do środka i dołączyła do Devereau, który patrzył przez szparę ostrzałową na angielskiego oficera i jego białą flagę.

- Powinniście się poddać - wyszeptwała. - Udało się!

- Wasz wehikuł? - Spojrzał na nią niepewnie. - Zadziałał? Udało się przetransportować Lincolna do właściwego czasu?

- Tak!

- Dalszy rozlew krwi jest naprawdę niepotrzebny! - krzyknął angielski oficer.

- Kiedy zmieni się rzeczywistość? - wyszeptał Devereau.

Maddy bezradnie potrząsnęła głową.

- Wkrótce... nie jestem w stanie przewidzieć, kiedy dokładnie. Na pewno niedługo.

- Są tam u was jacyś ranni żołnierze?! - krzyknął angielski oficer. - Zapewniam was,

że należycie się nimi zajmiemy! Wszystkich poborowych, młodszych oficerów, podoficerów... potraktujemy humanitarnie, jak jeńców wojennych. Macie moje słowo!

- Na miłość boską! Na co czekacie? - pytała Maddy.

Wainwright jęknął cicho.

- Williamie... powinniśmy puścić naszych chłopców.

Devereau przyłożył ręce do ust.

- Konfederatów potraktujecie tak samo jak żołnierzy Unii?

Pauza.

- Macie moje słowo... żaden poborowy ani żaden młodszy oficer nie zostanie postawiony przed sądem wojskowym. Wszyscy uzyskają status jeńców wojennych!

- Słyszałeś? - Devereau odwrócił się do Wainwrighta.

Wainwright pokiwał głową. Uśmiechnął się.

- Czyli tylko my dwaj staniemy przed plutonem egzekucyjnym.

- To lepsza wiadomość niż się spodziewaliśmy. - Skinął głową, z wdzięcznością akceptując propozycję.

- Ale... - Po kolei spojrzała na obu mężczyzn. - Ale to zajmie dni... tygodnie? Prawda? Przesłuchanie? Sąd wojskowy? Trzeba czasu, żeby to wszystko zorganizować. A nowa rzeczywistość nadchodzi, macie na to moje słowo. Może nadpłynąć w każdej chwili. Za pięć minut, pięć godzin...

Żołnierze ściśnięci w małym gnieździe artyleryjskim patrzyli na tę wymianę zdań z niedowierzaniem.

- Albo nigdy. - Devereau wzruszył ramionami. - To też możliwe, prawda?

- Nie... - Potrząsnęła głową. - Obiecuję wam, wszystko ulegnie zmianie!

- Wychodźcie, panowie! - krzyknął oficer. - Ostatni raz słyszycie tak łagodne warunki!

- Poddajcie się! - błagała. - Proszę... po prostu to zróbcie. Poddajcie się! Już wszystko gra, wszystko się naprawi, obiecuję!

- Mam jeszcze jedno pytanie.

- Słucham?

- Gdybym poległ w tej bitwie, czy nowa rzeczywistość i tak stworzyłaby nowego mnie?

- Tak, oczywiście.

Devereau zerknął na Wainwrighta; mężczyźni uśmiechnęli się w cichym porozumieniu. Odwrócił się do otworu strzelniczego i ponownie przyłożyli ręce do ust.

- Dobra. Wygrałaś. Wychodzimy. Poddajemy się!

ROZDZIAŁ 90

Nowy Jork rok 2001

„Cholera!”.

Maddy zerknęła przez ramię na ceglany garb bazy.

„Muszę tam być! Muszę się dostać do środka!”.

Tak jak jej kazano, założyła ręce za głowę i podreptała wzdłuż zabłoconego okopu razem z innymi jeńcami. Anglicy stali na workach z piaskiem po obu stronach transzei, patrząc z góry na pokonanych obrońców. Utkwiła wzrok w plecach idącego przed nią mężczyzny, bojąc się spojrzeć w górę, nie chcąc spotkać się wzrokiem z którymkolwiek z żołnierzy. Jeszcze raz zerknęła jednak przez ramię.

„Muszę być w środku, kiedy nadejdzie fala!”.

Gdy fala przyplynie, o ile to w ogóle nastąpi, to stojąc tutaj, poza zasięgiem bezpiecznego pola mocy, niemal na pewno... zleje się z pokładem nowo uformowanej ziemi lub zostanie w obrzydliwy i śmiertelny sposób przyspawana do ceglanej ściany, kontenera na śmieci albo czegoś innego.

Żołnierze wychodzili z okopu trzydzieści metrów dalej, w miejscu, gdzie kilka worków z piaskiem spadło na dno, tworząc mały podest. Lekarze i sanitariusze z angielskiego pułku pomagali rannym wydostać się na zewnątrz. Maddy ujęła podaną dłoń, która przeciągnęła ją nad krawędzią transzei. Zgaszonym głosem wymamrotała „dziękuję”.

Na niebie unosiły się potężne statki powietrzne, z których dzisiaj rano wysiadło na Manhattanie kilka oddziałów wojska. Przyczepione do podbrzuszy reflektory migotały nad pustkowiem, zalewając je tańczącymi promieniami iskrzącej się bieli.

Słyszała rytmiczny warkot starego, rozpadającego się czołgu, który mimo upływu lat wciąż pozostawał sprawny, charkot i rżenie silnika było teraz jedynym dźwiękiem rozbrzmiewającym ponad pogrążonym w śmiertelnej ciszy polem walki.

Poprzecinane kraterami pustkowie przykryły ciała. Pomiędzy drgającymi nieznacznie zwłokami krzątali się sanitariusze, wypatrując rannych, których uda się jeszcze odratować. To tu, to tam rozlegał się trzask wystrzału. Akt litości dla żołnierzy, których nie da się już ocalić.

Od jakiegoś już czasu nie widziała Beki. Od momentu, gdy sonda gęstości wykryła Liama i pozostałych. Kiedy to było? Dziesięć minut temu? Pół godziny? Zrozumiała, że szok przytępił jej zmysły, zaburzył percepcję. Czuła się, jakby grzęzła w materii snu.

- Beki - szepnęła do siebie. Wypowiedzenie jej imienia na głos wyzwoliło w niej uczucie, o które nigdy się nie podejrzewała. Troskę. Zawsze w duchu podśmiewała się z przywiązania Liama do Boba i Beki... a teraz, proszę - czuje dokładnie to samo. Boi się, że zaraz znajdzie martwe ciało Beki rozciągnięte na ziemi.

Kapitan McManus patrzył uważnie na obu amerykańskich oficerów, którzy siedzieli obok siebie, opierając się o szaniec i worki z piaskiem tworzące ścianę bunkra. Przyklęknął tuż przed niskim wejściem do budynku.

Powoli pokiwał głową.

- Zgoda - powiedział w końcu. - Jeśli tego sobie panowie życzą.

Pułkownik Unii posłał mu ponury uśmiech.

- Tego sobie życzymy, kapitanie.

McManus wydał usta, po raz ostatni skinął głową i wstał. Oczywiście mieli rację. Żaden z nich nie uniknie plutonu egzekucyjnego.

Wywołali przecież bunt. Rozstrzela się ich i upokorzy dla przykładu. Tylko w ten sposób mogą uniknąć kilku godzin przeciągającej się w nieskończoność męczarni czekania i oszczędzić sobie hańby związanej z odarciem ich mundurów z odznaczeń i oficerskich gwiazdek, zanim o świcie zostaną wyprowadzeni na plac egzekucji.

Zasalutował, po czym odszedł od wejścia, żeby zapewnić im odrobinę prywatności. Zauważył miękkie, bladoniebieskie światło sączące się przez podciągniętą do połowy, metalową roletę po prawej stronie. Podeszedł do drzwi i schylił się, żeby zajrzeć do wnętrza budowli.

Zobaczył popękaną, nierówną betonową podłogę, na której leżało kilkanaście śmiertelnie rannych buntowników. Wielu z nich, to oczywiście, nie pożyje długo. Kilku już było martwych. Postanowił, że przyśle tu sanitariusza jak tylko jakiś się zwolni.

Westchnął na widok odrażającego nieładu i kruchych ludzkich ciał zamienionych w zwały mięsa. Szczególnie ohydne były obrażenia wyrządzone przez eksperymentalnych. Rany i urazy żołnierzy biorących udział w bitwie były straszliwe. Właściwie to odczuł ulgę, że wybili testowy oddział dwunastu geników. Chyba i tak wymknęli się spod kontroli. Jego chłopcy sami musieliby ich zniszczyć.

Przeniósł wzrok na źródło niewyraźnego blasku, intrygującego niebieskawego światła. Ujrzał rząd prostokątnych ekranów, na których migąły rozmazane obrazy i jasne kolory.

Zmrużył oczy.

„A to co u licha?”

- Sam widzisz. - Devereau odpiął kaburę i wyciągnął rewolwer. - Nieźle nam poszło,

kto by pomyślał.

Wainwright parsknął, z ust chlusnęła struga krwi.

- Fakt - odparł, patrząc jak Devereau w zamyśleniu głaszcząc kolbę pistoletu. - Powiedz mi, Williamie, czy naprawdę wierzysz, że istnieją inne światy? Może to dziewczę zwyczajnie wodziło nas za nos.

- Nie mam pewności, widziałem tyle co ty. Wszystkie te zdjęcia... - Uśmiechnął się. - Chyba naprawdę jej wierzę.

- Jeśli mówi prawdę, to będzie niesamowite. - Wainwright pokiwał głową.

- Może obaj obudzimy się w nowym świecie?

- Po opuszczeniu tego? Kto wie. - Wainwright sięgnął po broń. Od nagłego poruszenia aż jęknął z bólu. Zaśmiał się.

- Co cię tak bawi?

- Pięć lat temu... czy coś koło tego... połączył się ze mną jeden ze snajperów. Powiedział, że ma cię w zasięgu strzału. Pytał, czy może wpakować ci kulkę w głowę.

- I co mu rozkazałeś?

- Żeby nie strzelał... oczywiście.

- Dlaczego?

Wainwright westchnął.

- Szkoda, że nie pamiętam. Ja... nie wiem. Wydało mi się to nie-sportowe.

- Niesportowe? - Devereau wybuchnął perlistym śmiechem.

Wainwright skwapliwie się do niego przyłączył, choć targane śmiechem ciało przeszywały igły bólu.

- Wiesz, Bill, mam przecucie, że Anglicy przechwycili nasz radiowy apel, wezwanie do walki przesłane innym pułkom. - Mrugnął i wziął głęboki oddech. - Naprawdę wierzę, że rebelia rozprzestrzeniłaby się na całą armię. I nikt mi nie wmówi, że tylko nasze dwa pułki pragną zakończenia tej niedorzecznej wojny.

- Ja też nigdy w to nie uwierzę. - Devereau ostrożnie zapiął kołnierz swojej bluzy aż po samą szyję, po czym wyprostował daszek furazerki. - A niech to, pułkowniku Wainwright... my przynajmniej zaryzykowaliśmy, do cholery.

- Zaryzykowaliśmy. Na całego.

ROZDZIAŁ 91

Nowy Orlean rok 1831

Podążali szlakiem chaosu wiodącego kilkaset metrów w górę Pow-der Street. Przy roztrzaskanych drewnianych beczułkach, z których na ziemię wylewała się whisky, klęczeli splukani włóczędzy ochoczo przystawiający do nich złożone w puchar dłonie. Kobieta ze złamaną nogą wydzieriała się, żeby ktoś natychmiast wezwał lekarza. Z przewróconego wozu piekarza na drogę wysypały się bochny chleba. Minęli jeszcze tobołek trapera, z którego wypadły i rozsypały się na całej szerokości drogi bobrowe i jelenie skóry, porwane i stratowane przez kopyta koni i obręcze kół - i dopiero wówczas znaleźli się przed bramą prowadzącą do stajni i na dziedziniec gorzelni.

- Wóz nadjechał stamtąd - powiedział Bob.

Z dwupiętrowego, ceglanego budynku wybiegł tłum robotników, którzy skupili się wokół czegoś na środku placu. Widzieli, jak ludzie o pobladłych twarzach odwracają się, zginają w pół i wymiotują. Jakaś młoda kobieta krzyknęła i pobiegła przez dziedziniec w ich stronę.

- Przepraszam, panienko? Co tam się wydarzyło? - spytała Sal.

Kobieta potrząsnęła głową i zaczęła pleść coś trzy po trzy o „diabelskich sprawkach”. Potem uciekła ile sił w nogach, byle dalej od placu.

- To zdarzenie kontaminujące - poinformował Bob.

- Na pewno. Chodźcie, powinniśmy rzucić na to okiem.

Przeszli przez plac, kierując się w stronę ceglanych stajni. Słyszeli płynące zza drzwi parskanie podenerwowanych koni, niespokojne stukanie krążących w kółko kopyt i smętne porykiwania.

Tłum ludzi gromadził się wokół czegoś leżącego na ziemi. Z paplaniny przerażonych głosów Sal wychwytywała pojedyncze słowa:

-...czary...

-...diabelskie sztuczki...

Mężczyzna o donośnym głosie gromił robotników, perorując o zgubnym wpływie alkoholu na ich zdrowie... krzyczał, że to ostrzeżenie zesłane przez Boga, gniew Boży i kara Boska.

Przecisnęli się przez tłum, żeby zobaczyć o co tyle krzyku, co nie było trudne, bo tłum wcale nie kwapił się z podchodzeniem do źródła paniki.

Wreszcie Liam, Bob i Sal na własne oczy zobaczyli, co wywołało niepokój, co spłoszyło zaprzężone do gorzelnianego wozu konie i kazało cwałować na oślep przez miasto. Liam stanął jak wryty, z obrzydzeniem zasłaniając usta ręką.

- Jezus Maria.

Sal podeszła o krok bliżej i kucnęła obok... tego.

- Nie dotykaj! - krzyknął ktoś z tłumu. - To diabelski pomiot! Demon!

Zignorowała ostrzeżenie i ostrożnie wyciągnęła rękę w stronę tej... potworności. Gdyby wierzyła w rzeczy nadprzyrodzone, uznałaby, że określenie „diabelski pomiot” doskonale opisuje żalosne resztki istoty rozciągniętej na ziemi w mieszaninie własnej krwi, odpadków i parujących wnętrzności.

- Czy to osoba... czy coś innego? - wyszeptała.

Nieregularna masa przypominała zebrane po całym dniu pracy i wywalone na śmietnik resztki i skrawki mięsa rzeźnickiego. Wśród lśniącej i krwawej posoki dostrzegła zad konia, który wciąż drżał i spazmatycznie wierzgał. Ale najgorsze było co innego - widok, który na pewno nie raz przysporzy jej niespokojnych koszmarów: zachlapana krwią głowa, ramiona i górna część tułowia zlepione z tułowiem wierzgającego konia, albo tego drugiego konia - nie miała pewności. Jakiś niecierpliwy Bóg postanowił chyba stworzyć centaury, ale w chwili frustracji i irytacji dał sobie spokój i cisnął nieudany twór prosto na ziemię.

Ręka Sal delikatnie musnęła głowę nieboszczyka.

Trup otworzył powieki.

ROZDZIAŁ 92

Nowy Jork rok 2001

Maddy i pozostałych jeńców usadzono na ziemi pięćdziesiąt metrów od „podkowy”, strzegła ich jedynie garstka angielskich żołnierzy. Było jasne, że na dobre wygasł już bitewny zapal przetrzebionego pułku składającego się z połączonych sił Unii i Konfederacji.

Patrzyła, jak Anglicy zbierają ciała rodaków. Przed ściąganiem pułkowych blaszek z szyi sprawdzali, czy nie widać jakichkolwiek oznak życia, później przenosili zwłoki nad brzeg rzeki i ładowali je na pokłady łodzi desantowych.

W pobliżu zauważyła szczególnie pokaźną hałdę trupów w ciemnoczerwonych kurtach, wokół której krzątali się sanitariusze próbujący wygrzebać z niej przynajmniej jednego żywego żołnierza. Właśnie tam, gdy kilku medyków podniosło jedno z ciał, zobaczyła Beki.

Poderwała się na równe nogi i zaczęła torować sobie drogę przez pole bitwy.

- Hej! Panienko! Siadaj, gdzie siedziałaś! - krzyknął jeden z pilnujących ich Anglików.

Maddy zignorowała go, blada twarz wyzierającą spomiędzy płataniny ciał przyciągała

ją jak magnes. Precisnęła się między sanitariuszami i uklękła na ziemi obok zimnej, nieruchomej twarzy Beki. Ciemna krew zastygła na prawym policzku, z rany postrzałowej w okolicach skroni wciąż wyciekała posoka.

Sanitariusz, młokos z piegami i odstającymi uszami, spojrzął na nią ze współczuciem.

- Znała panienka tę kobietę?

Nie odpowiedziała.

- Kimkolwiek była, to urządziła tu prawdziwą jatkę.

Jego głos dochodził jakby zza szyby. Ledwie go słyszała. Wpatrywała się w kroplę łzy na lewym policzku Beki, zastanawiając się, czy jednostki pomocnicze naprawdę potrafią płakać. Później uświadomiła sobie, że to ona sama płacze. Wytarła oczy pod okularami i pociągnęła nosem.

„Opłakuję jakiegoś cholernego mięsnego robota” - skrzywiła się z niesmakiem, zła na samą siebie, że jest tak żałośnie sentymentalna. - „To maszyna... narzędzie. Nic więcej, kretynko!”.

- Beki? - wyszeptwała. - Beki... tak mi przykro.

„Przykro bo co? Bo nigdy nie spróbowałam poznać cię... tak jak Liam?”.

Może. Może było jej przykro właśnie z tego powodu. Choć z drugiej strony, pewnie lepiej nie traktować jednostek jak ludzi, jak przyjaciół.

- Przykro mi - szepnęła ponownie, gładząc jedną z ciemnych brwi Beki. Tę, którą jednostka podnosiła zawsze, gdy chciała zadać pytanie.

Niejasno uświadamiała sobie, że sanitariusz zażarcie upomina strażnika, który po nią przyszedł, żeby zostawił ją na chwilę w spokoju, bo przecież nigdzie nie zbiegnie, nie ucieknie.

- Beki, przepraszam, że nigdy... nigdy tak naprawdę z tobą nie porozmawiałam.

Tak jak Liam, jak Sal. Oboje szybko i łatwo zakumpłowali się z Bobem i Beki, zupełnie jakby jednostki były im równe, jakby były ludźmi.

Przejechała palcem po zimnym policzku Beki. Martwa. Przykrywające ją ciała maskowały urazy i rany, których Maddy nie musiała i nie chciała oglądać. Jednostka odniosła zbyt głębokie obrażenia, system regeneracyjny padł, a jej organizm nie był już w stanie się odbudować.

Podniesione głosy dochodziły do Maddy jakby z miliona kilometrów Z innego miejsca. Ta chwila należała tylko do niej. Teraz mogła się pożegnać. To jej czas, jej przestrzeń.

Ale do jej uszu dobiegało coraz więcej głosów: podniesionych, zaalarmowanych.

Otoczył ją prawdziwy rozgardiasz.

- Dobry Boże!

- Co to jest?!

Podniosła wzrok na sanitariusza i żołnierza, obaj bez słowa wpatrywali się w niebo. Reszta sanitariuszy też gapiła się z rozdziawionymi ustami na horyzont nad Manhattanem. Ciekawe. Odwróciła się w tym samym kierunku.

Falujący, poskręcany horyzont - płynna rzeczywistość niemożliwych możliwości.

„Fala czasu”.

Wszyscy wpatrzeni we wzburzone niebo - żołnierze, oficerowie, więźniowie - zastygli bez ruchu: oszołomieni, oczarowani, przerażeni, sparaliżowani.

„Maddy... rusz się! Biegnij do środka! Chroń się!”.

Spojrzała w kierunku łuku. Zauważyła kilku sanitariuszy, którzy wyszli z bazy, żeby zobaczyć, o co tyle hałasu.

„Biegnij! Maddy, biegnij!”.

Już miała się podnieść i ruszyć pędem ku rolecie, kiedy uświadomiła sobie, że nie może tak zostawić ciała Beki. Istnieje metoda, żeby odzyskać wiadomość zamkniętą w umyśle jednostki pomocniczej... i zachować wspomnienia stanowiące o jej tożsamości. To metoda... którą posłużył się Liam, żeby uratować Boba.

„Czip”.

Rozejrzała się i znalazła karabin z zamocowanym do lufy bagnetem. Sięgnęła po broń, spodziewając się, że strażnik lub sanitariusz rzuci jej ostrzeżenie. Ale ich oczy, tak jak oczy wszystkich żołnierzy znajdujących się na polu bitwy, wciąż pozostawały utkwione w niebie.

Drżącymi rękami próbowała ściągnąć bagnet, szarpała za niego z rosnącą frustracją.

„Jak się to cholerstwo zdejmuje?”.

Przekręciła go, mocowanie ustąpiło z głuchym zgrzytem. Wykręciła bagnet z lufy, upuściła karabin i spojrzała na Beki.

„Zrób to!”.

Będzie musiała wbić końcówkę ostrza do jej czaszki i pogmerać w środku, żeby wyczuć silikonowy procesor, tylko odrobinę większy od karty pamięci czy karty SIM.

Przystawiła czubek bagnetu do czoła Beki, tuż ponad linię brwi.

„Zrób to! Teraz!”.

Chciała wbić ostrze, ale nie mogła.

„Jeśli nie potrafisz tego zrobić... to odrąb głowę - odrąb całą głowę!”.

Przesunęła ostrze pod szczękę i przycisnęła je do miękkiej skóry.

„Tnij! Tnij! TNIJ!”.

- Nie potrafię... nie potrafię! - jęknęła bezradnie i podniosła wzrok. Znad Atlantyku nadciągała fala czasu. Wzburzony bałwan nowej rzeczywistości modelował Manhattan jak glinę na kole garncarskim, przelewał ją jak wosk w lampie lava.

Wreszcie przesunięcie dotarło nad East River.

Maddy zamknęła powieki, zacisnęła zęby i zrobiła to, co było konieczne. Potem wstała i ruszyła pędem do bazy. Jej stopy mocno uderzały o ziemię, gdy przebiegała obok mężczyzn gapiących się jak zaczarowani na nadpływającą falę.

Co za cisza!

Co za idealny spokój.

Słysząc tylko jej ciężki oddech, odgłos stóp uderzających o kamienie i głęboki, przeszywający huk, który brzmiał, jakby ziemia miała za chwilę się rozdrzeć.

Wskoczyła do okopu, poślizgnęła się i upadła, ręce i kolana ugrzęzły w przesiąkniętej krwią ziemi. Poderwała się na równe nogi i pokonała pędem ostatnie kilkanaście metrów, mijając młodego angielskiego oficera, który chyba jej nawet nie zauważył.

- Dobry Boże, to naprawdę piękne. - Usłyszała, jak żołnierz szepcze w zachwycie, gdy śmignęła tuż obok niego i pary sanitariuszy, którzy tak jak wszyscy wokół nagle zapomnieli o swoich obowiązkach i zastygli jak na obrazie, trzymając między sobą nosze z leżącym na nich rannym.

Maddy wreszcie dobiegła do bazy. Rzuciła jeszcze okiem na niebo. Czoło fali dotarło nad ten brzeg East River, połknęło armadę łodzi desantowych, zamieniając je w milion różnych statków: w wi-kińskie drakkary, rzymskie triremy, hiszpańskie galeony, w potwory morskie...

Zanurkowała pod roletą. Podłoga wciąż była zasłana ciałami. Kilku żołnierzy umierało w męczarniach, jęcząc w marnie po odniesionych ranach postrzałowych i kłutych... wyciągały się ku niej ręce, zebrzące o wodę.

Na szczęście system komputerowy działał, a czołg Mark Czwarty - ta piękna, stara i niezawodna kupa złomu pamiętająca odległe dekady wiecznej wojny - wciąż pracował, wciąż zasilał bazę prądem.

- Bob! - krzyknęła, przestępując ponad kończynami martwych i rannych mężczyzn. Na jednym z ekranów wyświetliło się okno dialogowe, była jednak zbyt daleko, żeby przeczytać odpowiedź.

- Tu Maddy! - sapnęła. - Aktywuj pole! TERAZ!

Ziejąc i dysząc z wysiłku opadła na kolana obok biurka z komputerami, klęczała na

tyle blisko, że mogła przeczytać odpowiedź komputera-Boba.

> Informacja: zakres mocy jest niewystarczający, aby otoczyć polem całe biuro terenowe.

Kursor przesuwiał się w poprzek okna dialogowego.

> Uwaga: wystąpią obstrukcje w promieniu...

Oczywiście, baza zapadła się o kilkadziesiąt centymetrów.

- W powietrzu, Bob. Aktywuj portal w powietrzu! Wskoczę do niego, kiedy nadpłynie fala!

Przez sekundę, może dwie, kursor migał bez odpowiedzi. Wreszcie zaczął przeskakiwać w prawo.

> Potwierdzam.

Wyjrzała na zewnątrz, drobinki piasku uniosły się nad ziemią pod wpływem ciśnienia wytworzonego przez nadciągającą falę. Sięgnęła po głowę Beki i ujęła ją w dłonie, po czym wspięła się na biurko.

- TERAZ, BOB... ZRÓB TO TERAZ!

Tuż przed nią, metr nad ziemią, zmaterializował się błyszczący portal. Nie miała pewności czy zawisł wystarczająco wysoko i czy nie wyląduje w niezmienionym luku, zatopiona po pas w betonowej podłodze. Przyniosłoby to śmiertelny skutek. Przeraziłowie śmiertelny.

Fala wtargnęła do bazy i rozerwała ją na milion wykluczających się możliwości. Maddy zniknęła w portalu.

ROZDZIAŁ 93

Piąty Komisariat policji w Nowym Jorku 11 września 2001 roku godzina 11:31

Podwozie wozu patrolowego gwałtownie podskoczyło, a sierżant niemal wyleciał z siedzenia pasażera.

- Hola! Hej, Bill! Przez ciebie prawie wylałem całą kawę. Sierżant Bill Devereau odwrócił się, żeby z wyrzutem spojrzeć na partnera.

- Hmm? Przepraszam. Przysnąłem.

Partner ironicznie pokiwał głową.

- No chyba, mamrotałeś coś jak nabzdrygolony świrus.

Bill Devereau potrząsał głową, próbując wrócić do rzeczywistości.

- Ja... to szalone, właśnie miałem najdziwniejszy sen w życiu.

- Poważnie?

Devereau zmrużył oczy i w zamyśleniu podrapał się po brodzie. Wspomnienie szybko odpływało, zamazywało się - jednolity obraz sennej rzeczywistości wyparowywał z umysłu, zniknął niczym krystaliczna biel śmietanki mieszającej się z kawą.

- Wojna... lub coś takiego. Nowy Jork zamienił się w zrujnowane miasto... wyglądał jak, nie wiem, jak Stalingrad.

Sierżant Wainwright westchnął.

- Dziś chyba nie tylko ty masz koszmary, stary. - W zawałonych Bliźniaczych Wieżach zginęło kilku funkcjonariuszy z ich komisa-riatu, dobrych funkcjonariuszy. Dopisze im niebywałe szczęście, jeśli w tłących się ruinach odnajdą choć fragmenty ich ciał. Przez najbliższe kilka tygodni przyjdzie im pewnie grzebać puste trumny.

Devereau przestał głąskać gładko ogolony podbródek.

- To dziwne... we śnie miałem brodę, uwierzysz? Gęstą, gąbczastą brodę.

Sierżant Wainwright z rozbawieniem spojrział na kumpla.

- Brodę? - Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. - Brodę? Jaja sobie robisz. Z brodą wyglądałbyś jak osioł.

Devereau pokiwał głową, oglądając swoją twarz w bocznym lusterku. Racja, wyglądałby jak pajac.

- Za stary się robisz na tę robotę, Bill, poważnie... zaczynasz fundować sobie drzemki na służbie.

- Późno wczoraj poszedłem spać.

Wainwright w zamyśleniu pokiwał głową. Jego wzrok spoczął na wiązce gazet leżących na chodniku przed sklepem. Jutrzejsze gazety. Jutrzejsze nagłówki.

Jutro we wszystkich gazetach będą trąbili o jednym.

- Przed nowojorczykami kilka nieprzespanych nocy.

Devereau skinął głową. Sen już zniknął, zdmuchnięty jak poranna mgła unosząca się nad brzegiem rzeki. Zostało tylko dręczące przecucie nadchodzących kłopotów. Nadciągającej burzy.

- Racja, partnerze.

ROZDZIAŁ 94

Nowy Jork rok 2001

Maddy otworzyła oczy. Przez chwilę musiała być nieprzytomna. Okulary krzywo

zawisły na czole, po policzku spływała strużka śliny. Poprawiła okulary, wytarła usta i usiadła na krześle.

- A niech mnie - wyszeptała.

Róg biurka, na którym stała, pokrywała gruba warstwa rdzawo-ceglanego pyłu, która ostro urywała się w jednym miejscu. Tam półokrągła warstwa kurzu... tu nic. Gdyby nie ta warstewka, biurko wyglądało jak zawsze... puszki po Dr. Pepperze, pudełka po pizzy, świstki papieru i długopisy, papierki po cukierkach i czasopisma. I żadnych odłamków, które odpadły z sufitu podczas wcześniejszego bombardowania artyleryjskiego.

Spojrzała na podłogę. Nie była to już mozaika porysowanego betonu z zalegającymi na niej ciałami rannych mężczyzn. Pomieszczenie wróciło do stanu sprzed tygodnia. Baza nie przypominała walącej się ruiny.

Maddy popatrzyła na zastygłą twarz Beki. Włosy jednostki lepiły się od krzepnącej krwi. Czeką ją roboty do wykonania, ale nie teraz. Jeszcze nie. Delikatnie ułożyła głowę na szafce obok biurka, odwracając bladą, wyglądającą jak maska pośmiertna twarz Beki tak, aby nie musiała na nią patrzeć.

Wszystkie monitory były włączone, na kilku leciały wiadomości telewizyjne.

- Bob? Jesteś tam?

> Witaj, Maddy. Chwileczkę...

Usłyszała, jak twarde dyski w każdym z podłączonych komputerów zaczynają szumieć i pstrykać.

> Wykryłem wiele błędów w zakresie ciągłości osi czasu.

Tak, oczywiście... Bob roztoczył pole ochronne tylko wokół niej. Reszta bazy, w tym komputer-Bob, nie doświadczyła traumy związanej z zesłotygodniowymi wydarzeniami.

> Informacja: aktualna data to osiemnasty września. Najwyraźniej znajdujemy się siedem dni poza operacyjną sygnaturą czasową.

- Zgadza się - odparła. - Wiele się ostatnio wydarzyło, Bob. Pamiętasz, jak uciekł nam Abraham Lincoln?

> Oczywiście. Według wskazań mojego wewnętrznego zegara, dwie godziny i szesnaście minut temu translokowaliśmy Liama i pozostałych w celu odbicia Abrahama Lincolna.

- No tak... teraz jesteś niezsynchronizowany. Zresetuj pole mocy wokół bazy i przenieś nas do standardowego czasu operacyjnego. Musisz to zrobić natychmiast.

> Potwierdzam, Maddy.

- Potem otworzymy okno dla Liama i pozostałych, sprowadzimy ich do bazy.

> Nie dysponuję wiarygodną sygnaturą czasową. Ostatnia zarejestrowana przeze mnie sygnatura to...

- Ani w Quantico, ani nigdzie indziej w Wirginii już ich nie znajdziesz. Użyj poprzedniej sygnatury. Powinieneś mieć współrzędne w pamięci podręcznej.

> Nowy Orlean, tysiąc osiemset trzydziesty pierwszy rok? To nielogiczne. Jak oni tam trafili?

Ze znużeniem uśmiechnęła się do kamerki.

- To długa historia, Bob. Później ci ją opowiem, dobra?

ROZDZIAŁ 95

Nowy Orlean rok 1831

Mężczyzna wlepił przekrwione oczy w Sal.

- Mój... mój Boże! To... to... ty! - sapnął. Jego usta zadrżały bezradnie i zamknęły się. Spomiędzy warg wypłynęła gęsta struga krwi.

Sal przysunęła się do niego, chwyciła go za rękę i mocno ścisnęła.

- Przeżyje pan... wyzdrowieje!

Bzdura. Oczywiście, że nie wyzdrowieje. Popatrzyła na paskudnie wybebeszone kiszki dwóch koni i jednego człowieka. Jeden z wierzchowców wciąż wierzgał, drugi już dawno nie żył. A tego biedaka niedługo czeka ten sam los. Do wyzdrowienia mu bardzo daleko!

Obok niej przyklęknął Bob.

- To była kolizja warstw gęstości. Ten mężczyzna wkrótce...

- Wiem! - syknęła i poraziła go wzrokiem, żeby się zamknął.

Twarz Liama pobladła, wyglądał, jakby za chwilę miał zwymiotować, cudem udało mu się utrzymać strawiony pokarm w żołądku i przykucnąć obok nich.

- Widziałem już coś podobnego. To awaria okna czasowego! - Zerknął na twarz umierającego mężczyzny. - Może to... - Powiększyły mu się źrenice. - Jezu! Może to inny Jeździec w Czasie? Jeden z naszych?

- Słuchajcie... posłuchajcie mnie - wyrzucił mężczyzna, powietrze ledwo przedostawało się do jego płuc przez krwistą skrze-plinę na ustach. - Ja... ja... próbowałem... was... ostrzec...

- Ostrzec? Przed czym?

- P-pandorą... to... byłem ja...

„Pandorą?”. - Liam przeniósł wzrok na Sal, potem z powrotem na mężczyznę. - To ty zostawiłeś tamtą wiadomość? W San Francisco? Ty to zrobiłeś?

- T-tak... Ja... nazywam się... J-Joseph... - Przeszkłone oczy mężczyzny odplynęły w głąb czaszki. Pogryzał się w szoku.

- Czym jest Pandora? - spytała Sal.

Z ust chlusnęła krew. Ręce zaczęły spazmatycznie drżeć, dłonie w żelaznym uścisku zacisnęły się na palcach Hinduski.

- Pandora! Co to jest? Niech pan powie!

Przeniósł na nią wzrok.

-...W-Waldstein... koniec... on wie... - Z ust wypłynął jedynie przygasający, szeleszczący szept.

Sal pochyliła głowę jeszcze niżej, aż poczuła na policzku lekki powiew agonalnego oddechu.

- Nic ci nie będzie - wyszeptała bez sensu, ponownie ściskając jego dłoń, jakby miało mu to w czymkolwiek pomóc. - Wszystko będzie dobrze.

- Ty!... S-Sal... Saleena...

Popatrzyła głęboko w zawieszony centymetr przed nią oczy.

- Znasz mnie? - wyszeptała.

- Ty... t-ty nie... - Ręka znowu zaczęła spazmatycznie podskakiwać, a palce mocno, boleśnie zacisnęły się na dłoni Sal... - Nie... jesteś... tym... kim ci się... wydaje.

Źrenice znowu uciekły pod powieki, ukazując białka oczu, duża dłoń konającego miażdżyła palce dziewczyny. Potem niespodziewanie i gwałtownie wypuścił jej rękę. Z nosa wypłynęła krwistoczerwona maź.

- Wiem... wiem o... o... - Z ust buchnęła krew, zalewając cały podbródek. Sapnął. I wcale nie było to rżenie człowieka stojącego jedną nogą w grobie, raczej długie westchnienie ulgi, że agonია wkrótce dobiegnie końca.

Westchnieniu towarzyszyły słowa. Mogłaby przysiąc, że konający biedak wypowiedział te ostatnie słowa - usłyszała je wyraźnie. Niemożliwe, że był to skurcz ust i języka, który ułożył się w przypadkowe dźwięki. Słyszała je wyraźnie. Dwa słowa przeznaczone wyłącznie dla jej uszu:

„O misiu”.

HISTORIA, JAKĄ ZNAMY

1831

Młody Abraham Lincoln szuka szczęścia w Nowym Orleanie.

1861

Lincoln zostaje prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

1863

Lincoln ogłasza Proklamację Emancypacji, wojska Unii wygrywają w bitwie pod Gettysburgiem.

1831

Tajemniczy podróżnik w czasie zmienia historię, kiedy przypadkowo płoszy zaprzężone do wozu konie, które trują młodego Lincolna. Przyszły prezydent ginie.

1861

John Bell zostaje wybrany na prezydenta - okazuje się słabym i nieudolnym przywódcą Północy.

1863

Armia Konfederatów pod dowództwem generała Lee wygrywa bitwę pod Gettysburgiem - wojna trwa, obie strony pozostają w klinczu.

1865

Wojna secesyjna dobiega końca, Lincoln triumfuje.

2001

Nowy Jork jaki znamy - zatłoczony, hałaśliwy, kolorowy.

1865

Prezydent Konfederacji, Jefferson Davis, ogłasza zniesienie niewolnictwa, krok ten pozwala nawiązać sojusz z Anglią, która występuje przeciwko zniewalaniu ludzi.

2001

Nowy Jork: arena wojny secesyjnej... która wciąż trwa.

TIME,

Zostań Jeźdźcem w Czasie! RIDERS

W drugim tomie odkryjesz, jak mógł wyglądać świat sześćdziesiąt pięć milionów lat przed naszą erą.

W trzecim tomie przekonasz się, jak żyli ludzie w średniowiecznej Anglii i czy Robin Hood istniał naprawdę.

W czwartym tomie przeniesiesz się do świata, w którym wojna secesyjna z XIX w. nigdy się nie zakończyła.

W pierwszym tomie przeniesiesz się w czasy po II wojnie światowej do Stanów Zjednoczonych Ameryki opanowanych przez nazistów.

TIME;

Zostań Jeźdźcem w Czasie! RIDERS

W pierwszym tomie przeniesiesz się w czasy po II wojnie światowej do Stanów Zjednoczonych Ameryki opanowanych przez nazistów.

W drugim tomie odkryjesz, jak mógł wyglądać świat sześćdziesiąt pięć milionów lat przed naszą erą.

W trzecim tomie przekonasz się, jak żyli ludzie w średniowiecznej Anglii i czy Robin Hood istniał naprawdę.

W czwartym tomie przeniesiesz się do świata, w którym wojna secesyjna z XIX w. nigdy się nie zakończyła.

Już wkrótce tom piąty!

Projekt Exodus - misja polegająca na przeniesieniu 300 Amerykanów z 2070 roku do roku 54, aby zniszczyli Cesarstwo Rzymskie - zakończył się katastrofą. Połowa z nich dotarła na miejsce siedemnaście lat wcześniej, podczas panowania Kaliguli.

Liam udaje się w przeszłość, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej. Kiedy jednak Maddy i Sal usiłują uciec przed brygadą wysłaną, by dopaść ich drużynę, wszyscy Jeźdźcy w Czasie zostają uwięzieni w starożytnym Rzymie.

Uzbrojony w wiedzę z przyszłości, Kaligula jest teraz silniejszy niż kiedykolwiek. Biuro terenowe pozostało bez opieki, a drużyna jest w wielkim niebezpieczeństwie - czy w takiej sytuacji Jeźdźcy w Czasie zdołają wrócić do 2001 roku i zawrócić historię na właściwy tor?

Wejdź na stronę www.timeriders.pl

Legenda

Bestsellerowa trylogia Marie Lu!

Republika, miejsce niegdyś znane jako zachodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych, jest uwikłana w wieloletnią wojnę ze swymi sąsiadami, Koloniami. Piętnastoletnia June, urodzona w elitarnej rodzinie, w jednej z najbogatszych dzielnic Republiki, to wojskowy geniusz. Posłuszna, pełna pasji i oddana ojczyźnie, jest wychowywana na przyszłą gwiazdę najwyższych kręgów Republiki. Również piętnastoletni Day, urodzony w slumsach sektora Lake, to z kolei najbardziej poszukiwany przestępca Republiki. Jednak kierujące nim motywy wcale nie są tak podłe, jak by się mogło wydawać. Pochodzący z dwóch różnych światów June i Day nie mają powodu, by się spotkać, aż pewnego dnia... Zbieg okoliczności sprawia, iż oboje odkrywają prawdę o wydarzeniach, przez które połączyły się ich losy.

Oszłamiająca trylogia Marie Lu, pełna akcji, napięcia i uczuć, bez wątpienia wciągnie i poruszy każdego czytelnika.

Wejdź na stronę www.legendatrylogia.pl